

JOCELYNN DRAKE

„Nocny wędrowiec”

Dni mroku

Księga 1

Rozdział 1

Na imię miał Danaus.

Najlepiej pamiętam jego oczy. Zobaczyłam je po raz pierwszy w świetle latarni; migotanie kobaltowego błękitu, gdy przystanął z dala ode mnie. Jego oczy były jak szafiry. Wpatrywałam się w nie, pragnąc, by czas płynął wolniej, gdy zapadałam się w te nieruchome styksowe głębiny. Nie pływałam jednak w wodach Styksu, lecz w chłodnej lagunie Lety, gdzie kąpałam się w chwilach zapomnienia.

Zatrzymał się na wyludnionej ulicy poza kręgiem jasnego światła latarni z kutego żelaza, spoglądając to w górę, to w dół. Wziął głęboki oddech. Chyba wyczuł, że obserwuję go z ukrycia, ale nie wiedział dokładnie skąd. Zgiął prawą rękę i wkroczył w krąg światła, przestając na moment widzieć w ciemności; prowokując mnie przynętą, którą machał mi przed oczami.

Powoli przesunęłam językiem po zębach. Nie tylko wyglądał imponująco, ale miał też w sobie pewność siebie, która przykuwała moją uwagę. Kusiło mnie, aby wyjść z cienia rzucanego przez komin i pozwolić, by księżyc oświetlił moją smukłą postać. Jednak nie przetrwałabym ponad sześć wieków, gdybym popełniała takie błędy. Balansowałam na belce kalenicowej trzypiętrowego domu naprzeciwko niego i patrzyłam, jak dalej idzie ulicą. Gdy tak szedł, jego czarny skórzany płaszcz połyskiwał, wlokąc się u jego stóp niczym pies na łańcuchu, zmuszony do podążania za swym panem.

Prawdę mówiąc, obserwowałam go od ponad miesiąca. Wtargnął na moje terytorium jak zimny wiatr i nie tracił czasu, niszcząc takich jak ja. W minionych tygodniach zabił wielu moich pobratymców. Prawie wszyscy byli młodzikami, nie przeżyli nawet stulecia, ale on i tak dokonał więcej niż ktokolwiek inny.

Te zabójstwa nie polegały na tchórzliwym wbijaniu zaostrego kołka w serce za dnia. Polował na każdego z nocnych wędrowców pod osłoną mroku. Oglądałam nawet kilka z tych walk z ukrycia i nie mogłam się powstrzymać od podziwu, kiedy klękał zakrwawiony nad każdą z ofiar, wyrzynając jej serce. Działał szybko i przebiegle. A nocnych wędrowców rozpierało przesadne

poczucie mocy. Ja byłam strażniczką tych włości, powierzono mi zadanie strzeżenia naszej tajemnicy, a nie chronienia tych, którzy sami nie potrafili się obronić.

Po kilku tygodniach obserwowania swojej przyszłej ofiary pomyślałam, że nadeszła pora, by się przedstawić. Wiedziałam, kim jest. Kimś więcej niż tylko kolejnym łowcą Nosferatu. Nosferatu wiele wspanialszym, silniejszym. Pragnęłam bliżej go poznać, zanim Danaus zginie.

Danaus on wiedział o moim istnieniu. W ostatnich sekundach swojego życia któraś z jego ofiar wypowiedziała moje imię, mając nadzieję, że dzięki temu zostanie ułaskawiona. Na nic się to zdało.

Pędziłam cicho po dachach, przeskakując nad prześwitami i lądując zwinnie z wdziękiem kota. Przemykając wzdłuż dwóch kolejnych przecznic na skraj zabytkowej dzielnicy, zatrzymałam się przy opuszczonym domu z czerwonej cegły, z tarasem na dachu; budynku, który mógł być odpowiednim miejscem na spotkanie. Jego pojedyncza wieżyczka z ciemnymi oknami spoglądała w stronę rzeki niczym stojący na warcie żołnierz.

Nocne powietrze było ciepłe i gęste, choć od ponad dwóch tygodni nie mieliśmy deszczu, a pożółkłe trawniki zmagaly się z kolejnym upalnym latem. Nawet świerszcze grały ciszej, wyczerpane suszą. Teraz lekka bryza znad morza niosła ze sobą nieco ożywczej wilgoci. Przybyłam do Savannah ponad sto lat temu, szukając anonimowości, ucieczki przed światem, który wyniszczał mnie przez blisko pięćset lat. Uwielbiałam wdzięk i historię tego miasta, duchy, które nawiedzały ciemne zaułki i domy pełne zakamarków. Mogłabym się jednak obejść bez tutejszego uciążliwego lata. Zbyt wiele czasu spędziłam w chłodniejszym klimacie.

Opuszczony dom, ukryty za wielkimi dębami, z których zwisał hiszpański mech, wyglądał tak, jakby strzegły go dwie wielkie damy opatulone w stare koronki. Front posiadłości otoczony był wysokim, spiczastym żelaznym płotem z kamiennymi filarami po obu stronach ścieżki prowadzącej do budynku. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na szczycie jednego ze słupów, czekając na Danausa. Chciałam, żeby szedł śladem mocy, którą emanowałam; przypominałam Szcurołapa wygrywającego wesołą melodię podążającym za nim dzieciom z Hamelin.

Danaus przystanął na skraju posiadłości i spojrzał na mnie. Tak, to było bezczelne, może nawet zbyt odważne z mojej strony, ale chciałam, żeby stracił nieco pewności siebie. Tej nocy będzie musiał walczyć o swoje życie.

Z uśmiechem zsunęłam się ze słupa, kryjąc się za płotem w cieniu zarośniętego podwórza. Wtopiona w noc znikłam w otwartym oknie na piętrze z tyłu domu.

Nasłuchiwałam, czekając w pierwszej sypialni. Drżałam cała z ekscytacji wywołanej polowaniem; tak rzadko miałam okazję zmierzyć się z czymś, co naprawdę mogło mnie zniszczyć. Zabiłam już wielu łowców w ludzkiej postaci, ale nie stanowili oni prawdziwego wyzwania, wymachując srebrnymi krzyżami i

modląc się do Boga, z którym spotkają się na Sądzie Ostatecznym. Przez długie wielki rzadko miałam okazję poczuć, co znaczy naprawdę żyć. Danaus pomoże mi to sobie przypomnieć.

Ten łowca był inny. Nie bardziej ludzki niż ja. Jego ciało stanowiło jedynie powłokę, z trudem powstrzymując moc, która wypływa z niego jak rzeka.

Na dole drzwi frontowe otwarły się z hukiem, uderzając o ścianę. Uśmiechnęłam się; wiedział, że tu jestem i czekam na niego. Przeszłam wielkimi krokami po drewnianej podłodze do głównej sypialni, a stukot moich obcasów rozległ się echem po pustym domu. Teraz wiedział już dokładnie gdzie jestem.

Spokojnie, Miro, upomniałam się. Nie ma powodu do pośpiechu. Polujesz na niego od ponad miesiąca nie po to, by teraz wszystko zepsuć.

Kiedy znalazłam się w sypialni, bezszelestnie przemieściłam się na drugi koniec pokoju. Oparłam się o ścianę w pustym kącie, pozwalając, by cienie spowiły mnie niczym peleryna, i zapadając się w ciemność pełną szeptów tajemnicach nocy i śmierci. Stary dom skrzypiał i wzdychał wokół mnie, gdy oboje czekaliśmy.

W końcu Danaus pojawił się w drzwiach, a jego ramiona były tak szerokie, że ledwie zmieścił się pomiędzy framugami. Stałam przez chwilę cicho, podziwiając, jak równomiernie wznosi się i opada jego klatka piersiowa. Był zupełnie spokojny. Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, z kruczoczarnymi włosami zwisającymi swobodnie do ramion. Miał wydatne kości policzkowe i mocno zarysowaną dolną szczękę. Po drodze zrzucił swój czarny płaszcz, a w prawej dłoni trzymał piętnastocentymetrowe srebrne ostrze, w którym lśniło światło księżyca.

- Jesteś tym, którego zwa Danaus – rzuciłam. Mój głos wydobył się z cienia, podczas gdy ciało pozostało w ukryciu. Jego głowa drgnęła, zwracając się w moją stronę, a niebieskie oczy błysnęły w ciemności. – powiadają, że zabiłeś starego Jabariego w Tebach.

Zrobiłam krok do przodu i przeszłam przez pokój, tak że Danaus mógł po raz pierwszy zobaczyć mnie wyraźnie. W bladym świetle wpadającym przez okna moja skóra połyskiwała niczym biały marmur. Nie podchodziłam bliżej, pozwalając Kanausowi zmierzyć mnie wzrokiem.

- Pomiąłeś jednak Valerio w Wiedniu – powiedziałam, a w moim głosie zabrzmiała nuta zaciekawienia. – A w Petersburgu czeka na ciebie Jurij, choć nie jest nawet w połowie tak stary jak Jabari.

- Mam jeszcze czas. – Jego głos zabrzmiał jak pomruk wydobywający się z głębi gardła.

Milczałam, przyglądając mu się przez chwilę. Nie potrafiłam określić akcentu, a słyszałam już różne w ciągu stuleci. Był stary, bardzo stary. Nie tak starodawny jak egipski zaśpiewa Jabariego, ale z pewnością nikt nie używał go od lat. Należałoby się nad tym zastanowić, lecz teraz miałam pilniejsze pytania.

- Może – przyznałam z lekkim skinieniem. – Jednak zamiast tego przybyłeś do Nowego Świata. Choć może jestem tutaj jedną z najstarszych, mam o wiele mniej lat niż Valerio. Po co wybrałeś się tak daleko?

- Czyż nie nazywają cię Krzewicielką Ognia?

Roześmiałam się; głęboki gardłowy dźwięk potoczył się przez powietrze i musnął jego policzek jak ciepła dłoń. Umiejętność dotykania innych swoim głosem była starą sztuczką stosowaną przez niektórych nocnych wędrowców. Świetnie nadawała się do wytrącania przeciwnika z równowagi. Danaus przestąpił z nogi na nogę, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Między innymi. – Podeszłam z powrotem do ściany, lecz tym razem zbliżyłam się do niego bardziej. Napiął mięśnie, lecz się nie cofnął. To wystarczyło, abym otarła się o krąg mocy, który go otaczał, muskającej moją nagą skórę niczym ciepły jedwab. Kiedy dotarłam do kąta, w którym byłam wcześniej, w jego oczach coś się zmieniło.

- Byłaś trzy noce temu na cmentarzu Bonaventure – stwierdził.

- Tak. – Słowo to zabrzmiało jak cichy syk.

- Zabiłem wtedy dwa wampiry – oznajmił tak, jakby to powinno wszystko wyjaśnić.

- Odkąd miesiąc temu wtargnąłeś na moje terytorium, zabiłeś pięciu nocnych wędrowców.

- Czemu nie próbowałaś mnie powstrzymać?

Zachichotałam cicho, kręcąc głową. Czemu nie próbowałam? Wzruszyłam obojętnie ramionami.

- Nie ja miałam ich chronić.

- Ale to wampiry.

- To były młodziaki – odparłam. Oderwałam się od ściany i ruszyłam w jego kierunku. – Ich pana zabiłeś przed tygodniem. – Sama zamierzałam usunąć Riley, ale Danaus mnie uprzedził. Riley powiększał swoją rodzinę bez mojego pozwolenia, a równowaga musiała być utrzymana, abyśmy mogli zachować nasz sekret.

Danaus poruszył się i odszedł od drzwi, stając w takiej samej pozycji jak ja. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Jego kroki były płynne i pełne wdzięku, jakby tańczył. Znowu poczułam uścisk w żołądku, a w uszach zaszumiało mi od przyływu energii.

Zrobiłam krok do przodu, testując Danaus, który zaatakował prawą ręką. Odkakując do tyłu, nie pozwoliłam, by ostrze przecięło moją twarz. Wówczas on nagle obrócił się dookoła własnej osi, unosząc lewą dłońią saraceński miecz, stanowiący jakby przedłużenie jego ramienia. Zadał markowy cios, który miał sprawić, że odsłonię swoje gardło. Uderzyłam nogą z półobrotu, trafiając go w goleń. Zatoczył się, cofnął, ale nie upadł. Balansując na palcach stóp, przycisnęłam dłonie do zakurzonej drewnianej podłogi.

- Ładny miecz. Celtyckie runy? – spytałam, jakbym prowadziła beztruską towarzyską rozmowę. Nie spuszczałam go jednak z oczu. Ręka trzymająca

miecz napięła się. Jego ostrze było niezwykle, z rzędem runów wrytych po jednej stronie. Nie potrafiłam ich odczytać, ale mogłam się założyć, że są czymś więcej niż tylko ozdobą.

Chrząknął, co uznałam za twierdzącą odpowiedź na swoje pytanie.

- Dzięki, że nie przyszedłeś do mnie z osinowym kołkiem – powiedziałam, wstając. Spojrzał na mnie, a jego ciemne brwi zetknęły się na moment nad grzbietem nosa. – To takie banalne.

- Mogłabyś go spalić – odparł obojętnym głosem.

- To prawda. – Zaczekałam chwilę trwającą tyle co jedno uderzenie serca, po czym pokonałam odległość, jaka nas dzieliła, i uderzyłam go obiema dłońmi w pierś. Powietrze uszło mu z płuc. Pod wpływem ciosu mimowolnie wyciągnął do przodu obie ręce, zataczając się w tył. Kopnęłam go prawą stopą w lewą dłoń. Uderzenie sprawiło, że rozluźnił uścisk i wypuścił miecz, który potoczył się po podłodze i z brzękiem wałnął o przeciwległą ścianę. Niestety Danaus doszedł do siebie szybciej, niż się spodziewałam i zamachnął się prawą ręką, ugadzając mnie sztyletem w policzek.

Kłujący ból przeszył moje ciało i odskoczyłam do tyłu, by znaleźć się poza zasięgiem rąk Danaus, syknęłam na niego, obnażając kły, i przycupnęłam, szykując się do skoku. Owszem, wiedziałam, że syk był jeszcze bardziej banalny niż osinowy kołek, lecz zgrzytliwy dźwięk wydobył się z mojego gardła, zanim zdołałam się zastanowić, nie mówiąc już o wymyślaniu czegoś bardziej cywilizowanego. Miałam sześćset trzy lata i nie należałam do Starożytnych.

Zmusiłam się, by wstać. Danaus kilka razy z trudem zaczerpnął powietrza, zanim jego oddech znowu się wyrównał. Przez jakiś czas ta czynność pewnie będzie sprawiała mu ból, ale przynajmniej wciąż mógł oddychać. Uniósłam lewą rękę do policzka, a potem przesunęłam ją tak, by palce znalazły się na linii wzroku; nie spuszczałam oczu z napiętej postaci Danaus. Moje palce były zakrwawione. Oblizalam je, pozwalając, by miedziany smak rozszedł się po języku. Ból w policzku już zniknął i czułam, jak rana się zamyka. Za chwilę pozostanie po niej tylko krwisty ślad.

Ta odrobina krwi wystarczyła. Jej smak rozpalił żądzę, rozprowadzając ją po moich żyłach. Pewnie, że była to moja krew, ale wszystko, wszystko tętniło mocą pochodzącą z mojej duszy, z samej istoty życia, i wiedziałam, że tym razem skosztuję krwi Danaus.

Znowu natarłam na niego, ale on był gotów. Zamachnął się na mnie sztyletem, ponownie starając się dosięgnąć mego gardła, ale złapałam go za rękę. Machnął lewą pięścią w stronę mojej twarzy. Odbiłam ją. Ściskając za prawy nadgarstek, próbowałam zmusić Danaus do porzucenia sztyletu, lecz mimo bólu nie wypuścił go. Kątem oka zauważyłam, że lewą dłonią sięga do boku po kolejną broń.

- Świetnie – mruknęłam i chwyciłam go za lewy nadgarstek. Podstawiłam mu nogę i runęliśmy oboje na ziemię. Leżąc na nim, przygwoździłam go za rękę

do podłogi. Pewnie, że był cięższy ode mnie, ale ja byłam od niego silniejsza. Trudno się mierzyć z wampirem. Uśmiechnęłam się, ocierając się o twarde wybrzuszenie w jego spodniach. Nie miał przy sobie pistoletu. Tak naprawdę nie można zabić nocnego wędrowca z broni palnej, chyba że włoży się mu lufę w usta i naciśnie spust. Ale nawet to nas nie zniszczy.

- Myślałam, że cieszysz się ze spotkania ze mną – powiedziałam miękkim głosem, nie mogąc ukryć rozbawienia. Danaus spojrział na mnie gniewnie, a jego oczy były niczym zimne klejnoty. Wiedziałam, że przemoc go podnieca. Dreszczyk wywołany polowaniem.

Wpatrywała się we mnie, a w jego głowie kłębiły się myśli, które chętnie bym podsłuchiwała. Coś go we mnie niepokoiło. Pewnie to, że byłam piękna, ale wszyscy nocni wędrowcy mieli ładne twarze i zgrabne ciała. Gdyby tak łatwo dało się przyciągnąć jego uwagę, już dawno byłby martwy.

Jego pytające spojrzenie stanowiło dowód na to, że Danaus tak naprawdę wcale nie próbuje już mnie zabić. Zaprezentować sobie nawzajem kilka ładnych ciosów, które nie miały być śmiertelne. Inne walki, które oglądałam, trwały krótko. Każdy atak Danaus był precyzyjny i skuteczny, zaplanowany tak, by doprowadzić bitwę do końca i unicestwić nocnego wędrowca. Wciąż mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, napawając się narastającym napięciem, ale w powietrzu unosiło się więcej niedopowiedzeń.

Wciąż trzymając go za nadgarstki, odsunęłam się, pochylając twarz, aż mój podbródek spoczął na jego mostku; patrzyłam mu w oczy. Czułam, jak mięśnie w jego ciele napinają się pode mną, ale nie szarpał się ani nie próbował mnie zrzucić. Mimo że moje usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jego piersi, nie mogłabym ukąsić go pod tym kątem. Oboje to wiedzieliśmy, więc leżał nieruchomo, wyczekując.

Biorąc głęboki wdech, poczułam zapach Danaus. Woń potu i ów piżmowy aromat mężczyzny. Było jednak w nim coś jeszcze: zapach wiatru, dalekiego morza i przede wszystkim słońca. Wydawał się tak silny, że mogłam go posmakować, przywołując dawne wspomnienia o pławieniu się nago w południowym upale.

Musiałam zejść z Danaus i odsunąć się na pewną odległość. Zaczynało kręcić mi się w głowie od jego mocy, która otaczała swoimi ramionami moje chłodne ciało. Ten zawrót głowy nie wróżył niczego dobrego, być może zabiłabym go zbyt szybko. A chciałam zrobić to powoli, rozkoszować się walką, jaką mi proponował.

- Nie przybyłem tutaj po to, żeby cię zniszczyć – powiedział, a jego głos zabrzmiał w pustym pokoju niczym dudnienie odległego grzmotu.

Parsknęłam śmiechem, przesuwając się do przodu tak, że moja twarz znalazła się nad jego głową.

- I to ma mnie powstrzymać przed zabiciem ciebie? Wtargnąłeś na moje terytorium, zabijasz moich braci, a teraz mówisz, że nie przybyłeś tu, żeby mnie

zniszczyć. Nie, Danusie, zamierzam cię sprawdzić, dowiedzieć się, gdzie jest źródło twojej mocy. – Uśmiechnęłam się do niego na tyle szeroko, by ukazać kły.

Danaus poruszył się, zanim zdołałam zareagować, i przetoczył się tak, że znalazł się teraz na mnie. Wciąż jednak trzymałam go za nadgarstki.

Odepchnęłam go, zrzucając z siebie, aż przetoczył się przez pokój. Wylądował na plecach. Gdy ponownie wstał, byłam już po drugiej stronie pomieszczenia.

Oparłam się o mur w kącie, balansując na piętach. Po tym, jak odczułam jego energię, zmusiłam się do tego, by przyhamować. Nigdy dotąd nie spotkałam stworzenia, które posiadałoby taką moc. Znaleźliśmy się w obliczu nowego, śmiertelnego zagrożenia. Musiałam się dowiedzieć, kim czy też czym jest i czy istnieje więcej takich jak on. Nie po to walczyliśmy przez niezliczone wieki i pokonaliśmy w końcu naturę, żeby zagroził nam teraz nowy wróg. Teki, który mógł swobodnie poruszać się po świecie za dnia.

Zmusiłam się do śmiechu, który zatańczył po pokoju, a potem wydostał się na zewnątrz przez otwarte okno. Mój śmiech zdenerwował Danausa bardziej niż to, że go powaliłam. A może irytował go fakt, że spodobało mu się to, jak go dosiadałam. Wątpiłam, że kiedykolwiek pozwolił jakiemuś nocnemu wędrowcy podejść się tak bez walki.

Kiedy wpatrywałam się w niego teraz, coś innego przyciągnęło moją uwagę.

- Gdzie twój krzyż, Danusie? – zapytałam z oddali, zahaczając kciuki o przednie kieszenie swoich skórzanych spodni. – Wszyscy łowcy noszą krzyże na szyi. Gdzie jest twój?

- Jak możesz mieć władzę nad ogniem? – zapytał. Jego twarz była posepną i w połowie ukryta w cieniu włosów, które opadły na czoło. – To zakazane. – zrobił ostrożny krok do przodu i zapiaszczona podłoga skrzypnęła pod jego stopą.

Z wdziękiem zatańczyłam na piętach, jak gdybym była marionetką pociągana za niewidzialne sznurki. W ruchu tym nie było nic człowieczego i z zadowoleniem zauważyłam, że wciąż go to drażni, nawet po tylu latach polowania na nas. Zrobił pół kroku do tyłu i zmarszczył czoło.

- Zakazane? – spytałam. – Czyżby ktoś napisał regulamin dla nocnych wędrowców, wędrowców, o którym nic nie wiem? – Czy Danaus wtargnął na moje terytorium i pustoszył je dlatego, że chciał się czegoś dowiedzieć?

- Żaden wampir nigdy nie był w stanie zapanować nad ogniem.

- A niewielu ludzi polowało na nas bez ochrony, jaką daje srebrny krzyż – odparowałam.

Spojrzał na mnie twardo. Wydawało mi się, że miał ochotę warknąć, ale wydawanie zwierzęcych odgłosów chyba pozostawił mnie. Obrócił w dłoni nóż, ważąc swoje szanse. Jak ważne były dla niego informacje, których szukał? Czy na tyle istotne, że poczuje się w końcu zmuszony do wyjawienia czegoś o sobie? Oczywiście potem mógłby mnie zabić i tak by się wszystko skończyło.

Kiedy odezwał się ponownie, zdawało się, że z trudem cedzi słowa.

- Krzyż nie uchroni kogoś, kto już jest skazany na piekło.

Dziesiątki nowych pytań cisnęły mi się na usta, ale otrzymałam już odpowiedź i wiedziałam, że z własnej woli Danaus bardziej nie ustąpi. Przynajmniej dopóki nie odpowiem na jego pytanie, a na razie miałam ochotę trochę z nim poigrać.

- Wszyscy mamy swoje talenty – odparłam ze wzruszeniem ramion. – Jurij potrafi przywoływać wilki, a Seraf wskrzeszać zmarłych.

- Ale ogień...

- To jedyna rzecz, która może nas zabić, ale ja jestem nań całkowicie odporna. Nie ma to nic wspólnego z tym, że należę do nocnych wędrowców. Umiałam panować nad ogniem, zanim się odrodziłam. W jakiś sposób zachowałam ten dar.

- Jak naturi – stwierdził cicho.

- Nie jestem taka jak naturi! – Natychmiast się ożywiłam i zrobiłam krok w stronę Danaus, obnażając kły. Dostrzegłam tylko gwałtowne poruszenie jego nadgarstka. Tak szybkiej reakcji nie widziałam dotąd u ludzi. Ale to była moja wina. Wciąż myślałam o nim jak o człowieku.

Ostrze błysnęło na ułamek sekundy w świetle księżycy, zanim zatopiło się w mojej piersi. Zatoczyłam się do tyłu, uderzając plecami o ścianę i obejmując dłońmi nóż. Tkwił parę centymetrów pod sercem, ocierając się o krawędź lewego płuca. Domyślałam się, że Danaus celowo ominął moje serce. Jednak nawet cios w serce niekoniecznie by mnie zabił, ale na tyle osłabiłby, że Danaus mógłby podejść i odciąć mi głowę. A więc miało to stanowić tylko ostrzeżenie i gdybym nie była taka wściekła, pewnie by mnie to zastanowiło.

Wyciągnęłam sztylet za swojej piersi, zaciskając zęby, gdy ostrze otarło się o kość i przycięło więcej ciała i mięśni. Przyciskając lewą rękę do rany, próbowałam zatamować strumień krwi, która spływała w dół brzucha. Sztylet wypadł mi z dłoni i z brzękiem upadł na podłogę. Dźwięk rozszedł się echem po domu niczym strzał na pustej równinie. Spojrzałam gniewnie na Danaus i zobaczyłam, że wyciągnął już kolejny nóż i trzyma go w zaciśniętej dłoni, czekając na mnie.

Tym razem przeszłam przez pokój. Chciałam, żeby widział, jak podchodzę. Ów ruch sprawił, że nacięcie na mojej klatce piersiowej naciągało się i nie mogło się zrosnąć. Później będę się tym martwić. Miałam na twarzy lekki uśmiech skrywający głęboko w piersi krzyk bólu.

Danaus zamachnął się na mnie z taką samą szybkością, z jaką wcześniej dźgnął mnie nożem, ale spodziewałam się tego, obserwując napięcie mięśni poruszających się pod skórą. Uderzyłam go w rękę, odpychając ją, i poczułam trzask kości w jego nadgarstku. Nóż upadł na podłogę, gdy palce Danaus rozwarły się pod wpływem nagłego bólu. Spróbował kopnąć mnie, ale rzuciłam go na ścianę. Chwyciłam go za rękę i, trzymając je nad jego głową, uderzyłam nimi o ścianę z siłą wystarczającą do tego, by ją rozbić. Moja lewa dłoń odcisnęła krwawy ślad na jego przedramieniu i napałam na niego ciałem z taką mocą, że aż stęknął. Miałam prawdziwą satysfakcję z tej zabawy.

Nawet na obcasach byłam od niego niższa, ale i tak mogłam sięgnąć do jego szyi bez wspinania się na palce. Uśmiechnęłam się, ukazując kły. Jego serce zabiło szybciej, dudniąc przy mojej piersi. Znowu owionął mnie jego zapach, słodki pocałunek wiatru nad ciemnymi wodami, ciepło jasnego słońca.

- Kim jesteś, Danusie? – szepnęłam, zaglądając mu w oczy. Zaciskał mocno usta. Był wściekły. Uśmiechnęłam się i oparłam się o niego na tyle blisko, że mógł czuć, jak mój oddech pieści delikatną skórę jego szyi. Szamotał się, napinając mięśnie i próbując się mnie pozbyć, ale znalazł się w potrzasku. Wiedział, że nie może mierzyć się ze mną pod względem siły.

Mój oddech muskał jego ucho.

- Nieważne.

Zniżyłam usta, by ukąsić go w szyję, i poczułam, jak po jego spoconym ciele przebiega dreszcz.

- Pewnego dnia mi powiesz. Zanim z tobą skończę, zaufasz mi.

Puściłam go i odskoczyłam do tyłu, lądując po drugiej stronie pokoju. Nie chciałam dać mu kolejnej okazji do ugodzenia mnie nożem w pierś. Miałam wrażenia, że tym razem trafiłby w serce. Zajrzałam mu w oczy i zobaczyłam w nich lęk. Niepewność i zwątpienie. Nareszcie wstrząsnęłam nim do głębi; dotknęłam czegoś, do czego nikt dotąd nie dotarł. To sprawiło, że stał się o wiele groźniejszy, ale przez to i ja stałam się dużo bardziej niebezpieczna dla niego, zagrażając mu czymś o wiele straszniejszym niż bolesna śmierć.

- Jeszcze nie skończyliśmy – odparł, trzymając się jedną ręką za pogruchotany nadgarstek.

- Och, masz rację. Nie skończyliśmy, ale na dzisiaj koniec zabawy – oznajmiłam, przechylając głowę na bok.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby cię zabić.

- Naprawdę?

Kącik jego ust drgnął w półuśmiechu.

- Nie tym razem.

- Pamiętaj, z kim masz do czynienia. Tknij jeszcze jednego nocnego wędrowca, a będziesz martwy, zanim się zorientujesz, że się pojawiłam. – Opuściłam ręce po bokach. Krople ognia ściekały z czubków moich palców jak woda. Płomienie zbierały się przez chwilę u mych stóp, a potem wystrzeliły jak żywe, gwałtownie sunąc po drewnianej podłodze w stronę ścian. Zmrużyłam oczy. Widziałam, jak Danaus wpatruje się we mnie, ale skupiłam się na ogniu, który pełznął po podłodze, szybko odnajdując oba wyjścia.

Uśmiechając się po raz ostatni, wyskoczyłam przez otwarte okno po swojej prawie stronie i wylądowałam na podwórzu. Przebiegłam przez trawnik i dopiero wtedy, gdy znalazłam się na środku ulicy, zatrzymałam się, by się obejrzeć. Dom ogarniały pomarańczowożółte płomienie. Wiedziałam, że Danaus wydestanie się na zewnątrz. Ludzie tacy jak on nie umierali tak łatwo. Kusiło mnie trochę, żeby zostać i zobaczyć, jak ucieka z budynku, ale nie było

na to czasu. Noc mijała i musiałam się pożywić, żeby uzupełnić krew, jakiej Danaus pozbawił mnie tej nocy. Zamierzałam skończyć z nim później.

Rozdział 2

Piasek w klepsydrze czasu przesypany był dla mnie od ponad sześciuset lat. Byłam świadkiem powstawania i upadku królestw, odkrywania nowych lądów i ludów, widziałam akty okrucieństwa dokonywane przez ludzi, które mroziły nawet moją zimną krew. Jednak muszę przyznać, że ze wszystkich stuleci, w trakcie których zmieniło się oblicze ludzkości, najbardziej polubiłam XXI wiek. W obecnych czasach ludzie potrafią się wyzbywać się swojej przeszłości i dawnego wyglądu jak wąż porzucający swoją martwą skórę. Nowa technologiczna fasada przesłania niebo i ziemię.

Nie ma już potrzeby, bym tropiła swoje ofiary w mrocznych zaułkach i obserwowała je z ukrytych poddaszy. Wszędzie pełno jest zbłąkanych dusz, które tylko czekają, bym je uwiodła obietnicą odkupienia. Patrzą na mnie pustymi oczami, ze złamanymi sercami, jak gdybym była ich aniołem zbawicielem. Wnikam w ich życie, by uwolnić je na krótko od egzystencji, która nie ma celu ani większego znaczenia.

Chcąc wyrwać się z tej wielkiej nicości, ludzie postanowili wypełnić ją tym, co najbardziej prymitywne. W ciemnych zakamarkach i podziemnych klubach zrzucają miłą maskę ucywilizowania i oddają się zmysłowemu ucztom. Nasz nowy wiek dekadencji skłania do przeżywania mocnych wrażeń, próbowania nowych smaków i woni. Mnie jednak najbardziej odpowiada zmysł dotyku. Gdzie tylko się udaje, tam wszędzie pełno rąk wyciąganych do głaskania, pieszczot, po to, by czegoś dotknąć.

Po stuleciach zasłaniania ciał od stóp do czubek głowy stroje jakby się skurczyły, stały się czymś w rodzaju zewnętrznej powłoki. Właściwie nigdy dotąd nie zetknęłam się z taką fascynacją ubraniami ze zwierzęcej skóry. Z tego cudownego materiału szyje się ubiory, które zakrywają całe ciało albo tylko miejsca wstydlive.

Obudziwszy się wraz z zachodem słońca, postanowiłam udać się do jednego ze swoich ulubionych miejsc niedaleko rzeki. Port to stary zrujnowany budynek, przekształcony w nocny klub. Przechadzałam się ulicami miasta, rozkoszując się ciepłymi pieszczotami czerwcowej bryzy. Okolica szumiała i tętniła życiem. Była piątkowa noc i wszyscy pożąдали różnych rozrywek. Przeciskając się przez tłumy ludzi, wsłuchiwałam się w miarowy rytm swoich obcasów, stukających o popękany brudny chodnik, odbijający się echem od ceglanych gmachów, które tworzyły miejski krajobraz.

Zatrzymałam się na rogu. Miałam już skrócić na północ, gdy wyczułam nocnego wędrowca w parku Forsyth. Ten wielki obszar zieleni znajduje się w zabytkowej dzielnicy zdominowanej przez ogromną białą fontannę skapaną w

blasku żółtych świateł. Dla przedstawicieli różnych ras androidów Forsyth to coś w stylu strefy zdemilitaryzowanej. W granicach tego parku nie było łowów, walk ani rzucania czarów. Każdy, kto złamał tę regułę, skazywał się na zagładę. To właśnie tam większość moich pobratymców umawiała się ze mną na spotkania. Oczywiście mogłam ignorować to nowe wyzwanie. Jednak napięcie napotkanego młodego nocnego wędrowca gęstniało w moich myślach, zatruwało powietrze.

Bawiąc się niesfornym lokiem rudych włosów, szłam dalej na zachód ku białej fontannie widocznej w centrum parku. Powietrze było aż ciężkie od aromatu kwiatów, które rosły na klombach. Pomimo długotrwałej suszy, władze miejskie dbały o park, pragnąc zachować jego nieskazitelną zieleń. Cichy plusk wody spadającej na kamienie rozbrzmiewał w powietrzu, niemal zagłuszając szum samochodów, jadących w kierunku popularnych nocnych klubów, znajdujących się przy River Street.

Joseph siedział niedbale na niskim marmurowym murku wokół fontanny. Wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je w kostkach. Miał na sobie ciemne spodnie od dresu i ciemnoczerwoną koszulę rozpiętą pod szyją. Liczący sobie zaledwie dwadzieścia lat Joseph wśród takich jak my uchodził jeszcze za dziecko. Wywodził się z grupy Riley, ale był wychowywany zgodnie z moimi wskazówkami. Od chwili śmierci Rileya Joseph błąkał się na skraju mojej domeny, pragnąc znaleźć jakieś miejsce. Był jednak na tyle roztropny, aby mnie unikać. Nie przepadałam za tym młodzikiem.

- To nie twoja część miasta – powiedziałam, wkraczając do parku. Wstał z pozoru beztrząsco, ale niepokój ścisnął go jak guma. Mogłam wyczuć jego emocje tak wyraźnie jak własne. Starsze wampiry umiały zamykać wrota do swoich umysłów. Joseph nadal miał z tym problem.

Co gorsza, zaskoczyłam go. Nie powinien do tego dopuścić, ale w owej chwili był zdekoncentrowany. Tylko jedno, jak mi się zdawało, mogło skłonić młodocianego wampira do szukania ze mną kontaktu: Danaus.

- Za kilka minut skończy się koncert. Pomyślałem, że odwiedzę dziś arystokratów – powiedział. Wsunął dłonie w kieszenie, próbując przybrać obojętną pozę, ale był gotów do ucieczki albo do walki.

- Brakuje ci kasy?

Gdyby nie lekkie drganie powieki, wydawać by się mogło, że Joseph w ogóle nie zareagował. Wszyscy tak zaczęliśmy, zachowując się jak kieszonkowcy. Większość nie lubiła, gdy się o tym przypominało. Terenem łowieckim Josepha był niewielki obszar w pobliżu uniwersytetu, na którym znajdowały się kluby nocne oraz bary. Ładnie tam było i wesoło, ale niestety środowisko studentów nie stanowiło najlepszego źródła dochodów.

- Nie każdemu się szczęści jak tobie – odparł.

- Wszystko ma swoją cenę.

Podeszłam bliżej, ledwie świadoma obecności pojedynczych osób kręcących się w pobliżu. Nikt jednak nie znalazł się na tyle blisko, żeby podsłuchać naszą

rozmowę. Miarowy szum uliczny za nami także wystarczająco zagłuszał nasze słowa, by nie dosłyszeli ich ciekawscy. Zatrzymałam się przed Josephem, patrząc w jego piwne oczy. Lekkie tchnienie jego mocy musnęło mój umysł, gdy usiłował mnie zauroczyć. Nie potrafił się powstrzymać. Nie nauczył się jeszcze nad tym panować. Ludzie ulegali wszelkim jego kaprysom, ale gdyby napotkał jakiegoś innego stwora, to ten najprawdopodobniej, rozwścieczony, rozszarpałby mu gardło.

Przesunęłam lewą ręką po jego piersi i zaczęłam ją zaciskać na jego szyi. Szarpnął się. Był to instynktowny ruch świadczący o braku zaufania. Wystarczyło, że uniosłam brew w niemym, pytającym geście, a znalazł się znów u mego boku, podstawiając swoją krtań. Chwyciłam go za kark, zmuszając, aby znów usiadł na murku.

- Bo się doigrasz.

Walczyłam z pokusą, żeby zgrzytnąć zębami, kiedy to mówiłam, ale zachowałam obojętny wyraz twarzy na użytek ewentualnych gapiów.

- Rozejm – powiedział, przypominając mi całkiem zbyt mocno, że znajdowaliśmy się w parku.

Uśmiechnęłam się do niego, ukazując perłowobiałe kły.

- Rozejm zabrania nam walczyć. Ale nie chroni cię przed karą.

Pod moją dłońią mięśnie jego karku zeszytywniały, gdy nowa fala strachu opanowała jego umysł. Zacisnął dłonie na obrzeżu fontanny.

W życiu nocnego łowcy najważniejsze były władza i nadzór. Ci na górze piramidy, dysponowali pełnią władzy i sprawowali absolutną kontrolę nad tymi, których mieli pod sobą. Słabsi musieli się podporządkować albo łamano ich opór.

Joseph musiał wykazać nieco uległości, jeśli chciał zostać w moich łaskach. Nie należałam do tych, którzy otaczają się służalcami. Jednak jeżeli miałam pozostać strażniczką tego miasta, to powinnam wzbudzać strach.

- Ciesz się, że nie mam ochoty zabawić się dzisiaj z tobą – powiedziałam. – Przejdźmy do rzeczy. Dlaczego domagałeś się tego spotkania?

- Podobno walczyłaś z rzeźnikiem – odezwał się Joseph.

Zwolniłam uchwyt na jego gardle, wsunęłam polce pod jego podbródek i delikatnie go pogłaskałam, a potem opuściłam rękę. Wielu młodych nazywało Danausa „Rzeźnikiem”, co zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że rozprawił się z kilkoma naszymi jak z polciami mięsa.

- Zetknęliśmy się ze sobą. – Wzruszyłam ramionami, cofając się z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż boków. W pobliżu przechodziły dwie śmiejące się głośno pary, zmierzając chyba do jednego z tanich hotelików na obrzeżach parku.

- Ale on ciągle jest w tym mieście. – Biedak miał głos podszyty niepokojem. Pewnie się spodziewał, że albo wyrzucę Danausa ze swojego terenu, albo go zabiję. Faktycznie, taki miałam plan, ale niestety Danaus okazał si większym problemem niż zwyczajny łowca. Pojawił się w mojej strefie, szukając właśnie

mnie. Adresy nocnych wędrowców trudno znaleźć w książkach telefonicznych. Słymiemy z tego, że ciężko nas namierzyć – chyba że szuka nas jeden z nocnych wędrowców lub też członek naszego zaufanego, ścisłego kręgu. Przed zabiciem Danaus musiałam się więc dowiedzieć, kim właściwie jest i jak udało mu się mnie wytropić. A najbardziej zależało mi na informacji, co on wie o naturi. Jego rzucona mimochodem uwaga zabrzmiała wymownie, ponieważ tylko nieliczni znali tę nazwę, nie mówiąc już o jakiegokolwiek wiedzy o tej rasie stworzeń.

Starłam się jednak teraz o tym nie myśleć i zwróciłam się znów do młodziaka:

- Podważasz moje metody? – Powiedziałam to tonem lekkim i beztruskim, ale Joseph nie dał się nabrać.

- Nie! Oczywiście, że nie! – Zerwał się na równe nogi i podbiegł do mnie. – Jestem młody. Ciagle jeszcze się uczę naszych technik. Chcę tylko zrozumieć. – Ujął moja dłoń i przycisnął do swojego gardła, zdając się na moją łaskę. Postąpił właściwie. Jeszcze coś z niego wyrośnie.

Był ode mnie wyższy o kilkanaście centymetrów. Przyciągnęłam go bliżej i złożyłam pocałunek na jego żyle szyjnej, rozchylając lekko usta i muskając kłami skórę. Przesuwając wargami po jego krtani i szczęce, wpiłam się trochę mocniej w jego usta. Przeciągnęłam językiem po jego kłach i przez moment moja krew wypełniła jego usta, aby poczuł mój smak. Przebiegł go dreszcz, kiedy odstałam o krok, lecz nie zrobił niczego, by mnie zatrzymać. Joseph okazał mi pełne zaufanie i nagrodziłam go za to.

- Może i nie rozumiesz naszych metod, ale szybko się uczysz – stwierdziłam z przychylnym uśmiechem. Podeszłam do fontanny i usiadłam. – Czy ten łowca zabił kogoś od czasu mojego spotkania z nim?

Joseph zamrugał powiekami, jak gdyby budząc się z głębokiego snu.

- Nie.

- I nie robi tego, jeżeli nikt go nie sprowokuje. Jemu chodzi o mnie.

- Tak, pani – odrzekł, chyląc głowę.

Wstałam z murku koło fontanny i przeciągnęłam się.

- A teraz chcę poszukać wieczornej rozrywki. Miłego słuchania symfonii.

- Zawsze lubię słuchać. – Joseph uśmiechnął się, a końcówki jego kłów wysunęły się spod bladych warg. Odszedł tak prędko, jakby rozplynał się w powietrzu. Nad miastem zapadała ciemna kurtyna nocy i w domach zapalały się światła. Wkrótce zdobycz Josepha miała wyjść na ciepłe letnie powietrze i wpaść w jego sidła.

Rozdział 3

Szłam w stronę River Street, kierując się powoli na północny zachód, do klubu Port. W rejonie River Walk, nadrzecznego deptaka, znajdowała się większość rozrywkowych lokali w tym mieście. Przez wiele miesięcy wiodące

do ich wnętrza drzwi były rozwarte na oścież, a łagodne dźwięki bluesa wypływały na ulicę, przyciągając ludzi do przyćmionych barów. Jednak na zachodnim krańcu ulicy okolica stawała się trochę mroczniejsza i bardziej zaniedbana. Ludzie przystawali w głębokim cieniu budynków i spoglądali na mnie bacznie zmrużonymi oczami. Obserwowali, ale się nie poruszali, jak gdyby wyczuwając moją odmienność. Albo też uważali mnie za łatwy łup.

Skinęłam głową wielkiemu, muskularnemu mężczyźnie, który pilnował wejścia do klubu. Odpowiedział mi kiwnięciem, a kącik jego wąskich ust uniósł się w półuśmiechu, gdy wpuścił mnie przed innymi oczekującymi w kolejce. Port był jednym z miejsc, które regularnie odwiedzałam, a kierownik klubu wyraźnie się cieszył, że pozwalałam mu zarobić. Wyciągnęłam z tylnej kieszeni portfel, wyjęłam dwudziestkę i, wchodząc, położyłam ją na kontuarze. Opłata za wejście wynosiła tylko pięć dolarów, dolarów reszta była napiwkami za milczącą umowę, zgodnie z którą bramkarz nie prosił mnie o okazanie dowodu tożsamości i nie próbował zakładać mi na nadgarstek idiotycznej papierowej banderoli świadczącej o tym, że ukończyłam już dwadzieścia jeden lat.

Uśmiechnęłam się, puściłam oko i wsunęłam cienki skórzany portfel do kieszeni. Nieliczne stoliki i barek znajdowały się przy ścianie z prawej strony. Z sufitu zwisały ekrany telewizyjne, prezentując wideoklipy z muzyką, której i tak się nie słyszało w kakofonicznym jazgocie dobiegającym z drugiego krańca budynku. Zawiły labirynt ścian i przepierzeń odgradzał główną salę taneczną od baru. W przedniej części klubu było niemal całkiem ciemno. Przez mgiełkę dymu z trudem przebijał się punktowy reflektor i stroboskopowe światła.

Przypatrując się zebranemu tłumkowi, poszłam w kierunku parkietu tanecznego. Nawet bez swoich mocy wyczułabym spojrzenia taksujące mnie z góry do dołu. Ubrana w swój typowy strój, czyli czarne skórzane spodnie, dopasowane niczym zewnątrz powłoka, i równie czarny top ze skóry, sięgający do pępka, wyglądałam jak zjawą z sadomasochistycznych rojeń. Jediną oznakę moich nadnaturalnych zdolności stanowiły okulary w złotej oprawce, z czerwonymi szkiełkami. Moje oczy w chwilach podniecenia tak lśniły, że mogło to odstraszyć złowioną z trudem zdobycz.

Wciśnięta pomiędzy dwa męskie ciała, pozwoliłam się ponieść grzmiącemu rytmowi muzyki. Ich dłonie wędrowały po moim ciele, przesuwając się z gładkiej skóry ku chłodnemu skrawkowi ciała i z powrotem. Kropelki potu wystąpiły im na twarze, a bicie ich serc wibrowało we mnie we własnym, hipnotycznym rytmie.

Nagle wyczułam inny puls przenikający falami przez tłum. Otworzyłam szybko oczy i spojrzałam w mrok. Coś nowego, mocnego wtargnęło na mój teren. Na skraju parkietu, dokładnie naprzeciwko mnie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, na szeroko rozstawionych nogach, stał Danaus.

Wcześniej się zjawił. Wiedziałam, że będzie mnie szukał, ale przypuszczałam, że upłynie jeszcze kilka nocy, zanim nasze drogi przetną się ponownie. Nie spodziewałam się też, że spotka się ze mną w tym klubie. Tutaj

nie mógł próbować mnie zabić. Za dużo świadków, zbyt wielu ludzi, którym mogłoby się coś stać podczas walki. Istnienie nocnych wędrowców nie utrzymałoby się przez tyle lat w krecie, gdybyśmy toczyli swoje batalie w ludzkim tłumie.

Danaus mógł spokojnie poczekać na zewnątrz, obserwować, kiedy wyjdę. Może ten osobliwy stwór mówił prawdę, że zabicie mnie nie jest jego celem? A jednak nie do końca w to wierzyłam. Wciąż czekałam na informacje od moich łączników w Europie na temat tego łowcy. Gdyby ktoś wiedział coś o Danusie, mogłabym pozbawić go głowy i zakończyć całą tę przykrą sprawę. Jeśli jednak reprezentował coś, czego nikt nie znał, to musiałam wcześniej, zanim się go pozbędę, dowiedzieć się tego. Trzeba go zwodzić, zanim nie dostanę jakiś wieści ze Starego Świata.

Uśmiechnęłam się do Danaus i przyłgnęłam do młodzieńca, który tańczył tuż za mną. Uniosłam lewe ramię i opłotłam jego szyję, długimi palcami przeczesując szatynowe włosy. Objął mnie w talii. Jego ciało przeniknęło do mojego ciała; wchłonęłam je jak gąbka. Właściwie, skoro spędzałam ten wieczór, tańcząc z facetem, który mnie obejmował, mogłabym nabrać rumieńców bez konieczności chłęptania czyjejś krwi. Mogłam nasycić się jego żarem, jego witalnością. Poczulałabym, jak to jest wśród ludzi. Jednak do podtrzymania życia na dłuższą metę potrzebna mi była krew.

Kiedy zaczął się następny utwór, Danaus jeszcze bardziej ściągnął brwi. W końcu zrozumiał, że nie mam zamiaru schodzić z parkietu tylko dlatego, że łypie na mnie oczyma. Odwróciłam się do niego plecami, a kiedy zaczął podchodzić, zarzuciłam ręce na szyję mojego partnera w tańcu, przywierając do niego biodrami. Wtulając się w niego, przeciągnęłam czubkiem języka po jego szyi. Dotarłam prawie do małżowiny usznej, kiedy poczułam na ramieniu dłoń Danausa.

- Wystarczy już tego – warknął mi do ucha. – Chodź ze mną.

Obróciłam głowę na tyle, by spojrzeć na niego przez ramię. Mój szeroki uśmiech zbladł, a na twarzy pojawił się wyraz tęsknej rozkoszy.

- Jestem trochę zajęta.

Zerknęłam znów na faceta, z którym tańczyłam, na jego uroczą szyję, kiedy nagle poczułam na plecach ostry przedmiot, który przebił skórzany top.

- No, jazda! Mam nóż przy twoich plecach i bez problemu wbiję go w ciebie tu, na parkiecie.

- Czy teraz tak się to określa? – ironizowałam. Sięgnęłam ręką do tyłu i chwyciłam go za biodro. Zaczęłam przesuwając dłoń ku przodowi jego spodni, ale Danaus puścił moje ramię i złapał wędrującą rękę. Odepchnął ją, odwrócił się i poszedł przez tłum, który zdawał się przed nim rozstępować. Jego czarny skórzany płaszcz połyskiwał, kiedy tak szedł, i miałam ochotę ściągnąć go z niego.

Ciekawość zmusiła mnie do podążenia za nim. Musiałam się dowiedzieć, co go zmusza do śledzenia mnie nie tylko w tym odludnym piekielnym kręgu, ale i

w klubie tanecznym. Co innego, poza chęcią zabicia mnie, mogło skłonić łowcę wampirów do przybycia tutaj? Wtuliłam się w mężczyznę, z którym tańczyłam, przesunęłam językiem po żyle pulsującej na jego szyi, i obiecałam sobie, że odnajdę ten łakomy kąsek nieco później.

Zeszłam z parkietu, spoglądając na ludzi stojących pod ciemnymi ścianami i w odległych zakamarkach Sali. Niektórzy patrzyli za mną, gdy ich mijałam, ale większość zdawała się nie zauważać mojej obecności, zatracona w atmosferze tego lokalu. Przystanęłam na chwilę koło baru i zastanawiałam się, czy mój prześladowca zniknął, lecz wtedy właśnie wyczułam go tuż za plecami. Obróciłam się i dostrzegłam go siedzącego na ławie pod ścianą, o którą się opierał. Jedną z jego rąk spoczywała na stoliku, a druga na udzie, niedaleko miejsca, gdzie, jak przypuszczałam, znajdował się nóż zawieszony w pochwie u pasa.

Przygryzłam dolną wargę, żeby się nie roześmiać, podeszłam do niego i usiadłam mu na kolanach. Gdyby potrafił latać, pewnie uniósłby się pod sufit, aby się ode mnie uwolnić. On jednak tylko bardziej się wyprostował, przyciskając plecy do ściany, jakby pragnął się w nią wtopić.

- Przeszkodziłem w kolacji? – Z jego piersi wydobył się niski głos. Zaciskał zęby, napinając mięśnie żuchwy. Zwężone błękitne oczy lśniły, gdy na mnie patrzył, pulsowały białym światłem, odbitym od parkietu.

- Nie. Tak się składa, że to była tylko przekąska. Przyszedłeś, żeby mnie zaprosić na gorący posiłek? – zapytałam, oplatając mu rękami barki. Milczał, wpatrując się w jakiś punkt gdzieś za mną. Nachyliłam się i położyłam głowę na jego ramieniu, dotykając czubkiem nosa jego gardła. – Cieszę się, że zdołałeś się wyrwać i nie ośmieliłeś się przy tym za bardzo.

- Spadaj.

Zamierzałam już odpowiedzieć na to niecenzuralnym słowem, ale jakoś zdołałam się opanować.

- Nie mogę. Jest tu zbyt dobra muzyka. I już nie porozmawialibyśmy, gdybym teraz sobie poszła. – Odchyliłam się trochę, żeby popatrzeć mu w twarz.

Zerknął na mnie zwężonymi oczami, a mięśnie twarzy mu zeszywniały.

- Mogłabyś mnie usłyszeć z drugiego końca tej Sali, gdybyś tylko chciała.

- Ale czy potrafiłbyś mnie dosłyszeć?

Zacisnął usta, które utworzyły napiętą, cienką kreskę, wyrażającą złość i frustrację. Siedziałam mu na kolanach, a jego aura otaczała mnie jak polarowy koc. Jak mógłby wykorzystać swoją moc i siłę? Oczywiście nie będzie się spieszył z udzieleniem mi informacji.

Miękkie pulsowanie energii spływające po mnie robiło złe wrażenie. To coś typowego dla zwykłych wiedźm lub czarowników. Czarnoksiężnik nie posługiwałby się mieczem, polując na nocnych wędrowców, skoro mógł użyć magii. A wilkołak? Być może. Danaus nie miał tak mocnego ziemistego zapachu jak większość wilkołaków, ani ich zdumiewającej siły, lecz z

pewnością był tak szybki i zręczny jak oni. Wzdrygnęłam się w duchu. Istniał więc pewien dylemat, ale nie powstrzymałby on mnie przed uśmierceniem Danaus.

- Co wiesz o naturi? – zapytał.

Długo wpatrywałam się w niego bez ruchu, nie mogąc pojąć, dlaczego poruszył ten temat. Niewielu wiedziało o istnieniu nocnych wędrowców, wędrowców jeszcze mniej zdawało sobie sprawę, że naturi w rzeczywistości żyją i oddychają. Inne rasy spędziły niezliczone lata na wymazywaniu wszelkich opisów swojej egzystencji. Oczywiście w ludzkiej pamięci zachowały się opowieści, których nie zdołaliśmy usunąć. To od naturi wzięły się historie o elfach, różnych duszkach i wielu innych czarodziejskich stworzeniach, których istnienia nie można wyjaśnić za pomocą zimnej naukowej logiki.

Jednak naturi nie byli jedynymi, których próbowaliśmy usunąć z historii. Dawne opowieści głoszą, że po stworzeniu ludzi bogowie powołali do życia dwie rasy strażników, aby zachować równowagę. Naturi byli strażnikami ziemi, natomiast bori opiekunami dusz. Naturi dzielili się na pięć klanów – wody, ziemi, zwierząt, wiatru i światła.

Z kolei bori istnieli w postaci jednego klanu, próbując stać się jedyną dominującą siłą na ziemi. Oni właśnie dali początek legendą o demonach i aniołach.

Niestety, siła dwóch ras zależała od tego, co chroniły. Kiedy ludzkość rozkwitała, ziemia słabła. I tak zaczęły się wojny.

- Nie wiem, o czym mówisz – odparłam. Nikt nie rozmawiał o naturi. Odeszli przed wiekami, wyparci do innej rzeczywistości, na szczęście odseparowani od tego świata.

- Mówię o naturi, strażnikach ziemi. Nazywają ich czasem trzecią rasą, dworem Seelie, Sidhami – wyjaśnił.

- To tylko bajki. – Odchyliłam się, aby znów oprzeć mu głowę na ramieniu; przesuwałam palcami po jego ciemnych włosach. Były bardziej miękkie, niż początkowo sądziłam, niemal jedwabiste. – Skąd jesteś? – szepnęłam mu do ucha.

Milczał przez chwilę, a ja wsłuchiwałam się w odgłos jego powolnego oddechu.

- Z Rzymu.

- Byłam tam przed wieloma laty. Papieżem został akurat wtedy Bonifacy IX. Piękne miasto, nawet już wtedy, zanim Michał Anioł pokrył malowidłami Kaplicę Sykstyńską. Widziałeś ją.

- Widziałem.

- Czy jest taka piękna, jak powiadają?

- Jeszcze piękniejsza.

- Tak myślałam. – Kaplica Sykstyńska była jedną z wielu rzeczy, których nigdy nie zobaczę. To, czy wierzę w jednego wielkiego Boga, nie miało

znaczenia. Po prostu nie mogłam postawić swojej nogi w kościele. To tak, jakbym próbowała głową przebić mur.

- Opowiedz mi o naturi, Miro. – Po raz pierwszy Danaus nie warczał na mnie, jego głos stał się łagodniejszy. Nie nazwałabym może tego przyjemnym tonem, ale przynajmniej nie wyczuwało się w nim gniewu. Jego dłoń spoczęła na chwilę na moim kolanie, a potem opadła z powrotem na ławę, lecz ten krótki dotyk wystarczył, by fala ciepła przebiegła przez moje skórzane spodnie. Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Po raz pierwszy wypowiedział moje imię.

- A zatem wiesz o naturi, wielka mi rzecz – odparłam. Ten temat rozmowy zaczynał mnie denerwować. – Wampiry to dla ciebie zbyt wielkie wyzwanie, więc pomyślałeś, że wyruszysz w pogoń za jakimś naturi? – Nie miałam ochoty rozmyślać o naturi ani tym bardziej o nich rozmawiać. Chciałam zapomnieć o tej całej okropnej rasie. Korciło mnie, żeby wstać i wrócić na parkiet, by tańczyć i pograć się w rozgrzanym tłumie, pozwalając wciągnąć się w młyn ostrej muzyki.

- Opowiedz mi.

- Co mam ci powiedzieć? – warknęłam, lecz natychmiast zapanowałam nad swoim głosem. – Byli tutaj, ale odeszli. I tyle.

Naturi niczego tak bardzo nie pragnęli, jak usunąć z ziemi wszystkich ludzi i nocnych wędrowców. Dla nich ochranianie ziemi było jednoznaczne z pozbyciem się tego, co najbardziej jej zagrażało – ludzkości. Jednak to nie wszystko. Miałam w przeszłości bolesne przeżycia związane z naturi, wspomnienia przepełnione cierpieniem, w których prześladował mnie widok kamieni, białych w bladym świetle księżyca, spryskanych moją własną krwią. A co gorsza, z powrotem naturi wiązały się pogłoski o możliwym ponownym pojawieniu się bori. Doszłoby do zażartej rywalizacji, w której nikt nie mógł zwyciężyć. Dla nocnych wędrowców, naturi oznaczali wymarcie, natomiast bori wieczną niewolę. Naturi i bori musieli więc pozostać na wygnaniu. Nie należało i nich mówić.

Danaus sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął stamtąd plik kartek. Rzucił je przede mną na stół. Obróciłam się na jego kolanach i ujrzałam coś, co okazało się stosem błyszczących, kolorowych zdjęć. Całe moje ciało zeszywniało odruchowo i odrobina ciepła, jaką zyskałam podczas tańca, opuściła mnie, pozostawiając przenikliwy chłód, który kąsał moje napięte mięśnie.

Wyciągnęłam rękę i zmusiłam się, by dotknąć fotografii leżącej na wierzchu. Tracone lekko zdjęcia rozsypały się po porysowanym blacie stołu. Na wszystkich widniały drzewa z symbolami wyrytymi w korze. Obrzuciłam je wzrokiem, zauważając, że każdy spiralny symbol zastał wyryty na drzewie innego gatunku. To było pismo naturi. Nie potrafiłam go odczytać ani też mówić w tym języku, ale widziałam takie pismo dostatecznie wiele razy, by wiedzieć, że nigdy go nie zapomnę.

Ucisk w żołądku się nasilił. Miałam nadzieję, że nie zwymiotuję z przerażenia. W jakiś sposób udało mi się zachować obojętny wyraz twarzy, tak bowiem postępowali nocni wędrowcy. Danaus przyglądał mi się badawczo, jakby próbował przeniknąć moje myśli.

- Drzewa. Ładne, ale specjalnie mnie nie interesują – odparłam, dumna z tego, że mój głos się nie załamał. – Nie mam pojęcia, po co mnie odszukałeś. Nic nie wiem o naturi ani o drzewach. – Opierając się jedną ręką o ścianę obok głowy Danaus, powoli odsunęłam się od niego i wstałam. Musiałam wyjść i zmyć krwią tamte straszne wspomnienia.

Kątem oka zobaczyłam, jak Danaus podnosi się i łapie mnie za nadgarstek.

- A to?

Na drewnianym stole obok mnie rozległo się złowieszcze tąpnięcie. Instynkt przetrwania ponaglał mnie, bym uciekła, ale musiałam dowiedzieć się czegoś więcej.

Sztylet wbity pośrodku stołu przeszywał plik zdjęć. Sztylet jedyne w swoim rodzaju – byłam pewna, że żaden żywy człowiek nigdy czegoś takiego nie widział. Z lekko zakrzywionym srebrzystym ostrzem. Zaprojektowano go w taki sposób, żeby łatwo wchodził w ciało i jednocześnie wyrządzał maksymalne szkody w narządach wewnętrznych. Po jednej stronie ostrza, w metalu, wyryte były symbole podobne do tych ze zdjęć. Rękojeść miał drewnianą, poplamioną krwią, która wsiąkała w nią przez lata.

Znałam ten nóż. Przeciął niegdyś ścięgna i wyrzynał kawałki mojego ciała. Przez nieskończone długie godziny zapoznawałam się z jego ostrzem i wielowymiarowym bólem, jaki powodował.

- Odwróciłam się i chwyciłam Danaus z przodu za koszulę, rzucając go na ścianę. Stęknął.

- Skąd to masz?

Kły wyłoniły się z moich bladych ust. W tym momencie wyssałabym z niego całą krew, przyprawiając o śmierć, żeby tylko uzyskać odpowiedź.

Ludzie wokół nas się rozpięchli, usiłując zachować bezpieczny dystans, tak jednak, żeby móc usłyszeć coś z naszej rozmowy. Musiało to wyglądać dziwnie. Kobieta rzuciła jak lalką mężczyznę dwa razy większego i cięższego od siebie, a obok nich na stole tkwił wbity sztylet. Pewnie mniej by się nami zainteresowali, gdybym po prostu wyciągnęła pistolet i zastrzeliła swojego towarzysza.

- Od naturi – odparł Danaus. Jego głos był spokojny i stonowany, jakby mój wybuch gniewu nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

- Jakiego naturi? – Ścisnęłam mocniej jego koszulę i jakby przez mgłę zauważyłam, że puścił mój nadgarstek. Mógł sięgnąć po kolejny nóż, ale nie sądzę, żebym w tym momencie coś poczuła, nawet gdyby wbił mi go prosto w serce.

- Neriana.

- Kłamiesz – warknęłam, uderzając nim o ścianę po raz drugi. Rozpaczliwe myśli zaczęły mi się tłoczyć w głowie. Nikt nie mógł opowiedzieć mu o

Nerianie z wyjątkiem tych paru nielicznych, którzy zabiliby go bez ostrzeżenia.

– On nie żyje.

- Żyje.

- Gdzie jest?

Po raz pierwszy kącki jego ust uniosły się w chłodnym uśmiechu, ukazując fragment białych zębów. Jego oczy pobłyskiwały mrocznym światłem, co sprawiło, że warknęłam:

- Zaraz cię rozwałę, Danusie. Powiedz mi, gdzie on jest!

Wpatrywał się we mnie przez długą chwilę, najwyraźniej ciesząc się z faktu, że sytuacja się odwróciła i teraz ja jestem skazana na jego łaskę.

- Zaprowadzę cię tam, gdzie go mam – odparł w końcu.

Puściłam go nagle, jakby patrzył mi na palce. Schwycił Neriana? Wydawało się to niemożliwe. To musiała być jakaś sprytna sztuczka.

Odstąpiłam od niego, obrzucając wzrokiem tłum. Wszyscy Zniknęli z mojego pola widzenia, powracając do swoich rozmów. Ich świat zatrzymał się na chwilę i stał w bezruchu, balansując na ostrzu noża. Ale zaraz znowu drgnął i wszystko potoczyło się dalej, a ludzie zapomnieli o tym, co widzieli. Nie byli gotowi na takich jak ja i wszyscy inni przyczajeni w cieniu.

Wiedziałam, że to nadchodzi. Jeśli jednak Nerian żył, mogło to nastąpić szybciej, niż sądziłam. Nie wiadomo, czy dożyję Wielkiego Przebudzenia ludzkości.

Stojący obok mnie Danaus wyciągnął sztylet ze stołu i wsunął go z powrotem do pochwy na lewym biodrze. Zwinnymi palcami zgarnął zdjęcia. Kiedy schował je z powrotem do wewnętrznej kieszeni płaszcza, spojrzałam w kierunku parkietu. Grano właśnie jedną z moich ulubionych melodii. Niski, szmerzący głos wokalisty kołł moje nerwy i uśmiechnęłam się mimowolnie. Nieraz myślałam o tym, by odszukać tego człowieka, który ukazywał całemu światu swe nieskrywane emocje. Przekonałam się jednak w bolesny sposób, że tacy jak ja mają zły wpływ na artystów, a lubiłam tę muzykę taką, jaka była. Tej nocy miałam ją zabrać ze sobą, odwiedzając starego ducha z piekła.

Rozdział 4

Nocne powietrze było gęste i nieruchome, jak gdyby miasto wstrzymywało oddech, czekając, aż coś mrocznego, odrażającego wyłoni się z cienia. Wyszłam z Portu, powstrzymując chęć, by poruszyć barkami i rozluźnić napięte ciało. Mnóstwo pytań czaiło się w ciszy, a odpowiedzi nie było. Jak, u licha, Danaus schwycił Nerian? Naturi walczyli na śmierć i życie, nie dawali się zniewalać. Czy to Nerian polecił Kanausowi, żeby mnie dopadł? Łowca zaatakował mnie jednak w taki sposób, jakby miał w tym własny cel, a nie służył komuś innemu.

Starłam się pozbyć rozterek, gdy szłam za nim ulicą ku jeszcze mroczniejszej części miasta. Idąc po zawałonych śmieciami i gruzem jezdniach

skręciliśmy na północ, oddalając się od serca tego miasta i jego wysprzątanych parków. Tu, gdzie dotarliśmy, było mniej latarni i stały w większej odległości od siebie. Domy zdawały się chwiać, opierały się o siebie, szukając wsparcia pod ciężarem lat zaniedbania. Dopiero minęła północ, ale na ulicach nie było już nikogo.

Odeszliśmy o kilka przecznic od klubu, kiedy się zatrzymałam. Danaus przystanął obok mnie, sięgając dłonią do pasa.

- Jeśli wyciągniesz ten sztylet od naturi, wyrwę ci rękę – wycodziłam przez zaciśnięte zęby. Kątem oka dostrzegłam, że skinął głową, a potem cofnął dłoń. – Ktoś nas śledzi.

Wyczułam jego obecność, gdy tylko wyszliśmy z klubu, ale nie przystanąłam, zanim nocny wędrowiec nie zbliżył się do nas. Na razie nikt inny nie powinien dowiadywać się niczego naturi. Chciałam sama się zorientować, co się dzieje i do jakich szkód doszło, zanim pogłoski o tym się rozejdą. Nieliczni naturi nadal błakali się po świecie, czając się w lasach i dżunglach, możliwie z daleka od ludzi. Nie było powodu do paniki, jeśli ktoś natknął się na nich przypadkiem.

Nie chcąc tracić cennego czasu, wyteżyłam swoje zmysły. Moja moc omiotła budynki, wychwytyjąc lekkie wibracje ludzi leżących w łóżkach. Wyczułam w mieście innych wampirów, oddających się swoim nocnym zajęciom. Na moment zamarli pod dotykiem mojej magii, a potem powrócili do swoich rozrywek. Wiedzieli, że to nie ich szukam.

W chwili gdy namierzyłam tego, o kogo mi chodziło, zerwał się on z miejsca. W mgnieniu oka przebył dzielące nas dwie przecznice. Otworzyłam usta, żeby ostrzec Danaus, ale było już na to za późno. Wampir zamienił się w smugę piaskowej barwy i spadł na łowcę.

Danaus runął na ziemię, ale zdołał zrzucić z siebie wampira i znów poderwać się na nogi. Jasnowłosy wampir odzyskał równowagę i byłby zaatakował ponownie, gdybym nie wkroczyła między walczących. Nie miałam czasu na takie bzdury. Najpierw Joseph zakłócił mi noc, a teraz pojawił się Lucas. W tej chwili miałam na głowie ważniejsze problemy.

- Dość tego! – krzyknęłam, wyciągając ręce i rozdzielając ich obu. Skulony Lucas spojrzał gniewnie na Danaus, Danaus potem się wyprostował i zerknął na mnie, zadowolony z siebie. Zaciśnęłam mocno dłonie. Miałam ochotę sprawić mu lanie, żeby nie spoglądał w taki sposób.

Lucas miał jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu i jasne włosy, które luźno zwijały się w loki, okalając jego uszy i dolną część twarzy. Ze swoją drobną figurą i subtelnymi rysami wydawał się taki delikatny, niemal kobiecy. Jednak tę anielską maskę psuł wyraz zimnego okrucieństwa, czający się w jego nordyckich, niebieskich oczach.

- A więc pogłoski się potwierdziły – stwierdził ze źle skrywanym zadowoleniem. Uśmiechnął się szerzej; odsłonił kły. – Porzuciłaś naszą rasę dla łowcy.

Do diabła, plotki rozchodziły się szybko wśród wampirów. Powinnam była się tego spodziewać, przecież mieliśmy dar telepatii. Wszyscy nocni wędrowcy w mieście wiedzieli już o moim starciu z Danausem. Nie wspomniałam o nim nikomu z naszych, by sami wyczuli kipiące emocje, niczym aromat wybornego wina. A jednak minęły dwie noce od tamtego pierwszego spotkania i wielu młodych ze zdziwieniem natrafiło na łowcę spacerującego ulicami tego miasta. Czekałam na więcej informacji ze Starego Świata przed zabiciem łowcy, przez lata nauczywszy się ostrożności.

Poza tym obserwowałam Danausa na tyle długo, by się zorientować, że ma poczucie honoru i nie będzie polował na moim terenie przed załatwieniem naszej sprawy.

Westchnęłam za znużeniem, opuszczając ramiona.

- Oszalałeś.

- Jeśli tak, to odstęp i pozwól mi nacieszyć się zdobyczą – powiedział Lucas, Lucas zabrzmiało to tak, jakby się wyklócał o ostatni kawałek czekoladowego ciastka.

- On jest mój. To ja nacieszę się nim, kiedy tylko zechcę. – Mój głos stęzał i stał się chłodny jak stal. Zrobiłam krok w stronę wampira, ale on nie odstepił, choć uśmiezek zniknął mu z twarzy. Lucas zawsze był niezbyt mądry. – Inni nocni wędrowcy w tym mieście wiedzą, żeby go nie tykać, o ile nie zaatakuje pierwszy. Nie masz prawa go zabijać. Gdybym nie miała nic innego do roboty, stanęłabym z boku i pozwoliła, żeby wyciął ci serce.

Stałam tak blisko niego, że prawie stykaliśmy się nosami. Na obcasach byłam od Lucas wyższa o kilkanaście centymetrów i mogłam patrzeć na niego z góry. Oczy Lucas pociemniały ze złości, źrenice się rozszerzyły, przesłaniając niemal jasnyniebieskie tęczę. Fala jego mocy przeszła przeze mnie jak chłodny wietrzyk i wprawiła powietrze w drżenie. Nie miałam czego się bać. To jasnowłose monstrum o anielskim obliczu liczyło sobie zaledwie kilkaset lat i miało więcej wybujałego ego niż prawdziwej siły.

- Co tu robisz? – zapytałam ostro, kiedy w końcu cofnął się o krok.

- Wysłano mnie, żebym miał na ciebie oko – odrzekł Lucas. Pełen samozadowolenia uśmiezek znowu się pojawił na jego ustach, a źrenice skurczyły się tak, że jego oczy ponownie miały kolor nieba.

- Dlaczego wcześniej mi się nie zameldowałeś? Jesteś w tym mieście od ponad tygodnia.

Obojętnie wzruszył ramionami, wsuwając dłonie w kieszenie czarnych, luźnych spodni.

- Jestem towarzyszem Macaire'a. Czynię to, co chcę.

Zrobiłam krok w jego stronę i złapałam go za przód czerwonej jedwabnej koszuli, okręcając ją lekko wokół pięści, by mieć pewność, że mi się nie wyrwie. O mało nie parsknęłam śmiechem, ujrzawszy wyraz zdumienia, jaki pojawił się na jego ładnej twarzy, gdy cisnęłam nim przez ulicę w stronę ciemnego zaułka. Rozległ się donośny dźwięk, gdy zderzył się z metalowym

koszem na śmieci. Z trudem się pozbierał, a z jego gardła wydobyło się ciche warknięcie. Otrzepał śmieci i resztki jedzenia ze spodni.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio miałam okazję spuścić komuś porządne lanie. Starcie z Danausem trwało zbyt krótko. Lucas mógł wytrzymać kilka rund i ciągle się stawiać.

Wampir rzucił się na mnie z palcami zagiętymi jak szpony. Złapałam go jedną ręką za gardło i rzuciłam na ceglany mur okalający zaułek. Danaus szedł tuż za mną, a śmieci rozrzucone na betonie prawie zagłuszały odgłos jego kroków. W normalnych okolicznościach dałabym tak popalić Lucasowi, że zostałaby z niego kupa mięsa. Niestety tej nocy miałam do wykonania inne zadania. Sprawa naturi i utrzymanie ich istnienia w tajemnicy były najważniejsze.

- Mało mnie obchodzi, czy zostałeś nowym służalcem Macaire'a. To ja jestem strażniczką tego terytorium i masz oddać mi należną cześć.

Uniosłam wolną lewą rękę, kurcząc lekko dłoń z rozczapierzonymi palcami. Na moim bladym ciele zalśnił blask tańczących błękitnych płomieni.

Lucas natychmiast zaczął się szarpać, chcąc uciec przed ogniem, zacisnął palce na mojej ręce trzymającej go za gardło.

- *Per favore, Mira! Mia signora!* – zawołał, nieświadomie przechodząc na włoski. Lucas nie był Włochem. Gdybym nie wiedziała, skąd pochodzi, to po jego akcencie wzięłabym go pewnie za Słowianina. A jednak Sabat miał swoją siedzibę we Włoszech i wszyscy nocni wędrowcy uczą się błagać o litość po włosku. – Proszę, Miro. To ty jesteś moją panią. Zostałem wysłany przez Starszyznę. Są zaniepokojeni.

- Czym? – spytałam. Czy i oni wiedzą już o tamtych symbolach? Mdlący lęk ścisnął mi serce. Skupienie na sobie uwagi Starożytnych nigdy nie było miłym przeżyciem.

- Ludzie... zaczynają zadawać za dużo pytań.

- Zawsze się o coś dopytują. To się nie zmieniło.

Ludzie od wieków domyślali się istnienia nocnych wędrowców, ale nigdy naprawdę nie uwierzyli, że historie o nich są prawdziwe.

- Jednak teraz mają dowód – odparł, przechodząc z powrotem na nasz język.

Niepokojące uczucie dołączyło do moich poprzednich obaw.

Znieruchomiałam.

- Dowód? Jaki?

- Dwie noce temu znaleziono ciała w Kalifornii, a inne w Teksasie w zeszłym tygodniu.

- Słyszałam o tym.

- Przymierze Światła Dnia uważa to za dowód, że istniejemy.

- To tylko marginesowe ugrupowanie. – Zgasiałam płomień ze swojej dłoni, ale nie puściłam Lucas. – Nikt im nie wierzy. Policja uważa, że to mistyfikacja.

- Zyskują coraz więcej zwolenników. W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci liczba łowców zwiększyła się ponad dwukrotnie. Starszyzna uważa, że czas nam się kończy.

- Po co więc tu przybyłeś?

Lucas zeszywniał.

- Oni chcą wiedzieć, kto zostawił tamte ciała. A ty jesteś jedną z najstarszych w Nowym Świecie.

- Nie przybyłam tutaj po to, żeby kogoś niańczyć, i nie będę sprzątać po każdym zabójstwie. – Zacisnęłam mocniej dłoń na jego gardle i przysunęłam się bliżej. – Nie mam pojęcia, kto narobił tego bałaganu. – Puściłam go i podeszłam do ceglanego muru w wąskim zaułku. Miałam pilniejsze sprawy na głowie. Nie musiałam martwić się o Starszyznę i jej sługusów najeżdżających moje terytorium.

- Dowiedzą się, kto spowodował to zamieszanie wśród ludzi – powiedział Lucas. – Jeśli ten ktoś jest nadal w Nowym Świecie, twoim zadaniem będzie wymierzyć mu karę. – Potarł szyję w zamyśleniu.

- Nie będę tańczyła tak, jak mi zagra Starszyzna. – Ale nawet ja wiedziałam, że to tylko częściowa prawda. Byłam silniejsza od większości nocnych łowców w moim wieku i to nie tylko z powodu swojej umiejętności posługiwania się ogniem, choć ten wyjątkowy dar pozwalał mi trzymać innych na dystans. Zgładziłam więcej Starożytnych, niż powinnam, zasłużywszy przez wieki na swoją paskudną reputację, krwawą i zabójczą.

Nie musiałam nadskakiwać Starszyźnie z powodu Jabariego. Stanowił bufor między mną a pozostałymi członkami Sabatu, zapewniając mi swobodę. Jabari, najstarszy i najpotężniejszy członek Sabatu, mógł być pewien mojej lojalności. Wystarczyło, żeby poprosił, a wykonałabym dla niego niemal każde zadanie. Teraz jednak gdzieś przepadł, mój bufor zniknął.

- Podporządkujesz się, jeśli będziesz chciała zachować swoje terytorium i życie – powiedział Lucas, Lucas jego oczy zwężyły się w szparki.

Wpatrywałam się w niego, powstrzymując się, żeby nie urwać mu głowy. Był żalonym stworzeniem. Miał niespełna trzysta lat i wiedziałam, że prawdopodobnie nie przetrwa tak długo, by przeżyć kolejny wiek. Ci, którzy służyli Starszyźnie za towarzyszy, rzadko żyli długo, ale nagrodą w tej krótkiej egzystencji była możliwość pławienia się w zdumiewającej mocy, jaką emanowali Starsi. Gdy ktoś został wybrany na towarzysza, inni nocni wędrowcy nie mogli go tknąć, nie narażając się na gniew Starszyzny. Oczywiście, jeśli zawiodło się swojego opiekuna, traciło się życie. A słyszałam, że taka śmierć była zawsze powolna i bolesna.

- Znikaj stąd, Lucasic. Wróć do swojego pana i powiedz mu, czego się dowiedziałeś.

- Na przykład to, że bronisz łowcy? – Zerknął na Danausa stojącego u wylotu alejki, a potem z powrotem na mnie.

- Raczej opowiedz o tym, jak darowałam ci życie – odparłam z uśmiechem, groźnie szczerząc kły. – Przekazałeś swoją wiadomość. Odejdź, zanim słońce oświetli ziemię, bo inaczej zapoznam cię z zupełnie nowym wymiarem bólu.

Lucas spiorunował mnie wzrokiem jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę ulicy. Patrzyłam, jak odchodzi; niemal otarł się o Danaus, który nawet nie drgnął. Wampir taki jak Lucas stanowił dla łowcy łatwą zdobycz. Jednak Lucas był również rzecznikiem czegoś o wiele większego i bardziej przerażającego.

U wylotu alei odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

- Nie chodzi tylko o Starszyznę. Inni też to obserwują! – zawołał, po czym zniknął w mroku.

- Cholera – szepnęłam, kiedy już byłam pewna, że Lucas mnie nie słyszy. Miałam wystarczająco dużo zmartwień bez Starszyny i wszystkich innych siedzących mi na karku. Wątpiłam, czy Macaire będzie mnie ścigał za poturbowanie Lucas, ale nie chciałam znaleźć się po niewłaściwej stronie, gdyby Starszyzna postanowiła nagle znaleźć dla ludzkości kozła ofiarnego.

W hierarchii nocnych wędrowców sprawa była prosta. Najwyżej stał Nasz Władca, który rządził wszystkimi wampirami. Pod nim znajdował się Sabat, składający się z czterech członków Starszyny. Sabatowi podlegali bezpośrednio ci najsilniejsi i najsprytniejsi. Oczywiście Starożytni – czyli wampiry liczące sobie ponad tysiąc lat – stanowili problem szczególnego rodzaju. A ja z nimi zadarłam.

Stojąc w ciemnym zaułku na własnym terytorium, mogłam się czuć pewnie, ale przecież nigdy dotąd nie zmierzyłam się ze wszystkimi Starszymi naraz. Trzymałam się w bezpiecznej odległości od tego kręgu. Byłam pewna, że niektóre moje działania przyciągnęły ich uwagę i rozgniewały ich już nieraz.

Niestety czasami afiszowałam się z całkowitym lekceważeniem, ogólnym brakiem uległości wobec tej grupy. Dotychczas puszczali to płazem i wiedziałam, że powinnam podziękować za to Jabariemu. Jeśli jednak sprawy zaczną wymykać się nam z rąk tutaj, w Nowym Świecie, Starszyzna wykorzysta to jako okazję, żeby zmusić mnie do posłuszeństwa albo rzucić moją głowę ludziom.

Zobaczyłam, jak Danaus chowa z powrotem swój sztylet do pochwy za pasem. Rzecz jasna stanowił on jeszcze jeden problem, który musiałam rozwiązać, zanim powitam na swojej ziemi Starszyznę.

- Nerian – powiedział Danaus, wydając typowy dla siebie głęboki pomruk.

Powróciliśmy do pilniejszych spraw. Lucas i Starszyzna mogli zaczekać. Podobnie jak unicestwienie Danausa.

Rozdział 5

Zacisnęłam zęby, kiedy mój wzrok padł na dwukondygnacyjny dom, pokryty opadającym, jasnoniebieskim tynkiem, oddalony o trzy przecznice od miejsca, gdzie napotkaliśmy Lucasa. Często polowałam w tej części miasta. Tutejsi mieszkańcy ledwie wiązali koniec z końcem, a w powietrzu unosił się ciężki swąd potu i rozpacz. Życie było tu proste i surowe, a oczekiwania ludzi nie wykraczały poza kwestie związane z tym, co zjeść i jak si ogrzać. Zupełnie jak w wiosce, w której się urodziłam przed ponad sześcioma stuleciami.

Latarnie na całej ulicy były wygaszone. Danaus prawdopodobnie przywykł już do ciemności. Nieprzenikniona noc przytłaczała budynki i wypełniała ulice jak ciężki asfalt, dzięki czemu łatwiej było przemykać tędy, nie będąc zauważonym.

Lekka bryza wiała z południa, poruszając liśćmi na marnych, z rzadka rosnących drzewach. Upalne suche lato sprawiło, że liście zaczynały już żółknąć. W większości zniszczonych domów stłoczonych przy ulicy panowała ciemność, poza tymi nielicznymi, z których sączyła się sinawa poświata włączonych telewizorów. Piskliwy jęk rozległ się w okolicy, gdy wiatr otworzył bramę w powyginanym ogrodzeniu z drucianej siatki.

Wchodząc po rozpadających się kamiennych schodach, roztoczyłam znów swoje moce, przeczesując zmysłami każdy centymetr najbliższego domu. Danaus był jedyną istotą, której obecność odczułam. Niestety, nie wyczuwałam naturi. Mogłabym wejść do budynku, w którym roiłoby się od nich, i zorientowałabym się dopiero wtedy, gdy wbito by mi w plecy sztylet.

Łowca spojrzął na mnie, kładąc dłoń na klamce. On także poczuł, że korzystam ze swych mocy.

- Otwórz – powiedziałam, kiwając głową; poczułam ulgę, gdyż mój głos nie zdradzał niepokoju. Brzmiał zupełnie tak, jak gdybym naprawdę nie mogła się doczekać widoku Nerian, niczym spotkania ze starym przyjacielem. Ale to nie tak. Liczyłam tylko na to, że nie zabiję go na miejscu, choć takie nadzieje były mało realistyczne.

Danaus pchnął drzwi, które jęknęły w proteście. Łowca wszedł do środka jako pierwszy i odstąpił nieco na bok, gdy zamykał za mną drzwi. Wewnątrz przykleiłam się do ściany. Nie ufałam mu i wołałam mieć się na baczności. Z rękami po bokach poszedł przodem do głównego holu. Deski podłogowe zaskrzypiały pod ciężarem naszych kroków. Ściany były spękane i obtłuczone, a w powietrzu unosił się fetor zwierzęcia, które zdechło dawno temu. Po lewej stronie holu widniały ciemne schody prowadzące na piętro, na którym panowała cisza.

Danaus zatrzymał się w połowie holu i otworzył drzwi pod schodami. Gdy włączył światło, ukazały się drewniane schodki wiodące do piwnicy. Zdziwiłam się. Większość budynków w Savannah była pozbawiona piwnic z uwagi na wysoko podchodzące wody gruntowe. Wprawdzie miałam piwnicę we własnym domu, ale jej zbudowanie wymagało znacznych kosztów. Rzecz jasna podziemne pomieszczenie stanowiło jedyną bezpieczną kryjówkę za dnia.

Pojedyncza goła żarówka dyndała pod sufitem nad schodami, jakby próbując odepchnąć cienie, które zamieszkiwały w ciemnych kątach tej podziemnej celi. Ruszyłam za Danausem, Danausem echo moich obcasów stukających o drewniane schody roznosiło się jak odgłosy wystrzałów. Nie staraliśmy się zachowywać ciszy. Woń krwi w wilgotnym powietrzu zatrzymała mnie nagle na podeście. Była to pierwsza oznaka, że ktoś jeszcze jest w tym domu, jednak nie mogłam nikogo wyczuć. Ruszyłam dalej po schodach, penetrując wzrokiem pomieszczenie.

Ściany były tu z szarego betonu pokrytego siatką spękań i rys, przez które sączyła się woda z podziemnych cieków. Zimną posadzkę też wylano z cementu. Niczego w środku nie było poza pustym piecem wciśniętym w odległy kąt oraz płataniną rur i przewodów pod sufitem. W powietrzu czuć było stęchliznę i wilgoć, woń pleśni i lekki odór krwi.

Dopiero po paru sekundach dojrzałam zgarbioną sylwetkę. Może dlatego, że tak naprawdę nie chciałam jej zobaczyć, nie chciałam przyjąć do wiadomości, że on nadal żyje. Kiedy jednak go spostrzegłam, opanowała mnie wściekłość, zagłuszając wszelkie racjonalne myśli. Mięśnie w moim ciele odruchowo się napięły, jak gdyby pod wpływem ciosu. Gdy spojrzałam na Nerian stojącego pod ścianą, z rękami i nogami w żelaznych kajdanach, ujrzałam go takiego jak wtedy, ponad pięćset lat temu, pochylonego nade mną, ze sztyletem unurzonym w mojej krwi. Usłyszałam jego śmiech i mój krzyk.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że krzyczę naprawdę. Darłam się, przyciskając dłonie do uszu i usiłując wyprzeć te wspomnienia ze swych myśli. Zamilkłam dopiero wtedy, kiedy ból zdartego od wrzasku gardła w końcu przyćmił tamte koszmarne obrazy. Ciche nocne powietrze jakby rozstało się pod wpływem tego strasznego odgłosu, skuliło się w mrocznych kątach.

Zamrugłam, a mój krzyk nadal odbijał się echem w mózgu. Danaus i naturi wpatrywali się we mnie. Nerian uśmiechał się w ten znany mi straszny sposób, rozkoszując się moim bólem.

- Pamiętasz mnie! – zawołał. Odchylił do tyłu głowę i wybuchnął szaleńczym śmiechem. Zadrzałam, zaciskając zęby, gdyż świeża fala wspomnień wtargnęła do mojego mózgu. Kolana ugięły się pode mną i przez chwilę myślałam, że upadnę, lecz jakoś pokonałam tę chwilę słabości.

- Dzięki ci, człowieku – podjął Nerian. – Widok tej zakały to dla mnie prawdziwa rozkosz. Choć zdumiewa mnie, że ona wciąż jeszcze żyje. No, ale nawet karaluchy słyną ze swojej żywotności.

- Widzę, że zdołałeś się pozbierać – powiedziałam. Mój głos brzmiał głucho i chrapliwie, ani trochę nie wyczuwało się w nim typowej dla mnie brawury. W końcu zeszałam z ostatniego stopnia schodów i stanęłam na podłodze piwnicy. – Wyobrażam sobie, że trudno ci było upchać z powrotem pod skórę wyprute flaki.

W Machu Piachu wiele lat temu Jabari pozwolił mi łaskawie zabić Nerian. Stoczyliśmy walkę, po której go wypatroszyłam, pozostawiłam wijącego się na

ziemi, gdy trzymał się za brzuch i wypływały wnętrzności. Wschodziło już słońce. W blasku światła opuszczały mnie siły. Musiałam znaleźć jakąś kryjówkę. Gdyby mi przyszło do głowy, że Nerian jednak przeżyje, pozostałabym tam i skończyła z nim, poświęcając przy tym własne życie.

- Rozkuj mnie, a chętnie ci pokażę, jak trudne to było. – Wciąż mówił tonem beztróskim, z rozbawieniem. Swym głosem usiłował za pomocą czarów okiełznać moją wolę.

- Nie – powiedziałam. Na chwilę zapanowało milczenie; zmierzylam wzrokiem jego zakrwawione nadgarstki, posiniaczoną twarz, splamione ubranie. – Chyba lepiej, żebyś tak pozostał, uwięziony przez człowieka.

Nerian wywodził się ze zwierzęcego klanu, zdradzała to zmierzwiona grzywa brunatnych włosów i dzika, groźna twarz. Żrenice jego rozedrganych oczu zwięzły się pionowo, jak u kota. Żelazne kajdany stanowiły jedyną rzecz, która uniemożliwiała mu wezwanie na pomoc innych naturi lub zwierząt. Stare opowieści o żelazie i jego zabójczym wpływie na jasnowidzów okazały się prawdziwe. Żelazo sprawiało, że naturi nie mógł uciec się do czarów.

Z jego twarzy zniknął szyderczy uśmiech.

- To nie jest uczciwa walka.

- A niby co naturi wiedzą o uczciwości?

- Co nas obchodzi uczciwość, kiedy mamy do czynienia z taką kanalią? – Jego głos stał się zimny i twardy jak lodowiec. – Wampiry i ludzie nie zasługują nawet na pogardę. Ty nie powinnaś żyć tak długo, a ludzie przynajmniej na coś się przydają. Wampiry to tylko pasożyty.

Z dłońmi zaciśniętymi w pięści podeszłam bliżej do Nerian. Wyraźnie wyczułam, że Danaus przyjął bojową postawę za moimi plecami. Skrzyżował ramiona na piersi i stanął w szerokim rozkroku.

Wpatrywałam się w Nerian, stojąc zaledwie kilkanaście centymetrów od niego. Przez cały ten czas wcale się nie zmienił. A jednak wyczuwałam go inaczej. Powinien obawiać się mnie choć trochę. Kiedy widziałam go ostatnim razem, miał połamane nogi i z wielkim trudem przytrzymał wypadające z brzucha wnętrzności. Pozostawiłam go wtedy, żeby skonał. Powinien był skonać. Mimo to stał teraz przede mną, z przegubami rąk zakrwawionymi od szarpania żelaznych kajdan. Jego brązowa skórzana kamizelka ociekała krwią. Szeroka twarz była brudna i okrwawiona, a gęste brunatne włosy zakurzone i matowe. Wciąż uśmiechał się do mnie, a w jego zielonych oczach widać było rozbawienie.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy, wpatrując się w siebie nawzajem. Może całe godziny, a może tylko sekundy. Czas przestał istnieć w tej ciasnej wilgotnej piwniczce, przeobrażając się w coś, czego już nie poznawałam.

- Czy pieczęć została złamana? – zapytałam w końcu. Nie miałam już siły na słowne potyczki. Mój głos brzmiał chrapliwie, jak gdyby wydostawał się z najgłębszych kręgów piekła.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu Nerian uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając piękne białe zęby.

- Rowe rozprawiał ze słońcem – odrzekł poetyckim tonem. Jego słowa tchnęły wodą z czystych potoków i zielenią lasów. Ten głos oczarował wiele ofiar przed ich zgładzeniem. – Nadciąga świt.

Po tym nie potrafiłam już jasno myśleć. Moje ciało pulsowało z wściekłości, czułam tylko złość i lęk. Strach tak mocny, że jego smak podchodził mi do gardła. Tak wielki, że mogłabym w nim zatonać. Kalejdoskop brutalnych obrazów z przeszłości przemknął mi przez mózg. Naturi więzili mnie przez dwa tygodnie w Machu Picchu, torturując co noc, aż w końcu traciłam przytomność wraz ze świtem. Liczyli na to, że mnie złamię i zgodzę się służyć im jako oręż przeciwko nocnym wędrowcom. Chcieli, żebym ich chroniła, gdy otwierali wrota oddzielające dwa światy, uwalniające resztę ich rasy. Ale ja wiedziałam, że oni nigdy nie mogą być wolni. Oznaczałoby to kres wszystkiego, co kocham.

Zacisnęłam rękę na jego gardle, aż poczułam, że paznokcie wbijają się w skórę i mięśnie. Ścisnęłam do czasu, aż po dłoni rozpełzło się jego ciepłe mięso. Wtedy szarpnęłam. Jęknął po raz ostatni, gdy wyrwałam mu krtani. Odrzuciłam na bok ten galaretowaty kawałek tkanki, ale jaj strzępy nadal płonęły pod moimi paznokciami. Stałam bez ruchu, a jego ciepła krew tryskała mi na twarz i ramiona; zamknęłam oczy, kiedy krew ściekała mi po rękach i pokryła odsłonięty brzuch. Krzyk znów podszedł mi do gardła, ale zachowałam milczenie, nasłuchując gulgoty, gdy on usiłował chwytać oddech z wyrwaną krtanią.

Kiedy poczułam, że jego krew już na mnie nie tryska, otworzyłam oczy. Nerian zawisł bezwładnie na rękach wciąż przykutych do ściany. Głowa opadła mu na pierś, a krew zalała go całego. Gdy odstałam na krok, mój umysł otrząsnął się z oślepiającej mgły wściekłości. Czułam smak jego krwi w ustach, i nagle ogarnął mnie paniczny lęk. Krew naturi była dla nocnych wędrowców trucizną. Splunęłam i uniosłam rękę, żeby otrzeć usta, ale dłoń także miałam zakrwawioną. Odrobina jego krwi nie mogła mnie zabić, ale sprawiła, że przebiegł mnie dreszcz niepokoju. Krew Nerian smakowała inaczej, niż ta, którą zazwyczaj się syciłam. Była bardziej gorzka, nienaturalna.

Obróciwszy się, stanęłam nagle twarzą w twarz z Danausem. Na moment zapomniałam o jego obecności. Stał na lekko ugiętych nogach, ze sztyletem naturi w ręku. Nie wiem, czy wyjął go umyślnie, czy też zareagował tak odruchowo, kiedy wyszarpywałam Nerianowi gardziel. Nieważne. Nadal targały mną silne emocje i nie mogłam jasno myśleć. Rzuciłam się na niego, kierując ręce ku sztyletowi. Z krzykiem wymachiwałam dziko rękami i nogami. Nic mnie już nie mogło powstrzymać. Pragnęłam śmierci – jego, a może nawet swojej. Czegokolwiek, co mogło mnie uwolnić od wspomnienia śmiechu Neriana. Przypierając Danausa do ściany, kopniakiem wytrąciłam mu w końcu sztylet z ręki. Nóż zatańczył w powietrzu i wbił się w ścianę.

Ten koszmarny sztylet utrzymywał mnie w krwawym zniewoleniu i musiałam się go pozbyć na zawsze. Odwróciłam się od Danausa i z prawej dłoni skierowałam w ostrze kulę błękitnego ognia. Sztylet otoczył płomienie tak gorące, że ściana wokół niego zaczęła się żarzyć i wyrzyszczać. Przełamłam w ogień całą swoją złość i nienawiść, chcąc zniszczyć, roztopić ten kawałek metalu.

Wyczerpana upadłam na kolana, gasząc płomienie. Potem wbiłam wzrok w nóż naturi i zaniósłam się śmiechem, piskliwym, szaleńczym. Ostrze sztyletu nie doznało żadnego szwanku. Przez chwilę metal lśnił czerwienią żaru, ale nic mu się nie stało. Uroki chroniły te ostrze przed rdzą, wyszczerbieniem i ogniem. Ten sztylet miał przetrwać, dopóki istnieli naturi.

Obróciwszy głowę, spod przymkniętych powiek spojrzałam na Neriana. Może i nie byłam w stanie pozbyć się owego sztyletu, ale za to mogłam unicestwić jego samego. W jednej chwili całe ciało Neriana zajęło się pięknymi, żółtymi i pomarańczowymi płomieniami. Swąd palącego się mięsa i włosów wypełnił powietrze, ale nie obchodziło mnie to. Nerian płonął, dopóki nie pozostała z niego kupka białawego popiołu na podłodze. Dym przedostawał się przez powyginane deski sufitu i rozszedł się po górnej kondygnacji domu. Nie przejmowałam się tym, że ktoś mógł go zauważyć. Już wkrótce zamierzałam opuścić to miejsce.

Nerian zniknął, ale wspomnienie o nim miało pozostać ze mną na zawsze. Po raz pierwszy od stuleci zatęskniłam za Jabari. Kiedyś uratował mnie przed Nerianem i jego pobratymcami. Pomógł mi zatrzeć koszmarnie wspomnienia. Pragnęłam teraz znaleźć się w jego mocnych ramionach, poczuć jego spokój i roztropność, które ukończyłyby moje myśli.

Jednak Jabariego nie było; zginął albo po prostu zniknął – nie wiedziałam, co się z nim stało. To także nie miało większego znaczenia. Nerian już nie żył, a ja przetrwałam cało przez kilka stuleci. I chciałam trwać dalej, bez względu na to, jakie znużenie mogło mnie ogarnąć.

Odgłos kroków na zimnej betonowej posadzce spowodował, że ponownie skupiłam uwagę na Danusie. Zerknęłam na niego przez ramię i wydałam z siebie ciche westchnienie. Poczulałam pewną ulgę, której nie zaznałam od dawna. Upiór trafił do piekła, gdzie jego miejsce; gdzie jak wiedziałam, będzie na mnie czekał. Jednak był to problem na później.

Zdziwiło mnie trochę, że Danaus nie próbował mnie zabić, gdy go zaatakowałam. Bronił się, ale nic ponadto. Nie potrzebował mnie wcale do zgładzenia Neriana; naturi znalazł się na jego łasce. Oszczędzając mnie, Danaus pewnie nadal czegoś ode mnie chciał. Jednakże ja miałam mniej powodów, by zachowywać łowcę przy życiu. Teraz musiałam się dowiedzieć, jak schwytał Neriana i czy są gdzieś jacyś inni naturi.

- Co wiesz o naturi? – spytałam, odwracając się do niego. Uniosłam prawą dłoń, na której tańczył mały, żółty płomień.

Danaus stał przy przeciwległej ścianie, a krople potu spływały mu z czoła po twarzy. Jego ciemnoniebieskie oczy zwięziły się w słabym świetle. Prawą ręką chwycił poję swojego skózanego płaszcza i odchylił ją. Sięgnął tam lewą dłonią i z wewnętrznej kieszeni wydobyl złożony kawałek papieru. Rzucił mi go przez piwnicę. Zgasilał płomień, pochyliłam się i podniosłam z podłogi papier. Okazał się następnym błyszczącym, kolorowym zdjęciem.

Jednak różniło się ono znacznie od poprzednich. Przedstawiało nagą kobietę leżącą na czerwono-brunatnych kamieniach. Ramiona miała wyciągnięte nad głowę. Skóra na jej klatce piersiowej była rozcięta i rozchylona, a narządy wewnętrzne usunięte i spalone. Pozostały z nich tylko kupki czarnego popiołu wokół ciała. Na podłożu pod nią znajdowała się kałuża krwi, a o jakiś metr dalej widniały symbole, podobne do tych wyrytych na drzewach, tyle że wymalowane krwią zamordowanej kobiety. Twarz ofiary była zwrócona w stronę obiektywu, a usta zamarły w krzyku, którego nikt nie miał usłyszeć. Żyła jeszcze w trakcie tej krwawej ceremonii. Zapewne podtrzymywano w niej życie i przytomność do chwili, w której wycięto jej serce.

- Kiedy? – To jedyne słowo przeleciało przez pomieszczenie jak blade widmo śmierci. Chwilowy spokój, jakiego doznałam po zgonie Neriana, opuścił mnie całkowicie.

- Przed trzema miesiącami, w nocy podczas nowiu.

Kiwnęłam głową. Znałam się na magii na tyle, by wiedzieć, że nowe czary mają największą moc podczas księżycowego nowiu. Z kolei pełnia służyła do przełamania starych zaklęć, klątw i zrywania więzów. A więc naturi właśnie coś rozpoczęli.

- Gdzie?

- W Konark.

Podniosłam raptownie głowę i utkwiałam wzrok w jego posępnej twarzy. Moje mięśnie napięły się boleśnie.

- Gdzie?

- W Konark. W świątyni słońca w Orissie, w Indiach.

- Wiem, że to w Indiach – odparłam zirytowana, prostując się. Mój mózg z trudem akceptował tę informację. Zaczęli składać ofiary potrzebne do tego, żeby złamać pieczęć i otworzyć wrota dzielące oba światy. Istniało dwanaście świętych miejsc porozrzucanych po całym świecie, które miały wystarczająco wielką moc, aby naturi byli w stanie wypowiadać tam stosowne zaklęcia. Ale jak mogli czynić to teraz? To nie miało sensu. Minęło z grubsza pięćset lat od czasu, kiedy ostatni raz próbowali to zrobić. Dlaczego próbują teraz?

- Będzie ich więcej. – rzekł Danaus. Brzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, co mam odpowiedzieć.

- Jeszcze dwie.

Wcześniejsze uczucie ulgi powoli opuszczało moją duszę i próbowałam uporządkować myśli.

- Pytałaś o pieczęć. Co miałaś na myśli?

Na moment spuściłam wzrok na podłogę, myśląc o tym, co moja stwórczyni, Sadira, i ukochany Jabari opowiadali mi kiedyś. Moje własne wspomnienia z Machu Piachu były mgliste i fragmentaryczne, ale znałam stare „opowieści o duchach”. Czytałam historie o nas i dzienniki napisane przez innych nocnych wędrowców, w których znalazło się wszystko, co wiemy o naturi.

- Przed wiekami, zanim nastał mój czas i nim pojawił się którykolwiek z obecnie istniejących nocnych wędrowców, naturi żyli na ziemi. Wampiry siłą wyparli ich do innego świata. Podobnego i połączonego z tym światem, ale innego. Troje nocnych wędrowców zamknęło wrota i założyło pieczęć z tej strony, aby uniemożliwić im powrót. To coś w rodzaju wymyślnego magicznego zamka.

- A więc trzeba chronić tę pieczęć.

- To tylko jedna sprawa. Naturi mają inne miejsca, które mogą wykorzystać do złożenia pozostałych dwóch ofiar. Nie mamy pojęcia, gdzie i kiedy się ujawnią.

- Może ja to będę wiedzieć.

Ocierając krople krwi, która spływała mi po policzku, skupiłam wzrok na Danusie.

- Skąd?

- Należę do dużej organizacji działającej na całym świecie. Dowiemy się, gdy coś się stanie. – Łowca wsunął ręce do kieszeni swojego skórzanego płaszcza i lekko się uśmiechnął.

- Dlatego wiedziałeś o Konark? I o symbolach na drzewach?

Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

- Nie wiedzieliśmy, że należało się czegoś spodziewać w tamtej świątyni. Wiemy jednak, że będą przynajmniej jeszcze dwie ofiary i prawdopodobnie zostaną złożone podczas określonych faz księżyca.

- Nie chodzi tylko o fazy księżyca – mruknęłam, przeczesując ręką włosy i próbując zignorować fakt, że moja dłoń jest zimna i lepka od krwi. – Mogą też wykorzystać okresowe święta lub nawet jakieś rytuały wymarłych religii. Trudno powiedzieć, kiedy i gdzie spróbują złożyć drugą ofiarę.

- Wampiry mogą prowadzić obserwacje tylko w nocy. My, ludzie, nie mamy takich ograniczeń.

Ściągnęłam brwi. Z niechęcią przyznałam mu rację. Rzeczywiście miał pod tym względem przewagę. Nie mogliśmy wezwać wilkołaków do pomocy w ciągu dnia, ponieważ mogliby łatwo zostać zauroczeni przez naturi, swoich dawnych panów. A na współpracy z wiedźmami i czarownikami nigdy nie można było szczególnie polegać.

- Wydajesz się bardzo dobrze poinformowany – stwierdziłam, przechylając głowę i zbliżając się o kilka kroków do niego. Danaus wyjął ręce z kieszeni i pochylił się, jak gdyby szykował się do ataku. – Wiedziałeś o naturi i o

symbolach na drzewach, wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć, a nawet znasz trochę moją przeszłość.

- Organizacja jest bardzo dobrze poinformowana. Od wielu lat obserwujemy takich jak ty.

Pokręciłam głową, kładąc ręce na biodrach.

- To nie tylko obserwacja. Ktoś dostarcza wam wiadomości o nocnych wędrowcach i naszym świecie.

- Jesteśmy dobrze poinformowani, ale nie na tyle silni, żeby bezpośrednio stanąć do walki z naturi. Wysłano mnie po to, żeby odnalazł kogoś, kto pokonał ich na Mchu Piachu.

- Owszem, byłam na Machu Piachu, ale to nie triada pokonała naturi.

- Co to jest triada?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Czy on naprawdę myśli, że wyjawię łowcy wampirów, gdzie znaleźć trzech najważniejszych nocnych wędrowców?

Chociaż tak naprawdę, jeden z nich już nie żył, a drugi gdzieś przepadł i być może też jest martwy.

- Myślałem, że zasłużyłem na taką informację. Powiedziałem ci o symbolach i składaniu ofiar. Dałem ci też Neriana – powiedział, zbliżając się o krok.

- To dobry początek.

- Możemy też obserwować inne miejsca, jeśli chcesz.

- Hm... Jesteś bardzo łaskawy.

Danaus prychnął, zmniejszając dystans między nami.

- Niczego tak bardzo nie pragnę, jak tego, żeby zetrzeć z powierzchni ziemi zarówno naturi, jak i nocnych wędrowców. Ale zdaję sobie sprawę, że naturi są większym zagrożeniem i potrzebujemy waszej pomocy. A tobie również przyda się nasze wsparcie. Proponuję tymczasowy rozejm. Rozprawimy się z naturi, a potem możemy powrócić do naturalnego porządku rzeczy.

- Czyli do zabijania się nawzajem.

W jego oczach zamigotał uśmiech.

- Właśnie.

Pokiwałam głową i cofnęłam się o krok.

- Muszę się nad tym zastanowić. Spotkamy się jutro o dziesiątej wieczorem na Orleans Square przy zbiegu Hull i Jefferson Street. – odwróciłam się, żeby wyjść z piwnicy, ale się zatrzymałam z nogą na pierwszym schodku, kiedy kolejna myśl przyszła mi do głowy. – Zanim przyjdiesz, wrzucić to do rzeki – powiedziałam, wskazując sztylet naturi, wbity w ścianę.

Wyszłam po schodach na zewnątrz, nie oglądając się za siebie. Z jakichś tajemnych kryjówek wy dostał się wiatr, który ocierał się o moje ciało. Zadrżałam, gdy schłodził krew, wciąż pokrywającą moją skórę. Wyglądałam okropnie, ale nikt mnie nie widział, kiedy szłam ulicą. Był to rodzaj uroku, który wszyscy nocni wędrowcy potrafili rzucać od chwili swych narodzin. Działał on na większość istot, chociaż z wiedźmami, czarownikami i ludźmi o zdolnościach parapsychologicznych sprawa była nieco trudniejsza. W tym momencie

naprawdę mnie to nie obchodziło. Miałam na sobie krew naturi, a nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że coś takiego się powtórzy. Wszyscy naturi, z wyjątkiem kilkudziesięciu przebywających w ukryciu, zostali wygnani z ziemi do świata, który został szczelnie zamknięty.

Teraz jednak, podążając cichą ulicą w samym sercu swojego terytorium, zastanawiałam się, jak wielu naturi, czai się w pobliżu. Czy któryś z nich ukrywa się w cieniu, obserwując mnie i czekając na okazję do ataku? Lub, co gorsza, podąża za mną do mojej kryjówki, gdzie wbije mi kołek osinowy w serce w ciągu dnia? Czy to ten, który próbuje uwolnić królową naturi, zaginioną dawno temu? Zbyt wiele pytań... i żadnych łatwych odpowiedzi.

Jednak moje plany przedstawiały się jasno. Muszę się dowiedzieć, kim jest Rowe, i powstrzymać go przed składaniem kolejnych ofiar. A jedynym sposobem na to, było odnalezienie triady lub przynajmniej tego, co z niej pozostało.

Rozdział 6

Mój plan na resztę tej nocy był prosty. Chciałam wrócić do domu, wziąć prysznic, a potem wybrać się na polowanie. Mogłam też zapolować najpierw i następnie wrócić do domu, żeby się umyć. Jednak plany te szybko legły w gruzach. Kilka przecznic dalej w powietrzu wyczuwało się gryzącą woń dymu i narastającą falę strachu. Było to coś gorszego niż pożar domu nad ranem, który zaskoczył śpiących.

Przebiegłam ostatnią przecznicę oddzielającą mnie od pożaru i zastałam tam trzy czerwone wozy strażackie stojące przed klubem Port. Strażacy lali wodę na płomienie, które wciąż przebijały na zewnątrz przez drzwi. Ludzie stojący za wozami straży pożarnej byli okopceni i zakrwawieni. Kobiety płakały histerycznie, wielu mężczyzn przechadzało się tam i z powrotem, szarpiąc sobie włosy z bezsilnego wzburzenia, a inni stali w bezruchu, gapiąc się przed siebie w szoku i nie chcąc przyjąć do wiadomości żadnych kolejnych informacji.

Było to coś więcej niż pożar wywołany przez rzucony bezmyślnie niedopałek papierosa. Wniknęłam w zatrwożone umysły zgromadzonych i odkryłam, że kilka osób zostało zamordowanych. Ktoś podczas zabawy zaczął na prawo i na lewo zadawać ciosy nożem, a potem podpalił klub.

Kierując wzrok w stronę ognia, przymknęłam oczy i szybko ugasiłam płomienie. Po zaledwie paru minutach ostatnie języki ognia znikły. Dla doświadczonych strażaków było trochę dziwne, ale nikt z nich nie narzekał z powodu tak nagłego zakończenia pożaru. Musiałam dostać się do środka i przekonać się, co zaszło.

Odciągnęłam na stronę jednego ze zszokowanych facetów i powiedziałam mu, żeby dał mi swój podkoszulek. Nie odrywając nawet wzroku od osmalonego budynku, ściągnął go przez głowę i podał mi. Otarłam nim krew

naturi, którą nadal byłam ubrudzona, rozejrzałam się w tłumie, szukając znajomej twarzy. Z boku stał Jonatan w otoczeniu grupki przyjaciół. Czarne obcisłe spodnie miał poprzecierane, a kraciasta koszula i biała, zapinana na guziki bluza poczerniały od sadzy i splamione były krwią. Nie miał na głowie swojej blond peruki, a na jego twarzy widać było zacieki rozpuszczonego przez łyzy makijażu. Mógłby się wydawać całkiem atrakcyjną kobietą, gdyby nie był zbudowany jak kulturysta.

Z pożyczonym podkoszulkiem w ręce podeszłam do Jonatana, który od lat przychodził do Portu i znał tu wszystkich bywalców. Jego znajomi cofnęli się trochę, kiedy się zbliżyłam, zerknęli na mnie i znów zaczęli się wpatrywać w spalony budynek.

- Witaj, Mały Johnie – powiedziałam, gdy na mnie spojrzał. – Co tu się stało?

- Och, Mimi – westchnął, pocierając oko przegubem dłoni. – Dobrze, że jesteś. Oni właśnie zaczęli nas zabijać. – Mimo swojej masywnej postury mówił głosem zadziwiająco cichym, pełnym żalu i rozpacz.

- Kto taki? Kto to zrobił?

- Nie wiem – odparł, kręcąc głową. – Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Weszło dwóch gości. Dwóch nastolatków o długich ciemnych włosach i zielonych oczach. Oni... oni... - Jonatan urwał i popatrzył przed siebie, mrugając szybko powiekami, jak gdyby chciał wyostrzyć wzrok albo po prostu przywołać wspomnienia. – Szukali kogoś. Jakiegoś Nathana. Nie znaleźliśmy takiej osoby, więc zaczęli...

- już dobrze – powiedziałam, ujmując jego wielką dłoń, gdy głos mu się załamał. Potrafiłam sobie wyobrazić, co zaszło, chociaż dwóch małych nie mogło spowodować takich zniszczeń ani zasiać takiego strachu, gdyby nawet uzbrojeni byli w pistolety maszynowe uzi. Zresztą w myślach zebranych nie odnalazłam wspomnienia strzelaniny.

Kryło się za tym coś więcej. Nie sędzę, żeby Jonatan mnie okłamywał. Po prostu usiłował zrozumieć to, co widział. Ostrożnie wniknęłam w jego umysł, przeglądając wspomnienia. Oto dwie szczupłe zgrabne postacie wchodzą do środka tanecznym krokiem. Długie włosy przesłaniały im twarze, ale zdołałam dostrzec charakterystyczne zielone oczy o kształcie migdałów i wyraźnie zaznaczone kości policzkowe. Mogłam się założyć, że w umyśle Jonatana już zatarły się wszystkie fakty. To naturi, prawdopodobnie z klanu wiatru, jeśli sędzić po ich zwiewnych ruchach. A jednak fakt, że posłużyli się ogniem dla zniszczenia tego miejsca, nasuwał przypuszczenie, iż jeden z nich mógł wywodzić się z klanu światła. Jeżeli członkowie tych dwóch wyższych klanów wyruszyli na poszukiwania, to sprawa przedstawiała się poważnie.

- Szukali Neriana – powiedziałam szeptem.

Dłoń Jonatana drgnęła w moim uścisku; spojrzał na mnie. Jego piwne oczy się rozszerzyły.

- Tak, Neriana. Znasz go?

- On nie żyje.

Jonatan odsunął się ode mnie o krok, cofając rękę.

- Oni się wściekną, Miro!

- Poradzę sobie z nimi.

Odchodząc od Jonatana, roztoczyłam wokół siebie aureę czarów i wymazałam naszą rozmowę z jego pamięci. Przeciskając się przez tłum gapiów, strażaków, sanitariuszy i policjantów, wśliznęłam się niepostrzeżenie do wnętrza klubu. Ściany i sufit przy barze były okopcone, jednak najgorzej wyglądał tył Sali.

Zobaczyłam tam rozrzucone wokół zwłoki, z kończynami powyginanymi w dziwny sposób. Niektórzy z tych ludzi zginęli szybko, bo przetrącono im karki. Inni mieli rany klute i wykrwawili się na śmierć. Życie straciło kilkanaście osób. Wyglądało na to, że po tym, jak naturi nie uzyskali potrzebnych im informacji, podpalili salę taneczną i kilka osób zginęło w zamieszaniu, gdy wybuchł popłoch.

Idąc z powrotem w stronę parkietu, zatrzymałam się koło stolika, przy którym zaledwie przed godziną siedziałam razem z Danausem. Stolik ten poczerniał, ale nie spłonął. Wokoło rysy w drewnianym blacie wyłobionej sztyletem naturi widniało kilka symboli wypisanych krwią. Kolejne symbole w języku naturi. Byłam gotowa się założyć, że tropili Neriana, idąc po śladach tego noża.

Teraz wiedzieli już pewnie, że Nerian nie żyje. Gdyby Danaus był taki sprawny, za jakiego chciał uchodzić, zatroszczyłby się o tych paru naturi. Na razie jednak gdzieś się oni ulotnili, ulotnili noc upływała.

Powoli rozejrzałam się po Sali. Twarze, które widywałam tu regularnie w ciągu ostatnich kilku lat, były teraz przesłonięte białymi prześcieradłami. Nie znałam imion wielu z tych, nie poznałam ich losów, ale przecież żyli na moim terenie, na mojej ziemi. Naturi mi ich zabrali.

Zagłada, strach i śmierć; to wszystko, co naturi mieli do zaoferowania nocnym wędrowcom i ludziom. Wiedziałam, że wampiry nie są od nich wiele lepsze, ale przynajmniej nauczyliśmy się koegzystencji z rodzajem ludzkim. Jeśli pieczęć została złamana, a wrota się otworzyły, naturi zechcą zmienić ten świat w pogorzelsko, tak jak zrobili to z Portem. A na tych zgłiszczach zbudują własny świat, wyłącznie dla siebie.

Kiedy ruszyłam w stronę wyjścia, stolik stanął w płomieniach. Nie należało pozostawiać żadnych śladów istnienia naturi. Po powrocie do domu spaliłam też podkoszulek, którym wytarłam z siebie ich krew. Bieg spraw zaczynał coraz bardziej wymykać się z pod kontroli – i to na moim terytorium – a do tego nie mogłam dopuścić. Musiałam szybko coś zaplanować, żeby pokonać naturi.

Rozdział 7

Ciemnie była oddalona o ponad kilometr od mojego tymczasowego lokum. Znajdowała się w wiktoriańskiej dzielnicy z jej eleganckimi witrażami i

zdobieniami. Był to jedyny klub nocny w okolicy, który gromadził niemal wyłącznie przedstawiciele innych ras. Często dochodziło tam do incydentów. Za moich rządów w Savannah spaliłam dwie poprzednie wersje Ciemni ze względu na bójki i zabójstwa ludzi, do jakich doszło. W końcu nauczyliśmy się bawić razem, opracowując pewne rozsądne zasady współistnienia, zgodnie z którymi, z wyjątkiem tygodnia księżycowej pełni, mogły tam bywać wilkołaki. Pozwalano też uczęszczać tam ludziom, ale tylko w towarzystwie nocnych wędrowców.

Szybko weszłam do Ciemni, gdzie, jak wiedziałam, zastanę Knoxa. Po drodze zadzwoniłam w kilka miejsc ze swojej komórki, przygotowując się na wszelkie okoliczności. Za rogiem ulicy natknęłam się na długą kolejkę do klubu, złożoną głównie z ludzi. Dwóch rosyłych facetów w czarnych podkoszulkach strzegło drzwi wejściowych. Jeden z nich był wilkołakiem, wilkołakiem drugi wampirem i obaj pilnowali, żeby osobnicy obu ras byli wpuszczani do klubu i przyzwoicie tam traktowani.

Kiedy podeszłam, oczy nocnego wędrowca rozbłysły w zdumieniu. Odstąpił od drzwi, aby wpuścić mnie do środka.

- Miro – odezwał się szeptem – tu jest spokojnie, daję słowo.

Powstrzymałam się przed udzieleniem mu ostrej odpowiedzi. Zignorowałam też tłumek, któremu nie spodobało się, że wpuszczono mnie poza kolejką. Choć słowa bramkarza zdenerwowały mnie, rozumiałam, dlaczego je wypowiedział. Ostatnim razem, kiedy pokazałam się w Ciemni, musiałam rozprawić się z dwoma nocnymi wędrowcami, kiedy złamali parę podstawowych zakazów obowiązujących w tym klubie – pożywania się krwią w jego obrębie i przemieniania ludzi.

Szybko przeszłam przez wąski korytarz z dwiema pustymi szatniami i zatrzymałam się przed głównym pomieszczeniem. Ciemnia była przybytkiem dekadentckiego luksusu. Salę spowijał półmrok, a kinkiety rozmieszczone w różnych punktach rzucały przyćmione czerwone światło. Pod ścianami znajdowały się przedziały ze stolikami, częściowo przesłonięte grubymi aksamitnymi kotarami. Pośrodku był wielki parkiet taneczny, na którym różni osobnicy kołysali się teraz i kiwali w rytm wolnej, hipnotycznej muzyki. O ile w Porcie dominowały mocne i szybkie rytmy, wzbudzające w bywalcach gorączkowe żądze, o tyle Ciemnia powoli oddziaływała na zmysły. Port był dla ludzi, którzy udawali mrocznych drapieżników; Ciemnia powstała dla drapieżców, którzy nie chcieli zdradzać swojej tożsamości.

Omiotłam wzrokiem salę, używając swojej mocy, by odszukać Knoxa. Barek po lewej stronie był, jak zwykle, pustawy. Korzystały z niego tylko wilkołaki oraz ludzie towarzyszący nocnym wędrowcom. Sprzedaż napojów alkoholowych nie stanowiła podstawy utrzymania tego lokalu. Był to ekskluzywny klub. Nocni wędrowcy i wilkołaki, którzy tu przychodzili, znajdowali się na liście członków klubu i opłacali roczne składki. Co więcej, jeśli przyprowadzali ze sobą gości, musieli uiszczać dodatkową opłatę.

Przynależność do bywalców Ciemni świadczyła o wysokim statusie, będąc oznaką zamożnością. A im więcej gości ktoś tu sprowadzał, tym był bogatszy.

Opłacanie składek nie gwarantowało jeszcze wejścia tutaj. Jeżeli klub się zappełnił – bramkę zamykano, żeby unikać sporów. Ponadto jeśli ktoś mnie akurat wkurzył, to trafiał na „czarną listę” tych, co nie mieli wstępu, dopóki tego nie odwołam.

Zaledwie stanęłam w progu głównej sali, gdy z jednego z boksów wyłonił się wysoki, szczupły nocny wędrowiec i zaczął mi się przyglądać. Nie uprzedziłam Knoxa, że przyjdę, więc moja obecność w tym nocnym klubie musiała go zaskoczyć. Wskazał głową w prawo, a potem odwrócił się i ruszył w tamtym kierunku. Przeszłam przez parkiet, przeciskając się przez roztańczony tłumek, i dotarłam do Knoxa, gdy otwierał drzwi wiodące na tyły budynku. Znajdowało się tam kilka prywatnych pokojów wykorzystywanych do sycenia się krwią i na inne poczynania. Pożywanie się w głównej sali było wyraźnie zabronione wampirom.

Knox przesunął palcem wskazującym po moim gołym ramieniu i otarł z niego resztkę krwi, jaką pozostawiłam przez nieuwagę.

- Wygląda na to, że miałaś interesujący wieczór. – Powoli cedził słowa. – Rzeźnik?

Gwałtownym ruchem schwyciłam go za nadgarstek, kiedy podnosił palec do ust, powstrzymując go przed spróbowaniem tego, co uznał za krwawy posiłek.

- Naturi.

Knox cofnął się, zaczął gorączkowo wycierać dłoń o swoje czarne spodnie, a z ust wyrwała mu się wiązanka niemieckich przekleństw.

Mierzący prawie metr osiemdziesiąt Knox był wysmukły i szczupły; same kości i twarde mięśnie. Liczył sobie niecałe dwa stulecia, był więc jeszcze dosyć młody, ale bardzo silny i inteligentny jak na swój wiek. Nie powinno to jednak dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, kto go stworzył. Valerio bardzo rzadko przemieniał ludzi w wampiry, ale w przypadku Knoxa tak właśnie postąpił, jak zwykle wykazując się przy tym się wielką ostrożnością.

Knox przeniósł się na moje terytorium niespełna dwadzieścia lat temu i niemal cały ten czas służył jako mój asystent wśród nocnych wędrowców. Choć oficjalnie taka funkcja nie istniała, to faktycznie był kimś w rodzaju zastępcy wodza na danym terenie, czyli mnie. Sama jego obecność pomagała w utrzymaniu porządku. Jednakże nigdy nie wykorzystywałam go w roli egzekutora. Choć miał wystarczająco dużo siły do takich zadań, wolałam załatwiać takie sprawy osobiście.

- Czy Rzeźnik jest w zмовie z naturi? – zapytał Knox, gdy w końcu się uspokoił.

- Właściwie sprezentował mi tego naturi – powiedziałam, lekko wzruszając ramionami. Odwróciłam się i przeszłam obok obitej czarnej skórą kanapy i podobnych foteli przy przeciwległej ścianie. Usiadłam na podłodze z nogami

ugiętymi w kolanach. Byłam zmęczona i potrzebowałam kilku chwil na zastanowienie.

Knox przysunął bliżej mnie otomanę i usiadł na jej skraju.

- Zjawia się na twoim terenie, zabija pięciu nocnych wędrowców, a potem daje ci naturi w prezencie. Wybacz, jeśli powoli myślę, ale co to ma znaczyć?

- Sprawa jest bardziej złożona – powiedziałam cicho, rzucając obok zakrwawiony podkoszulek, który ze sobą przyniosłam. Przesunęłam palcami po grubym czarno-szarym dywanie na podłodze, który wygłuszał rozmowy prowadzone w tym pokoju.

- Chciałbym, żeby tak było - stwierdził Knox.

Oparłam głowę o ścianę, spojrzałam w górę i dostrzegłam, jak odgarnia sobie z czoła kosmyk jasnych włosów. W trakcie minionych kilku lat przywykłam już do zgryźliwego poczucia humoru Knoxa. Niełatwo było wyprowadzić go z równowagi, ale sądząc po zmarszczkach, jakie pojawiły się teraz wokół jego ust, wyglądało na to, że naturi to właśnie jedna z tych poruszających go spraw. Byłam wdzięczna Valerio, że poświęcił czas, aby udzielić Knoxowi nauk na ten temat.

- Muszę na jakiś czas opuścić miasto – powiedziałam, zaciskając palce w pięść. Wolałam tu być, skoro naturi pętali się po moim terenie, ale należało położyć kres tej sprawie.

- Wyjeżdżasz z powodu Rzeźnika czy naturi?

- Z obu powodów. W czasie mojej nieobecności roześlij wiadomość, że chcę, aby wszyscy trzymali się blisko miasta. Nikomu nie wolno polować na własną rękę, dopóki nie wrócę albo nie dam znać, że to bezpieczne. I nie wspominaj o naturi. Nie chcę tu paniki.

Knox potarł dłonią skronie i czoło, przez moment wpatrując się w pustkę.

- To skomplikuje... pewne sprawy.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Chociaż my, nocni wędrowcy, zbieraliśmy się często w Ciemni, to z natury byliśmy samotnikami, istotami niezależnymi. Zmuszanie wampirów do przebywania razem przez dłuższy okres wróżyło kłopoty. Jednak wieść, że naturi krążą w okolicy, jeszcze pogorszyłaby sytuację.

- Liczę, że uporam się z tym. Gdzie Amanda?

- Na koncercie w SSU - odrzekł Knox, mając na myśli Uniwersytet Stanowy w Savannah. Była to stosunkowo niewielka uczelnia, ale często organizowała występy różnych zespołów, znanych i nieznanych. Stanowiła także świetny teren łowiecki dla nocnych wędrowców. - Chcesz, żebym ją wezwał?

- Nie, pogadaj z nią po koncercie, wprowadź ją w szczegóły. Niech ci pomaga w utrzymaniu porządku.

Chociaż oboje bardzo różnili się z wyglądu, często nazywałam ich bliźniętami z reklamy gumy do żucia Doublemint, ze względu na podobny odcień jasnoblonde włosów. Amanda nie miała jeszcze nawet pięćdziesięciu lat, ale wampiryzm był dla niej czymś takim jak woda dla ryby i najwyraźniej omijały ją problemy typowe dla jej wieku. Nie miałam pojęcia, kto ją stworzył.

Po prostu pojawiła się na moim terytorium dziesięć lat temu i od razu znalazła tu swoje miejsce. Dzięki swojemu optymistycznemu, a przy tym zdecydowanie bezwzględnemu charakterowi szybko przypadła mi do serca. Pomimo swojego młodego wieku potrafiła utrzymać w garści niektórych z młodszych nocnych wędrowców. Jeśli Knoxa uważano za mojego zastępcę, to Amanda zapewniła sobie nieoficjalne stanowisko adiutanta.

- A co z Rzeźnikiem?

- Zniknie z mojego terenu, zanim wyjadę.

Jeszcze nie postanowiłam, co zrobię z łowcą, ale nie miałam zamiaru pozostawiać go tu na czas swojej nieobecności. Był zbyt niebezpieczny, aby zostawić go przy życiu, i zbyt ważny, by go zgładzić. Ciągle ważyłam argumenty na szali przed podjęciem ostatecznej decyzji w jego sprawie.

Knox otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale umilkł na odgłos pukania do drzwi.

- Wpuść go - poleciłam, wstając pospiesznie. Wyczułam już zbliżanie się wykidajły i wiedziałam, że może zjawić się w tym pokoju tylko z powodu przybycia gościa, którego zaprosiłam.

- Zdaj się na własną ocenę sytuacji. – Po tonie mojego głosu Knox zorientował się, że powinien już odejść. Jasnowłose wampir kiwnął głową i opuścił pokój, do którego wszedł Barrett Rainer.

Szerokie bary i masywna budowa ciała zdradzały, że Barrett to wilkołak. Był ważący jakieś sto dwadzieścia kilogramów górą mięśni, poruszał się jednak przy tym z subtelną, taneczną gracją, jak zwinne zwierzę w ludzkiej skórze. Najbardziej zdumiewało to, że stał na czele jednej z najpotężniejszych sfor w całym kraju. Sfora z Savannah nie była najliczniejsza – pod tym względem przewyższała ją ta z Montany – lecz jej członkowie przeszli staranne wychowanie i przeszkolenie, a niektórzy z nich znaleźli się w wybranym gronie dzięki swojej sile, zwinności i inteligencji.

Czołową pozycję w tej grupie zajmował właśnie Barrett Rainer. Tak jak jego poprzednicy, Barrett był już od urodzenia szkolony do objęcia obecnej roli. Sforę z Savannah wyróżniało to, że od samego początku kierował nią ktoś z rodu Rainerów.

Właśnie ta trwająca od lat ciągłość umożliwiła mi zacieśnienie stosunków z okolicznymi wilkołakami. Najczęściej wampiry i wilkołaki niezbyt dobrze ze sobą żyją, a obie strony próbują wykroić dla siebie kawałek danego terytorium. Tylko dzięki nieustannym pertraktacjom z Barrettem, jego ojcem i dziadem zdołałam utrzymać stabilny pokój. Nie znaczy to, że od czasu do czasu nie dochodziło do drobnych konfliktów, ale przynajmniej nie przeradzały się one w ustawiczne wojny i kruche rozejmy, znane z innych regionów świata.

Barrett przeczesał sękatymi palcami krótkie zmierzwione włosy. Miał na sobie szary garnitur, bez krawata, z odpiętymi dwoma górnymi guzikami koszuli. Dochodziła druga w nocy. Sądząc po tym, jak szybko tu dotarł, mogłam

się domyślać, że wezwałam go, gdy akurat wychodził ze swojej restauracji Bella Luna na drugim końcu miasta.

- Wyglądasz okropnie – powiedział, kiedy Knox zamknął za sobą drzwi, pozostawiając nas sam na sam.

- I kto to mówi – odparłam z kąśliwym uśmieszkiem. – Ty też wyglądasz niezbyt schludnie.

- Kilka nocy temu było letnie księżycowe przesilenie. Nadal dochodzimy po tym do siebie. – Barrett nieznacznie wzruszył ramionami, ale nawet ten gest wyszedł mu jakoś sztywno i niezgrabnie.

Nie orientowałam się zbyt dokładnie w szczegółach, ale wiedziałam, że to przesilenie wypadało w pełni księżyca między letnimi a jesiennymi zbiorami i stanowiło gorący okres dla odmieńców takich jak wilkołaki. Były to trzy dni gorączkowych łowów, walk i seksu. Kiedyś droczyłam się z Barrettem, że nocnym wędrowcom księżyc nie jest potrzebny do wyznaczania czasu na orgię, że na to zawsze jesteśmy gotowi. Dziś jednak nie czułam się w nastroju do żartów. Potrzebowałam sfory Barretta i to w najlepszej kondycji.

- Jak tam rodzinka?

- Nasycona – odpowiedział, pocierając nasadę nosa. – Co jest grane, Miro? Zazwyczaj nie zajmujesz się sprawdzaniem wilkołaków o drugiej nad ranem.

- Tej nocy w Porcie zamordowano kilku ludzi. Klub częściowo spłonął, zanim przybyłam na miejsce – odparłam, starannie dobierając słowa. Barrett nie odezwał się na to, tylko skinął głową, ale usłyszałam, że wziął głęboki wdech. Nagle ściągnął krzaczaste brwi. Szybko wypuścił powietrze i nabrał je ponownie, pociągając nosem. Na jego twarzy malowało się zmieszanie. Wyczuł na mnie woń Neriana, lecz nie potrafił jej rozpoznać. Wątpiłam, czy jego ojcu by się to udało. Przetrwało tak niewielu naturi, że od lat nie widziano żadnego z nich w tych okolicach.

Umilkłam na chwilę, nie chcąc nawet szeptem wypowiadać słów, które mogły zdruzgotać jego świat, jednak nie miałam wyboru. Ściągnęłam go tutaj po to, by przynajmniej spróbował ochronić swoich pobratymców.

- Naturi uderzyli...

- To właśnie poczułem! – warknął. Ze zmarszczonym nosem postąpił dwa kroki w moim kierunku. Jego szeroko otwarte oczy zaiskrzyły się, gdy na mnie popatrzył. Rozwarł dłonie, zakrzywiając palce na kształt szponów. – Cuchniesz naturi.

- W mieście jest łowca. Przekazał mi... wystawił mi pewnego naturi z mojej przeszłości. – Urwałam ponownie i zwilżyłam językiem usta. Przypominałam sobie drastyczne szczegóły mojej dawnej niewoli u naturi, zastanawiając się, ile powinnam teraz wyjawić Barrettowi. – Ten naturi już nie żyje, ale co najmniej dwóch innych poszukuje jego i tamtego łowcę. To właśnie oni narobili bigosu w Porcie.

Barrett odszedł ode mnie w kierunku przeciwległej ściany, przyciskając dłonie do skroni, jakby miał ostry atak migreny.

- Miro... – Wypowiedziane przez niego moje imię zabrzmiało jak cichy skowyt.

- Masz jakiś plan awaryjny? – spytałam, usiłując mówić spokojnie.

Barrett obrócił się ku mnie raptownie.

- Plan awaryjny? – powtórzył. – To tak, jakbym ja cię zapytał, czy masz plan awaryjny na dzień, w którym nie zajdzie słońce. Oczywiście, że nie! Nie słyszałem o nikim, kto zetknąłby się z naturi. Znam ich tylko z opowiadań, twoich i swojego pradziada.

Czułam wzbierające w nim wzburzenie, ale zdołał zapanować nad paniką. Dla naturi wilkołaki były kimś niewiele lepszym od niewolników, pachółkami w wojnie z bori i z ludzkością. Uwięzione na styku świata zwierzęcego i ludzkiego nie miały wyboru i musiały okazywać naturi pełne posłuszeństwo.

- Skrzyknij swoją sforę i przygotuj ją do walki. Ja... Muszę na jakiś czas opuścić to miasto.

- Wyjeżdżasz teraz? Przecież to twoje terytorium! Tylko wampiry mogą walczyć z naturi! – zawołał Barrett, robiąc kilka wielkich kroków w moim kierunku. Ledwie oparłam się chęci, by położyć mu rękę na piersi i zatrzymać w przyzwoitej odległości. Nie chciałam poczuć się przytłoczona jego obecnością. Nerwy i tak miałam już napięte od czasu spotkania z Danausem i naturi; bliskość rozwścieczonego wilkołaka na pewno mnie nie uspokajała.

- Muszę zapobiec pogarszaniu się sytuacji, a nie mogę tego zrobić tutaj - rzuciłam. Wcale nie miałam ochoty wyjeżdżać. Nie chciałam pozostawiać swojego ludu. Nie miałam jednak żadnych wieści od Sabatu na temat Danausa. Nie mogłam tkwić tu beczynn timer, wyczekując, aż prześlą jakieś informacje o naturi. Wiedziałam, że większy będzie ze mnie pożytek w Starym Świecie niż w Nowym. Musiałam więc wyjechać.

- Pogarszaniu? – zapytał Barrett.

Odwrociłam oczy. Nie miałam pojęcia, co wilkołaki wiedziały o pieczęci, czy też o tym, co zaszło w Machu Picchu przed wieloma laty, ale nocni wędrowcy z zasady nie rozmawiali o tym z nikim spoza swojej rasy. Mogliśmy współdziałać ze sobą, gdyby doszło do starcia z naturi, ale nocni wędrowcy instynktownie dążyli do panowania nad innymi, a posiadanie informacji było tu sprawą najwyższej wagi. Nie mówiliśmy więc innym więcej, niż było to absolutnie niezbędne. Bez względu na to, jak szanowałam Barretta i jak mu ufałam, nie byłam w stanie przełamać narosłych przez sześćset lat uwarunkowań.

- Oni próbują powrócić – wyjaśniłam krótko. – Powiem ci więcej, gdy sama się czegoś dowiem.

Warknęłam ostrzegawczo, zanim jego ręka zetknęła się z moim tułowiem, a paznokcie zamieniły się w długie czarne szpony. Odskokczyłam do tyłu, opierając się plecami o ścianę. Choć byłam szybka, z powodu tej ściany nie mogłam od niego uciec. Poczwońska krwawa rysa pojawiła się na moich żebrach i brzuchu. Skórzany top zapobiegł głębszemu zranieniu, ale brzuch miałam zupełnie odsłonięty.

Chciałam obrzucić Barretta ostrymi słowami, ale dostrzegłam, że wpatruje się w swoją drżącą dłoń, wymazaną teraz moją krwią.

- Przepraszam, Miro. Ja... Nie wiem, jak to się stało – powiedział głosem cichym i stłumionym. Zamrugał, jego oczy zalśniły barwą ciemnej miedzi. Poczulałam ucisk w żołądku.

- Barrett? – Wciąż stałam przy ścianie, balansując na czubkach palców stóp i starając się zachować tych kilka centymetrów wolnej przestrzeni. Każdy gwałtowny ruch wydawał mi się ryzykowny.

- Myśle... Myślę, że oni tu są.

Wtedy jego oczy znowu rozbłysły. A więc naturi tu byli i zawładnęli Barrettem, czyli Alfą, przywódcą sfory z Savannah.

- Cholera! – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

Kiedy szykował się do zadania mi kolejnego ciosu ręką, rzuciłam się naprzód, nacierając z całą siłą. Oboje zwaliliśmy się na podłogę, lecz przetoczywszy się szybko, wstałam. Przyjęłam bojową postawę, opierając się plecami o jedyne drzwi. Barrett także się podniósł i przykucnął, gotów do ataku. Oczy mu lśniły, ale poza tym jego twarz była zupełnie bez wyrazu. Nie wiedział, co czyni. Miał mnie zniszczyć, gdyż taki rozkaz wpojono mu do głowy.

- Barrett, słyszysz mnie? Musisz się z tego otrząsnąć – powiedziałam twardo, jednocześnie szukając sposobu poskromienia go, bez wyrządzania mu większej krzywdy. Oprócz tego, że nigdy nie zabijałam dla samego zabijania, potrzebowałam go żywego do utrzymania dyscypliny w miejscowej sforcie.

Z głównej sali dobiegły mnie przytłumione odgłosy walki. Przypomniałam sobie, że przechodząc, widziałam dwóch wilkołaków przy barze, nie licząc bramkarza przy wejściu. Liczyć na to, że Barrett nie przyprowadził ze sobą innych? Niestety, nie mogłam równocześnie odbierać bodźców z całego otoczenia i czujnie obserwować Barretta. Innymi problemami zamierzałam zająć się później, gdy już poradzę sobie z Alfą, szefem miejscowej sfory.

Rozejrzałam się po pokoju, zwracając uwagę na znajdujące się w nim przedmioty. Skórzana kanapa, krzesło, stojąca lampa, dwa stoliki, dwa żelazne kinkiety na ścianach. Nie miałam specjalnego wyboru. Musiałam go obezwładnić, zanim przejdę do głównej sali i tam uporam się z naturi.

Barrett rzucił się na mnie, warcząc, a z palców obu jego dłoni sterczały teraz długie szpony. Uchyliłam się w bok, nurkując pod jego wyciągniętymi rękami. Gdy mnie mijał, kopnęłam go, rzucając na ścianę. Potrzebowałam pewnej swobody ruchów. Barrett nie mógł się przeistoczyć. Zabrałoby mu to zbyt dużo czasu i dałoby mi okazję do ataku. Jednak mimo ludzkiej postaci był nadzwyczaj szybki i silny.

Odepchnął się od ściany i rzucił się na mnie. Okazałam się o ułamek sekundy za wolna. Runęliśmy na podłogę, spleceni ze sobą, a jego długie zęby natychmiast zacisnęły mi się na gardle. Czułam, jak jego zębiska przebijają mi skórę, a ostry ból przeszył mnie całą. Krzycząc, wyrwałam rękę spod jego

cielska i zdzieliłam go w bok. Pod wpływem tego ciosu pięścią pękły mu co najmniej trzy żebra. Jęknął, ale jeszcze mocniej zatopił zęby w mojej szyi.

Czułam, że maści mi się wzrok. Zamachnęłam się i uderzyłam Barretta znowu, tym razem celując w nerki. Wrzasnął, puszczając w końcu moją krtań. Zepchnęłam go z siebie. Tłumiąc nową falę bólu, stanęłam na nogi i złapałam go za klapy marynarki. Jego przystojna twarz była pochlapana moją krwią, a oczy lśniły nieziemskim, miedzianym blaskiem. Jego wielka dłoń zacisnęła mi się na nadgarstkach, próbując je pogruchotać, ale nie dopuściłam do tego. Cisnęłam nim o ścianę, chcąc pozbawić go przytomności.

Nie udało się. Albo miał za mocną czaszkę, albo też natura wilkołaka czyniła go takim twardym. Znów grzmotnęłam nim o ścianę, gruchocząc deski. Trzecie uderzenie zamroczyło go nieco, ale wciąż pozostawał przytomny.

Rzuciłam Barretta na podłogę, wzięłam jeden z żelaznych kinkietów i uderzyłam go w tył głowy. Osunął się bezwładnie jak wór pełen martwych ryb. Roztrzaskałam mu czaszkę, ale nadal mogłam dosłyszeć bicie jego serca. Miał przeżyć.

Zaciskając zęby, odstaąpiłam od niego o krok, wciąż ściskając w dłoni kinkiet. Krew nadal ściekała mi z rany na gardle, która powoli, z trudem się zasklepiiała. Stłumiony ryk rozbrzmiał mi w piersi i odbił się echem w mózgu. Łaknęłam Krwi Barretta i miałam poczuć się zaspokojona dopiero wtedy, gdy wykrwawię go zupełnie.

Zrobiłam jeszcze jeden krok do tyłu. Zmobilizowałam wszystkie siły, żeby odwrócić się od niego i podejść do drzwi. Żądza krwi płonęła we mnie i aby ją ugasić, musiałam w końcu kogoś zabić.

Powoli otworzywszy drzwi, zajrzałam do głównej sali. Panował w niej zupełny zamęt. Kotary były porwane, stoliki powywracane i mogłam dostrzec co najmniej pięć martwych ciał. Natychmiast się zorientowałam, że dwa z nich to zwłoki nocnych wędrowców. Wyjście blokowali dwaj naturi. Po co się tutaj zjawili? Przecież nie było tu Danausa.

Żeby położyć kres tej walce, należało unieszkodliwić naturi. To oni stanowili największe zagrożenie. Wyzwalając swoje moce, namierzyłam Knoxa, ale wolałam nie zdradzać swojej obecności. Knox walczył z jakimś wilkołakiem. Czułam wzbierającą w nim wściekłość, jednak nadal trzeźwo rozumował.

Proszę, nie zabijaj go, powiedziałam w myśli.

Dzięki Bogu! – usłyszałam westchnienie ulgi Knoxa, gdy zorientował się, że wciąż żyję.

Zabij naturi, a wtedy wilkołaki przestaną walczyć, poleciłam mu.

Próbowałem to zrobić. Zabili Rolanda i Adama.

Rozumiem. Trzymaj wilkołaki z dala ode mnie.

Po cichu zesłam po schodach do holu i stanęłam na skraju głównej sali. Walka natychmiast przybrała inny obrót. Dwaj naturi spostrzegli mnie i uśmiechnęli się. Jeden z nich pochodził najwyraźniej ze zwierzęcego klanu. Miał takie same szerokie kości policzkowe jak Nerian oraz ciemne zmierzwione włosy. Kiwnął

ręką, a cztery wilkołaki z parkietu tanecznego od razu spojrzwały na mnie. Oderwały się od swoich przeciwników, żeby mnie zaatakować.

Mimo woli zrobiłam krok do tyłu. Naturi przyszli po mnie. Nie po Neriana. Nie po Danausa. Poszukiwali właśnie mnie.

Zanim wilkołaki zdołały postąpić dwa kroki naprzód, wampiry rzuciły się na nie i obaliły na posadzkę. Okropne odgłosy rozrywanego ciała i łamanych kości zagłuszone były przez wstrząsające okrzyki bólu. Knox, wypełniając moje polecenia, kazał innym walczyć z wilkołakami. Kiedy jednak wyszło na jaw, że to ja stanowię główny cel, zmienił rozkazy, aby chronić mnie za wszelką cenę. Cztery wilkołaki padły trupem, pokonane przez liczniejsze i silniejsze wampiry.

Wytworzyłam na lewej dłoni ognistą kulę i cisnęłam nią w dwóch naturii, którzy zbliżali się powoli. Ogień jednak nie dotarł do nich. Jeden z naturi z wdziękiem uniósł rękę. Ognista kula doleciała do niego i zgasła. Przyjrzałam się uważniej temu stworowi. Wysoki i wiotki jak delikatna wierzba, miał skórę białą niczym śnieg, a włosy opadały mu na ramiona jedwabistymi, złocistymi falami. Gdyby słońce potrafiło płakać, można by powiedzieć, że powstał ze słonecznej łzy. Wywodził się z klanu światła, co poważnie mnie zaniepokoiło. W jego obecności nie byłam w stanie wykorzystać swoich zdolności do używania ognia jako broni.

Musiałam go jakoś powstrzymać.

- Tej nocy zabiłam już Neriana! – krzyknęłam do nich beztróskim głosem. – Zabiliśmy czterech waszych nieszczęsnych pacholków. Daję wam ostatnią szansę opuszczenia mojego terytorium, póki jeszcze możecie chodzić. – Mówiąc to, wyczarowałam na lewej dłoni następną kulę ognia.

Naturi z klanu światła i tym razem zgasił ją, chroniąc siebie i swojego towarzysza.

- Mylisz się, Krzesicielko Ognia. To my dajemy ci jedyną szansę – odrzekł. Jego głos był ciepły niczym poranne promyki letniego słońca. – Chodź z nami, a oszczędzimy wszystkie wampiry na twoim terenie.

Uśmiech zniknął z mojej twarzy. Tym razem jasne ogniste kule pojawiły się na obu moich dłoniach. Szybko cisnęłam nimi w stronę naturi z klanu światła. Kiwnięciem ręki bez trudu zgasił ogień, ale nie powstrzymał żelaznego kinkietu, ukrytego w drugiej z ognistych kul. Ten ciężki metalowy przedmiot uderzył naturi w pierś, odrzucając go, ugiętego wpół, na ścianę. Nie miałam wątpliwości, że zginął na miejscu.

Drugi naturi tylko warknął i rzucił się w kierunku wyjścia. Pozbawiony ochrony towarzysza z klanu światła, nie miał żadnych szans w konfrontacji z pięćdziesięcioma nocnymi wędrowcami i Krzesicielką Ognia. Mając do czynienia z członkiem klanu światła, nieustannie krążącym wokół mojego cienia, nie byłam w stanie użyć przeciwko nim swoich mocy. Po tygodniu osłabłabym tak, że nie mogłabym nawet zapalić świecy.

Teraz, pozbywszy się zagrożenia, weszłam na parkiet i przystąpiłam do oceny strat i zniszczeń. Chciałam przeczesać rękami włosy, ale powstrzymałam

się przed tym, widząc na nich zaschniętą krew Neriana. Drżałam z bólu, wyczerpania i z powodu utraty krwi. Jednak nocni wędrowcy, którzy na mnie patrzyli, wyglądali jeszcze gorzej. Wydawali się zmieszani, przerażeni; wielu przywarło do siebie nawzajem albo klęczało przy zabitych. Dwa wampiry, których zidentyfikowałam jako Rolanda i Adama, miały dziury w klatkach piersiowych, w miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się ich serca. Dwa inne trupy leżały na podłożu w nienaturalnych pozycjach, pozbawione głów.

Ciała czterech wilkołaków były strasznie zmasakrowane, zalane krwią. Nikt koło nich nie stał. Linia podziału w tym konflikcie już się zarysowała, ale nie tak jak należało.

- Miro?

Uniosłam głowę i ujrzałam Knoxa. Jego marynarska koszula była rozdarta w kilku miejscach, a na ramionach i piersi zasklepiąło się kilka powierzchownych zranień.

- Ile ofiar? – spytałam cicho, spoglądając znów na pobojozwoisko.

- Sześciu nocnych wędrowców i pięciu wilkołaków, chyba że i Barrett...

- Nie – odrzekłam ostro, a potem wzięłam oddech i ściszyłam głos. – On dojdzie do siebie.

- Ale dlaczego to się stało? – usłyszałam czyjś szept. Postanowiłam przystąpić do działania, a moje obcasy zastukały złowieszczo na zimnej posadzce.

- Chcecie wiedzieć, dlaczego oni to zrobili? – zapytałam donośnie.

Rozejrzałam się dokoła, upewniając się, że każdy z tych nocnych wędrowców na mnie patrzy. – Nie mieli wyjścia. To naturi! – Wskazałam przez ramię na ciało martwego naturi. – Niektórzy naturi potrafią kontrolować wilkołaków. Wilkołaki nie mają wyboru i muszą się słuchać naturi. To nie wina wilkołaków.

- Trzeba pozabijać wilkołaki – powiedział ktoś głuchym głosem.

Przemknęłam przez salę, schwyciłam tego, co to rzekł, za gardło i grzmotnęłam nim o przepierzenie oddzielające dwa restauracyjne boksy.

- Nie! Zabijajcie naturi! Jak ich zgładzicie, wilkołaki odzyskają wolność. A wtedy i my będziemy wolni. – Puściłam tego nocnego wędrowca dopiero wtedy, gdy skinął potakująco głową, i zwróciłam się do pozostałych. - Jeśli pozabijacie wilkołaki, naturi nadal będą na was czyhać, żeby powyrywać wam serca.

Podeszłam do jednego z boksów, w którym stolik wciąż był nakryty serwetą; ściągnęłam ją i zarzuciłam na zwłoki jednego z wilkołaków. Donalda Morelanda. To on pilnował wcześniej wejścia.

- Rozgłoście dokoła, że jeśli po dzisiejszej nocy ktoś zaatakuje wilkołaka, to osobiście wystawię go na słońce – oznajmiłam cicho. – Nikomu nie wolno chodzić na bagna ani na inne tereny wilkołaków bez mojego wyraźnego zezwolenia. Pozostaniecie w mieście. Niech nikt nie poluje sam.

- A co z naturi?

Spojrzałam w górę, wprost w oczy Knoxa.

- Wyjadę jutro, żeby poinformować Starszyznę o tym, co się dzieje. Naturi podążą za mną.

Kiedy wampiry zajęły się usuwaniem zwłok, zabrałam Barretta do swojego domu znajdującego się kilka przecznic dalej i czekałam tam, aż się przebudzi. Wstrząśnięty i przybiły wieściami o tym, co zaszło, Barrett, czyli Alfa, szef sfory wilkołaków, opuścił mój miejski dom na godzinę przed świtem. On i Knox mieli próbować utrzymać spokój podczas mojej nieobecności, ale wiedzieliśmy, że jest już źle. Nocni wędrowcy mieli dobrą pamięć. Przyszłe pokolenia wilkołaków będą mogły przebywać na moim terytorium, ale obie nasze rasy bezpowrotnie straciły zaufanie do siebie. I ja, i Barrett wiedzieliśmy, że w ciągu kilku następnych lat emocje dadzą o sobie znać. Pomimo faktu, że wilkołaki w takim samym stopniu jak nocni wędrowcy padły ofiarą dzisiejszej jatki, ktoś mógł wykorzystać napaść na Ciemnię jako pretekst do ataku.

Przekłęci naturi! Niech też szlag trafi Danausa za to, że sprowadził ich na mój teren. Świadomie lub nie zrujnował kruchy spokój, o który dbałam przez całe dziesięciolecie.

Po zejściu do swojej podziemnej kryjówki, gdy słońce zaczęło się wyłaniać na horyzoncie, zajęłam się rozważaniami, które wcześniej od siebie odsuwałam. Naturi mnie szukali. Tabor nie żył, a Jabari gdzieś przepadł; nie wiedziałam, czy żyje, czy też nie. Sadira, jako jedyny członek triady, nadal żyła, o czym byłam przekonana. Tylko garstka nocnych wędrowców spoza triady przeżyła bitwę na Machu Picchu, do jakiej doszło przed wiekami. Czy naturi ścigali ich po to, żeby się upewnić, że nie będziemy mogli już ich powstrzymać?

Danaus wiedział o naturi. Wiedział też o ofiarach składanych w Indiach. Wiedział, że byłam w Machu Picchu i potrafił mnie odnaleźć. Wiedział stanowczo za dużo. Zamierzałam zabrać go ze sobą. Przekonać się, skąd ma te wszystkie informacje. A kiedy już się upewnię, że wiem to wszystko, co on, wtedy go zabiję.

Rozdział 8

Czarna limuzyna zatrzymała się na rogu tuż po dziesiątej wieczorem. Znajdowaliśmy się w dzielnicy, którą nazywałam teatralną, choć działał tu tylko teatr Johnny'ego Mercera. Mieścił się on w wielkim gmachu z wysokim łukowym frontonem, który przylegał do budynku Civic Center Arena. W pięknych parkach rosły tu wysokie dęby pokryte porostami zwanymi hiszpańskim mchem.

Obok znajdowała się enklawa japiszonów. Wszyscy szpanerzy pokazywali się w tej okolicy. A łowca wyróżniał się wśród nich jak brudny uliczny włóczęga.

Nie zależało mi na tym, aby tak bardzo się odznaczał, jednak nie chciałam też, by wtapiał się zbyt w otoczenie. Róg ulic Hulla i Jeffersona znajdował

się w pobliżu zabytkowej dzielnicy, a wszyscy wiedzieli, gdzie jest Civic Center. Odszukanie tego budynku nie powinno nastęczyć mu trudności. Głównie na tym mi zależało.

Danaus stał na rogu, poza światłem ulicznej latarni, wciąż w swoim czarnym skórzanym płaszczu. Tylko pod nim mógł ukryć cały swój arsenał. Czarny worek marynarski leżał u jego stóp i miałam przecucie, że znajdują się w nim nie tylko ciuchy na zmianę. Dobrze, że nie musiałam mu wyjawiać, iż wybieramy się w podróż. Oczywiście oboje wiedzieliśmy, że następna rytualna ofiara nie tutaj zostanie złożona. Należało się stąd ruszyć i doprowadzić do spotkania triady.

Z limuzyny wysiadł szofer i obszedł wóz, żeby otworzyć Danausowi drzwi. Łowca zerknął na auto i na kierowcę z nieufną miną.

- Pan Smith? - zapytał szofer, wskazując ręką wewnątrz samochodu. Wcześniej poinformowałam go, że ma zabrać z rogu ulic Hulla i Jeffersona ciemnowłosego dżentelmena, niejakiego pana Smitha.

Powstrzymując śmiech, odezwałam się do Danausa z zaciemnionego wnętrza limuzyny.

- Wsiadaj, Danausie.

Kierowca wziął worek Danausa i umieścił go w bagażniku pod czujnym spojrzeniem jego właściciela. Kiedy został starannie zapakowany, Danaus wsiadł do auta i zajął miejsce naprzeciwko mnie.

Gdy usadowił się wygodnie na fotelu obitym miękką skórą, przyjrzał mi się uważnie. Zaśmiałam się, gdy jeszcze bardziej ściągnął brwi. Każdy inny rozdziawiłby usta ze zdumienia, ale Danaus po mistrzowsku panował nad swoimi emocjami. Byłby z niego świetny nocny wędrowiec, jednak miałam wrażenie, że wampiryzm nie jest rzeczą dla niego.

Rozsiałam się wygodnie, ubrana w luźne czarne spodnie i czarny blezer na ciemnofioletowej koszuli. Kasztanowe włosy starannie upięłam z tyłu głowy, odsłaniając wysokie kości policzkowe na bladej twarzy. Na nosie miałam okulary słoneczne z liliowymi szklami. W trakcie naszych dwóch poprzednich spotkań ubrana byłam w swój typowy skórzany strój, dość skąpy zresztą. Tym razem musiałam załatwić formalności związane z podróżą przy pomocy swojej asystentki ze świata ludzi, a ona potrzebowała zapewnienia, że jej pracodawczyni to normalna kobieta interesu.

Danaus zmierzył mnie wekiem, a ja odruchowo podniosłam rękę, dotykając palcami blizny nad obojczykiem po prawej stronie szyi. Ukąszenie Barretta nie zagoiło się jeszcze od zeszłej nocy. Nocni wędrowcy rzadko miewali blizny, ale pojawiały się one czasami, gdy wampirowi brakowało krwi i odpoczynku, podczas tamtej walki straciłam zbyt dużo krwi, a po rozstaniu z Barrettem miałam już za mało czasu na łowy. Szramy na mojej szyi były pierwszymi bliznami, odkąd się odrodziłam, lecz prowadziłam takie życie, że pewnie pojawią się następne.

- Panie Smith... – zaczęłam i urwałam. Walczyłam z pokusą, by się uśmiechnąć, odsłaniając kły. Po wydarzeniach z zeszłej nocy chciałam jakoś poprawić sobie nastrój. – To moja asystentka, Charlotte Godwin – podjęłam, wskazując na drobną kobietę, która siedziała obok niego.

Charlotte wyciągnęła rękę na powitanie, ale Danaus tylko skinął jej głową i znowu zwrócił ku mnie swoje ponure spojrzenie.

- Pani Godwin wysiądzie kilka przecznic dalej. Postanowiła pojechać z nami, żeby skłonić mnie do przejrzenia pewnych dokumentów.

- To dlatego, że tak trudno umówić się z panią na spotkanie, pani Jones - odparła Charlotte, szczupła brunetka o oczach koloru czekolady. Wypowiedziała te słowa z uroczym południowym akcentem. Miała na sobie zielonkawy kostium, wyglądała bardzo schludnie i profesjonalnie. Długimi palcami obejmowała plik papierów leżący na jej kolanach.

Danaus uniósł w zdziwieniu brwi, kiedy Charlotte zwróciła się do mnie po nazwisku. Było ono w oczywisty sposób zmyślane, nieprawdziwe.

Obojętnym machnięciem ręki próbowałam zignorować ten temat.

- To zupełnie zbyteczne. Sama pani świetnie sobie ze wszystkim radzi.

- Jednak inwestorzy bardzo chcą wiedzieć, dlaczego nie aprobeje pani tej ekspedycji geologicznej do Peru – odparła Charlotte.

- Chcieliby przekopać całą Świętą Dolinę, a ja do tego nie dopuszczę. Jeżeli zamierzają pocić się w słońcu, niech wybiorą jakiś inny kraj. Na przykład Chile – powiedziałam wyglądając przez okno, obserwowałam przemykające miasto, pełne barw i nocnych świateł. Wchodziłam w skład konsorcjum inwestorów kierującego firmą zajmującą się wydobywaniem złota. Zarobiliśmy już mnóstwo pieniędzy, a teraz pozostali członkowie zarządu postanowili dotrzeć do serca dawnego państwa Inków. Zainteresowali się górami w okolicach Machu Picchu. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego.

- Nie będą zachwyceni. – Cichy głos Charlotte zmącił moje przykre wspomnienia.

- Proszę im przekazać, żeby skontaktowali się bezpośrednio ze mną.

Charlotte oderwała wzrok od moich oczu, zerkając ponownie na stos papierów na swoich kolanach. Na szczęście dla niej limuzyna zatrzymała się na chodniku przed szeregiem biurowców w sercu śródmieścia. Charlotte prowadziła biura w Savannah i w Charleston, w których panowała niepodzielnie, dopóki nie musiała kontaktować się ze mną.

Pewnie było to dla niej frustrujące. Miała własne asystentki i na co dzień podejmowała decyzje dotyczące wielu milionów dolarów. Pieniądze te należały głównie do mnie, choć zarządzała kilkoma innymi spółkami, z którymi miałam powiązania. A mimo to nadal musiała stawiać się na każde moje żądanie. Zeszłej nocy zadzwoniłam do niej o czwartej nad ranem ze swojego miejskiego domu, kiedy czekałam, aż Barrett oprzytomnieje, i zażądałam, aby zorganizowała mi dzisiejszą podróż. Wiedziałam, że Charlotte upora się z

większością spraw do świtu. Bez względu na to, jak awansowała i ile zarabiała, wciąż pozostawała kimś w rodzaju mojej służącej.

Subtelna brunetka o blad różowej cerze uporządkowała dokumenty i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Życzę udanej podróży. Sama marzę o tym, żeby zobaczyć piramidy – powiedziała jednym tchem.

- Dziękuję – odrzekłam. – Skontaktuję się z panią za kilka dni w kwestii podróży.

Poderwała raptownie głowę i znów spojrzała mi w oczy.

- Powrotnej?

- Mam taką nadzieję. Odezwę się wkrótce. Kiwnęła głową i wyskoczyła z auta, kiedy kierowca otworzył jej drzwi. Mój cichy śmiech pomknął za nią na ulicę.

Danaus odczekał, aż szofer zamknie drzwi, i wtedy się odezwał:

- Ona nie wie?

- Nie, nie wie, kim jestem. Boi się tylko, żeby nie stracić pracy.

- Chyba chodzi o coś jeszcze.

- Naprawdę? - Rozparłam się na siedzeniu i wyciągnęłam do przodu nogi, krzyżując je w kostkach. Zarzuciłam lewą rękę na oparcie fotela i zaczęłam powoli wyrysowywać palcem wskazującym na jego skórzanym obiciu symbol nieskończoności. – Czego jeszcze może się bać?

- Utraty duszy.

Zaśmiałam się, wyzwalając swoje moce. Przypominało to rozluźnienie mięśni po napinaniu ich przez długi czas. Starłam się trzymać swoje moce w ryzach, gdy Charlotte znajdowała się w pobliżu. Wprawdzie jako istota ludzka nie była w stanie ich wyczuć, ale instynkt samozachowawczy, typowy dla wszystkich ludzi, mógł coś wychwycić. Zrozumiałaby wtedy, że jest we mnie coś nadnaturalnego.

Danaus wzdrygnął się pod tą nieoczekiwaną falą mocy. Jako łowca czuł się dużo pewniej ze sztyletem w dłoni, ale nadal starał się zachowywać w sposób cywilizowany, tak jak wcześniej w obecności uroczej Charlotte. Gdy tylko szofer siadł ponownie za kierownicą, powściągnęłam swoje moce. Chociaż szklana przegroda tłumiała nasze słowa, nie stanowiłyby przeszkody dla tych sił.

Włączyliśmy się ponownie w ruch uliczny i skierowaliśmy na drogę prowadzącą za miasto. Widziałam przelotnie odbłask rzeki, kiedy przejeżdżaliśmy przez duże skrzyżowania. Odkąd przebudziłam się tego wieczoru, od czasu do czasu rozglądałam się wokoło, roztaczając swoje moce tak daleko, jak tylko mogłam. Po zachodzie słońca wszystkie wilkołaki znalazły się w okolicznych wioskach, natomiast wszyscy nocni wędrowcy ściągnęli do miasta. Barrett zmienił nawet godziny pracy swojej restauracji, którą zamykano teraz przed zachodem słońca. Choć bardzo nie podobało się to zarówno im, jak i nam, nakreśliliśmy granice oddzielające nasze rasy. Po pokonaniu naturi Barrett

i ja przystąpimy do odbudowy wzajemnego zaufania między wilkołakami a wampirami.

- Wybieramy się do Egiptu? - zapytał Danaus.

- Miałam nadzieję, że pozostanie to niespodzianką. – Zamilkłam na chwilę, gdyż chciałam się przekonać, czy Danaus zażąda więcej informacji, ale okazał się bardzo cierpliwą istotą. – Lecimy do Luksoru, z krótkim międzylądowaniem w Paryżu. Z Luksoru popłyniemy barką po Nilu do Asuanu.

- Szybciej byłoby samochodem, a w ogóle dlaczego nie polecimy wprost do Asuanu?

- To prawda. – Kiwnęłam głową, spoglądając znowu na swoje niespokojne palce rysujące znak nieskończoności. – Podróżujesz jednak z wampirzycą, należy więc przestrzegać pewnych... rytuałów. Wkraczam na terytorium Starszyny, gdzie powinnam przemieszczać się bez pośpiechu z należytych szacunkiem dla nich. Nikt nie udaje się wprost do siedziby Starszych. Byłaby to oznaka agresywnych zamiarów.

- Jak mi się zdaje, powiedziałaś, że Jabari nie żyje?

Szybko spojrzałam na twarz Danausa.

- A więc ty go nie zabiłeś. Powątpiewałam w te pogłoski.

- Byłem w Egipcie krótko i nie widziałem się z Jabarim.

Sięgające do ramion włosy przesłoniły jego policzek, rzucając cień na oczy.

- Nie wiem, czego się spodziewać – powiedziałam, wzruszając ramionami i wyglądając przez okno wozu. Po osiągnięciu przez nocnych wędrowców pewnego wieku niemal każdy ich gest nabierał wytworności. – Jabari zniknął. Nie szukałam go, ale sądzę, że mógł pozostawić pewne cenne informacje, na przykład dzienniki z opisem pieczęci i triady. Od tego trzeba zacząć. Należy jednak postępować ostrożnie. Jeżeli się pojawi, wolę nie utracić jego łask.

- Moja obecność nie będzie temu sprzyjała.

- Nie, nie będzie.

Nie miało sensu tłumaczenie mu, że w razie potrzeby zamierzam przekazać go Jabariemu lub Sabatowi. Niech wyciągną z niego odpowiednie informacje. Wprawdzie wolałabym to zrobić sama, ale nie miałam czasu do stracenia i musiałam pilnować własnych spraw. Moje terytorium zaczęło się rozpadać.

Opuściłam wzrok i zobaczyłam, że nieświadomie zaczęłam się bawić srebrną obrączką na serdecznym palcu. Był to podarunek od kochanka sprzed lat, z wygrawerowanymi ozdobami, które przypominały fale oceanu. Ten grecki wzorek przywoływał dawne wspomnienia.

Danaus nie podejmował rozmowy i wyglądał przez szybę. Zastanawiałam się, co dzieje się w jego głowie. Dobrowolnie podążał do siedziby wrogów. Po co? Mógł się ulotnić po tym, jak pokazał mi tamte zdjęcia; pozostawić rozwiązanie całej sprawy nocnym wędrowcom. Naturalnie wątpiłam, żeby wierzył w to, iż sami damy sobie z tym radę. Żałowałam, że nie wiem, na ile rozumie powagę sytuacji. A jednak wszelkie moje pytania mogły dać temu łowcy wampirów cenny, śmiertelnie niebezpieczny wgląd w nasz świat.

Prostując nogi, rozparłam się na siedzeniu. Na razie nie miałam zamiaru się tym przejmować. Jeśli odnajdę Jabarię, on sobie z tym poradzi. A jeżeli go nie odszukam, In dotrę do Sadiry. Nie widziałam jej od czasów tamtej nocy w Machu Picchu i nie paliłam się zbytnio do ponownego spotkania z nią. Nasze relacje nigdy nie były najlepsze w trakcie stulecia, które spędziłyśmy razem. Ona chciała mnie kontrolować, ja dążyłam do niezależności, a tylko jedna z nas mogła postawić na swoim. W efekcie doszło do kilku ostrych starć, pozostały po nich urazy, których nawet pięć wieków nie zdołało zagoić.

- Napotkałeś naturi zeszłej nocy? – spytałam, z trudem odpędzając od siebie myśli o swojej stwórczyni.

- Nie. A ty?

Zacisnęłam zęby tak mocno, aż poczułam tępy ból w szczęcie. Zanim opuściłam Ciemnię, naliczono siedmiu zabitych nocnych wędrowców, sześć martwych wilkołaków i dziewięć ofiar spośród ludzi oraz tylko dwóch unicestwionych naturi. Co się stanie, kiedy naturi masowo powrócą do tego świata?

- Dwóch z nich napadło na Port, zabijając kilka osób. Później zjawili się Ciemni. Zginęło tam kilku nocnych wędrowców i wilkołaków.

- Przykro mi.

- Tak... – Zaskoczona jego słowami wypowiedzianymi poważnym tonem, znów na niego spojrzałam. – Mnie też.

Dotarliśmy w milczeniu na niemal opustoszały pas startowy oddalony od miasta o prawie pół godziny jazdy. Czekał tam na nas mój prywatny odrzutowiec, już zatankowany. Wolałam podróżować w taki sposób. Załadunek bagażu na pokład i rozładunek mógł się odbywać z dala od wścibskich oczu ludzi przebywających na wielkich lotniskach.

Limuzyna zatrzymała się kilka metrów od samolotu, a kierowca wyskoczył z wozu, nie gasząc silnika. Tej nocy nie miał już więcej zleceń i wyczuwałam, jak mu pilno, żeby mieć to z głowy. Podwożenie dziwnych osób na odległe lotniska nie należało do jego codziennych obowiązków. Otworzył mi drzwi i skłonił głowę, jak gdyby wyczuwając moją moc i władzę. Uśmiechnęłam się i wsunęłam mu w dłoń pięćdziesięciodolarowy banknot; ceniłam dobrą obsługę. Zamyślony Danaus ruszył bez słowa za mną, a szofer zaczął pospiesznie przenosić nasze bagaże.

W odległości kilku kroków od limuzyny Danaus sięgnął po jeden z noży, które nosił przy boku. W uspokajającym geście położyłam mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęłam się. Chodziło o to, że chwilę wcześniej dostrzegł dwóch postawnych mężczyzn stojących po obu stronach schodków wiodących na pokład odrzutowca. Obaj mieli na obcisłych czarnych koszulkach kabury z pistoletami, a na udach noże w pochwach.

- Spokojnie – powiedziałam, poklepując go po ramieniu. – To moja obstawa. – Przystanął, z ręką na nożu. – Nie lubię latać bez ochrony.

Puścił nóż i ruszył znowu o krok za mną. Uśmiechnęłam się do dwóch ochroniarzy i przesunęłam dłonią po klatce piersiowej tego po prawej, gdy zaczęłam wchodzić po schodkach do odrzutowca.

- Zaczekaj – odezwał się Danaus. – Jesteśmy obserwowani.

Odwróciłam się z nogą na pierwszym stopniu, wsparta na ramieniu jednego z ochroniarzy. Wysyłając swoje moce, przeszukałam okolicę. Wokoło rozpościerała się ciemna noc, a pustkowie okalała tylko cienka linia drzew. Wszyscy ludzie przebywający w pobliżu byli tutaj zatrudnieni, a najbliższy nocny wędrowiec znajdował się prawie osiemdziesiąt kilometrów stąd. Nie wyczuwałam nikogo innego i przebiegł mi po plecach chłodny dreszcz. Czy to Rowe na mnie poluje?

- Niech sobie patrzą - powiedziałam. - Chodźmy już.

Siląc się na beztroskę, weszłam po schodkach do samolotu.

Zdjęłam z siebie blezer i rzuciłam go na oparcie jednego z białych skórzanych foteli. Ten samolot, istny cud techniki, sprawiał, że na jego widok zachciewało mi się więcej podróżować. W przedniej części kabiny pasażerskiej miał po bokach dwie ławy obite miękką białą skórą. Naprzeciwko nich stały dwa fotele. Podłoga wyłożona była grubym, kremowym dywanem wygłuszającym odgłosy kroków. Z tyłu znajdował się barek z lodówką i kuchenką mikrofalową oraz jeszcze kilka siedzeń. Nigdy nie korzystałam z tego barku, ale moi ochroniarze lubili tam zaglądać w trakcie długich lotów. W samym końcu kadłuba była zamykana na klucz kabina z łóżkiem.

Rozciągnęłam się na jednej z ławek, a Danaus zajął fotel naprzeciwko. Dzięki temu miał na oku mnie i moich pomocników. Po raz pierwszy wydawał się trochę niespokojny. Wątpiłam, by bał się latania. Raczej zaczynało do niego docierać, w jakim położeniu się znalazł. Nie mógł się z tego wyplątać bez walki. A co gorsza musiał zdać się na wampirzycę, by przeprowadziła go przez ten najeżony pułapkami labirynt.

Po zamknięciu drzwi kabiny piloci uruchomili silnik. Mój ochroniarz, Michael, podszedł i przyklęknął koło mnie. Był przystojnym facetem przed trzydziestką, z pięknymi blond lokami opadającymi mu na ramiona. Dzięki nim wyglądał jeszcze młodziej. Ochraniał mnie od pięciu lat.

A przez trzy ostatnie lata dotrzymywał mi też towarzystwa, chroniąc przed samotnością. Rozśmieszał mnie i zapewniał mi rozrywkę, gdy noce ciągnęły się bez końca jak bezkresna syberyjska tundra. Jednak nic ponadto nas nie łączyło. Choć bardzo się starałam, nie potrafiłam oddać serca istocie, którą musiałam strzec przed samą sobą i przed mnie podobnymi. Niektórym nocnym wędrowcom to się udawało. Znana historia... Kilkusetletni wampir zakochuje się w ludzkiej istocie i przeobraża ją w nocnego wędrowca, aby spędzić razem wieczność. No, tak. Małżeństwa wśród ludzi trwają najwyżej kilkadziesiąt lat. Czy naprawdę można uwierzyć, że para wampirów przetrwa razem przez wieki? Czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Tłumiąc ciężkie westchnienie, uśmiechnęłam się do Michaela, gładząc go dłonią po włosach i muskając po policzku. Przytrzymał moją rękę, tak że pod palcami wyczułam puls na jego szyi. Przymknęłam powieki, przez parę sekund dając się ponieść słodkim marzeniom. Rozwarłam lekko usta i dotknęłam czubkiem języka swoich kłów. Głodne pragnienie obudziło się w mojej piersi, ale zdusiłam je, przesuwając dłoń z powrotem ku twarzy Michaela.

- Nie teraz, kochany – szepnęłam, otwierając oczy. – Będziesz mi potrzebny, kiedy dotrzemy do Asuanu.

Michael pochylił głowę i złożył pocałunek na mojej dłoni, a potem wstał. Odwrócił się, przeszedł na tył kabiny i zajął tam miejsce obok drugiego strażnika. Gabriel, o ciemnych włosach, służył jako mój ochroniarz od ponad dziesięciu lat, lecz wciąż nie potrafił się wyzbyć błysku zazdrości w oczach. W przeszłości dokarmiałam się krwią ich obu i żaden z nich się nie skarżył.

Danaus mruknął ponuro:

- Dawca krwi?

- Dotarcie do Asuanu zajmie nam prawie dobę. Nie chcę znaleźć się tam osłabiona i głodna.

- Obaj wiedzą?

- Pomogli mi kiedyś, gdy byłam w potrzebie. – Zobaczyłam, jak Danaus ściąga brwi na te słowa. Sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

- Co cię tak zdziwiło? Czy to, że ludzka istota może się zdobyć na coś takiego?

Wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Możesz się pożywiać bez zabijania?

- Oczywiście.

- Myślałem, że musicie zabijać, aby przeżyć.

- Gdyby tak było, już dawno wytepełilibyśmy całą ludzkość. – Pokręciłam głową, a potem odgarnęłam za ucho spadający kosmyk włosów. Sądziłam, że nikt już nie wierzy w ten dawny przesąd, ale najwyraźniej nie odnosiło się to do Danausa ani do grupy, z której się wywodził. – Czasem wampiry naprawdę zabijają, ale najczęściej nieumyślnie. W dzisiejszej dobie testów DNA i odcisków palców trudno jest zabić, a potem ukryć gdzieś zwłoki. Musimy strzec naszej tajemnicy, więc odżywiamy się roztropnie.

- Jednak niektóre wampiry nadal zabijają dla sportu. -Zacisnął dłonie na krawędzi fotela.

- Owszem, ale tępiły takich. – Osobiście zlikwidowałam niejednego z nocnych wędrowców, którzy stali się nieobliczalni. Wiedziałam, jak współżyć z ludźmi. Lubiłam takie życie.

Gdy tak patrzyłam na swojego towarzysza podróży, nasza mnie nowa zaskakująca refleksja:

- Nie rozmawiałeś z wieloma z nas, prawda?

Danaus prychnął i pokręcił przecząco głową, prostując się znowu i swobodnie kładąc ręce na kolanach.

- A co? Próbujesz mnie przekonać, że nie jesteście bezdusznymi zabójcami i nie rozsiewacie zła, przeobrażane ludzi w wampiry? Nerian miał rację: pasożytujecie na ludzkości, a zależy wam tylko na zaspokojeniu swoich pragnień.

Odchyliłam w tył głowę i zaśmiałam się, przesłaniając dłonią oczy.

- A czy pod tym względem aż tak bardzo różnimy się od ludzi? – Położyłam dłoń na skórzanym siedzeniu, w które zaczęłam lekko stukać paznokciami. – Czy słowa, które właśnie wypowiedziałeś, nie opisują przypadkiem ludzkości? Stworzeń, które żerują na innych, dając upust własnym żądzom?

Zamilkł, nie podejmując tematu, gdy samolot wzbił się w powietrze. Oboje mieliśmy własne sprawy na głowie, ale Danaus wciąż mnie intrygował. Miałam teraz do dyspozycji kilka godzin na rozgryzienie go.

- Kim właściwie jesteś, Danausie? – zapytałam. Spojrzał ponad moim ramieniem w boczne okienka, unikając mojego wzroku. – Zadaję sobie to pytanie już od ponad miesiąca – kontynuowałam, ignorując jego milczenie. – Poznałam w swoim czasie kilka dziwnych istot, ale żadna z nich nie przypominała ciebie. Wszyscy macie ludzkie słabości... ulegacie także ludzkiej złości... ale ty siedzisz tu i emanuje z ciebie moc. Czy jesteś jej świadomy? Twoje moce są takie ciepłe i żywe, takie wspaniałe. A im bardziej się złościysz, tym silniej je emanujesz.

Nadal na mnie nie patrzył, ale wiedziałam, że słucha. Jego szczeka stężała, gdy zacisnął zęby, a oczy się zwężyły. Ciekawiło mnie, czy on sam siebie dobrze rozumie.

- Pachniesz wiatrem i jakimś odległym morzem. Czasami myślę sobie, że to woń Morza Śródziemnego, ale od dawna nie stałam na jego brzegu. Rozsiewasz też aromat słońca.

Ten opis sprawił, że kącki jego ust poruszyły się w uśmiechu. Moje słowa brzmiały może trochę dziwnie, lecz to właśnie czułam, kiedy wdychałam jego woń.

- Jeżeli nie chcesz mi zdradzić, kim jesteś, to powiedz przynajmniej, ile masz lat.

Wpatrywał się uparcie w okno i już miałam dać za wygraną, kiedy wreszcie otworzył usta:

- Służyłem w straży przybocznej Marka Aureliusza. – A więc stąd ten charakterystyczny akcent, który wyczułam, kiedy spotkałam się z Danausem po raz pierwszy.

W myślach przeglądałam listę nazwisk, cofając się coraz dalej w czasie i przestrzeni. Omal nie otworzyłam ust ze zdumienia.

- A więc jesteś prawie trzy razy starszy ode mnie – odezwałam się szeptem, na co on się uśmiechnął i wreszcie spojrzął na mnie. – Nieźle się trzymasz jak na swój wiek. – jego uśmiech zniknął. – A zatem jesteś Rzymianinem w najprawdziwszym sensie tego słowa. Byłeś świadkiem upadku cesarstwa.

- Wtedy już mnie tam nie było – rzucił cichym głosem. Chociaż wyraz jego twarzy wcale się nie zmieniał, oczy jakby mu trochę przygasły. Czy upadek wielkiego Cesarstwa Rzymskiego wciąż go zadreślał? Zdaje się, że chciałam, aby tak było – to czyniło go kimś bardziej rzeczywistym.

- A gdzie byłeś? – wyrwało mi się pytanie, zadane pełnym podziwu szeptem. Miałam zaledwie nieco ponad sześćset lat i zawsze czułam się jak dziecko, kiedy napotykałam stworzenia starsze od siebie. Zazdrościłam im, że mogli oglądać coś, co znikło już dawno z powierzchni ziemi.

- Wszędzie – odrzekł, a jego szorstki głos jakby troszkę złagodniał. Przymknął powieki, jak gdyby przywoływał jakieś odległe wspomnienia. – W Rzymie, potem powędrowałam na wschód przez Karpaty, przez Ruś i dalej, przez Mongolię, do Chin. Wracalem przez Indie, Bliski Wschód, Afrykę i dotarłem znów do Europy, gdzie żyłem wśród mnichów. – Ponownie na mnie spojrzał, a jego głos stężał. – A wędrówka przez te wszystkie kraje i kontakt z różnymi religiami przekonały mnie co do jednego: że wampiry to wcielenie zła.

- A jak schwytałeś Neriana? – spytałam. Nie miałam ochoty na dyskusje o prawie mojej rasy do istnienia. Nie mogłam przekonać Danausa słowami – to można było osiągnąć wyłącznie za sprawą czynów. Rzecz jasna, nie spodziewałam się, ażeby żył jeszcze na tyle długo, by zdążył to zrozumieć.

Ściągnął usta w cienką kreskę, a jego twarz sposepniała. Znałam już tę minę, to spojrzenie, które mówiło: „Nie mam ci nic do powiedzenia, suko”.

Pochyliwszy się nieco do przodu na skórzanej sofie, oparłam łokcie na kolanach.

- Usłyszysz jeszcze takie pytania i to od kogoś, kto jest dużo mniej cierpliwy ode mnie. A więc, albo powiesz teraz i sprawa ruszy z miejsca, albo z tym poczekamy, a oni wydobędą od ciebie potrzebne informacje, zadając ci przy tym ból. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale tylko ja mogę obronić cię przed nimi.

Znowu rozsiadłam się swobodniej, zarzucając lewą rękę na oparcie siedzenia. Danaus to dla mnie dar losu. Był silny, inteligentny. Pragnęłam wyciągnąć z niego wszystkie sekrety, a potem go upolować. Warte to było pewnego wysiłku, a nawet ryzyka.

W panującym napięciu słychać było tylko szum powietrza na zewnątrz samolotu. Danaus wpatrywał się we mnie, jak gdyby rozważał swoje możliwości. Nie miał zbyt wiele wyborów, a ja nie mogłam obiecać mu pełnej ochrony, nawet gdyby wyznał mi to, co wiedział. Jeśli wmieszają się w to Starsi, będę musiała ustąpić.

- Dopisało mi szczęście - odrzekł w końcu.

- Szczęście?

- On cię tropił. Zaskoczyłem go i zamroczyłem.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. Nie wiedziałam, czy mam w to uwierzyć, choć z drugiej strony tylko Nerian był tak pewny siebie, żeby dać się

podejść człowiekowi. Zaczynałam przypuszczać, że sama poważnie niedoceniam Danausa.

- Jak długo go trzymałeś?

- Przez tydzień.

Skinęłam głową, podnosząc się na nogi. Stałam przed nim przez moment, z dłońmi na biodrach, na lekko rozstawionych stopach ze względu na turbulencje. Napiął mięśnie ramion, ale nie wykonał ruchu w stronę noży, które miał przy sobie. Nie wiedziałam, czy wydobyl jakiegokolwiek informacje od Neriana, tego szalonego naturi, ale przez tydzień mógł się dowiedzieć tego i owego, pewnych intrygujących ciekawostek. Zamierzałam wkrótce zgładzić Danausa. Mimo jego zalet duże znaczenie miał fakt, że stawał się za bardzo niebezpieczny, aby pozostać przy życiu.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o Rowe?

- Jeszcze nie. Moi informatorzy wciąż węszą – odpowiedział.

Nie miałam pojęcia, kto go informował i jak jego łącznicy zdobywali wiadomości na temat naturi. O ile nocni wędrowcy nie wychylali się z cienia i pilnie strzegli naszych tajemnic, to naturi byli na tym świecie zaledwie zjawami.

Westchnąwszy, odeszłam na tył kabiny odrzutowca i ułożyłam się na kolanach Michaela. Oplótł mnie swoimi silnymi rękami i przytulił do piersi. Przyłożyłam ucho do serca, którego miarowy rytm uspokajał mój umysł. Prawą dłonią bawiłam się włosami na karku Michaela, a drugą rękę oparłam mu na ramieniu. Moje myśli stały się spokojniejsze, kiedy tak spoczywałam przy jego ciepłym ciele.

Nie chciałam brać udziału w tym wszystkim. Pragnęłam żyć w swoim mieście i oddawać się przyjemnościom tam, gdzie je znalazłam. Przed ponad pięciuset laty wykonałam to, czego po mnie oczekiwano, po czym oddaliłam się od swoich pobratymców, nigdy nie szukając towarzystwa innego nocnego wędrowca na dłużej niż na jedną czy dwie noce. Teraz jednak musiałam powrócić do nich, zanurzyć się głęboko w tym całym bagnie. Mogłam się szarpać i miotać, lecz i tak nie było dla mnie od tego ucieczki.

Rozdział 9

Obudziłam się i stwierdziłam, że jestem zamknięta w skrzyni. Na krótki moment ogarnęła mnie fala paniki i omal nie krzyknęłam. Pchnęłam mocno wieko rękami, które zapadły się w chłodną jedwabną wyściółkę. Zaciskając zęby i oczy, modliłam się, by lęk ustał. Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz spałam, zgodnie ze starą tradycją wampirów, w trumnie. Najczęściej sypiałam w pokoju bez okien na wielkim łożu z jedwabną pościelą. Zapomniałam o podróży do Luksoru, o Danausie i Nerianie. Powinniśmy zbliżyć się teraz do Asuanu, gdzie znajdowały się grobowce oraz świątynia na wyspie File, stanowiącego wrota do dawnego królestwa Nubii i wiodącego do Jabariego.

Z dłońmi na brzuchu rozluźniłam mięśnie rąk, czekając, aż spokój ponownie wniknie do szpiku moich kości. Jeśli miałam wydostać się stąd, nie tracąc życia, musiałam zachować zimną krew i myśleć jasno. Powstrzymując westchnienie, wyciągnęłam ręce i zaczęłam gmerać przy wewnętrznych zamkach trumny. W rzeczywistości była to duża skrzynia z niemal niezniszczalnego, lekkiego stopu metali. Wnętrze wyłożono czerwonymi jedwabnymi poduszkami - bynajmniej nie dlatego, żeby naprawdę miało to jakieś znaczenie. Gdy nastawał dzień, mogłabym równie dobrze spać na łożu z tłuczonego szkła. W środku znajdowały się dwa zamki, dzięki czemu nikt nie mógł otworzyć skrzyni od zewnątrz. Zabierałam ją ze sobą we wszystkie podróże, a drugą, zapasową, trzymałam w swojej prywatnej rezydencji.

Uchylając wieko na bezgłośnie poruszających się zawiasach, usiadłam, z ulgą zauważając, że nikt nie przygląda się mojemu „zmartwychwstaniu”. Uroczy pokój ze ścianami z ciemnego drewna był pusty. Skrzynia spoczywała na wielkim łożu przykrytym kolorową, ręcznie zszywaną narzutą. Zasłony na oknach były rozsunięte, ukazując ciemne niebo, słyszałam dochodzący z daleka szum silnika i plusk wody. Płynęliśmy w dół Nilu. Czułam ucisk w żołądku, wynikający z radosnego podekscytowania, i omal nie zagryzłam dolnej wargi niczym roztrzępana uczennica. Minęły wieki, odkąd widziałam po raz ostatni piaski Egiptu.

Wygrzebywałam się ze swojego legowiska, kiedy nagle ktoś zapukał do drzwi. Korzystając ze swoich nadnaturalnych mocy, odgadłam, że to Michael; zjawił się w samą porę.

- Wejdz.

Wszedł do pokoju w tych samych czarnych spodniach i koszuli, które miał na sobie poprzedniego dnia. Nie miał kabury z pistoletem, ale wiedziałam, że Gabriel stoi na straży przy drzwiach.

Młody ochroniarz był przystojny jak zawsze, jasne włosy potargał mu wiatr. Już pachniał Egiptem, jego egzotycznymi przyprawami i starożytną historią. Omiótł pokój bystrymi niebieskimi oczami, jakby chciał zapamiętać jego wygląd, a potem spojrzał na mnie. Był dobry w tym, co robił, a ochronę mojej osoby traktował bardzo poważnie. Miło mieć przy sobie kogoś, kto może dopilnować, bym wstawała co noc. Pewnie, że była to jego praca, ale wielu przedstawicieli jego rasy chętnie wbiłoby mi w serce zaostrzony kołek.

Zanim Michael został moim strażnikiem, służył w piechocie morskiej, gdzie nabył większość umiejętności. Nie miałam pojęcia, jak został zwerbowany przez Gabriela, i nigdy o to nie pytałam. Mój anioł stróż miał swoje tajemnice i nie wnikałam w to.

Na początku pilnowanie mnie było dla Michaela po prostu dobrze płatną pracą. Po kilku latach to się zmieniło. Stałam się dla niego źródłem siły i wielkiej przyjemności, dzięki mnie mógł też zaspokajać swoją głęboką potrzebę chronienia kogoś.

Pocieszał mnie i zapewniał rozrywkę w chwilach, gdy moje myśli stawały się zbyt mroczne. W jego oczach nadal było coś zaskakująco niewinnego, a także wycierała z nich chęć zadowalania mnie. Traktował mnie tak, jakby jednak było we mnie coś ludzkiego. Dla niego nigdy nie byłam potworem, bez względu na to, w jakich sytuacjach mnie widział.

Wyciągnęłam do niego rękę, spragniona fizycznego kontaktu.

- Wszystko w porządku?

Podchodząc do mnie, objął moją dłoń długimi palcami, ani na moment nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

- Tak.

Odgłos silnika jakby ucichł, gdy skupiłam się na równomiernym biciu serca Michaela. Im bliżej podchodził, tym bardziej przyspieszało, wywołując rumieniec na jego obliczu.

- Czy były jakieś problemy w Luksorze?

- Nie, wszystko poszło tak, jak zleciła pani Godwin. Zbliżyliśmy się właśnie do Asuanu. Kapitan mówi, że powinniśmy zawinąć do portu za jakieś piętnaście minut.

Kiedy stanął zaledwie parę centymetrów ode mnie, puściłam jego rękę i przesunęłam dłońmi po jego ramionach i barkach. Przed świtem zdjęłam buty i na bosaka miałam nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Raczej sporo, biorąc pod uwagę fakt, że przed sześciuset laty ludzie byli o wiele niżsi, ale i tak jakieś trzydzieści centymetrów mniej od swojego anioła stróża.

Jego ciepłe usta musnęły moją skroń w delikatnej pieśszczocie.

- Tęskniłem za tobą.

Ujął mnie w talię tak delikatnie, jak gdyby się bał, że mnie zgniecie.

- Chyba powinnam więcej podróżować – szepnęłam, przeczesując palcami jego włosy i napawając się dotykiem jedwabistych loków.

Przesunął usta z mojej skroni wzdłuż linii szczęki.

- Moglibyśmy spotkać się na gruncie prywatnym. Niski odgłos podobny do mrużenia kota wydobył mi się z głębi gardła. Wspięłam się na palce, aby miękkie usta mego anioła stróża miały lepszy dostęp do mojego ciała. Potrzebowałam Michaela, jego ciepła i witalności. Przypominało mi to moje dawne człowieczeństwo, z którego mnie udarto. Powstrzymywałam mroczne żądze, pragnienie, by powalić go na ziemię i wyssać z niego całą krew.

- Myślę, że da się coś załatwić. – Mówiąc to, musnęłam ustami jego szyję. Był tak blisko. Jeszcze trochę i moje kły zatopiają się w jego ciele.

- Tak. – Zabrzmiało to jak westchnienie. Jego dłonie zacisnęły się na mojej tali. Czulałam pulsujące pożądanie w mięśniach jego rąk. Walczył z pragnieniem, by przycisnąć mnie do siebie i przyłgnąć do mnie całym ciałem. Z poprzednich spotkań wiedział, że lubię przedłużać ów moment, o ile czas na to pozwala, upajając się doznaniem zalewającymi mój umysł.

- Połóż się na łóżku – powiedziałam, odsuwając się od niego. Obszedł mnie dookoła i odepchnął skrzynię na drugi koniec łóżka. Położył się, a ja przez

chwile stałam obok, podziwiając jego spokojny wyraz twarzy. Przez kilka pierwszych stuleci swojej egzystencji polowałam, siłą powalając ofiary na ziemię. Dlatego zawsze wydawało mi się nieco dziwne, kiedy nie trzeba było zabiegać o posiłek. Zew natury znów zaczął dochodzić do głosu, a żądza krwi kazała zapomnieć o wszystkich innych rzeczach. Wdrapawszy się na łóżko, usiadłam okrakiem na wąskich biodrach Michaela. Zaczynałam dostrzegać pewną prawidłowość w swoich kontaktach z mężczyznami, ale w tej pozycji łatwiej było się pożywić. Pozwalała mi ona także na odczuwanie przyjemności płynącej z przylegania do partnera całym ciałem. Pochyliłam się do przodu, opierając ręce po obu stronach głowy Michaela i składając pocałunki na jego powiekach, nosie i szczęce. Czułam, jak wzdycha pode mną, jak gdyby napięcie uwalniało się z jego duszy. Długo całowałam jego wargi, delikatnie wciągając w usta język, rozkoszując się smakiem Michaela. Wsunął swoje silne dłonie pod bluzkę i gładził moje nagie plecy, przyciągając mnie mocniej do siebie. Jego ciało stwardniało pode mną i stłumiłam własne westchnienie, zdradzające frustrację. Nie było po prostu czasu na wszystko.

Niechętnie odrywając się od jego ust, przesunęłam wargi wzdłuż jego szczęki do szyi. Czubkiem języka dotknęłam pulsującego tam mocno miejsca, zanim w końcu zatopiłam kły w ciele Michaela. Zesztywniał od nagłego bólu, po czym znowu się rozluźnił. Wciągając w siebie słodką krew, wysłałam ciepłą, drżącą falę rozkoszy do jego ciała. Jęknął, gdy przeniknęła jego kończyny. Wpiłam się głęboko, wciągając w siebie jego życie, aż zakosztowałam smaku bicia jego serca, poczułam jak pulsuje ono w mojej własnej piersi.

Przesunął ręce w dół po moich pośladkach, masując je i wciąż przyciskając mnie do siebie. Westchnął, szepcząc moje imię i unosząc biodra ponad łóżko. Gdyby nie ubranie, byłby już we mnie. Kiedy o tym pomyślałam, dreszcz przebiegł przez moje napięte ciało i zacisnęłam dłonie na kocach. Poczucie, że jego ciepła krew wypełnia moje żyły, było już wystarczająco satysfakcjonujące, lecz pragnienie, by posiadać go całego nasilało się, przyczajone we mnie. Naparłam na niego biodrami i zwierzęcy pomruk wydobył się z głębi mojego gardła, gdy poczułam twardość jego ciała.

Wsunęłam rękę pod koszulę Michaela, gładząc go po żebrach. Musnęłam kciukiem brodawkę piersiową, a potem przesunęłam dłoń w dół płaskiego brzucha. Jego skóra była tak ciepła i kusząca, a twarde mięśnie i miękkie ciało stanowiły oszałamiające połączenie.

Moja ręka otarła się o guzik jego spodni, gdy palce sunęły po miękkiej skórze tuż poniżej krawędzi jego bielizny. Ponownie uniósł biodra, napierając na mnie, a jego ciało domagało się pełnego kontaktu z moim. Z trudem się opamiętując, z powrotem położyłam rękę przy jego głowie, zagarniając palcami koc. Pragnęłam go tak bardzo, że mogłabym krzyknąć, ale nie zadowoliliby mnie szybki stosunek. Czekałam na to zbyt długo i nie chciałam się spieszyć. Michael był wart tego, by na niego poczekać.

Z trudem oderwałem usta od jego szyi. Skupiając swoje moce, zasklepiłam ranę tak, że w tym miejscu pozostało jedynie lekkie zaczerwienienie.

- Teraz nie możemy, mój aniele. Nie tym razem. – Opierając się na rękach, spojrzałam mu w twarz. Patrzył na mnie szeroko otwartymi zrozpaczonymi oczami. – Gdyby zmierzch zapadał godzinę wcześniej, chętnie zostałabym z tobą dłużej, ale czas nam na to nie pozwala. – Przesunęłam językiem po dolnej wardze, zlizując ostatnie krople jego krwi, a on westchnął, kładąc ręce na moich udach i przyciskając mnie do siebie.

Roześmiałam się i pokręciłam głową, wstając z łóżka.

- Stanowisz dla mnie bardzo wielką pokusę – powiedziałam, rozpinając bluzkę.

- Niewystarczającą – odparł lekko nadąsany. Patrzył, jak się rozbieram i podchodzę do torby z ubraniami stojącej przy łóżku.

- Niestety, nie jest to wakacyjna podróż. Mam ważne sprawy, którymi muszę się zająć.

Pożądliwie śledził mnie wzrokiem, kiedy wkładałam czerwone jedwabne majtki i czarną bawełnianą spódnicę sięgającą do kostek. Potem przyszła pora na czerwony koronkowy stanik i czarną bluzkę z krótkimi rękawami, zapinaną na guziki. Michael usiadł, opierając się plecami o wezglowie, a ja przycupnęłam na brzegu łóżka. Był nieco bledszy niż wtedy, gdy tu wszedł. Nigdy nie wypijałam tyle krwi, żeby jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, wystarczyło mi, że zaspokoiliam głód. Przy odrobinie szczęścia jeszcze tej nocy mogłam wyruszyć w podróż powrotną do domu, a nazajutrz zapolować na własnym terytorium.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym towarzyszył ci razem z Gabrielem? – spytał kiedy zakładałam skarpetki.

- Nie, nic mi się nie stanie.

Czułam się niespokojna i zdezorientowana, ale gdybym opowiedziała mu o swoich obawach, nie poprawiłoby mu to humoru. Jego zadaniem było chronić mnie wtedy, gdy sama nie mogłam się bronić, czyli tylko za dnia. Michael i Gabriel strzegli mnie wyłącznie przed ludźmi. Nie dorównywali żadnym innym stworzeniom, które czały się w ciemnościach. Jak mogliby obronić mnie przed Danausem lub naturi?

Włożyłam czarne buty na niskich, szerokich obcasach, sznurowane niemal do kolan. Nadawały się lepiej do chodzenia w terenie niż moje zwykłe skórzane kozaki na szpilkach. Przesunęłam ręką po zmierzwionych włosach, żałując, że nie mam czasu na prysznic.

- Ale on będzie z tobą jeździł – powiedział Michael. W jego głosie było coś ostrego, co mnie zaskoczyło, uwalniając umysł od resztek pożądania, które zaciemniało moje myśli.

Spojrzałam ponownie na jego urodziwą twarz i ze zdziwieniem zauważyłam, że marszczy brwi z gniewu i zazdrości.

- Robię to, na co mam ochotę - przypomniałam mu spokojnie.

- Przepraszam, Miro – odparł, z wahaniem dotykając mojego ramienia. W jego jasnoniebieskich oczach błysnął lęk. Oboje wiedzieliśmy, że ten pączkujący związek jest czymś nietatwym i pełnym napięć, kiedy poznawaliśmy nawzajem swoje ograniczenia. – Nie miałem nic takiego na myśli.

Westchnęłam, przykładając mu rękę do policzka. Rozluźnił się natychmiast i pocałował mnie we wnętrze dłoni.

- Wiem. Danaus należy do tej sprawy, którą muszę się zająć. Odpocznij trochę. Idę na pokład. Przed świtem spotkam się z tobą i Gabrielem w hotelu.

Wychodząc na główny pokład, musnęłam ręką Gabriela. Podążył za mną w dyskretnej odległości, trzymając się w cieniu. Na ciemnym nocnym niebie połyskiwały liczne gwiazdy. Dawno nie widziałam tak wielu gwiazd, ale nikły szybko w coraz jaśniejszych światłach Asuanu. Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w tym mieście, znajdowały się tutaj tylko pojedyncze niskie budynki i drewniane moło. Choć miejscowość ta nadal była dużo mniejsza od Kairu lub Aleksandrii, rozrastała się bardzo szybko. Turystów zaczęły nudzić piramidy i podróżowali coraz dalej w dół Nilu, by podziwiać tajemnice File i piękno Abu Simbel.

Wiatr bawił się moimi włosami, odrzucając mi je na plecy. Zamknęłam oczy i natężyłam zmysły. Wyglądało to tak, jakbym przesuwając rękami po ludziach w mieście, delikatnie dotykając ich umysłów, a następnie przenosząc się dalej. Pozwoliłam, by moje moce dotarły aż do grobowców Abu Simbel, a potem przywołałam je z powrotem. Nie wyczułam Jabarię, ale nie byłam pewna, czy w ogóle mogę go znaleźć.

Bitwa w Machu Picchu sprzed pięciu wieków nie przyniosła sukcesu, mimo faktu, że odnieśliśmy zwycięstwo. Dwa tygodnie wcześniej zostałam porwana w Hiszpanii, gdzie opiekowała się mną Sadira, i zabrana do tego podniebnego miasta Inków. Nerian, którego nie odstępowali naturi z klanu światła, torturował mnie przy świetle księżyca. Obiecywano mi, że uniknę bólu, jeśli tylko przyrzeknę, że będę bronić ich przed złymi wampirami. Gdyby nie moje nieustanne pragnienie krwi, pod wpływem nieznośnego bólu zapomniiałabym wtedy nawet, że jestem wampirem. Przez dwa tygodnie doświadczałam jedynie głodu i cierpienia.

Właśnie wtedy przybył Jabari. Była z nim reszta triady, a także cały zastęp nocnych wędrowców; kiedy jednak cofam się pamięcią, przypominam sobie tylko jego. Białe szaty Jabarię zdawały się połyskiwać w świetle ognia, a jego ciemna skóra była niemal tak czarna jak sama noc. Ocalił mnie i walczył z naturi, którzy uciekli do dżungli.

Kiedy Jabari ścigał naturi, zostawił mnie, żebym rozprawiła się z Nerianem. Połamałam Nerianowi nogi i rozprułam brzuch, ale już zbliżał się świt. Brakowało mi czasu. Pozostawiłam więc go, żeby skonał, i uciekłam z tej góry. W dżungli zakopałam się głęboko pod ziemią, by schronić się przed promieniami słońca, przekonana, że Nerian wyzionął ducha.

Następnej nocy wrócił Jabari. Przeniósł mnie do swojego domu w Egipcie. Pozostałam tam z nim przez jedno stulecie. Pomagał mi zapanować nad koszmarami zarówno w nocy, jak i w dzień, a ja, poturbowana psychicznie, w tym czasie zdołałam jakoś otrząsnąć się z tego wszystkiego.

Jabari zaoferował mi coś, co udało mi się znaleźć jedynie na krótko, kiedy byłam człowiekiem, nigdy zaś po tym, jak stałam się wampirem: dom. Zawsze byłam mile widziana na jego terytorium. Traktował mnie jak ukochane dziecko, utalentowaną wychowankę, którą trzeba szkolić i mobilizować. Sadira nauczyła mnie czytać, grać na instrumentach, a nawet mówić w różnych językach. Ale to od Jabariego otrzymałam prawdziwą wiedzę. Uczył mnie historii naszej rasy, opowiadał o naturi i bori, o wojnie, która ogarnęła wszystkie gatunki istot, zanim naturi i bori zostali wreszcie wygnani.

Kiedy mieszkałam z Jabarim, zachęcał mnie do rozwijania umiejętności posługiwania się ogniem. Uważał, że w ten sposób można się doskonalić, stawać się kimś lepszym. Pod jego przewodnictwem odzyskałam kontrolę nad swoim życiem i nie byłam już dłużej pionkiem dla Sadiry ani naturi.

Otwierając oczy, ściągnęłam brwi i chłód wniknął w moje płuca. W okolicy nie było żadnych innych nocnych wędrowców. Egipt zawsze był słabo zaludniony istotami z mojej rasy z powodu obecności Jabariego. Nikt nie chciał ryzykować ściągnięcia na siebie uwagi jednego ze Starszyzny. Odwykłam jednak od takich miejsc, gdzie nie byłoby przynajmniej kilku nocnych wędrowców przyuczonych w mroku. Nawet jeśli nie szukałam akurat żadnego wampira, to pocieszająca była świadomość, że któryś z nich znajduje się w pobliżu. Że nie jestem zupełnie sama w ciemnościach.

Odwróciłam głowę i kątem oka zauważyłam Danausa. Podszedł, kiedy skupiałam uwagę na mieście i jego okolicach. Nie miał na sobie skórzanego płaszcza, był ubrany w czarne bawełniane spodnie i koszulkę bez rękawów w takim samym kolorze. Miał kilka noży przymocowanych do pasa, nadgarstków i uda. Przygotował się do walki.

- Widzę, że się pożywiłaś – powiedział, podchodząc bliżej do barierki. Powstrzymałam chęć, by otrzeć palcem wargi. Na ogół nie brudziłam się przy jedzeniu. – Jesteś... zaróżowiona – dodał. Słowa z trudem wychodziły mu z gardła, jak gdyby miał problem z doborem stosownych określeń.

Roześmiałam się, odchylając głowę do tyłu, a ów dźwięk przyciągnął uwagę kilku marynarzy pokładowych. Zawsze byłam nieco zarumieniona po dobrym posiłku, a moja skóra nabierała na kilka godzin nieco żywszej barwy, nie spodziewałam się jednak, że Danaus to zauważy. Spoglądał na mnie jeszcze bardziej nieufnie niż przedtem.

Oparłam się łokciami o barierkę.

- Jadłeś już? – Skinął głową ze wzrokiem skierowanym w stronę portu, do którego wpływaliśmy. – Załóżę się, że jakieś stworzenie straciło życie, abyś się posilił.

Spojrzał na mnie ostro spod zmrużonych powiek.

- To nie to samo.

Zacisnął zęby, a jego usta utworzyły surową, cienką linię. Kipiała w nim gorąca, gniewna energia, wibrując obok mnie falami, które mogły konkurować z żarem południowego słońca przypiekającego egipską ziemię.

- Dlaczego? – Odwróciłam się i ruszyłam w stronę dziobu, spoglądając na Asuan. Nie oczekiwałam odpowiedzi ani też jej nie pragnęłam. To nie miało znaczenia. Nie obchodziło mnie, co on sobie myśli. Oboje robiliśmy to, co musieliśmy zrobić, aby przetrwać.

Niedługo potem wpłynęliśmy do asuańskiego portu, a nasza mała łódź minęła kilka większych statków, by wreszcie zatrzymać się przy mniej zatłoczonej przystani. Zeskoczyłam na drewniane nabrzeże, nie patrząc, czy Danaus podąża za mną. Czułam jednak, że idzie kilka kroków z tyłu, kipiąc ze złości. Ja też czułam się rozdrażniona. Może dlatego, że zostałam zmuszona skrócić czas pobytu z Michaeliem, albo że nie wiedziałam, gdzie jest Jabari. A może spowodował to fakt, że naturi znowu nam zagrażali, a ja nie chciałam się z nimi zmierzyć. Mogła to być którakolwiek z tych spraw lub też wszystkie naraz, w każdym razie teraz Danaus stanowiłby dla mnie łatwy cel.

Zatrzymałam się na chwilę przy Corniche el-Nil, próbując rozeznaczyć się w otoczeniu. Droga ta biegła przez Asuan z północy na południe, blisko Nilu, i mieściły się przy niej liczne biura podróży dysponujące różnymi łodziami motorowymi i żaglowymi typu *felucca*, które przewoziły turystów na wyspy, jakimi usiany był ten odcinek rzeki. Wylądowaliśmy w Asuanie dalej na południe, niż się spodziewałam. Tuż przede mną znajdowały się Nil i wyspa Elefantyna, a dalej wyspa Kitchenera z jej egzotycznymi ogrodami botanicznymi. Z tyłu dobiegały odgłosy bazaru. Sprzedawcy mieli handlować jeszcze przez kilka godzin, wciskając swoje towary każdemu, kto przechodził na tyle blisko, że można go było uznać za potencjalnego klienta. Pełna życia nubijska muzyka rozbrzmiewała w powietrzu, wygrywana na gitarach w kształcie gruszki, zwanych *oud*, i płytkich bębnach o nazwie *douff*. Słońce zaszło i miasto ożyło. Ludzie wreszcie mogli odetchnąć chłodniejszym powietrzem.

Kiedy przebywałam z Jabarim, większość czasu spędzaliśmy dalej na północy, w Tebach i w Aleksandrii. Ponieważ musiałam pożywiać się częściej niż on, trzymaliśmy się blisko ludnych okolic, choć przypuszczam, że Jabari wolałby się przenieść w jakieś bardziej ustronne miejsce. Dwa razy wybraliśmy się w podróż w górę Nilu do Asuanu, gdzie zatrzymywaliśmy się w nubijskich wioskach – prawdziwej ojczyźnie Jabariego.

Tuż przed przeprowadzką do Nowego Świata spotkałam go w Wenecji podczas jednej z moich nieczęstych odwiedzin Sabatu. Mówił o przeniesieniu się na południe, do Asuanu, gdzie miał nadzorować budowę pierwszej asuańskiej zapory wodnej. Zalewano obszary, które były niegdyś sercem nubijskiego imperium. Choć nigdy nie miałam okazji spytać o to Jabariego kilkadziesiąt lat później, byłam przekonana, że doglądał on również budowy Wielkiej Tamy

Asuańskiej i przeniesienia budowli Abu Simbel i tych z File w bezpieczniejsze, bardziej suche miejsce.

Idąc na północ wzdłuż Corniche el-Nil, torowałam sobie drogę przez tłumy ludzi, którzy wysiedli właśnie z łodzi i kierowali się do swoich hoteli, a Danaus podążał za mną jak ciemna deszczowa chmura. Ludzie prawie mnie nie zauważali, kiedy ich mijałam. To miasto miało w sobie coś. Jabari spędził całe życie w tej części świata. Wypuszczał się w inne miejsca, zwiedził zielone tereny Ameryki Południowej i mroźną tundrę Rosji, ale zawsze wracał do swojego ukochanego Egiptu. Myślę, że mieszkańcy Asuanu wyczuwali jego obecność. Choć pewnie nie wiedzieli, kim właściwie był. Może przypuszczali, że to jeden ze starych bogów przebywających w świątyniach lub duch jakiegoś faraona.

Zastanawiałam się, czy odczuwali też jego nieobecność. Szli ulicami z opuszczonymi głowami, uważając, by nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z obcymi. Na Bliskim Wschodzie ciągle dochodziło do niepokojów społecznych, ale teraz odczuwało się w ludziach napięcie, którego nie potrafiłam zrozumieć. Może wiedzieli, że ich bóg zniknął?

Kilka przecznic dalej znalazłam wreszcie to, czego szukałam. Niestety, prom pływający na zachodni brzeg w nocy nie kursował. Asuan leżał na wschodnim brzegu, pełnym bujnej roślinności, hoteli i sklepów. Zachodni brzeg był głównie pustynią, gdzie znajdowało się zaledwie kilki zabytków odwiedzanych przez turystów. Dostęp do tych miejsc zamykano jednak o piątej po południu, nie było więc powodu, aby prom kursował po tej godzinie.

Przechesując ręką włosy, odwróciłam się, spoglądając na oczekującą *felucę*. Naprawdę wątpiłam, żeby Jabari mógł osiąść tak blisko gwarne go centrum Asuanu. Istniały dwa rodzaje nocnych wędrowców: tacy jak ja, którzy uciekali od swojej przeszłości, oraz tacy jak Jabari, którzy chętnie wspominali czasy, gdy byli ludźmi. Wiedziałam, dokąd mógł się udać. Musiałam tylko tam dotrzeć.

Kąciaki moich ust uniosły się w uśmiechu, gdy dostrzegłam młodego mężczyznę o skórze w kolorze kawy, który przycumował swoją małą *felucę*. Nie zdołałaby pomieścić więcej niż sześć osób i była mniejsza niż większość tego typu łodzi, z których korzystali turyści, ale jej właściciel mógł za to oferować bardziej prywatne wycieczki.

Potargowałam się o cenę przeprawy przez Nil do grobowców egipskiej arystokracji. Właściciel łodzi był uprzejmy spytać, czy wiem, że grobowce są zamknięte, ale nie drażył tego tematu. Co go to obchodziło? Miał otrzymać zapłatę bez względu na to, czy odprawia mnie przy wejściu, czy też nie.

Weszłam razem z Danausem do łodzi, a jej szyper odbił od brzegu i rozwinął biały żagiel. Niesieni wartkim prądem Nilu i popychani rześkim wiatrem mogliśmy dotrzeć na zachodni brzeg w ciągu zaledwie paru minut. A ja chciałam, aby trwało to dłużej. Chętnie popłynęłabym dalej w górę rzeki, żeby zobaczyć świątynię z File w jej nowym miejscu, skąpaną w złotym blasku

reflektorów. Albo nawet podążyć z biegiem Nilu do Edfu i świątyni Horusa. Pomimo że była to tylko rzymska replika jeszcze bardziej starożytnej egipskiej budowli, świątynia ta jednak liczyła więcej lat niż moje długie życie i pragnęłam ją zobaczyć. Na razie jednak siedziałam w małej łodzi wraz z łowcą wampirów, szukając Starożytnego wampira, który mógł być martwy albo też żywy.

Rozdział 10

Danaus nie odzywał się do czasu, kiedy wynajęliśmy parę wielbłądów i ruszyliśmy na północny zachód po pustyni, mijając grobowce możnowładców. Obejrzałam się raz przez ramię, gdy wjechaliśmy na szczyt wzgórza, skąd rozpościerał się widok na Asuan, połyskujący w nocy, oraz Nil wijący się w kierunku północnym niczym czarna żmija. Pozostawialiśmy za sobą ostatnie ślady cywilizacji.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Danaus z wielbłąda, na którym za mną podązał.

Przyglądałam się skalnej formacji widniejącej na zachodzie, która powoli stawała się coraz wyraźniejsza. Były to kamieniołomy.

- Szukamy klucza do triady.

- A co nim jest? - spytał po chwili milczenia.

- Raczej kto.

- Mira...

Uśmiechnęłam się. Niewiele istot potrafiło tak wypowiedzieć moje imię, by stanowiło to ostrzegawcze warknięcie.

- Jabari.

- Mówiłaś chyba, że on nie żyje.

Ciepły wiatr powiał przez pustynię z południa, niosąc ze sobą woń Nilu. Jedynym dźwiękiem na tym rozległym pustkowiu były odgłosy kroków wielbłądów, które szły po miękkim piachu. Nie było tu żadnych żywych stworzeń z wyjątkiem węży i skorpionów. Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, czy to czasem nie powód, dla którego malała liczba Starożytnych należących do mojej rasy. Z biegiem lat Jabari coraz bardziej wolał samotność na rozległym pustynnym obszarze, którym władał. Natomiast Tabor, który, kiedy został zamordowany, był starszy od Jabariego, wolał spędzać więcej czasu w lodowatej syberyjskiej tundrze niż w położonych bardziej na zachód miastach, takich jak Moskwa czy Petersburg.

Choć nie starzeliśmy się i byliśmy całkowicie odporni na choroby, mojemu gatunkowi udawało się przetrwać najwyżej pięć tysięcy lat. Co za pożytek z takiej nieśmiertelności?

Powstrzymałam westchnienie i w zamyśleniu poklepałam wielbłąda po szyi, mierzwiąc jego sierść.

- Nie wiem. Jabari był zawsze najsilniejszą osobistością triady. Jeśli zginął, może być to sprawa natury.

Nie wiedziałam, co stało się z Jabarim. Powinnam była udać się prosto do Sabatu, ale nie mogłabym wtedy zatrzymać przy sobie łowcy, a nie chciałam stracić go z oczu. Poza tym zawsze komunikowałam się z Sabatem poprzez Jabariego. Nie wiedziałam, jak skontaktować się bezpośrednio z Macairem lub Elizabeth, dwójkiem innych członków organu rządzącego wampirami. Nie sądziłam, żeby ktokolwiek z Sabatu próbował zniszczyć Jabariego. Był jednym z najbardziej wiekowych, najsilniejszych członków Starszyny i stał w hierarchii tuż po Naszym Władcy. Poza tym próba uzyskania informacji od Sabatu już się nie udała. Po raz pierwszy, odkąd stałam się nocnym wędrowcem, miałam poczucie, że brakuje mi czasu.

Po trzydziestu minutach jazdy przez pustynię dotarliśmy w końcu do wielkiego skalnego urwiska.

Gdy zsiadałam z wielbłąda, niepokój jeszcze bardziej ścisnął mi żołądek. Wiatr ustał i pustynia zdawała się wstrzymywać oddech, gdy cienie popękanych skalnych płyt obserwowały nas w ciszy.

Danaus chciał mnie ominąć i zejść do kamieniołomu, ule położyłam mu rękę na piersi i powstrzymałam go. Raz jeszcze natężyłam swoje moce, przeszukując nimi okolice. Wypuściłam je w głąb pustyni, a także w stronę grobowców i Asuanu, szukając jakiegokolwiek śladu, który świadczyłby o tym, że jakiś nocny wędrowiec znajduje się w pobliżu. Nie znalazłam nic takiego. Bardzo mnie to zabolowało. Nie było Jabariego. Tylko coś niezwykłego mogło wyciągnąć go stąd na tak długo. Może wiedział już o naturi i dotarł do Sabatu, ale jakoś w to nie wierzyłam. Kontaktując się z Sabatem, nigdy nie dostałam żadnej odpowiedzi. Sprawdziłam to nawet jeszcze raz po przebudzeniu się w Egipcie. Również bez skutku. Lekko kręcąc głową, ruszyłam w stronę kamieniołomów z łowcą u boku. Byliśmy tu sami.

Kluczylismy pośród wielkich głazów i płyt, które zostały obrobione za pomocą starodawnych dłut i młotów, ale nigdy nie zabrano ich do budowy monumentów, dla których były przeznaczone. Zatrzymałam się przy nieukończonym obelisku. Miał wyrównane trzy boki, na których wyryto hieroglify oraz inne wizerunki. Czwarty bok po tylu wiekach nadal był niedokończony.

- Dlaczego stoi tutaj? - spytał Danaus. - Tyle jest innych miejsc w Egipcie. Przesunęłam ręką po porzuconym obelisku; obrazy z ostatniego pobytu w tych kamieniołomach przemykały mi przed oczyma. Przypominałam to sobie tak, jakby wydarzyło się zaledwie przed chwilą. Czułam się wtedy niespokojna, nie byłam w nastroju, by przebywać pośród ludzi w Aleksandrii, a wspomnienia o naturi prześladowały mnie podczas dziennego odpoczynku, więc Jabari zabrał mnie do Asuanu. Wędrowaliśmy w górę i w dół Nilu po jego obu brzegach, aby odzyskać spokój. Idąc obok mnie, Jabari objaśnił mi wszystko, co było związane z powstaniem takiego gigantycznego monumentu.

- Jabari był jednym z głównych architektów Amenhotepa II. Zaprojektował część Karnaku - odrzekłam Danausowi z dumą. Jabari opowiadał mi o swojej

podróży do Asuanu, którą odbył, kiedy był jeszcze człowiekiem, i do dwóch kamieniołomów, gdzie oglądał głązy, które miały być przewiezione do Karnaku. Chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, czułam, że nie miał okazji doprowadzić do końca dzieła swojego życia, ponieważ jego ludzka egzystencja skończyła się pomiędzy Asuanem a Luksorem.

- Czego szukamy? - zapytał Danaus.

Wyciągając lewą rękę, wyczarowałam na niej niewielki płomień; migotał na lekkim wietrze, który znowu zaczął wiać.

- Znaku.

Cisnęłam ogień w ciemność przed nami. Rozdzielił się na sześć oddzielnych ognistych kul, które wystrzeliły w dalekie zakątki kamieniołomu. Cienie tańczyły wokół nas, ujawniając swoje sekrety. Gdyby Jabari walczył tutaj z naturi, zostałyby jakieś ślady. Na skalnej ścianie pojawiłyby się nowe rysy, a na ziemi wyżłobienia. Przede wszystkim jednak byłabym w stanie wyczuć śmierć Jabariego. Bywałam świadkiem uśmiercania nocnych wędrowców, a nawet sama zabiłam kilku Starożytnych. Wiedziałam, że gdy zgładzi się wampira, magiczny ślad pozostaje w powietrzu i utrzymuje się tam przez lata. Im taki nocny wędrowiec starszy, tym większy ślad. Gdyby więc Jabari został tu unicestwiony, zobaczyłabym to i poczuła.

- Co za niespodzianka - usłyszałam z tyłu niski głos. Oboje odwróciliśmy się gwałtownie i ujrzelśmy Jabariego, który stał na szczycie porzuconego obelisku.

Miał nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i wyglądał imponująco w swoich tradycyjnych szatach. Mimo że był wampirem, wciąż miał śniadą skórę i krótko obcięte i ciemne włosy. Przyglądał mi się pytająco swoimi mahoniowymi oczami w kształcie migdałów. Nie spojrzał nawet na Danausa. Byłby to dla niego zbyt wielki honor.

Mimo że stał zaledwie parę metrów ode mnie, wciąż nie mogłam go wyczuć. Tak jakby wcale go tu nie było. Nie ruszyłam się z miejsca u podstawy obelisku, nie zdołałam nawet odchrząknąć, choć zaschło mi w gardle. Miałam wrażeniem, jakbym spoglądała na ducha.

Jego oczy złagodniały i wyciągnął rękę, przywołując mnie do siebie. Wdrapałam się na obelisk i objęłam Jabariego, przyciskając policzek do jego ramienia. Zęby zacisnęły mi się tak mocno, że aż zabolą mnie szczeka, kiedy powstrzymywałam szloch podchodzący do gardła. Jabari nie zginął. Stał tu przy mnie.

Wieki minęły od czasu, kiedy ostatni raz byłam z Jabarim w jego ukochanym Egipcie, a on obejmował mnie swoimi czułymi rękami. Pomógł mi dojść do siebie po koszmarach, które, jak sądziłam, będą dręczyć mnie w snach przez wieczność. A potem pewnego dnia wyjechałam, nie oglądając się wstecz. Stałam na własnych nogach. Teraz jednak znajdowałam się tu, obejmując go, jak gdyby tylko on mógł mi pomóc pozostać przy zdrowych zmysłach.

- Witaj w domu, moja mała - szepnął Jabari, całując mnie w czubek głowy. Jego uroczy akcent kołło moje rozstrojone nerwy. Jabari otoczył mnie ramionami, przyciskane mocno do piersi. - Stare Królestwo tęskniło za tobą. Jabari był kimś więcej niż tylko nauczycielem. Często miał decydujący głos w Sabacie, kiedy Nasz Władca wolał pozostawać w cieniu. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat nie było mnie w Europie ani w Sabacie, ponieważ wolałam skupić się na ustanowieniu stabilnej i trwałej równowagi na swoim terenie. Mimo że nigdy oficjalnie nie zganiono mnie za to, wyczuwałam coś niedobrego, o czym dodatkowo świadczyło milczenie Sabatu w Wenecji. Potrzebowałam Jabariego, aby mnie wspierał.

- Obawiałem się, że coś jest nie tak, skoro przybyłaś tu znowu, mój kwiecie pustyni - rzekł cicho, gładząc mnie po włosach.

Zadrżałam, rozpaczliwie próbując wziąć się w garść. Jabari był jedynym wampirem na świecie, któremu ufałam. Tylko on spośród istot mojej rasy kojarzył mi się z bezpieczeństwem i miłością.

- Dlaczego nie mogę ciebie wyczuć?

- Wolałam, by niełatwo było mnie odnaleźć.

- Wybacz mi - odparłam, wypuszczając go z objęć. - Nie miałam wyboru.

Oddalając się od niego o kilka kroków, drżącą ręką odgarnęłam włosy z twarzy. Znowu zaczęłam skupiać myśli. Machnięciem ręki zgasilałam kule ognia migoczące w kamieniołomach. Nie spodziewałam się, że odnajdę Starszego. Chciałam, by tak się stało, ale nigdy nie przypuszczałam, że mi się uda. A mimo to był teraz tutaj i mógł wszystko naprawić.

- Wybaczylem - rzekł, skinąwszy głową po królewsku - Co sprowadza cię na moje ziemie?

- Naturi.

To słowo zabrzmiało bezbarwnie i martwo w moich uszach. Coś zdawało się we mnie zamierać za każdym razem, kiedy je wypowiadałam. Przyglądałam się twarzy Jabariego, ale jej wyraz się nie zmienił. Nic nie wskazywało na to, że jest zaskoczony tym, co powiedziałam, ani też, że wie o naturi, których powrót nam zagrażał.

- Skąd wiesz?

- Ich symbole zaczęły pojawiać się na drzewach, a w hinduskiej świątyni słońca w Konark złożono ofiary. - Przerwałam i oblizałam usta, starając się wytrzymać przenikliwy wzrok Jabariego. - Również Nerian mnie śledził. Naturi zaatakowali nas...

- Jak to możliwe? - przerwał mi Jabari, choć jego głos nadal był spokojny, opanowany. - Miałaś zabić Neriana ponad pięćset lat temu.

Z wahaniem postąpiłam krok do przodu, wyciągając do niego obie ręce.

- Myślałam, że nie żyje.

- Myślałaś?

Nie zauważyłam nawet, żeby Jabari się poruszył. W jednej sekundzie stał nieruchomo w odległości około metra ode mnie, a w następnej frunęłam już w

powietrzu. Uderzyłam plecami w ścianę popękanych skał. Przed oczami pokazały mi się gwiazdy, gdy ułamek sekundy później huknęłam o nią głową. Osunęłam się po ścianie, uderzając ręką o ziemię. Mrugając powiekami, uniosłam wzrok i zobaczyłam, jak Jabari schodzi z obelisku i idzie w moją stronę. Jego twarz wciąż była spokojna i beznamietna, ale powietrze wibrowało teraz od jego gniewu.

- Dostałaś rozkaz zabicia go.

- Miał połamane nogi, a wnętrzności wypłynęły mu z brzucha. Nie sądziłam, że przeżyje. - Odepchnęłam się od podłoża, by wstać. W pośpiechu ręka osunęła mi się po skale i skaleczyłam się w dłoń. Ból przeszył moje ramię i kręgosłup, gdy się poruszyłam.

- Naturi trzymali cię w niewoli przez dwa tygodnie - rzekł Jabari. - Nigdy nie zdołaliśmy się dowiedzieć, co ci zrobili. Stanowiłaś zagrożenie dla wszystkich nocnych wędrowców i pozwolono ci żyć tylko dlatego, że Nerian rzekomo zginął. Powinnaś była się upewnić.

- Świtało! - zawołałam. Paniczny lęk ścisnął mi żołądek, każąc uciekać stąd. Dopiero po latach od wypadków w Machu Picchu dowiedziałam się, że Jabari bronił mnie przed resztą Sabatu, który domagał się mojego unicestwienia. Uratował mi życie, chroniąc nie tylko przed naturą, ale też przez moimi własnymi pobratymcami.

- To nie jest żadne wytłumaczenie. - Jabari wyciągnął rękę i złapał mnie za gardło. Zanim zareagowałam, rzucił mnie znowu na wystającą skałę jak szmacianą lalkę.

- Zawiodłaś mnie.

Ból przeszył moje plecy jak błyskawica, kiedy uderzyłam w kamienną ścianę i upadłam na ziemię.

- Teraz jest już martwy - szepnęłam, wątpiąc, czy zdołam wstać, nim Jabari znowu zaatakuje.

- O setki lat za późno. - Jego rysy twarzy stwardniały, a piwne oczy pociemniały jak czarne chmury podczas nocnej burzy.

Przymknęłam powieki, powstrzymując łzy, które zaczęły napływać mi do oczu. Zawiodłam go. Jabari mógł zawsze na mnie polegać w każdej sytuacji. Dał mi tak wiele, a ja go rozczarowałam. A teraz zniszczy mnie jak każdego innego nocnego wędrowca, który nie spełnił jego oczekiwań. Coś we mnie dopraszało się śmierci, ucieczki przed bólem, ale lekkie muśnięcie mocy Danausa szybko przypomniało mi, po co przybyliśmy do Egiptu - z powodu natury. Jeśli Jabari mnie zniszczy, nikt nie zdoła ochronić moich ludzi. Wystarczyło już, że zawiodłam Jabarię, nie zamierzałam porzucić tych, którzy na mnie liczyli.

Otworzyłam oczy na odgłos kroków na piasku. Danaus pojawił się nagle między mną a Jabarim z dwudziestocentymetrowym nożem błyszczącym w słabym świetle gwiazd. Choć moje obolałe ciało protestowało, jakoś wstałam. To nie była najmądrzejsza decyzja ze strony Danausa. Jabari zgładziłby go,

zanim zdołałby on nabrać powietrza w płuca, a ja wciąż potrzebowałam Danausa żywego.

- To nie rozwiąże problemu, jaki mamy z naturi - powiedział Danaus twardym, spokojnym głosem.

- Nie tylko mnie zawiodłaś, ty, której ufałem bardziej niż wszystkim innym - zawołał Jabari - ale i przywiodłaś tego... tego człowieka na moje terytorium!

Stałam obok Danausa i starałam się wysunąć przed niego, aby ściągnąć na siebie uwagę Jabariego.

- To on schwytał Neriana. Pokazał mi zdjęcia symboli i składanych ofiar.

- Zdradziłaś mnie! - Jabari w ułamku sekundy pokonał dzielący nas dystans i chwycił Danausa za gardło. Odrzucił łowcę na trzydzieści metrów w głąb kamieniołomu, jakby i ciskał śmieci na chodnik. Danaus uderzył o gładką ścianę skalną, krusząc kamienie. Skrzywiłam się, zaciskając zęby. Takie uderzenie mogło strzaskać mu kręgosłup i połamać kości. Przeniosłam wzrok na Jabariego, napinając mięśnie i czekając na atak, kiedy kątem oka zobaczyłam, jak Danaus podnosi się z ziemi. Poruszył ramionami, jak gdyby otrząsał się z bólu.

Na ten widok zamarłam bez ruchu. Po takim miażdżącym uderzeniu Danaus nie powinien móc się poruszyć, a tym bardziej wstać i szykować się na kolejny atak Jabariego. Myśli mąciły mi się, kiedy próbowałam zrozumieć, jakim cudem stoi na nogach. Oprócz nocnych wędrowców nie znałam żadnych innych stworzeń, które potrafiłyby otrząsnąć się po takim ciosie. Nawet wilkołak nie podniósłby się tak łatwo.

Chyba zaniepokoiło to również Jabariego, ponieważ poczułam, jak jego moc wzrasta, aż w końcu zaczęła uciskać mi pierś. Łowca z „robaka, którego trzeba zgnieść”, stał się teraz „zagrożeniem, które należy usunąć”, bez względu na wszystko. Pragnęłam śmierci łowcy tak samo, jak każdy inny nocny wędrowiec, ale najpierw musieliśmy wyciągnąć od niego pewne informacje.

Jabari znowu rzucił się na niego, ale Danaus zdołał się uchylić i atak wampira chybił celu. Danaus cofnął się jednak o krok, upadając na jedno kolano, z nożem w zaciśniętej dłoni.

Zacisnęłam pięści. Co, u diabła, się dzieje? Danaus nie użył noża. Bronił się, nie atakując bezpośrednio Jabariego. Nie wiedziałam, czy Jabari to zauważył, czy też po prostu o to nie dbał. Danaus zrozumiał, że potrzebujemy od Jabariego informacji, a więc nie próbował go zabić. Jeśli jednak walka potrwa dalej, jeden z nich w końcu padnie martwy.

Kiedy Danaus klęczał na ziemi, piorunując wzrokiem Jabariego, podeszłam szybko i stanęłam między nimi. Twarz Jabariego zapłonęła ze złości i wiedziałam, że mam zaledwie kilka sekund na to, by przemówić mu do rozsądku.

- Jabari, wcale cię nie zdradziłam - rzekłam, nie próbując już skrywać lęku. Nie mogłam opanować drżenia rąk, a kolana uginały się pode mną. - Popęłniłam błąd, jeśli chodzi o Neriana, i jeżeli chcesz mnie za to zabić, przyjmę swój los,

ale przywiezienie tutaj Danausa nie jest aktem zdrady. Chcę, żebyś zrozumiał, w jak trudnej jesteśmy sytuacji. Naturi znowu nadchodzą. Jeśli pieczęć zostanie złamana, zniszczą nie tylko ludzi, ale też nocnych wędrowców.

- Nie pouczaj mnie! - Jabari uniósł górną wargę, ukazując długie kły, gotów rozszarpać mi gardło.

- Danaus jest łowcą wampirów, a mimo to przyszedł do mnie, szukając sposobu na powstrzymanie naturi. Niewiele pamiętam z tej nocy i nie chcę pamiętać. Przybyłam tutaj w nadziei, że cię znajdę. Potrzebuję cię, żebyś odtworzył triadę, która ostatnim razem powstrzymała naturi.

Za moimi plecami Danaus powstał i zrobił krok do przodu, jak gdyby próbował mnie obejść. Najwyraźniej nie należał do tych, którzy pozwalają, by ktoś inny ich bronił. Narażał się jednak na śmierć, zanim zdołałam uzyskać od niego więcej informacji. Sięgnęłam do tyłu, chwytając go obiema dłońmi za nadgarstki. Przyciągnęłam jego prawą rękę tak, by objął mnie w pasie, wciąż trzymając w niej nóż, a lewą położyłam sobie na ramieniu. Jeśli Jabari zamierza zabić Danausa, będzie musiał najpierw poradzić sobie ze mną. Nie byłam pewna, czy go to powstrzyma, ale przynajmniej zyskamy dzięki temu kilka chwil.

Moje mięśnie skurczyły się na moment, kiedy dłoń Danausa zacisnęła się na moim ramieniu. Jakby zamknął obwód, otaczając mnie swoją energią. Znalazłam się między potęgą mocy Jabariego a wzmożoną energią przepływającą przez Danausa. Ostry krótki okrzyk wyrwał mi się z gardła, gdy próbowałam wydobyć się na powierzchnię. Zamrugalam oczami, skupiając ponownie myśli.

Jabari wpatrywał się we mnie z ustami zaciśniętymi w cienką linię. Gniew nie zniknął do końca z jego oczu, ale coś innego zaprzętało mu głowę. Zrobił pół kroku do tyłu, ściągając brwi. Mogłam sobie wyobrazić, jak bardzo wstrząsnął nim fakt, że jestem skłonna narażać życie dla łowcy, dla kogoś, kto chętnie wyciąłby mi serce. Nie winiłam za to Jabariego. Sama byłam tym zdziwiona, ale zagrożenie ze strony naturi stawiało nas w przymusowej sytuacji.

- Nie ma sensu go zabijać, skoro posiada informacje, które mogą się przydać - powiedziałam. - Przyszłam do ciebie, ponieważ przebywałeś na Machu Picchu. Zawsze byłeś najsilniejszym z całej triady. Przybyłam do ciebie, bo nikomu innemu nie ufam.

W kamieniołomach zaległa cisza, wiatr ucichł. Starszy wpatrywał się we mnie z posepnym, nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Bronisz go tak, jakby znaczył dla ciebie coś więcej.

Poczułam nową falę lęku. Niedobrze. Czyżby Lucas coś już szepnął o mnie w Sabacie? Czy plotki rozsiewane przez Lucasa były powodem tego, że nie otrzymywałam żadnych odpowiedzi od Sabatu w ciągu ostatnich kilku nocy?

- Bronię go, ponieważ nic lepszego nie mogę zrobić w tej sytuacji. Nie zrezygnuję z cennych informacji jedynie dlatego, że nie przypadł mi do gustu posłaniec. - Przez sześćset lat nauczyłam się tego, żeby nigdy nie zranić miłości własnej wampira. A im starszego, tym bardziej. Zdołałam uspokoić Jabariego,

może nawet zaczął dostrzegać jakiś sens w tym, co mówiłam, ale nie zmieniało to faktu, że pouczała go istota dużo młodsza i słabsza od niego.

- Zwracasz się przeciwko swoim, żeby bronić tego łowcy? - Jego zwodniczo spokojny głos przeniknął mi do mózgu. Łagodny ton tego pytania skrywał groźbę.

- Moja lojalność należy się tylko tym, którzy na to zasługują.

- A on zasługuje? Ten, który nas niszczy?

Poczułam przemożną chęć, by cofnąć się o krok, ale trudno było to uczynić, mając Danausa za sobą.

- Bronię go, żeby uratować nas przed naturi. Tylko dlatego.

- A gdy naturi odejdą? - Głos Jabariego stał się spokojny i łagodny. Tak, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. Wyprostował się, rezygnując z agresywnej postawy.

- Wtedy oddam go w twoje ręce. Uczynisz z nami, co będziesz uważał za stosowne. - Poczułam, jak Danaus sztywnieje, ale nie odezwał się, pozwalając mi mówić dalej. - Byłeś mi przyjacielem i opiekunem, Jabari. Jeśli chcesz mojego życia, jest twoje, ale nie wydaje mi się, żeby uchroniło nas to przed naturi. - Miałam ochotę wyciągnąć ręce, ująć jego twarz, pocałować go w szyję i zapewnić o swoim całkowitym oddaniu, ale nie mogłam się poruszyć.

Wiedziałam, że już go straciłam.

Jabari zbliżył się do nas, a każdy krok stawiał uważnie, precyzyjnie. Zatrzymał się pół metra przed nami.

- Nie chcę twojego życia, Miro. - Powiedział to tak lodowatym tonem, że aż zadrżałam i zamknęłam oczy. Danaus zacisnął ręce wokół mnie, przyciągając mnie mocniej do swojej piersi. Jego ciepło wniknęło we mnie przez nagie ramiona i bawełniany materiał bluzki. Lęk zelżał na tyle, że mogłam się odezwać.

- Nie mów tak, Jabari.

- Chcę cię prosić, żebyś została moim towarzyszem.

To był żart. Kiedy Starszy pyta, czy może uczynić kogoś towarzysza, trzeba się zgodzić. Odmowa oznacza śmierć. Większość wampirów nie wahałaby się przyłać takiej propozycji. Taki status, choć związany z niebezpieczeństwami, jest również dość prestiżowy. Ale przy tym całkowicie pozbawia niezależności, wszelkich osobistych praw i własnej woli. Taką karę wybrał dla mnie Jabari zamiast śmierci. Wyeksploatowałyby mnie do cna, aż stałabym się bladym cieniem swojej poprzedniej postaci, przywodząc do stanu, w jakim znajdowałam się o świcie.

- Znasz moją odpowiedź - odparłam cichym głosem. Zacisnęłam dłonie na ręce Danausa tak mocno, że paznokcie wbiły się w jego ciało.

- Miro...

Uniosłam raptownie głowę, wiedząc, że moje oczy płoną niebieskofioletowym blaskiem, jak słodko-gorzkie wilcze jagody. Śmierć w walce była honorowa i mogłabym na nią przystać. Ale to, co proponował Jabari,

było zniewoleniem. Moja moc wezbrała wewnątrz klatki piersiowej tak bardzo, że zaczęła napierać od środka, desperacko domagając się uwolnienia.

- Nie rób tego - ostrzegłam ostrzejszym tonem. - Zniszczę nas oboje, do diabła z naturi.

Niemal bezwiednie wyczarowałam ciemnoniebieski płomień, który wyskoczył z ziemi u moich stóp. Szybko okrążył Danausa i mnie, po czym wzbił się tak, że sięgał mi do piersi. Nigdy nie wskrzesiłam ognia przeciwko Jabariemu, ale nie zamierzałam zostać jego niewolnicą.

Wpatrywał się we mnie przez migoczące niebieskie płomienie. Wiedziałam, że nigdy mi tego nie wybaczy. Jego twarz stała się blada ze złości.

- Pozwól nam teraz ocalić naszą rasę - targowałam się. - Mamy całą wieczność na to, żeby zniszczyć się nawzajem.

Napięcie powodowało, że stawałam się nieco histeryczna. Moje myśli były rozbiegane, chaotyczne. Musiałam jakoś rozdzielić tych dwóch mężczyzn.

Na twarzy Jabariego pojawił się lodowaty uśmiech; odsłonił swoje nieskazitelnie białe zęby.

- To jeszcze nie koniec.

- Nie wątpię - odburknęłam.

Jabari skinął głową, po czym odwrócił się do nas plecami. Podszedł do niedokończonego obelisku, przesuwając z nabożeństwem dłonią po jego gładkiej powierzchni. Płomienie zmniejszyły się, a potem znikły. Danaus rozluźnił swój stalowy uścisk, puszcżając mnie; upadłam na kolana. Dreszcz przebiegł mi po rękach, czułam się tak, jakby wleczono mnie po ulicach za pędzącym powozem.

Zmusiłam się do powstania. Kolana miałam miękkie, ale się nie zachwiałam, obracając się, by spojrzeć na Jabariego. Patrzył na obelisk, fragment swojej przeszłości. Jego twarz znowu była spokojna i zupełnie nieodgadniona.

- Pomyślę o tym, co mi powiedziałaś. Porozmawiamy znowu jutro. - Wyciągnął rękę do góry i przesunął ją po krótkich włosach, wpatrując się w noc. Odprawiał mnie w ten sposób.

- Czy mogę odpocząć na twoim terenie? - spytałam. Niepokój znów ścisnął mi żołądek, gdy Jabari milczał. Musiałam poprosić o pozwolenie, żeby tu zostać. Wszystkie wampiry były uzależnione od strażników danego terenu. Gdyby Jabari odmówił, musiałabym opuścić jego włości przed wschodem słońca, co byłoby bardzo trudne, biorąc pod uwagę fakt, że terytorium Jabariego obejmowało większą część Afryki Północnej i niektóre wyspy na Morzu Śródziemnym.

- Możesz tu odpocząć - odparł powoli, jak gdyby wątpił w słuszność swojej decyzji.

- Dziękuję. - Spojrzałam na Danausa i gestem poleciłam mu odejść. Zawahał się przez moment, spoglądając to na mnie, to na Jabariego. Potem bez słowa przeszedł obok mnie i ruszył w stronę, gdzie umieszczono wielbłądy.

Wpatrywałam się w Jabarię, który stał wyprężony jak struna. Zastanawiałam się, czy czuje się tak bardzo zraniony jak ja. Moje serce krwawiło, co wydawało mi się niemożliwe po wszystkich tych długich stuleciach. Jabari wciąż myślał, że go zdradziłam, i to coś wspaniałego, co istniało między nami, znikło. On nigdy mi już nie wybaczy.

- Kocham cię, Jabari. Ufałam ci i kochałam cię ponad wszystko - szepnęłam.
- Nawet po tym, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, mając świadomość, że pewnego dnia mnie zabijesz, wciąż darzę cię miłością i nigdy nie przestanę. - Nie wiem, czy mnie słuchał ani też, czy w ogóle go to obchodziło. Musiałam wypowiedzieć te słowa. Wypuścić je w powietrze, aby uwolnić swoje serce od straszliwego ciężaru.

Odwróciłam się i wyszłam z kamieniołomu. Pragnęłam, by mnie zawołał. Chciałam usłyszeć, jak mówi, że też mnie kocha, że mi wybaczył, ale on się nie odezwał; nie poruszył się, kiedy od niego odchodziłam. Po wyjściu z kamieniołomu wyczarowałam na dłoni mały płomień, aby rozświetlić przytłaczającą ciemność. Patrzyłam, jak ogień tańczy przez chwilę. Wpatrując się w tę odrobinę światła, zrozumiałam, czemu zachowałam ową moc nawet po śmierci. Jeśli istniało coś takiego jak fatum, pojawiłam się na tej ziemi po to, by niszczyć, a nie tworzyć.

Rozdział 11

Ponad głową na nocnym niebie wisiał blady i nabrzmiały księżyc. Chmury zasnuły gwiazdy, przesłaniając ich migoczące światło i nasilając uciążliwy letni upał. Stałam na głównym placu, białe kamienne ściany otaczały mnie jak wyblakłe na słońcu kości jakiegoś potwora. W oddali wznosiły się góry, wielkie monolity ziemi i skał, które przetrwały całe dynastie i nadal będą sięgać nieba, kiedy moje ciało obróci się w proch. Powietrze przesyciła silna woń roślin, a wiatr niósł cierpki zapach krwi. Podążałam za tym wspaniałym aromatem po schodach, wchodząc przez sklepione przejście do drugiej świątyni.

Zatrzymałam się, a serce zamarło mi w piersi. Na niskim, dużym, szarym kamieniu leżała rozciągnięta kobieta. Głowę miała przechyloną na bok, tak że jej długie czarne włosy muskały ziemię. Patrzyła na mnie piwnymi, szeroko otwartymi oczami. Stał nad nią mężczyzna z nożem w zaciśniętej dłoni. Nie wydałam żadnego dźwięku, ale on wiedział, że tam jestem. Spojrzał na mnie i rozpoznałam uśmiech Neriana.

Próbowałam zrobić krok to tyłu, ale jakieś ręce chwyciły mnie, zmuszając do pozostania w miejscu. Szamocząc się, nie mogłam dostrzec ludzi, którzy mnie trzymali. W ciszy nocy rozległo się echo kroków, wznosząc się ponad kamienie; tamtych przybywało więcej, żeby mnie unieruchomić. Nerian szedł w moją stronę, wciąż trzymając w ręku sztylet. Zaczęłam się wrywać, zmagając z tymi,

którzy mnie pojмали, ale nie mogłam uciec. Zimny pot wystąpił mi na skórę. Paniczny strach pulsował w piersi szybciej niż moje własne serce.

Usłyszałam z tyłu, jak kobieta powtarza cichym głosem: „Zdradziłaś mnie”, z akcentem, który już dawno zaniknął. Napałam tyłem na moich oprawców, zapierając się piętami o kamienie, próbując chwytać się szczelin między cegłami, ale wszystko to bezskutecznie. Nerian wciąż się zbliżał. Jego białe zęby połyskiwały w ciemności.

Krzyczałam i szamotałam się, lecz nie potrafiłam się uwolnić. Stał obok, a jego śmiech wrzynał się we mnie jak brzytwa. Gdybym spojrzała w dół, zobaczyłabym, że krwawię. Miał być martwy. Wiedziałam, że go zabiłam. Spaliłam jego zwłoki, pozostawiając jedynie niewielką kupkę popiołu w piwnicy Danausa. Ale Nerian stał teraz przede mną, uśmiechnięty. Czułam ciepło jego ciała, jego leśny zapach. Cofnął rękę. Śmiał się teraz jeszcze głośniej, szaleńczo. Gdy sztylet zatopił się w moim brzuchu, otworzyłam oczy i znowu krzyknęłam.

Dźwięk wypełniał skrzynię, ale ja nie mogłam przestać. Wciąż krzyczałam, drapiąc czerwoną jedwabną wyściółkę wieka, aż ją podarłam. Wrzeszczałam, aż zakrztusiłam się szlochem, który utkwiał mi w gardle.

Zaciskając palce na podartym jedwabiu nad głową, leżałam nieruchomo w swojej skrzyni. Mięśnie rąk miałam boleśnie napięte. Zaciskałam zęby, próbując powstrzymać krzyk. Łzy spływały mi po policzkach. Powstrzymałam szloch, starając się odprężyć. To był tylko koszmar. Nerian nie żył, a mnie w tej chwili nic nie zagrażało.

Rozluźniając dłonie zaciśnięte w martwym uścisku na obiciu wieka skrzyni, otarłam łzy z twarzy grzbietami dłoni. To wszystko wydawało się takie realne. Czułam jeszcze tamte zapachy, czułam, jak ręce moich oprawców wbijają mi się w ciało. A najgorsze ze wszystkiego było to, że pamiętałam bicie swojego serca. Położyłam drżącą dłoń na piersi, ale nic nie poczułam. Takie zjawiska jak oddychanie i bicie serca były swego rodzaju sztuczką, złudzeniem, którym posługiwały się wampiry, aby sprawiać wrażenie żywych. Wymagały jednak siły i energii, a więc rzadko zaprzętałyśmy sobie tym głowę, chyba że próbowaliśmy omamić ludzi. Nigdy nie uciekałam się do tanich sztuczek, ale leżąc teraz tutaj, zastanawiałam się, czy moje serce naprawdę biło, kiedy śniło mi się to wszystko.

Od bardzo dawna nie miałam koszmarów sennych związanych z Machu Picchu. Kiedyś niemal doprowadziły mnie do szaleństwa, ale Jabari pokierował mną tak, że doszłam do siebie. Gdy przed wiekami opuściłam Egipt, myślałam, że tym samym wyrwałam się spod skrzydeł Jabarięgo, ale okazało się, że byłam w błędzie. Może przez te wszystkie lata pomagał mi, gdy spałam w ciągu dnia, a obecnie, kiedy nasze drogi się rozeszły, przestał mnie chronić. Czy teraz miałam zawsze budzić się z krzykiem na ustach?

A może, co gorsza, to Jabari nasłał na mnie ten sen? Czy będzie mnie zadrecał, aż w końcu znowu przyczolgam się do niego? Zamknęłam oczy i

złożyłam na brzuchu drżące ręce. Staralam się pokonać narastający lęk. Ten koszmar po prostu był złym snem. Byłam zdenerwowana z powodu Jabarięgo i naturi.

Leżałam, a znużenie ogarniało moje ciało. Nocni wędrowcy na ogół nie śnią podczas dnia. Nie pamiętamy tych godzin, kiedy słońce wznosi się nad ziemią. Śnienie było dla mnie niebezpieczne. Zużywałam wtedy energię, którą miałam zachować na noc, na polowanie.

Nocni wędrowcy potrafili śnić, ale zdarzało się to tylko tym z nas, znanym jako Pierwsza Krew. Stanowili oni rzadkość, ponieważ większości nocnych wędrowców po prostu nie chciało się poświęcać nocy na mozolne wypracowywanie uroków rzucanych na ludzi. Przedstawiciele Pierwszej Krwi wyrastali na silniejszych niż nasi zwyklesji pobratymcy, których z przymrużeniem oka nazywaliśmy „kolesiami”. To przezwisko, choć nieco obraźliwe, pasowało do nich. Kolesia stwarzało się szybko i dla prawdziwego drapieznika niewiele różnił się od ofiary.

Gdy moje myśli się uspokoiły, przestając krążyć wokół koszmaru, przeniknęło mnie na wskroś nowe złe przeczucie. Natężyłam zmysły, ale nie musiałam zbytnio się wysilać. Michael opierał się o skrzynię i był ranny. Ktoś jeszcze znajdował się w pokoju. Otworzyłam zamek i odrzuciłam na bok wieko, siadając. Od razu zobaczyłam Michaela, który leżał na podłodze u moich stóp, przyciskając rękę do piersi.

Skoczyłam na nogi, odwróciłam się i ujrzałam jakiegoś człowieka stojącego przy ścianie z pistoletem w dłoni. Ledwie powstrzymałam warknięcie na widok Omariego, ciemnowłosego mężczyzny o śniadej cerze, który służył Jabariemu. Opuścił broń, ale nie schował jej do kabury.

- Przyszedł, żeby cię bronić - wyjaśnił Michael. Nie powiedziałam mojemu ochroniarzowi o tym, co wydarzyło się podczas spotkania z Jabarim, ale nie miałam wątpliwości, że wyczuł mój nastrój.

- Co się stało? - spytałam, odwracając się powoli na pięcie i rozglądając się po pokoju. Szczęśliwie udało nam się dostać narożny apartament w hotelu Sarah na południowym krańcu miasta. Zrobiłam kilka kroków i szkło zaskrzypiało pod moimi stopami. Uroczy pokójk przeistoczył się w istne pobojuwisko. Meble były połamane, obrazy zerwane ze ścian, a zasłony podarte. Jedna biała ściana spryskana była krwią, a inne podziurawione kulami. Hotel stał na szczycie urwiska i rozciągał się z niego widok na miasto. Przy odrobinie szczęścia, dzięki temu, że był tak oddalony, mogliśmy uchronić się przed ściągnięciem na siebie uwagi innych mieszkańców tej miejscowości. Wiedziałam jednak, że przed wyjazdem stąd trzeba będzie sownie opłacić zarówno właściciela hotelu, jak i policję.

- Czterech mężczyzn zaatakowało nas kilka godzin przed zachodem słońca. To byli świetnie wyszkoleni łowcy odrzekł Michael. Wyciągnął rękę i zamknął wieko mojej trumny. Pośrodku widniało głębokie wgniecenie, jakby ktoś

uderzał w pokrywę toporem. Patrząc na to, zacisnęłam zęby. Wgniecenie znajdowało się na wysokości mojego serca.

- Przybyłem krótko po nich - oznajmił Omari, a jego słowa potoczyły się w moim kierunku jak przytłumione dudnienie grzmotu.

Obrzuciłam go wzrokiem, patrząc spod zmrużonych powiek.

- Skąd wiedziałeś?

Ubrany w dzinsy i zwyczajną białą koszulę, wyglądał jak szef jakiejś firmy na wakacjach. Tylko plama krwi na koszuli i dziura w spodniach w okolicy łydki psuły to wrażenie.

- Jabari nie ufa Danausowi. Wysłał mnie, żebym cię pilnował, a Jamila miał śledzić Danausa, gdyby wyszedł z hotelu w ciągu dnia - rzekł Omari, chowając wreszcie broń do kabury pod pachą.

- Gdzie jest teraz Danaus?

- Wyszedł z hotelu na godzinę przed przybyciem napastników - powiedział Michael. - Jeszcze nie wrócił.

Wpatrywałam się w mojego obrońcę, ciesząc się, że zapach jego krwi nie maści mi umysłu. Po przekroczeniu wieku pięciuset lat odkryłam, że mogę obywać się bez posiłku przez kilka dni. Po uczcie, jakiej dostarczył mi Michael poprzedniej nocy, wciąż czułam się syta.

- Gdzie Gabriel? - spytałam, zdając sobie nagle sprawę z tego, że nie ma go w pokoju.

Michael się skrzywił.

- Śledzi tych ludzi, żeby się dowiedzieć, kim są i gdzie się ukrywają. Nie miałem jeszcze od niego wiadomości.

Martwił się i nie mogłam go za to winić. Gabriel był dobry w tym, co robił, ale czterech na jednego to trochę za dużo nawet dla niego. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ciemne szare niebo. Przebudziłam się nieco wcześniej niż zwykle. Szybko przeszukałam swymi mocami miasto, próbując namierzyć Gabriela.

- Jest bezpieczny. - Mój głos zabrzmiał tak, jakby przebył dużą odległość, zanim dotarł do moich uszu. - Wraca do hotelu. - Sięgnęłam myślami nieco dalej i zobaczyłam, że Danaus znajduje się kilka przecznic dalej na północ, ale nie zmierza jeszcze w stronę hotelu.

- Jeśli nie jestem potrzebny, wrócę do swojego pana - powiedział Omari.

- Czy Jabari jest w pobliżu?

- Tak, ma swoją rezydencję w Koti.

Skinęłam głową, rozpoznając nazwę jednej z nubijskich wiosek na Elefantynie.

- Czy zabierzesz Michaela, żeby wyleczyć jego rany?

Omari popatrzył na mojego ochroniarza, na mnie, a potem lekko skinął głową.

- Tak, wezmę go ze sobą.

Spojrzałam ponownie na swojego anioła stróża.

- Zabierzcie też Gabriela. Zjawię się u Jabariego, jak poradzę sobie z łowcą.

- Jesteś pewna, że nie będziemy ci potrzebni? - zapytał Michael. Skrzywił się, wstając. Był ranny, ale Omari i Jamila mieli dopilnować, żeby dobrze go opatrzone. Musiałam przemieszczać się szybko i nie chciałam, żeby byli ze mną, kiedy spotkam się z Danausem.

- Poradzę sobie - odparłam i bezwiednie ukazałam kły. - Idźcie już.

Wysłałam na balkon i spojrzałam na miasto oraz na Nil. W pobliżu znajdowała się pierwsza katarakta Nilu. Dzięki Wielkiej Tamie Asuańskiej, wybudowanej w latach siedemdziesiątych XX wieku, rzeka została w dużej mierze ujarzmiona. Poczekalam trochę, aż w końcu wyczułam, że Gabriel spotkał się z Michaelem i Omarim w holu, a potem położyłam rękę na balustradzie balkonu i przeskoczyłam nad nią z łatwością. Zanim wylądowałam na ziemi cztery piętra poniżej, stałam się niewidzialna i rzuciłam zaklęcie, które pozwalało mi skryć się przed ludzkim wzrokiem. Nie mogli mnie też zobaczyć ani wyczuć inni osobnicy posługujący się magią. Nie wiedziałam, do czego Danaus jest zdolny, ale nie zamierzałam ryzykować. Wyszedł akurat w tym czasie, kiedy ktoś mnie zaatakował i zagroził życiu moich ochroniarzy. Próbowałam uwierzyć, że mógł zostać porwany, gdy to wszystko się działo, lub że zupełnie przypadkowo wyszedł z hotelu właśnie w tym czasie. Przecinając drogę, która wiodła do centrum miasta, pobiegłam, kierując się na wschód. Zwalniałam kroku co parę przecznic, żeby sprawdzić położenie Danausa, ale jeszcze się nie przemieścił. Na ulicach miasta wciąż były tłumy miejscowych i turystów rozkoszujących się chłodniejszą temperaturą, jaka panowała teraz, po zachodzie słońca. Wkrótce wysokie białe budynki i niższe, jasnobrązowe domy mieszkalne ustąpiły miejsca rozległej przestrzeni, która wyglądała jak starożytnie ruiny jakiejś zapomnianej metropolii. Było to cmentarzysko Fatymidów. To stare muzułmańskie miejsce pochówku pełne było niewielkich, czworokątnych mauzoleów z kopulastymi dachami i łukowatymi wejściami. Jednakże słońce, wiatr i piach w ciągu wieków dały się we znaki stojącym tutaj monumentom. Imiona i inskrypcje wyryte w kamieniach zatarły się. Kamienne ścieżki wiodące na cmentarz były zniszczone i zasypane piachem.

Odgłosy miasta prawie już tutaj nie docierały, zamieniając się w cichy szum. Przystając przy wejściu, odgarnęłam włosy z oczu. Wiatr się wzmógł, niosąc ze sobą woń Nilu. Nie był to może najprzyjemniejszy zapach, ale przywoływał miłe wspomnienia. W niektóre noce Jabari i ja wędrowaliśmy wzdłuż krętej rzeki na północ. Opowiadał mi wtedy historie z czasów, kiedy stolicą egipskiego państwa były Teby, a on projektował wielkie budowle dla faraona.

Danaus wreszcie się ruszył. Był wcześniej z grupą trzech ludzi. Czulałam, że zmierza teraz w moim kierunku, a pozostali mężczyźni kierują się na północny zachód, w stronę miasta i rzeki. Z uśmiechem czmychnęłam w cień dużego mauzoleum. Gdy już poradzę sobie z Danausem, zajmę się tamtymi.

Opierając się ramieniem o gładką białą kamienną ścianę, uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że jestem niezwykle spokojna. Wiedziałam, że zabiję Danausa. Wbiję dłonie w jego pierś i wyrwę mu serce. To wszystko było całkiem proste. Być może nie miał w zwyczaju zabijać wampirów za dnia za pomocą zaostrzonego kołka, ale najwyraźniej chętnie wysyłał innych, aby uczynili to za niego. Trochę się to nie trzymało kupy, ale trudno. Nie było go na miejscu, kiedy zostałam zaatakowana. Stanowiło to dla mnie dostateczny, obciążający dowód jego winy.

Minęło zaledwie pięć minut i Danaus przeszedł obok mnie.

- Gdzie byłeś? - spytałam, cofając jednocześnie zakłęcie, które czyniło mnie niewidzialną. Poskromiłam chęć zatopienia zębów w jego gardle, gdy patrzyłam, jak odwraca się w moją stronę, wyciągając sztylet z pochwy u boku.

- Wyszedłem - warknął. Wyprostował się, kiedy przekonał się, że to tylko ja, i schował swój nóż z powrotem. Pomyślałam, że to błąd z jego strony.

- Gdzie byłeś? - powtórzyłam, cedząc powoli słowa.

Stał zaledwie kilka metrów ode mnie, z szeroko rozstawionymi nogami i rękami zwisającymi przy bokach. Mimo że schował nóż, był czujny, gotowy do walki.

- Zwiedzałem miasto.

- Akurat w tym czasie, kiedy cię nie było, pojawili się napastnicy. - Wyszłam na odkryty teren. Danaus zrobił dwa kroki w prawo, zachowując między nami bezpieczny dystans. - Czterej łowcy, dobrze wyszkoleni. Zupełnie tak... jak... ty. Czy to ty ich nasłałeś?

- Nie.

- A czy wiedziałeś, że nadchodzą?

- Nie.

Rzuciłam się na niego i z głośnym dźwiękiem uderzyliśmy o bok innego podniszczonego mauzoleum.

- Kłamstwa - warknęłam, obnażając kły. Nie byłam głodna, ale chętnie wyssałabym z niego krew przed wyrwaniem mu serca z piersi.

Danaus odepchnął mnie i ponownie wyciągnął nóż, skupiając na mnie wzrok. Próbowaliśmy już tego wcześniej, ale tym razem zabawa się skończyła.

- Nie wiedziałem, że się zjawia.

- Ale wiesz, kim są, prawda? - Lewą stopą uderzyłam go w rękę, ale trzymał nóż mocno. Żałowałam, że się nie przebrałam i wciąż miałam na sobie ubranie z poprzedniej nocy. Chociaż spódnica była rozcięta po obu stronach aż do kolan i nie krępowała ruchów, nie lubiłam walczyć w takim stroju. - Znasz ich, ponieważ jesteś jednym z nich. Wiedzieli, gdzie mnie znaleźć, bo im powiedziałaś.

- Nie miałem pojęcia, że cię zaatakują. - Odsunął się od ściany, aby mieć większe pole manewru, ale poruszanie się tutaj nie było łatwe. Teren był nierówny, pełen mogił i dużych płyt nagrobnych, nie wspominając o porzrzucanych gdzieś kawałkach pokruszonych pomników.

- Sprzedałeś mnie!

Chwyciłam go. Danaus zranił mi nożem rękę, ale nie powstrzymało mnie to przed rzuceniem go na ścianę. Powietrze uszło mu z płuc i dopadłam go, zanim zdołał wziąć kolejny wdech. Zaciśnęłam mu dłoń na gardle, gniotąc przełyk. Znowu zamachnął się na mnie nożem, ale złapałam go za nadgarstek. Nie mogąc nic innego zrobić, kopnął mnie. Uderzenie to odrzuciło mnie do tyłu, lecz padając, pociągnęłam Danausa za sobą. Wylądował na ziemi obok mnie.

Rozluźniłam uścisk na jego gardle. Musiałam dobrać się do niego inaczej. Powstałam, zanim on zdołał to uczynić, i kopnęłam go w podbródek, tak że odchylił głowę do tyłu, podnosząc się na kolana.

- Obroniłam cię przed Jabarim! - Okrążając go, ledwie słyszałam skrzypienie żwiru i piachu pod stopami, gdyż wściekłość rozsadzała mi głowę. - Obroniłam cię i teraz straciłam go na zawsze. - Chwyciłam go obiema rękami za koszulę. - Moje życie legło w gruzach z twojego powodu. Utraciłam swoje terytorium. Wszystko przez ciebie.

- Nie nasłałem ich - powtórzył, zwięzając oczy w połyskujące szparki. - Po co miałbym posyłać kogoś innego, kiedy nie mogę się doczekać, żeby samemu wyrwać ci serce?

Napięłam mięśnie rąk, przygotowując się do tego, by rzucić go na pobliski stos ostrych kamieni, kiedy coś przemknęło przez tę niewielką odległość, jaka oddzielała od siebie nasze twarze. Odwróciłam gwałtownie głowę i otworzyłam szeroko oczy. Oboje spoglądaliśmy na jasnobrązową ceglana ścianę mauzoleum obok nas, w której tkwiła niewielka, drżąca strzała. Strzała z miniaturowej kuszy naturi.

Danaus zareagował szybciej niż ja, rzucając się na mnie całym ciałem. Wylądowaliśmy na ziemi za wysokim kamieniem nagrobnym. Leżał na mnie, kiedy usłyszałam, jak trzy kolejne strzały odbijają się z brzękiem od kamienia. Naturi nas odnaleźli. Rozluźniłam dłoń zaciśniętą na koszuli Danausa i wysliznęłam się spod niego, próbując wysunąć się zza grobu na tyle, by rozejrzeć się po cmentarzysku.

- Ilu ich jest? - spytałam, kiedy kolejna strzała śmignęła nad grobem. Leżałam płasko na plecach na ziemi, nasłuchując odgłosów, które świadczyłyby o tym, że tamci są blisko. Spojrzałam znowu na Danausa, który patrzył na mnie zdezorientowany. - Nie mogę ich wyczuć - wyjaśniłam.

- Jak twoja rasa przetrwała tak długo? - spytał, lekko kręcąc głową.

Piorunując go wzrokiem, uniosłam wargi na tyle, by odsłonić kły. Nie byłam w nastroju do wymiany przytyków, kiedy naturi próbowali mnie zabić, a ja nadal planowałam uśmiercić Danausa przed upływem nocy.

Wiatr się wzmógł i poczułam lekki zapach drzew i wody, woń żyznej ziemi po burzy, aromaty, których nie spotykało się w Egipcie. Tamci byli gdzieś blisko. Sięgnęłam ręką i wyciągnęłam miecz z pochwy na plecach Danausa. Starcie z naturi, gdy nie miało się przy sobie żadnej broni, nie mogło się dobrze zakończyć.

- Siedmiu - powiedział Danaus. - Czterech na cmentarzu, którzy szybko się zbliżają, i trzech na dachu, poza jego obrębem.

Skinełam głowę. Tamci trzej na zewnątrz mieli nas trzymać w szachu, aż ci na cmentarzu nas dopadną. Podniosłam się na kolana i w tym samym momencie usłyszałam niezwykle ciche kroki zbliżających się nieproszonych gości - naturi.

Skoczyłam na równe nogi i uniosłam miecz tak, że znalazł się tuż przed moim sercem. Dwaj naturi stali kilkanaście metrów przede mną z bronią skierowaną w moją stronę. Strzały wycelowane w moją pierś przeszły powietrze. Zmieniłam ich kurs, żałując, że nie mam przy sobie czegoś, z czego mogłabym do nich strzelać. Nie nosiłam pistoletu. Żaden nocny wędrowiec tego nie robił. Nie było takiej potrzeby aż do teraz. Gdy chodziło o wszelkie inne stworzenia, wystarczały noże lub gołe ręce. Minęło pięćset lat od czasu, kiedy doszło do serii starć z naturi, a broń palna nie była wtedy tak skuteczna i celna jak obecnie. Jeśli uda mi się teraz przeżyć, Gabriel będzie musiał udzielić mi krótkiej lekcji posługiwania się bronią palną.

Nie zawracając sobie głowy ponownym załadowaniem kusz, obaj naturi wyciągnęli krótkie miecze i natarli na mnie. Miecz, który trzymałam, miał większy zasięg, ale wiedziałam, że tamci nie będą tracić czasu, podchodząc blisko.

- Nerian? - spytał ten, który był najbliżej, mrużąc piwne oczy. Miał takie same gęste włosy i kręłą postać jak Nerian, co świadczyło o tym, że prawdopodobnie również należy do klanu zwierząt.

Uśmiech pojawił mi się na twarzy, zanim zdołałam go powściągnąć. Był podobny do tego, który widziałam kiedyś na obliczu Jabariego, pełen spokoju, radości i złośliwości.

- W proch się obrócił - odparłam głosem, który mógłby skuć lodem cały Nil.
- A ty wkrótce do niego dołączysz.

Obaj zaatakowali jednocześnie, zmuszając mnie do zrobienia uniku przed mieczem jednego i równoczesnego zablokowania ciosu drugiego z napastników. Z cmentarza dobiegł mnie szcęk stali. Najwyraźniej Danaus też miał okazję z kimś bliżej się zapoznać. Kopnęłam w pierś jednego z atakujących, który upadł do tyłu na grób, i zablokowałam w tym samym czasie dwa kolejne cięcia, gdy drugi naturi próbował pozbawić mnie głowy.

Musiałam pozbyć się jednego z napastników, aby móc spalić drugiego. Niestety, wywoływanie ognia i posługiwanie się nim wymagało wiele energii i skupienia, zwłaszcza w obliczu naturi. W przypadku domów i, niestety, wampirów, wystarczyło jedynie wzniecić pożar. Z ludźmi należało trochę więcej się napracować, ale z jakiegoś powodu najgorzej było z naturi. Nie znaczy to, że w ogóle nie mogli zapłonąć; owszem, mogli, z wyjątkiem naturi należących do klanu światła. W sumie naturi stanowili całkiem niezły materiał palny; spopielenie ich wymagało jedynie nieco więcej wysiłku. Gdy teraz jeden z nich starał się poszatковать mnie na kawałki, nie mogłam się skupić na kremowaniu swoich wrogów.

Obróciłam się tak, aby mieć za sobą ścianę jednego z większych mauzoleów. Gdyby Danaus uległ w walce lub któryś z jego napastników porzucił go i zaatakował mnie, nie chciałam zostać zaskoczona. Naturi zamachnął się mieczem w moją stronę. Zablokowałam jego sztych. Cofając miecz, machnął nim tak, że czubkiem zadrasnął mi przedramię. Pojawiła się tam długa czerwona kreska, a ostry, piekący ból zaczął promieniować w górę ręki. Dawno czegoś takiego nie czułam. Wszystkie rodzaje broni używanej przez naturi były nasączone specjalną trucizną.

Kopnęłam napastnika, ale uskoczył. Nie spodziewał się jednak, że w następnej sekundzie moja pięść wyląduje na jego nosie, odginając mu głowę do tyłu. Pod kostkami palców poczułam, jak kość pęka na miazgę. Zachwiał się, robiąc kilka kroków do tyłu, gdy krew zalała mu twarz. Zaklął, co zawsze brzmiało dla mnie dziwnie. Ich język był tak piękny, liryczny, że przekleństwa brzmiały jak komplementy.

Z pola walki na cmentarzu dobiegł jęk. Nie był to głos Danausa. Łowca pozbył się jednego naturi. Zaatakowałam swojego zakrwawionego przeciwnika, zanim drugi z nich ponownie stanął do walki. Na szczęście ból spowodowany złamanym nosem zaburzył u naturi umiejętność trzeźwej oceny sytuacji i chwilę później zatopiłam mu miecz w piersi. Uśmiechając się, pociągnęłam ostrzem do góry, przecinając narządy wewnętrzne i łamiąc kości, aż stał przesła przez obojczyk i poszatkowała mięśnie i ścięgna na ramieniu. Oczy naturi zaszklily się, a jego miecz z brzękiem upadł na ziemię. Wtedy jednym ciosem, pozbawiłam go głowy.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że drugi naturi zbliża się do mnie z zielonymi oczyma błyszczącymi wściekłością. Gniew dodawał mu siły, a on sam był szybszy od swojego zabitego towarzysza, ale ja wciąż miałam przewagę. Nerian prześladował mnie w myślach na tyle długo, że wiedziałam, iż muszę zabić tego naturi, bo inaczej znowu wpadnę w ich ręce - czego za wszelką cenę chciałam uniknąć. Naturi o brązowych włosach zadawał ciosy, zmuszając mnie do odejścia od ściany i odsłonięcia pleców. Bałam się, że ktoś wbije mi nóż w plecy.

Wymieniliśmy kilka ciosów i po paru minutach oboje lekko krwawiliśmy z niewielkich ran. Ciało mnie piekło, a ręce drżały z bólu. Skórzana kamizelka naturi nasiąkła potem i krwią, a on sam oczy miał zwężone, wzrok skupiony na mnie. Najwyraźniej zamierzał mnie zabić.

Zaciskając zęby, zablokowałam kolejną serię ciosów wymierzonych w moje serce i natarłam z mieczem na niego tak, że musiał cofnąć się o parę kroków. Gdy między nami zrobiło się nieco wolnej przestrzeni, opuściłam powieki i moje oczy wyglądały teraz jak wąskie fioletowe szparki. Naturi zrobił krok w moją stronę ze wzniesionym mieczem, lecz nagle się zatrzymał, wytrzeszczając oczy. Zdawało się, jakby jego tęczówki zostały wchłonięte przez białka oczu; otworzył usta, a cichy, zduszony okrzyk poniósł się echem po dziwnie cichym cmentarzu. Opuściłam miecz, skupiając całą swoją energię na ciele przeciwnika.

Po kilku sekundach płomienie wystrzeliły z jego ciała, osmalając je. Rozległ się syczący odgłos przypiekanych tkanek i skóry, a smród palonych włosów i skórzanego stroju wyparł zapachy Nilu i pobliskiego miasta. Cofnęłam się, gdy ubranie na naturi zapaliło się, a on sam upadł na ziemię. Ani razu nie krzyknął, co sprawiło mi pewien zawód. Ale czego można oczekiwać, gdy przepala się komuś płuca?

Kiedy naturi zamienił się w kupkę poczerniałych szczątków, wycofałam swoją moc, gasząc ogień. Wyczerpana, zwałam się na kolana przed spopielonymi zwłokami. Odgłosy walki ucichły i zdołałam niewyraźnie wyczuć obecność Danausa. Musiałam chwilę odpocząć przed powrotem do swoich rozterek na jego temat. Wykrzesawszy odrobinę mocy, wyemitowałam ją z siebie i wniknęłam do umysłów wszystkich ludzi, którzy mogli słyszeć odgłosy stoczonej walki lub dostrzegli na cmentarzu ogień. Wymagało to nieco wysiłku, ale udało mi się wymazać ów obraz z ich pamięci, przekonując ich, żeby powrócili do swoich domów. Nasza tajemnica była bezpieczna.

- Jest nasza mała księżniczka. - W wibrującej ciszy rozległ się zuchwały drwiący głos.

Odwróciłam się gwałtownie i upadłam na ziemię. Ostatni naturi, z którym walczyłam, zmusił mnie do tego, żebym stanęła tyłem do cmentarza. Teraz zbliżali się stamtąd trzej pozostali naturi, czekający po drugiej stronie ulicy. Siedząc na ziemi, z plecami przyciśniętymi do zniszczonej przez piasek ściany jednego z rozpadających się grobowców z czerwonej cegły, utkwiałam wzrok w naturi idącym pośrodku, który się we mnie wpatrywał. Nigdy dotąd nie widziałam takiego naturi jak on. Miał ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, włosy tak ciemne, że wyglądały niemal jak czarne, podczas gdy wszyscy przedstawiciele tej rasy, których wcześniej widywałam, byli blondynami lub jasnymi szatynami. Jego prawe oko zakrywała czarna skórzana przepaska, a policzek i szczęka po tej stronie twarzy były poprzecinane nierównymi, poszarpanymi bliznami. Naturi potrafili wyleczyć się niemal ze wszystkiego i nawet czas się ich nie miał.

Jednooki naturi zbliżył się o krok, omijając zwłoki swoich towarzyszy, z mieczem w mocno zaciśniętej dłoni.

- Pora się zbierać.

- Nie ma mowy.

Jego głos wydał mi się jakiś znajomy. Gdzie mogłam go spotkać?

- Ale ja mam wobec ciebie takie plany. - Zrobił kolejny krok do przodu.

Wbijając pięty w ziemię, przygotowałam się, by skoczyć na równe nogi. Kątem oka zobaczyłam, jak dwaj pozostali naturi zwracają się w stronę Danausa. Mieli się nim zająć, podczas gdy ten rozprawi się ze mną.

Coś w jego głosie nie dawało mi spokoju. Przypomniałam sobie Neriana i naszą ostatnią rozmowę.

- To ty jesteś Rowe?

Uśmiechnął się szerzej i lekko się skłonił.

- Do usług. - Jego ciemnoczerwona koszula była rozchylona przy szyi, a kiedy pochylił się do przodu, ujrzałam wyraźnie blizny pokrywające jego muskularną pierś. Wyprostował się, a jego uśmiech zbladł. - Nie pamiętasz mnie, prawda?

- Nie.

- Nadrobimy to. - Rowe zamachnął się na mnie mieczem, ale odparowałam ten cios. Siedząc na ziemi, znajdowałam się w zdecydowanie niekorzystnej pozycji. Byłam zbyt zmęczona i obolała, by próbować go spalić. Musiałam się podnieść.

Rowe już miał zadać mieczem kolejny cios, kiedy dwa przenikliwe okrzyki rozległy się w powietrzu. Dreszcz przebiegł mi po plecach i wzdrygnęłam się, słysząc ów odgłos, który omal nie przeciął mi skóry. Oboje unieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy, że dwaj pozostali naturi porzucili swoje miecze i drapali się jak oszaleli po rękach i twarzy. Nie miałam pojęcia, co się z nimi działo. Potem padli na ziemię, w drgawkach bólu. Nagle ich skóra pękła i krew wylała się na zewnątrz, sycząc i bulgocząc. Ich krew wrzała. Gdybym tego nie ujrzała na własne oczy, nie sądziłabym, że to możliwe.

- Wkrótce cię dorwę - powiedział Rowe, wskazując na mnie mieczem, po czym, jako jedyny ocalały naturi, pobiegł przez cmentarz w stronę pograżonej w cieniu ulicy.

Skrecało mnie w żołądku, gdy ponownie utkwiałam wzrok w konających naturi. Dopiero wtedy poczułam ogromne parcie mocy wypełniającej nekropolię. Rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam Danausa. Klęczał z ręką wyciągniętą w stronę obu naturi. To on tego dokonał. Ten, któremu wcześniej groziłam i z którego się naśmiewałam, zagotował krew w ciałach naszych wrogów.

Kiedy tak siedziałam, patrząc, jak ich krew stygnie w nocnym powietrzu, na krótki moment ogarnął mnie podziw podszyty lękiem. Moje sztuczki były niezłe, ale jego jeszcze lepsze. Co powstrzymuje go przed uczynieniem tego samego mnie i reszcie moich pobratymców?

Rozdział 12

Kiedy naturi przestali się ruszać i zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu trzaskiem topionych kości i ścięgien, Danaus opuścił drżącą dłoń. W świetle odległej latarni pot połyskiwał na jego surowej twarzy i spływał mu po rękach. Moc, którą przywołał, odpłynęła z cmentarza i pojawił się chłodny wietrzyk. Danaus wyglądał na wyczerpanego i nieco pobladł. Ten niezwykle wyczyn najwyraźniej wiele go kosztował.

Spojrzał na mnie. Patrzyliśmy sobie w oczy, oboje myśląc o tym samym. Czy zostało mi wystarczająco dużo siły, żeby go zabić, zanim on uśmierci mnie? Oboje byliśmy zmęczeni, ale gdyby chodziło o nasze życie, wiedziałam, że

mamy tyle sił, by zniszczyć się nawzajem. Poczułam jego moc, pozwoliłam, aby po mnie spłynęła, gdy byliśmy blisko siebie, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że on może dokonać czegoś takiego. Mógłby zabijać nocnych wędrowców, nawet się do nich nie zbliżając. Jak dotąd nigdy nie słyszałam o tak niezwykłym darze. Oczywiście łowca szybko stałby się obiektem polowania, gdybyśmy wiedzieli, że jest aż tak niebezpieczny. Sabat wysłałby za nim hordy wampirów i nie spoczęlibyśmy, zanim nie starlibyśmy go z powierzchni ziemi. Nie mogliśmy dopuścić do istnienia takiego wroga.

Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy, wpatrując się w siebie nawzajem i czekając, kto z nas pierwszy odwróci wzrok. Na tym cmentarzu, pełnym zwłok naturi, czas zdawał się rozciągać. Oboje posiadaliśmy straszliwe moce, wzbudzające wielki strach w tych, którzy nas otaczali. Przez stulecia tylko Jabari powstrzymywał Sabat przed zniszczeniem mnie. A teraz poznałam sekret Danausa. Powiem jedno słowo i zaczną ścigać go wampiry z całego świata, aż padnie martwy... jeśli mnie wcześniej nie zabije.

Kiedy jednak tak siedziałam na ziemi na tym opuszczonym egipskim cmentarzysku, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek opowiem komuś o tym, co się tu zdarzyło. Danaus uratował mi życie, chociaż absolutnie nie miał ku temu powodu. Byłam teraz jeszcze bardziej zdezorientowana niż dobieg wcześniej.

- Kim jesteś? - Mój głos zabrzmiał szorstko i ochryple w moich własnych uszach. Rany i stłuczenia znowu dały o sobie znać i omal nie poddałam się bólowi. Rozluźniłam dłoń zaciskającą miecz, który wypadł mi z bezwładnych palców. Zerwał się wiatr, wiejący znad rzeki. Torując solne drogę przez miasto, w końcu dotarł do nas. Intensywny zapach przypraw zmieszany z mocną wonią ludzi uwolnił nas od śmiertelnego całunu zasnuwającego cmentarzysko.

Danaus usiadł, kryjąc się w głębokim cieniu rzucanym przez jedno z mauzoleów. Wyglądał jak zjawa z jakiegoś koszmaru.

- Jestem członkiem grupy zwanej Temidą. - Nadal dyszał z wysiłkiem, a jego dłonie drżały. Na jego lewym bicepsie widniało długie nacięcie, a ręka była cała zakrwawiona. Coś we mnie poruszyło się na widok krwi, ale po tym, jak widziałam go w akcji, wołałam nie ulegać pokusie.

- Tej samej, do której należą ci, co zaatakowali nas przed zachodem słońca?

- Od chwili wyjazdu ze Stanów Zjednoczonych nie miałem okazji przekazać im wiadomości. Dziś wieczorem spotkałem się wreszcie z moim łącznikiem w Klubie Oficerskim na północnym krańcu miasta. - Każde słowo wypowiadał powoli i z wahaniem. Patrzył w ziemię ze ściągniętymi brwiami. Pewnie nie chciał mi nic powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli mamy posunąć się naprzód, muszę dowiedzieć się więcej. - Nie miałem pojęcia, że kogoś tu wysyłają. Myśleli, że zostałem schwytany i jestem przetrzymywany wbrew swojej woli; dowiedziałem się o tym na spotkaniu z łącznikiem. Chcieli mnie ocalić i zabić ciebie.

- A teraz?

- Zostali poinformowani, że... pracujemy razem. - Kwaśny uśmiech wykrzywił kącik jego ust. Jego ciemnoniebieskie oczy zwróciły się w moją stronę, popatrzył na mnie przez chwilę, jak gdyby powstrzymując rozbawienie. - Jestem pewien, że to ich zadowoliło. - Cichy odgłos, który przypominał śmiech, wydobył się z głębi jego gardła. Najwyraźniej nie tylko ja stapałam w tym momencie po cienkim lodzie.

- To z nimi miałaś się tutaj spotkać?

- Tak, złapałem ich, gdy zmierzali z powrotem na północ.

- Czy Temida powstrzymała swoje gończe psy? - spytałam, bezwiednie podnosząc mały kamyczek i obracając go w palcach.

- Za godzinę łowcy znajdą się w samolocie wylatującym z Egiptu.

- Sprytnie.

Powstrzymałam się na razie przed uśmierceniem Danausa. Użył swojej mocy nie tylko do zniszczenia naturi, którzy go zaatakowali, ale też skutecznie odstraszył Rowe'a, przy okazji prezentując swoją niezwykłą umiejętność i broniąc mnie przed losem pewnie gorszym od śmierci. Nie miałam jednak wyrozumiałości dla tych, którzy zranili Michaela. Złościła mnie sama myśl o tym, że ktoś może mnie zaatakować podczas snu. Nie miałam szacunku dla tchórzy, którzy napadali na bezbronnych.

Podniosłam się na nogi, krzywiąc się i zaciskając zęby przy każdym ruchu. Będę się czuła taka obolała do czasu, aż się pożywię lub prześpię w ciągu dnia. Niestety, obie te możliwości wydawały się raczej odległe.

- Kim był twój rozmówca? - spytał Danaus, również powoli wstając.

Pokiwałam głową, błędząc wzrokiem po szczątkach naturi.

- To Rowe, naturi, o którym wspominał Nerian.

- Znowu chcą cię dopaść?

- Na to wygląda - szepnęłam. Chciałam zrobić jakąś dowcipną uwagę na temat tego, że powinni wziąć sobie do serca nauczkę, jaką dostali za pierwszym razem, ale nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Coś we mnie krzyczało w przerażeniu: „Znowu? O, nie. Nie pozwolę, żeby dorwali mnie ponownie”.

- Wciągnijmy zwłoki do tego mauzoleum - powiedziałam, wskazując głową w stronę dużego, rozpadającego się budynku, z nieźle zachowanym kopulastym dachem. Łukowato sklepione wejście było popękane i zniszczone. Stan ten świadczył o tym, że rodzina właściciela wcale się nim nie interesuje. Chwyciłam za rękę naturi i jego odciętą głowę, a potem wrzuciłam to wszystko do grobowca.

Danaus poszedł za moim przykładem i przyciągnął zwłoki dwóch naturi, których krew zagotował. Ułożyliśmy pogruchotane szczątki sześciu ciał na stos pośrodku grobowca.

Wychodząc z mauzoleum, zatoczyłam się ze zmęczenia. Danaus chwycił mnie za rękę i przytrzymał.

- Wciąż krwawisz - powiedział, kiedy cofnął dłoń i ujrzał ciemne smugi krwi na swoich palcach.

- Zaczarowana broń - odparłam cicho. - Rany dłużej będą się goić.
- Musisz się pożywić.
- Czy to propozycja?

Danaus zrobił krok do tyłu i pokręcił głową.

- Nie.

Wzruszyłam ramionami i rozejrzałam się po cmentarzu. Powietrze znowu było spokojne i nikt nie przechadzał się w pobliżu tego miejsca wiecznego odpoczynku zmarłych.

- Wybieram się do Jabariego. Dam sobie radę do tego czasu.

- Załatwię samochód... - powiedział, kierując się w stronę wyjścia z nekropolii.

- Wybieram się do niego bez ciebie. - Pokręciłam głową, próbując rozproszyć mgłę zasnuwającą mój umysł. Jabari czekał na mnie. Musiałam zachować trzeźwość myśli. Podciągnęłam spódnicę i wyostałam telefon komórkowy spod podwiązki, którą był przymocowany do uda. Umieściłam go tam poprzedniej nocy po powrocie do hotelu. Chciałam mieć go przy sobie po tym, jak Michael z Gabrielem postanowili rozejrzeć się trochę po mieście. Danaus spojrział na telefon tak, jakbym właśnie wyciągnęła królika z kapelusza.

- Nie wszyscy się boimy nowoczesnej techniki. - Wcisnęłam mu telefon do ręki. - Zadzwoń do Charlotte. Jej numer jest wpisany w telefonie. Zapytaj, czy może dziś w nocy sprowadzić mój samolot do Asuanu. Wyjeżdżamy stąd.

- Dokąd się wybieramy?

- Powiedz jej, że wracamy. Ja swoje już zrobiłam. Jabari wie o naturi. Zajmie się tym problemem. - Przerwałam na chwilę i spojrzałam na łowcę. Nie mogłam uwierzyć w to, co miałam powiedzieć, ale on właśnie obronił mnie przed naturi. Spoglądając dziś w nocy na Rowe'a, uświadomiłam sobie, że poświęcam zbyt dużo energii na obwinianie Danausa o wszystko, co ostatnio poszło źle. Tak naprawdę był to skutek mojej własnej głupoty oraz postępów naturi. To nie Danaus ich sprowadził. Nie zdążył tylko powiadomić kogoś o tym, co się dzieje.

- Możesz zabrać się z nami do Stanów. A potem rób, co chcesz. - Wiedziałam, że nie mogę zostawić go tutaj z Jabarim.

Danaus uniósł brwi pytająco, ale chyba na nic więcej nie mógł się zdobyć. Oboje byliśmy bardzo wyczerpani. Zignorowałam jego minę i mówiłam dalej:

- Kiedy wrócisz do hotelu, zapłać za nasze pokoje. Jeśli Charlotte nie zdoła sprowadzić tu samolotu w ciągu następnych kilku godzin, powiedz kierownikowi hotelu, że chcemy wynająć lub kupić ciężarówkę. Musimy dotrzeć do Luksoru dziś w nocy i znaleźć się w samolocie przed wschodem słońca.

- To może być trudne.

- Wiem, ale nie mogę podróżować bez swojej skrzyni - odparłam. Mój odrzutowiec został zaprojektowany specjalnie dla mnie i dawał mi pewną ochronę. Nie byłam przekonana, czy inne miejsca, w których zmuszona będę

przebywać, zapewnią mi dostateczne bezpieczeństwo. - Koszty nie grają roli. Na spodzie skrzyni jest skórzana walizka z pieniędzmi.

- Jesteś pewna, że nie wystawię cię do wiatru? - zapylał, wkładając ręce do kieszeni.

- Niezupełnie. - Zrobiłam krok do przodu, wzruszając ramionami. - Ale jeśli nawet zwiniesz forszę, mój telefon i wyrzucisz skrzynię, to i tak mnie nie zniszczysz. A zanim zacznę cię ścigać za tę zdradę, dorwę tych ludzi, którzy dziś mnie zaatakowali i zranili Michaela. Pomóż mi teraz, i zapomnę o tym napadzie i wywiozę cię z Egiptu żywego. Wydaje mi się, że to całkiem uczciwy układ, biorąc pod uwagę napaść twoich przyjaciół z Temidy. Zgoda?

Danaus długo wpatrywał się we mnie w milczeniu.

- Zgoda. - Jego słowa zabrzmiały jak cichy pomruk. Uśmiechnęłam się. Miałam w rękawie jeszcze lepszą

Kartę przetargową, ale zachowywałam ją na deszczową noc.

- A skoro już mowa o twoich przyjaciółach... - odezwał się, podchodząc jeszcze bliżej do niego - chcę, żebyś zadzwonił do Temidy. Mam ochotę spotkać się z nimi.

Po przekazaniu Jabariemu i Sabatowi problemu związanego z naturi, pragnęłam dowiedzieć się więcej o tej grupce, która ze ścigania nocnych wędrowców uczyniła swoje hobby.

Danaus spojrzał mi ostro w twarz.

- Nie zgodzą się na to.

- Nie obchodzi mnie, co im powiesz, żeby to zorganizować. Przed wschodem słońca chcę usłyszeć obietnicę, że spotkam się z członkami tej twojej grupki - odparłam, nie mogąc powstrzymać się przed zaciśnięciem zębów. Narastała we mnie złość, co było korzystne, bo dodawało mi nieco energii. - Muszę jeszcze spotkać się z Jabarim i nie mam najmniejszego pojęcia, co mu powiem. Zorganizujesz spotkanie albo nie wyciągniesz już ode mnie żadnych nowych informacji.

Ze ściągniętymi brwiami, przeszłam obok niego i ruszyłam w stronę wyjścia z cmentarza. Zatrzymałam się jednak kilka kroków od Danausa. Irytowała mnie konieczność zadania takiego pytania, ale czułam się wyczerpana i bezbronna.

- Ilu naturi pozostało w mieście?

Przez kilka sekund panowała cisza, ale nie zamierzałam oglądać się na Danausa. Nic by mu nie dało, gdyby zabił mnie teraz. Po tym, jak wcześniej poświęcił tyle energii, żeby mnie ocalić.

- Jeszcze dwóch jest koło rzeki, zmierzają na północ. Jego głos zabrzmiał cicho i nisko, jak odległy grzmot.

Miałam wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do Jabariego i wrócić z moimi ochroniarzami, zanim natknę się na Rowe'a i jego towarzysza.

- Jak daleko szukałeś?

- W całym Asuanie, od Wielkiej Tamy po grobowce.

- Czy... wyczuwasz Jabarię? - Poczułam ucisk w żołądku, czekając na odpowiedź.

- Nie.

Skinęłam głową; trochę mi ulżyło. Wolałam, żeby i on nie potrafił wyczuwać obecności Starszego, skoro mnie się to nie udawało.

- Powinnam wrócić za godzinę.

Rozdział 13

Odłamki skał chrzęściły mi pod stopami, kiedy opuszczałam cmentarzysko, kierując się na północny zachód, ku centrum miasta. Ból przeszywał mnie przy każdym ruchu, gdy moje ciało próbowało zagoić rozmaite rany i pozbyć się różnych trucizn, jakie wniknęły we mnie wraz z ostrzem noża naturi. Minąwszy zaledwie kilka przecznic, wmieszałam się w uliczny tłum. Wysiłałam swoje moce na tyle, by stać się niewidoczna dla ludzi, których mijałam, jednak Jabari zdołałby wyczuć, że się zbliżam. Z kolei ja mogłam wyczuć obecność Gabriela i Michaela na wyspie Elefantynie. Przebywali w domu, utrzymywanym tam przez Starszego.

Zapadał wieczór, lokalny bazar tętnił życiem, gdyż zamykano go dopiero późno w nocy. Barwne tkaniny powiewały na wietrze pachnącym aromatycznymi przyprawami. Grupka ośmiu chłopców przebiegła obok mnie, pokrzykując do siebie wesoło. Najstarszy z nich miał pod pachą podniszczoną piłkę futbolową. Chcieli najwyraźniej rozebrać jeszcze jeden mecz przy gasnącym świetle dnia. Szybko przeszłam przez bazar, widząc stopy owoców, starannie układanych według kolorów w brązowych koszach. Barwne szyldy z arabskimi literami przykuwały uwagę tych, co robili zakupy. Na bazarze było niewiele kobiet i albo towarzyszyli im mężczyźni, albo też trzymały się razem w trzy- lub czteroosobowych grupkach. Był to zupełnie odmienny świat od tego, który znałam, od Stanów Zjednoczonych czy też Europy.

Napięcie, jakie odczuwałam w karku, nieco ustąpiło, kiedy obserwowałam życie prowadzone przez tutejszych ludzi. W powietrzu rozbrzmiewał gwar ożywionych rozmów, a ktoś cicho nucił tęskną melodię przy akompaniamencie jakiegoś instrumentu strunowego, co stanowiło kontrpunkt dla głośnego szumu przejeżdżających samochodów. Tu, w tym miejscu, naturi jeszcze nie tknęli ludzkości, a o mojej rasie krążyły legendy, w które tak naprawdę już nikt nie wierzył.

Zeszłam ku Corniche el-Nil i siłą woli skłoniłam kapitana łodzi do przewiezienia mnie przez rzekę na Elefantynę. Ten biedak nawet mnie nie zauważył. Wniknęłam w jego umysł, nim jeszcze weszłam do małej białej łódki z żaglem w tym samym kolorze. Zajmując miejsce na rufie, przymknęłam oczy, wsłuchując się w skrzypienie desek poszycia łodzi i plusk wody. Wiatr smagał powierzchnię rzeki, przynosząc ze sobą tajemnice z południa, z królestwa

nubijskiego, oraz inne opowieści z samego serca Afryki. Słuchałam wiatru i wody, żałując, że nie rozumiem ich języka, że nie mogą mi pomóc w rozwiązaniu dylematu, jaki mnie dręczył.

Schodząc na przystań, mocą woli poinstruowałam kapitana, aby zmył plamę krwi, którą pozostawiłam na białej farbie jego łodzi, a potem skierowałam się na południowy skraj wyspy, ku wiosce Koti, znajdującej się opodal ruin Abu Simbel. Wydeptaną piaszczystą ścieżkę okalały drzewa i rośliny o szerokich liściach. Wpatrywałam się w mrok, który wypełniał otwarte przestrzenie, zastanawiając się, czy naturi podążyli za mną przez Nil na tę wyspę.

Odprężyłam się nieco, gdy przeniknęłam przez ponad dwumetrowy kamienny mur otaczający wieś Koti. Wprawdzie naturi mogli przybyć tu za mną, ale znalazłam się bliżej Jabariego. Liczyłam na to, że jest on w osadzie, choć wciąż nie wyczuwałam obecności mojego dawnego nauczyciela.

W wąskim zaułku pomiędzy dwoma wysokimi budynkami, które wyrastały niczym żółte tulipany, znajdował się dwukondygnacyjny, prostokątny dom o jasnyniebieskiej barwie. Wszystkie domostwa w tej nubijskiej osadzie miały jasne, żywe kolory - były żółte jak słońce, błękitne jak woda, uroczo różowe - i wyglądały niczym kamienne kwiaty w wielkim ogrodzie bogów. Gdy podeszłam bliżej, otworzyły się ozdobne drzwi, a w progu stanął Omari. Nie mogłam mnie dostrzec, ale zapewne Jabari dał mu jakoś znać, że się zbliżam. Odrzuciłam niewidzialną zasłonę, kiedy znalazłam się w odległości zaledwie paru metrów od wejścia, i zaskoczyłam tym trochę Omariego, który po chwili odstał na bok i gestem zaprosił mnie do środka.

Główna komnata była skąpana w ciepłym blasku świec, a lekka woń kadzideł wypełniała powietrze. Jabari podniósł oczy, gdy weszłam, a jego wzrok stężał, kiedy lepiej mi się przypatrzył. Wyczułam, że Michael i Gabriel także zerwali się na równe nogi ze stosu poduszek na podłodze po mojej prawej stronie.

- Naturi! - zawołałam, a słowo to samo wyskoczyło mi z piersi.

- Tu? - zapytał ostro Jabari. Podniósł się gwałtownie, a białe szaty powiewały wokół niego.

- Nie, zaatakowali mnie na cmentarzysku Fatymidów. Siedmiu. Czy żaden z nich nie pojawił się tutaj?

Pomyślałam, że pogoń za mną była dla nich tylko krótkim epizodem w drodze do Jabariego. To Starożytny stanowił ich główny cel. Był bowiem najpotężniejszy z pozostałych przy życiu członków triady.

- Nikt tu nie dotarł, poza ludźmi z twojej obstawy. - Starożytny pokręcił głową w zdumieniu. - W jaki sposób ocalałaś? - zapytał w języku starożytnych Egipcjan. Nawet lak stary, potężny wampir jak Jabari mógł mieć poważne kłopoty w takiej sytuacji.

- To Danaus uratował mi życie. Nie wiem, dlaczego, ale w tej chwili wcale mnie to nie obchodzi. Musimy wydostać się z miasta. Niejaki Rowe skontaktował się z Aurorą. Próbował mnie załatwić, pewnie po to, żeby łatwiej im było dopaść ciebie.

- Nie słyszałem o nim - stwierdził Jabari, kręcąc głową. Zamyślony, przez chwilę wpatrywał się w podłogę, zapewne sięgając do dawnych wspomnień.

- Ja też nie, dopóki Nerian o nim nie wspomniał. Ma bliźny i nosi opaskę na jednym oku. Podobno mnie zna, ale ja go nie pamiętam.

- Nie z Machu Picchu?

- Nie. Zapamiętałabym jednookiego naturi, ubranego jak pirat.

- Może to przez ciebie pozostało mu tylko jedno oko? - podsunął Jabari, spoglądając mi znowu w twarz.

- Nie. Pamiętałabym go.

- Zamierzał cię pojmać?

Przeciagnałam drżącą dłońią po włosach i przytaknęłam ruchem głowy, nie mogąc wypowiedzieć nawet słowa z powodu fali lęku, która odbierała mi siły.

- Masz rację - stwierdził Jabari. - Naturi uważają, że trzeba cię sprzątnąć, aby mogli zniszczyć członków triady. Udało im się zlikwidować Tabora. Będą też ścigać Sadirę. Musisz do niej pojechać, ochronić ją.

Ściągnęłam brwi i pokręciłam głową. Nie chciałam pozostawiać go samego.

- A co z tobą?

- Udam się do Sabatu. Muszą się dowiedzieć, co się dzieje. Nic złego mi się nie stanie.

- Ale... - Słowa zamarły mi na ustach, a wszystko zatańczyło mi przed oczami. Zużyłam resztki energii na ucieczkę z nekropolii Fatymidów do Koti i teraz ciemniało mi w oczach. Wyciągnęłam rękę, żeby ustać na nogach i wesprzeć się na czymś. Moja dłoń natrafiła na miękkie, ciepłe ramię. Mrugając powiekami, ujrzałam przed sobą zatroskanego Michaela.

Do moich uszu dotarł głęboki, kojący głos Jabariego:

- Wciąż masz w sobie truciznę naturi. Musisz się pożywić, aby się z niej oczyścić.

Mój żołądek kurczył się z głodu i bólu. Trzęsły mi się nogi, odmawiając posłuszeństwa.

Michael ujął moją rękę i zarzucił ją sobie na szyję. Słaby uśmiech pojawił się na moich drżących ustach, a oczy znów mi się zamknęły.

- To będzie bolało, mój aniele - ostrzegłam go. - Nic mogę już oszczędzać energii.

- Jestem ci potrzebny.

To przeważało szalę. W przypiływie dzikiego pragnienia przyciągnęłam go bliżej siebie, wbijając głęboko kły w żyłę na jego szyi. Głośny krzyk wyrwał się z jego rozchylnych ust, a mięśnie jego ciała napięły się pod wpływem bólu. Zacisnął dłonie na moim ramieniu, ale nie stawiał oporu. Rzuciłam go na kolana, pochyliłam się nad nimi wsunęłam palce w jego blond włosy, zniewalając go.

Strach eksplodował w jego piersi, przyspieszając bicie serca, które dzięki temu znacznie szybciej pompowało jego cudowną krew. Jego lęk był niemal równie upajający jak krew, budząc coś, co tkwiło w mrocznych głębiach mojego

brzucha. To coś zaryczało w mojej głowie, domagając się, bym wysączyła całą krew, do ostatniej kropli.

Wplecioną we włosy Michaela dłoń zacisnęłam jeszcze mocniej, a on wydał z siebie ciche skamlenie, co wywołało we mnie nową falę rozkoszy.

Przytrzymałam jego szyję przyciśniętą do swoich ust nawet wtedy, gdy jego serce biło już coraz wolniej. Nie dbałam o to. Liczyło się tylko ciepło rozplywające się po moich zimnych kończynach, kłębek energii rosnący w mojej piersi. Wreszcie pozbyłam się lęku i bólu. Poczułam się żywa i mocna.

- Miro! - Głos Jabariego przedarł się przez krwawą mgłę. - Puść go, Miro.

Ja jednak jeszcze silniej przytrzymałam ramiona Michaela, unieruchamiając go przy sobie.

- Puść go, Miro, bo go zabijesz.

Oderwałam usta od Michaela i rozluźniłam swój zabójczy uścisk. Michael osunął się i usiadł na piętach, mrugając oczyma w rozpaczliwej próbie zachowania przytomności. Wypiłam z niego więcej krwi, niż zamierzałam, a ów stwór we mnie domagał się jeszcze więcej.

Kiedy ostatecznie oderwałam się od Michaela, zobaczyłam, że Jabari stoi przy swoim drewnianym krześle z wysokim oparciem. Zaciskał dłoń na jego oparciu tak mocno, że zbieleły mu kostki. Jego piwne oczy lśniły żółtawo w migotliwym blasku świec. Pod wpływem tego, co się działo, również zaczął łaknąć krwi.

Michael nieśmiało dotknął mojej ręki i słabo się uśmiechnął, czekając na zapewnienie, że wszystko poszło tak, jak trzeba. Odwzajemniłam jego uśmiech i delikatnie pogładziłam palcami jego gęste jasne włosy, a potem pocałowałam go w czoło. Prawą dłonią przykryłam ślad po ukąszeniu na jego szyi. Za sprawą przyływu mocy zasklepiłam świeżą ranę, a także tę z ubiegłej nocy.

Zadrżałam, patrząc na niego. Zorientowałam się, że nie ma pojęcia, jak blisko śmierci się znalazł. Wiedział to jednak Gabriel. Teraz z ulgą schował pistolet z powrotem do kabury. Pocisk z pistoletu nie zabiłby mnie, ale zmusiłby, żebym puściła Michaela, co ocaliłoby mu życie.

Po raz pierwszy od dawna porządnie nasyciłam się krwią. A tylko nasycony wampir potrafi zapanować nad sobą. Ból i trucizna spowodowały, że Michael, mój anioł stróż, omal nie stracił życia.

- Musisz udać się do Sadiry - powiedział Jabari stanowczym tonem, jak gdyby nic nie przerwało naszej rozmowy.

- Nie mogę. - Pokręciłam głową i odstąpiłam o krok, odsuwając się od Jabariego. - Poślij do niej kogoś innego, kogoś starszego i silniejszego ode mnie. Niech jakiś inny nocny wędrowiec eskortuje Sadirę i odwiezie ją do Sabatu. Sabat może ją ochronić.

Podeszłam do nisko zawieszanej półki i wzięłam z niej statuetkę człowieka siedzącego na tronie. Po układzie rąk i rysach tej postaci poznałam, że to dzieło sztuki nubijskiej, chociaż bardzo podobne do innych, pochodzących ze środkowej części starożytnego Egiptu.

W owej chwili za wszelką cenę chciałam uniknąć spotkania z Sadirą, żeby nie narażać się na ponowne starcie z naturi. Dobry uczynek już zrobiłam. Sabat wiedział teraz o narastającym zagrożeniu. Do diabła, przecież wykończyłam czterech naturi w ciągu czterech nocy. Od stulecia żaden inny nocny wędrowiec nie mógł się poszczycić podobnym wyczynem. Chciałam wracać do domu.

- Chronić Sadirę, a ja zapoluję na tego Rowe'a. Zawiodłaś mnie już raz w sprawie Neriana. Jestem jednak skłonny dać 11 kolejną szansę. Czy i teraz sprawisz mi zawód, moja Miro?

Potok przekleństw w trzech językach wyrwał mi się / gardła, gdy z hukiem odstawiłam na półkę kamienną statuetkę. Donośny śmiech Starożytnego zagłuszył moje klątwy. Wiedział, że zwyciężył. Tylko on potrafił mnie zmusić do ponownej konfrontacji z naturi.

- Gdzie ona jest? - zapytałam, nie mogąc ukryć niezadowolenia. - Nie wyciągnę do niej ręki jako pierwsza.

- Jest w Londynie. Przypuszczam, że sama zgłosi się do ciebie, kiedy się tam zjawisz.

Nie widziałam się z Sadirą ani nie rozmawiałam z nią od czasów Machu Piechu. Nie chciałam spotykać się z nią teraz, ale nie miałam żadnego wyboru.

Usłyszawszy tę odpowiedź, nie potrafiłam jednak ukryć zdziwienia.

- W Anglii? - spytałam. Wyspy Brytyjskie to siedlisko magii, którego nocni wędrowcy starali się wystrzegać. Mieliśmy własne problemy bez nawiedzania tego miejsca uwielbianego przez wiedźmy i czarowników. - Czyżby wyniosła się z Hiszpanii?

- Nie, Hiszpania to nadal główne miejsce jej pobytu. Nie wiem, dlaczego wyjechała na wyspy. - Powiedział to łonem beznamiętnym, ale coś w wyrazie jego oczu kazało mi się domyślać, że Jabari drwi sobie ze mnie.

Kręcąc głową, rozejrzałam się po pokoju i zatrzymałam wzrok na swoich aniołach. Gabriel układał Michaela na stosie poduszek. Był śmiertelnie blady, a rękę miał obwiązaną białym bandażem. Wiedziałam, że to ryzyko zawodowe; ochranianie mnie oznaczało wystawianie na niebezpieczeństwo własnego życia. Jednakże kilka ostatnich lat upłynęło w spokoju, a moje nieliczne wyprawy - bez większych incydentów. Ten miniony błogi spokój zmiękczył nas wszystkich w taki czy inny sposób.

- Omari! - zawołał Jabari, przerywając ciszę, jaka zapanowała w komnacie. - Zaprowadź towarzyszy Miry do mojej łodzi. Za chwilę przyprowadzę tam również Mirę, a wtedy popłyniecie do Asuanu.

Skinęłam głową, gdy Gabriel zerknął na mnie pytająco, a potem patrzył, jak Omari pomaga wstać Michaelowi. Michael miał niebawem powrócić do sił po dzisiejszym incydencie, lecz wiedziałam, że jest osłabiony i że lekkomyślnością z mojej strony było pozbawianie go takiej ilości krwi.

- Chodź ze mną, Miro - powiedział Jabari, wyciągając ku mnie rękę, gdy Omari i inni zniknęli za drzwiami.

Zawahałam się przez sekundę, zdumiona tym gestem. Ciągłe czułam ból po walce stoczonej zeszłej nocy. Moje ciało nie doszło jeszcze do formy po starciu z natury i wolałam uniknąć nowych ran. Ale to Jabari jako pierwszy wyciągnął do mnie rękę. Ujęłam ją, zaciskając mocno usta.

To się odbyło nagle. Cały świat gdzieś odpłynął i spowił mnie całkowity mrok. Chwyciłam mocniej jego dłoń i poczułam, jak Jabari przyciąga mnie do siebie, aż przywarłam do jego mocnej piersi. W jednej chwili panowała ciemność, w następnej powrócił realny świat, a wraz z nim złocisty piasek i strzeliste mury skąpane w ciepłym, żółtawym świetle. Znaleźliśmy się na File, kilkanaście kilometrów na południe od Elefantyny, nieco na północ od Wielkiej Tamy Asuańskiej. Opodal liczna grupa rozgadanych ludzi zebrała się na nocnym festynie, pełnym świateł i muzyki.

Jabari ujął mocniej moją rękę, splatając swoje długie palce z moimi, a potem poprowadził mnie do świątyni Augusta. W jej okolicy było ciemniej i wyglądało na to, że ta nocna wyprawa zakończy się w świątyni Izydy.

Rozejrzałam się wokół, zauroczona grą świateł i cieni na wysokich murach. Oblicza bogów i faraonów spoglądały na nas, kiedy szliśmy w milczeniu.

- Dobra robota - odezwałam się, gdy zbliżaliśmy się do świątyni spowitej w ciemności. - Nie widzę różnicy.

W trakcie budowy zapory w Asuanie rząd egipski musiał przenieść świątynię File na wyspę Agilkia, dalej na północ, gdyż inaczej znalazłaby się ona pod ciemnobłękitnymi wodami Nilu. Najwyraźniej dołożono starań, aby zrekonstruować tę świątynię i otoczyć taką samą roślinnością jak tu, która porastała oryginalną wyspę.

- Hm... - mruknął pogardliwie Jabari. - Ta wyspa jest zbyt mała. Świątynie stoją za blisko siebie.

- Lepiej za blisko niż pod wodą - odrzekłam cicho, ale natychmiast tego pożałowałam. Od kiedy to zaczęłam rzucać takie nieprzemyślane uwagi? Obwinałam za to Valeria. Wywarł na mnie zły wpływ, a zbyt długie przebywanie u jego boku oduczyło mnie ostrożności w rozmowach z innymi nocnymi wędrowcami. - Przepraszam, Jabari.

- Nie szkodzi. - Westchnął ciężko, wpatrując się w świątynię Augusta, która pojawiła się przed naszymi oczami. - To ja cię przepraszam, moja mała.

Objął mnie. Drgnęłam, kiedy musnął ustami moją skroń.

- Zeszłej nocy poniosło mnie, kiedy zobaczyłem cię w kamieniołomach z tym człowiekiem. Egipt był zawsze naszym domem, aż stąd wyjechałaś. A teraz powróciłaś... Z łowcą osobników naszej rasy i z wieściami o natury. Nie miałem zamiaru... - Głos Jabariego ucichł. Jego słowa przenikały do mojego mózgu, zdumiewając mnie. Nie wiem, co zaskoczyło mnie bardziej - czy nazwanie Egiptu „naszym domem”, czy też drżący głos Jabariego, gdy wspomniał o moim wyjeździe. Nie było żadnego problemu, kiedy opuszczałam Egipt przed wiekami. Powiedziałam wtedy Jabariemu, że chcę wrócić do Europy, a on nie

zrobił nic, aby mnie zatrzymać. Nie miałam pojęcia, że przejął się tak moja decyzją o wyjeździe.

Cofnęłam się o krok, uwalniając z jego objęć, wyciągnęłam rękę i ujęłam jego twarz w dłonie. Przesunęłam kciukiem po jego ustach, znowu czując pod opuszką palca gładkość jego skóry.

- Musiałam wtedy odejść - wyszeptałam zdławionym głosem.

Jabari wziął moją dłoń i przyłożył ją sobie do piersi.

- Wiem, jednak moje serce nie chciało, abyś wyjechała. Nie wyczuwałam dłonią bicia jego serca, ale zrozumiałam ten gest.

Jabari pochylił się i pocałował mnie. Najpierw lekko musnął ustami moje wargi, delikatnie, naśladując oddech dziecka, jak gdyby niepewny mojej reakcji. Natychmiast wspiełam się na palce i przytuliłam do niego. Zaczął mnie całować namiętniej, gdy oplotłam mu ramionami szyję. Ten pocałunek wkrótce stał się mocny i namiętny. Pod jego wpływem zapomniałam o łowcy, o swoim terytorium, o latach, które nas rozdzieliły. Jabari upajał się moim smakiem, jakby próbował poznać mnie na nowo.

Przywarłam do niego, nie opierając mu się. Gdy całował coraz goręcej, poczułam, jak wnika w mój umysł niczym ostry nóż. Po raz pierwszy od bardzo dawna mogłam go wreszcie poczuć; wyczuć napięcie we własnej duszy, którego dotąd nie byłam świadoma. Jabari był wszędzie; stał się wszystkim na ten krótki czas. Świat odpłynął, a minione lata skurczyły się. Byłam w domu, bezpieczna.

I nagle wszystko to się urwało. Jabari powoli się odsunął. A jednak moje usta mrowiły i czułam ogień płonący w piersi. Jabari zostawił na mnie swój ślad, jak na wszystkich nocnych wędrowcach, z którymi się stykał.

Wyciągnął rękę i musnął mój policzek, ocierając łzy, których nie byłam świadoma.

- Co się dzieje, Jabari? - zapytałam, nie potrafiąc pozbyć się lęku ze swego głosu.

- Naturi znaleźli sposób na osłabienie pieczęci. - Nasz własny świat przestał się liczyć, zajęliśmy się znów innymi sprawami, które nas łączyły.

- Jaki? - zapytałam, usiłując naśladować beznamiętny chłód jego głosu. - Chyba nie ma to związku ze śmiercią Tabora? Przecież zginął ponad pięćdziesiąt lat temu. Po co zwlekaliby tak długo z zadaniem kolejnego uderzenia?

- Nie wiem, jak tego dokonali. To jeden z powodów, dla których wybieram się na Sabat. Nasz Władca może coś wiedzieć.

Jakoś nie byłam pewna, czy Jabari naprawdę tak uważa. Zadręczał się czymś innym, o czym nawet nie chciał myśleć.

- Jak ich powstrzymamy?

- Zreformujemy triadę i zniszczymy Rowe'a.

Tak po prostu. Zupełnie, jakby chodziło o zasłanie łóżka albo zasznurowanie butów.

- W jaki sposób? - rzuciłam z narastającym rozdrażnieniem w głosie. Wszystko to zaczynało przypominać kiepski film o kowbojach i Indianach z połowy zeszłego wieku. - Przecież Tabora już nie ma.

- Ty masz ochraniać Sadirę i odtworzyć triadę, a ja porozmawiam z Sabatem i Naszym Władcą. Członkostwo w triadzie było dziedziczone... Odnajdź jakiegoś krewniaka Tabora, a wtedy triada się odrodzi.

- To zupełnie bez sensu - stwierdziłam, odsuwając się nieco od Jabariego. Dostrzegłam złociste refleksy światła na wysokich murach świątyni Izdydy. Zerwał się lekki wietrzyk, poruszając drzewami na brzegach wysepki.

- Tylko tobie wydaje się to bezsensowne. - Jego głos smagnął mnie jak pejcz. - Wyjedź zaraz, razem ze swoimi ludźmi. Wkrótce skontaktuję się z tobą w Londynie.

Była to owa druga przyczyna, dla której opuściłam Jabariego - jeszcze ważniejsza od faktu, że musiałam wreszcie sama pokierować własnym życiem. Bez względu na to, jak go kochałam, w jego oczach nigdy nie mogłam mu dorównać. Jabari kochał mnie na swój sposób, ale zawsze byłabym jego podwładną, o szczebel niżej od niego. Nie mogłam tak żyć.

U długowiecznych istot istniały różne hierarchie i poziomy dyskryminacji. Na przykład Stary Świat przeciwstawiał się Nowemu, Pierwszą Krew przeciwstawiano kolesiom, mężczyznę kobiecie, a starzy nie chcieli się zbyt zadawać z młodymi, nieopierzonymi wampirami. Ponad Jabarim stał już tylko Nasz Władca i jego bogowie.

- Jak sobie życzysz - powiedziałam, sztywno skłaniając głowę. Był przecież Starożytnym i Starszym. Niezależnie od tego, co między nami zaszło, powinnam okazywać mu szacunek. W znacznej mierze zawdzięczałam mu też życie. W tej chwili nie miało znaczenia, czy pojmuję, co się dzieje. Powinnam wiedzieć tylko tyle, że mam utrzymać Sadirę przy życiu i znaleźć zastępcę na miejsce Tabora. Potem moje zadanie się skończy i będę mogła wrócić do siebie. Sabat i triada sami sobie poradzą z naturi.

- A co z Danausem? - spytałam, patrząc znów na Jabariego. - On wie o naturi i o Machu Picchu. Wie też, gdzie mnie szukać. Czasami myślę sobie, że może szpiegować dla naturi, a innym razem, że...

- Tak? - zachęcił Jabari, bym mówiła dalej, gdy pograżyłam się w zamyśleniu.

- Widziałam, jak zabił co najmniej czterech naturi i nie zareagował, gdy sama uśmierciłam kilku innych. Dzisiejszej nocy ocalił mnie przed naturi, chociaż nie miał ku temu żadnego powodu. Ja... Sama nie wiem, co o nim sądzę.

- Miej go na oku, Miro - rzekł Jabari, kładąc mocna dłoń na moim ramieniu. Nagle poczułam się bardzo drobna przy jego majestatycznej, antycznej postaci. - Nie przypuszczam, aby współdziałał z naturi, ale mamy też innych wrogów. On może cię do nich doprowadzić.

Nikły uśmiezek pojawił się w kąci moich ust, gdy popatrzyłam na Jabariego, swojego starego druha i przewodnika.

- Mówisz tak, jakby mógł być szpiegiem bori.

Cień uśmiechu przemknął po obliczu Jabariego, co równie dobrze mogło być złudzeniem wywołanym przez blask światła.

- Wiemy przynajmniej tyle, że to niemożliwe. Nie mam pojęcia, jaką tajemnicę skrywa, lecz przez pewien czas trzeba go obserwować.

- Czy będzie bezpiecznie mieć go przy sobie, kiedy zajmę się ochranianiem Sadiry i poszukiwaniami trzeciego członka triady?

- A jaki jest lepszy sposób na wywabienie naszych nieprzyjaciół? - spytał Jabari, przechylając głowę na bok i wciąż zerkając na mnie z góry. - Poza tym, chyba nie sprawisz mi ponownego zawodu, nie chcąc chroniąc swojej stwórczyni?

Miałam uczucie, że niewidzialna pętla zaciska mi się na gardle.

Przytaknęłam ruchem głowy, próbując się uśmiechnąć do Jabariego, ale niezbyt mi to wyszło.

Znowu przygarnął mnie ku sobie i znów poczułam, jak świat odpływa. Zamknęłam oczy i otworzyłam je ponownie dopiero wtedy, kiedy usłyszałam plusk wód Nilu. To Omari pomógł Michaelowi wejść do łodzi. Uplłynęło zaledwie kilka minut, ale wydawały się one godzinami. Na pożegnanie ucisnęłam Jabariemu dłoń, a potem weszłam na pokład łodzi za Gabrielem.

Nie dowiedziałam się niczego nowego, ale przynajmniej postanowiono coś zrobić z naturi. Na początek dobre i to.

Miałam też możliwość spotkania się z Temidą. Choć może należałam do ich nieprzyjaciół, ale wszystkim nam zagrażali naturi. Sprawdziło się stare porzekadło, że „wróg mego wroga to mój sprzymierzeniec”. Członkowie Temidy, tej nielicznej, sekretnej grupy, mogli orientować się lepiej, co wyczyniają naturi, a mnie potrzebne były wszelkie informacje na ten temat.

Rozdział 14

Powoli przeprawialiśmy się z powrotem przez rzekę. Uplynęły dwie godziny, odkąd zaszło słońce, ale na ulicach wciąż panował tłok. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Zazwyczaj budziłam się o tej porze z dziennej drzemki, ale tego wieczoru koszmary wcześniej wyrwały mnie ze snu. A może raczej to wrodzony instynkt samozachowawczy przebudził mnie, gdy tylko słońce skryło się za horyzontem.

- A więc wyruszamy teraz do Londynu? - zapytał Gabriel.

- Podobno mamy tam spotkać się z twoją stwórczynią - powiedział Michael z wesołym uśmiechem. - Zawsze się zastanawiałem, jaka ona jest.

- Nie ona mnie wydała na ten świat. - Zabrzmiało to ostrzej, niż chciałam. Wołałam, aby oni nie zetknęli się z Sadirą. Była złą istotą, a ja nie byłam do niej podobna.

- No, tak, ale gdyby nie ona, nigdy nie poznalibyśmy ciebie - wyjaśnił Michael, a ja zerknęłam na jego obandażowaną rękę na prowizorycznym temblaku z czarnego jedwabnego szala.

Gdyby nie Sadira, Michael i Gabriel nie znaleźliby się w Egipcie i nie walczyliby z łowcami i z naturi. Cóż, sami dokonali wyboru. Wiedzieli, w co się wplątują, i mogli mnie opuścić, kiedy tylko chcieli.

- Jedziemy do Londynu, żeby chronić Sadirę - powtórzyłam. - Zastanawiam się, czy nie dałoby się zamknąć jej w skrzyni na kilka dni. Do czasu, aż Sabat zlikwiduje Rowe'a i innych naturi.

Sadira pewnie się na to nie zgodzi, ale warto spróbować.

Uśmiech nagle zamarł na moich ustach. Szliśmy przez wielki bazar w poszukiwaniu taksówki, która mogłaby zabrać nas do hotelu znajdującego się nieco dalej na południe, kiedy zerknęłam w górę i zobaczyłam jakiegoś naturi, który gapił się na nas. Jego ręka spoczywała na klamce drzwi wiodących do dwukondygnacyjnego budynku z płaskim frontem. Albo właśnie wchodził do środka, albo wychodził, gdy zaskoczyliśmy go, wyłaniając się zza rogu.

Mruknąwszy coś pod nosem, pchnął drzwi i zniknął wewnątrz, zatrzasnąwszy je za sobą.

- Zostań tutaj - rozkazałam, dobywając noża z pochwy przy pasie Gabriela. Wołałabym użyć broni palnej, ale nie miałam tłumika, a odgłos wystrzału przyciągnąłby uwagę ludzi.

- Czy to...

- Tak, to naturi.

- Ale...

- Idźcie na bazar. Pozostańcie tam, gdzie tłoczy się więcej ludzi. - Położyłam dłoń na ramieniu Gabriela, skłaniając go do spojrzenia mi w twarz. - Chronź Michaela. Jest wciąż osłabiony. Miej oko na te drzwi. Powinno ich tam być ze dwóch. Jeśli jeden się wymknie, to powiesz mi, dokąd zbiegł.

Gabriel potaknął ruchem głowy. Nie spodobał mu się wprawdzie cały ten pomysł, ale miał wypełniać moje polecenia. Chciałam uśmiechnąć się do niego wesoło, by rozwiać jego niepokój, ale nie mogłam się jednak na to zdobyć. Po raz drugi tej nocy miałam stawić czoło liczniejszemu naturi. Owszem, mogłam podpalić ten budynek, ale nie wiedziałabym wówczas, czy byli to ci naturi, których obecność Danaus wyczuł wcześniej.

Z nożem w mocno zaciśniętej dłoni otworzyłam kopniakiem drzwi. Śwąd krwi, śmierci i odchodów uderzył mnie w twarz, sprawiając, że się zawahałam. W środku znajdowali się jacyś ludzie, a w każdym razie byli tu jeszcze niedawno. Wpadłam do wewnątrz, unikając świszczących grotów, które wbiły się w ścianę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stałam. Skryłam się za krzesłem. Chudy jak patyk naturi, za którym weszłam do środka tego domu, krzyczał coś do Rowe'a. Nie wiedziałam, co woła, ale niewątpliwie miało to coś wspólnego ze mną - z wampirzycą przykucniętą za krzesłem pokrytym okropnymi zdobieniami.

Zerwałam się na nogi, chcąc zaatakować obu naturi ognistymi kulami. Bez podejmowania walki wręcz. Bez niepotrzebnego ryzyka. Zamarłam jednak, kiedy rozejrzałam się po pokoju. Wyglądał jak jatka. Było tu kilku ludzi, może ze czterech. Ich rozdarte członki wały się wokoło.

Rowe znajdował się w odległym kącie, mając ręce zagłębione po łokcie w klatce piersiowej jakiegoś człowieka. Oczy jego ofiary wpatrywały się ślepo w sufit. Czarnowłosa naturi był cały uwalany krwią, a czerwona koszula lepiała się do jego szczupłej sylwetki. Rzuciłam się naprzód, gdy naturi o blond włosach, ten, za którym tu weszłam, skoczył na krzesło, za którym się skryłam. W ręce dzierżył krótki miecz, którym gotów był odciąć mi głowę.

Zachwiałam się, pchnięta przewracającym się krzesłem. Uderzyłam barkiem o krawędź stołu, a fala bólu przeszła mi plecy. Naturi próbował skoczyć na mnie i zatopić miecz w mojej piersi. Odrzucając sztylet, schwyciłam go za nadgarstki.

- No już, wampirzyco - powiedział. - Zależy mi tylko na twoim języku.

Z jękiem zepchnęłam go z siebie. Przeleciał przez izbę, uderzył w drzwi.

- To zabawne - odparłam, wstając i unosząc rękę - bo ja chcę cię tylko pozbawić życia.

W jednej chwili naturi stanął w płomieniach. Miotał się po pomieszczeniu, wymachując mieczem w ostatniej rozpaczliwej próbie zglądzenia mnie. Przez moment wydawało się, że na plecach wyrastają mu skrzydła, ale ogień szybko je strawił. Czyżbym w końcu natknęła się na przedstawiciela nieuchwytnego klanu wiatru?

Nie dowiedziałam się tego od niego. Chwiejąc się, naturi osunął się na zakrwawione kafelki i upadł, rozbijając sobie głowę. Przestał się poruszać.

Moją uwagę przykuł szelest plastikowego tworzywa. W samą porę odwróciłam wzrok i zobaczyłam Rowe'a przemykającego przez pokój z czarnym workiem na śmieci wetkniętym pod pachę. Próbowałam trafić go ognistą kulą, która jednak uderzyła w ścianę, a on znikł w sąsiedniej izbie. Mogłam go podpalić tylko wtedy, gdybym go widziała.

Klnąc pod nosem, przeszłam ponad wywróconym krzesłem. Ślizgałam się na zalanej krwią podłodze, kopniakami odrzucając na bok odcięte członki, aż wreszcie natrafiłam na ścianę. Dostyc już tej zabawy. Rozwalając mur, przebiegłam przez kuchnię i przez otwarte tylne drzwi. Przemykaliśmy przez labirynt zarzuconych śmieciami zaułków i wąskich uliczek, nad którymi powiewało rozwieszane na sznurach pranie. Nie widziałam Rowe'a, ale podążałam za zapachem krwi, którą był pokryty.

Wyłaniając się z jednego z zaułków, zatrzymałam się raptownie. Wychodził on na ludne targowisko, odległe o kilka przecznic od miejsca, gdzie zostawiłam Gabriela i Michaela. Poczulałam zapach korzennych przypraw, gotowanego jedzenia, kawy, herbaty, haszyszu. Porywisty wiatr wiał od południa, unosząc ze sobą wonie goździków, cynamonu, imbiru i ludzkiego potu, wymieszane ze sobą i maskującego odór krwi. Błyskawicznie sprawdziłam myśli zebranych tam

osób. Okazało się, że nikt nie zauważył zalanego krwią, jednookiego naturi, niosącego wór na odpadki wypełniony ludzkimi narządami. Naturi niczym wampir potrafił stać się niewidoczny. I przepadł gdzieś.

Tłumiąc w sobie krzyk wściekłości, pobiegłam z powrotem do tamtego domu. Bez pomocy Danausa wytropienie Rowe'a zabrałoby mi wiele godzin. A nie miałam tyle czasu. Zamknęłam za sobą na zamek tylne wejście i udałam się z powrotem do pokoju. Fetor spalonego ciała zmieszał się z odorem krwi.

Wielkiej siły woli wymagało przejście ponad zwłokami, we wnętrznościach których nurzał się Rowe. Przykucnęłam, ignorując fakt, że moja spódnica nasiąka krwią. Rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że ciało ofiary było pozbawione języka i płuc. Rozejrzałam się wokół i od razu spostrzegłam, że klatki piersiowe wszystkich ludzkich zwłok były otwarte.

A więc zakłóciłam krwawy rytuał. Wraz z Jabarim natrafiliśmy na coś podobnego kilka lat po wypadkach w Machu Picchu; zarżnięto wtedy dwudziestu ludzi. Jednakże wtedy naturi walczyli o uwolnienie swojej uwięzionej królowej. Rzucając czary, odwoływali się do ziemskiej magii. Jednak z czasem nauczyli się również magii, w której kluczową rolę odgrywały krew i dusza. Okazała się ona równie skuteczna. Rzecz jasna, rozumowali tak: „Po co zrywać kwiat, skoro można zamiast tego zabić człowieka?”

Wstałam, oparłam się o ścianę i przymknęłam oczy. Kiedy w końcu udało mi się oczyścić umysł z makabry, jaka mnie otaczała, przeniknęłam myślami do mózgu Gabriela.

Gabrielu?

Miro! Czy nic ci się nie stało?

Jego pytanie dotarło do mojego umysłu, gorączkowe, niespokojne. Widziałam go stojącego po drugiej stronie ulicy, wpatzonego w drzwi budynku, w którym się znajdowałam. Michael opierał się o mur obok Gabriela. Gabriel nie był wprawdzie telepatą, lecz po kilku latach ćwiczeń nauczył się ode mnie formułowania myśli w precyzyjne zdania, dzięki czemu mogłam je czytać i przysyłać mu odpowiedzi. Z Michałem jeszcze nie rozpoczęłam takiego treningu.

Nie jestem ranna.

Widok tego, co mnie otaczało, dręczył moją duszę, ale w sensie fizycznym nie stała mi się krzywda.

Czy mam tam wejść?

Nie!

Umilkłam na chwilę, chcąc odzyskać panowanie nad sobą.

Nie. Idźcie w stronę hotelu. Muszę spalić to miejsce. Dogonię was kilka przecznic dalej. Uważaj na siebie.

Odczekałam, aż odeszli od domu, przy którymi stali, i ruszyli ulicą. Gabriel podtrzymywał Michaela. Kiedy otworzyłam oczy, mój wzrok padł na zakrwawioną twarz dziewczynki z długimi czarnymi włosami. Nie mogła mieć więcej niż sześć lat. Podpaliłam jej ciało jako pierwsze, pragnąc, by płomienie

usunęły z moich myśli widok jej wielkich piwnych oczu i delikatnej buzi. Wiedziałam jednak, że tak się nie stanie. Miałam zapamiętać te twarze na zawsze.

Pozostałam w tym domu do chwili, aż ciała zaczęły czernieć i kurczyć się w ogniu, po czym wyszłam od tyłu, niewidzialna dla ludzkich oczu. Szłam uliczkami, aż wreszcie dołączyłam do swoich aniołów. Dotknęłam ramienia Gabriela, aby wyczuł moją obecność, ale nikt z nas się nie odezwał. Nieco dalej zdołaliśmy złapać taksówkę, którą przejechaliśmy dystans kilkunastu kilometrów do hotelu Sarah.

Przed hotelem zastaliśmy Danausa, który razem z niskim szczupłym mężczyzną próbował przytroczyć moją trumnę do dachu rozklekotanej taksówki, która wyglądała tak, jakby przetrwała od czasów faraonów. Poczułam, że na jego widok fala wzburzenia ogarnęła obydwu moich strażników. Danaus może i uratował mnie przed naturą, ale to przez niego doszło do tej napaści tuż przed zachodem słońca.

W uspokajającym geście położyłam dłonie na ramionach Michaela i Gabriela. Bójka uliczna nie przyspieszyłaby naszego wyjazdu z tego miasta.

- Nie sądzę, żeby to coś dojechało do Luksoru - powiedziałam, podchodząc do Danausa.

- Nie musi - odparł Danaus, nie patrząc na mnie. Szarpnął jedną z linek, by wypróbować, czy mocno trzyma. - Twoja asystentka porozumiała się z pilotami, którzy przylecą do Asuanu. Wylądują za pół godziny.

- Doskonale. - Charlotte spisywała się znakomicie. Myślałam, że ściągnięcie pilotów na czas może być trudne, ale najwyraźniej trzymała ich w pogotowiu. Charlotte pewnie już przywykła do nagłych zmian moich planów. - A co z właścicielem hotelu?

- Chętnie się nas pozbędzie - odpowiedział Danaus cicho, wreszcie podnosząc oczy i napotykając mój dociekliwy wzrok. Podał mi moją skórzaną walizkę, która zrobiła się wyraźnie lżejsza. Z uśmiechem rzuciłam ją Gabrielowi.

- A ze spotkaniem, o którym mówiłam?

- Później. - Rzucił okiem w stronę kierowcy, który gapił się na mnie z rozdziawionymi ustami. Kiedy zaczęłam rozmawiać z Danausem, musiałam zdjąć urok, który czynił mnie niewidzialną. Taksówkarz, człowieczek w poplamionej koszuli, wyglądał na przerażonego, co wcale mnie nie dziwiło. Cały mój strój był pocięty i poszarpany, a odsłonięte fragmenty mojego ciała pokrywała zaschnięta krew i czarna sadza. Danaus wyglądał podobnie, pokryty ranami ciętymi, które goiły się bardzo szybko. Jego twarz i ręce pokryte były krwią i popiołem.

- Na lotnisko - powiedziałam po arabsku, uśmiechając się beztrąsko do taksówkarza. Skinął głową i usiadł za kierownicą. Po drodze mruczał coś pod nosem. Nie rozumiałam jego słów, ale wątpię, by były dla nas miłe. Gestem poleciłam Gabrielowi, aby jako pierwszy zajął miejsce z tyłu, żebym mogła mu

usiąść na kolanach. Michael usiadł z przodu, a Danaus z tyłu, obok mnie. Była to krótka, dwudziestominutowa jazda przez miasto na lotnisko i nie odzywaliśmy się, dopóki moja trumna nie została załadowana pomyślnie na pokład odrzutowca. Przystanąłam na dolnym schodku i rozejrzałam się po pasie startowym. Na tle nocnego nieba widać było zarysy palm. Wciąż mogłam wyczuć zapach Nilu i lekką woń egzotycznych przypraw. Wolałabym opuszczać to miejsce w inny sposób. Pomimo faktu, że uniknęłam śmierci i przyczyniłam się do unicestwienia siedmiu naturi, czułam się tak, jak gdybym uciekała stąd z podkulonym ogonem. Rowe nadal pozostawał na wolności, polując na mnie i zabijając ludzi.

Uciekałam, a czas gonił, grożąc zniszczeniem nas wszystkich.

Po udzieleniu pilotom przykryj dla nich informacji, że będziemy musieli wylądować w Londynie, zamiast wracać do kraju, przeszłam do kabiny na tyłach odrzutowca. Danaus poszedł za mną, podczas gdy moi dwaj strażnicy usadowili się w wygodnych skórzanych fotelach koło drzwi. Nocą na ogół kończyli służbę. Zresztą obecnie miałam się lepiej od nich obu, choć pewnie wyglądało to inaczej.

Zapaliłam światło w ciasnej łazieneczce i aż się skrzywiłam na swój widok w lustrze. Moją skórę pokrywały popiół i krew. Moje niebieskofioletowe oczy wydawały się prawie czarne, a włosy były jak stara strzecha. Odkręciłam kran i obmyłam chłodną wodą ręce i twarz. Na porządną kąpiel przyjdzie czas dopiero później, w pokoju hotelowym.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytał Danaus, stojąc przy drzwiach.

Nie wyglądał wiele lepiej ode mnie, umorusany sadzą, z ranami i sińcami, z przepeconymi matowymi włosami. Był też wyraźnie zmęczony. Chyba nie wyspał się porządnie, odkąd dołączył do mnie przed tą eskapadą. Nocą miał wokół siebie wampiry, które chętnie wytoczyłyby z niego całą krew. Za dnia miał u boku moich aniołów stróżów, którzy zabiliby go, gdyby zaczął mi zagrażać. No i byli jeszcze naturi, a ci wchodzili do gry, kiedy tylko chcieli. Cienie pod ciemnobłękitnymi oczami Danausa pogłębiły się, poruszał się jakby nieco wolniej. Na jego podbródku i zapadniętych policzkach pojawiła się czarna szczecina zarostu.

- Niewiele - odparłam, spryskując wodą twarz. - Mam zlokalizować pewną wampirzycę i chronić ją, a tymczasem Jabari zapoluje na Rowe'a.

- Dokąd lecimy?

- Do Londynu.

- Prosto tam?

- Tak. Powiedz Michaelowi, żeby zadzwonił do Charlotte z mojej komórki. Niech załatwi nam miejsca w hotelu, zanim wylądujemy. Pozostaniemy w Londynie przez parę dni. - Potarłam mocno skórę, w daremnej próbie zmycia krwi. Wszystkie moje rany się zagoiły, ale strugi zakrzepłej krwi pokrywały mnie całą.

- Co jest grane? Wyglądasz gorzej, niż kiedy wychodziłaś z hotelu.

- Chwileczkę. Podaj ten telefon Michaelowi.

- Miro...

- Danausie, proszę cię! - Podniosłam głos, tracąc opanowanie.

Danaus wyszedł i po chwili usłyszałam jego przytłumiony głos, gdy przekazywał moje polecenie Michaelowi. Charlotte z pewnością nie była zachwycona tymi ciągłymi zmianami planów, ale ostatecznie chodziło tu o dobro ludzkości, czyli gatunku, do którego należała. To jasne, że zależało mi na ocaleniu własnej skóry, ale jak przeżyję, również ona na tym zyska. Łowca powrócił do mojej kabiny, zamykając za sobą drzwi. Podszedł bliżej i stanął przy wejściu do łazienki.

- Czy zaatakował cię znowu?

Podniosłam wzrok i ujrzałam własne odbicie w lustrze. Nie wezwałam swoich mocy, a jednak oczy mi lśniły. Przymknęłam je i odsunęłam od siebie najświeższe wspomnienia, chwytając się krawędzi umywalki.

- Co się stało? - Jego głęboki głos przypominał kojącą dłoń masującą moje nadwreżone nerwy.

- Byłeś kiedykolwiek świadkiem rytualnych zniw?

- Nie.

- A ja tak, parę razy. Naturi atakują jakąś rodzinę albo całą wioskę. Zabijają wszystkich jej mieszkańców i odcinają pewne narządy i części ciała ofiar, żeby rozwijać swoje magiczne moce. - Słowa te wypowiedziałam beznamiętnie, spokojnie, nie mogąc oddać bólu i przerażenia, jakie odczuwałam.

- Doszło do tego w Egipcie?

- Cztery ofiary. W tym dwójka dzieci.

- Miro... - Danaus zamilkł, przytłoczony obrazem, jaki mu odmalowałam.

- Zostały zmasakrowane. To byli całkiem niewinni ludzie.

- Dopadniemy tamtych zbrodniarzy.

Nie zdołałam powstrzymać ironicznego parsknięcia. Spojrzałam na Danausa i ujrzałam smutek w jego oczach.

- I co wtedy? Wiem, co myślisz o mojej rasie i częściowo masz rację. Jesteśmy zdolni, chociaż nie wszyscy, do podobnych okrucieństw.

Danaus wyciągnął rękę w moją stronę, ale cofnęłam się raptownie. Gdyby mnie teraz dotknął, załamałabym się, załapałabym się łzami, które z trudem wstrzymywałam. A nie chciałam się wyplakiwać na ramieniu mężczyzny, który planował zgładzenie mnie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Mniejsza o to. Co z tym spotkaniem? - Puściłam umywalkę i schwyciłam ręcznik kremowego koloru, który leżał złożony na półeczce. Otarłam nim ręce i twarz, czując się trochę czystsza.

- Kiedy i gdzie ma się odbyć?

- Jutrzejszej nocy. Twój łącznik może wybrać miejsce, ale musi się pojawić sam - powiedziałam, rzucając zmięty ręcznik z powrotem na półkę. Oparłam się tyłem o umywalkę, splatając ręce na brzuchu.

- On nie spotka się z tobą w pojedynkę. - Zniecierpliwionym gestem odgarnął włosy z twarzy. Wcześniej nie zwróciłam uwagi na to, że jest tak atrakcyjnym mężczyzną. Muskulatura i opalenizna Danausa świadczyły o jego długim, twardym życiu.

- Ty też możesz przybyć, ale nikt poza tym - powiedziałam po chwili. - Zaufaj mi, zorientuję się. Tylko obecności naturi nie potrafię wyczuć.

- Coś jeszcze? - Danaus splótł dłonie na głowie. Pod opiętą czarną koszulą uwidoczniły się wyraźnie jego klatka piersiowa i płaski brzuch. Gdybym go nie знаła, pomyślałabym, że celowo mnie kusi.

- Tyle tylko, że lepiej wybrać jakieś dyskretne miejsce. Nie mam nic przeciwko widowni, ale wyobrażam sobie, że twoja grupka nie życzy sobie przedstawienia.

Pokręcił przecząco głową i dostrzegłam cień uśmiechu na jego ustach, kiedy odwrócił się i wyszedł z kabiny.

- Prześpij się trochę, Danausie! - zawołałam za nim. - Daję słowo, że Michael i Gabriel nic ci nie zrobią.

- Im się wydaje, że próbowałem cię zabić - odrzekł, patrząc na mnie przez ramię, z ręką na klawisze.

- Wiedzą też, że ocaliłeś mi życie. - Pokręciłam głową i zmarszczyłam czoło. - A jeśli nawet było inaczej, to moi aniołowie tylko bronią, nigdy nie atakują. Poza tym nie skrzywdzą bezbronnej istoty.

Danaus odwrócił się w moją stronę ze ściągniętymi brwiami.

- Wampir z poczuciem honoru?

- Jest wśród nas kilkoro takich - odpowiedziałam szeptem. - Pewnych ideałów nie zniszczy nawet śmierć.

Łowca kiwnął głową i opuściłabinę.

Otworzyłam swoją metalową skrzynię i położyłam się w niej. Nie czułam się zmęczona, a do świtu było jeszcze daleko, ale pragnęłam teraz samotności. Już dawno nie spędziłam tyle czasu w otoczeniu ludzi. Naturalnie nocami wybierałam się do klubów, kin i innych lokali rozrywkowych, ale kiedy miałam dość, zawsze mogłam się stamtąd ulotnić.

Mogłam wrócić do swojego zacisznego sanktuarium i pogрузić się w ciszy. Teraz miałam po dziurki w nosie wampirów, ludzi, naturi i rasy, do której należał Danaus.

Co gorsza, nadal nie rozumiałam, co się właściwie dzieje. Naturi usiłowali złamać pieczęć i otworzyć wrota oddzielające nasze dwa światy. Nie wiedziałam, jak chcą to zrobić. Wiedziałam tylko, że mam odtworzyć triadę i utrzymać przy życiu Sadirę. Nie było to szczególnie przyjemne zadanie, ale nie powinno zabrać zbyt dużo czasu. Jabari miał odnaleźć Rowe'a i zgładzić go. Wtedy triada nie będzie już potrzebna. Wrócę do domu i zapomnę o wszystkim.

Przeciagnałam dłońmi po czerwonym jedwabiu, który wyściełał brzegi skrzyni, napawając się jego gładkością. Chciałam wezwać Michaela, poczuć ciepło jego ramion, które przywiodłoby wspomnienie domu, życia sprzed tej

koszmarnej eskapady. Pragnęłam usłyszeć, jak pojękuje, zatrzeć wspomnienie bólu, jaki zadałam mu wcześniej.

Nie mogłam jednak tego zrobić. Nie byłam w stanie nawet zawołać go głośno po imieniu. O mało go nie zabiłam. Nie pozbawiłam dotąd życia żadnego człowieka, którego krwią się posilałam. Jednak lęk przed naturą i smak lewi Michaela coś we mnie rozpały. Przywróciły mi poczucie mocy w chwili, gdy wszystko wymykało mi się z rąk.

Bez względu na to, jak bardzo lubiłam Michaela, zawsze stanowiłam dla niego zagrożenie.

Z westchnieniem wyciągnęłam się w trumnie. Potrzebowałam snu. Musiałam mieć siłę na Londyn, a jeszcze nie otrząsnęłam się do końca ze starcia z naturą. I, prawdę mówiąc, chciałam wreszcie przestać rozmyślać.

Rozdział 15

Danaus był koło mnie. To pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy, gdy mój mózg powrócił do świadomości. Danaus znajdował się w tym samym pomieszczeniu, gdzieś blisko. Poruszyłam ręką, aby otworzyć trumnę. Moja dłoń natrafiła na grube aksamitne obicie. Raptownie otworzyłam oczy, a przez zaciśnięte zęby wyrwało mi się warknięcie. - Leżałam w wielkim łożu w luksusowej sypialni, gdzie stały ciężkie meble z ciemnego drewna, a grube kotary zasłaniały okna. Danaus siedział na fotelu przy drzwiach; ręce miał skrzyżowane na piersi. Wpatrywał się we mnie; jego czujny wzrok badał wyraz mojej twarzy, każde poruszenie mięśni. Otulony swoim całunem mocy siedział tam niczym jakiś strażnik, niechętnie spełniający swoją powinność.

- Dlaczego wyjęto mnie ze skrzyni?

Byłam zła na siebie i na tych, co mi towarzyszyli. Najwyraźniej zasnęłam w trumnie z otwartym wiekiem, nie zamknęłam się w niej od wewnątrz. Zostałam przeniesiona na to łożo. Ktoś dotykał mnie, kiedy spałam. Wstrząsnął mną zimny dreszcz strachu. Nikt dotąd mnie nie widywał za dnia; ani służący, ani ochroniarze. Nienawidziłam tej swojej całkowitej bezsilności w trakcie długich godzin dnia.

- Michael powiedział, że w domu nie sypiasz w trumnie - stwierdził Danaus.

- Dodał też, że krzyczałaś, kiedy przebudziłaś się zeszłej nocy.

- Dopadły mnie koszmary. - Wbiłam wzrok w delikatny wzorek na szalu, którym byłam okryta. Na szczęście tego dnia nic mi się nie śniło. Spojrzałam na Danausa. - Kto mnie przeniósł?

- Ja - odrzekł, wytrzymując moje spojrzenie.

- Dlaczego?

- Chciałem widzieć, jak śpisz. - Nie odrywał oczu od mojej twarzy. Było w nim jakieś dziwne napięcie, które mnie krępowało. - Nawet się nie poruszyłaś.

Przypominałaś zwłoki. - Gdy wypowiadał te słowa, jego wzrok steżał. Zupełnie jakby nie mógł pogodzić się z faktem, że jeszcze przed chwilą byłam zimna i sztywna, a teraz rozmawiałam z nim, siedząc na łóżku. - Potrafisz się budzić za dnia?

- Na razie nie. Kiedyś może opanuję tę sztukę. Starożytni śpiąją mniej, ale wszyscy kładziemy się do snu, kiedy słońce wschodzi o poranku. Wampiry to relikty dawnej wojny - wyjaśniłam.

- Jakiej wojny?

- Odwiecznej bitwy między słońcem a księżycem.

Danaus skinął głową i wstał z fotela, który odsunął na bok.

- Nie wyrządzam krzywdy bezbronnym istotom.

- Honorowy z ciebie łowca.

- Jeden z nielicznych. Spotkanie odbędzie się za godzinę - obwieścił, opuszczając pokój. Wpatrywałam się w zamknięte drzwi, wyczuwając go, jak chodził po hotelowym apartamencie. Nie potrafiłam odczytać jego myśli, ale odbierałam jego emocje. Złość i wzburzenie kipiały w jego piersi. Nie znał odpowiedzi na wiele pytań dotyczących mojej osoby. Spędził dużo lat na zabijaniu osobników mojej rasy, ale, jak sędzę, zaczynał powątpiewać w słuszność swojej życiowej drogi. Być może zaczął rozumieć, że nie jesteśmy bezmyślnymi zabójcami, i to go dręczyło.

Uśmiechając się, przeszłam do łazienki obok sypialni i puściłam wodę z prysznicem. Może zdołam wykorzystać te wahania Danausa. Jeszcze nie wiedziałam w jaki sposób, ale warto spróbować. Cieszyłam się, że dysponuję choćby strzępami przydatnych informacji.

Zmywając z siebie warstwę zakrzepłej krwi i sadzy, nuciłam jakąś banalną melodyjkę, rada, że w końcu oczyściłam się ze śladów po naturi. Wysuszywszy włosy, włożyłam czarne skórzane spodnie i jedwabną koszulę z długimi rękawami. Miała wyrazisty, błękitny kolor, prawie taki jak odcień oczu Danausa. Wprawdzie nie byłam pewna, czy przedstawiciel Temidy to zrozumie, ale miałam pewne plany na ten wieczór. Na sam koniec nałożyłam prostokątne okulary słoneczne z niebieskimi szklami. Stałam przed wielkim lustrem, oceniając własny wygląd. Pożywny posiłek, długi sen i gorący prysznic dodały mi energii. Wreszcie dostrzegałam kres tej krętej drogi. Po krótkim spotkaniu z przedstawicielem Temidy miałam znaleźć Sadirę i wyszukać następcę Tabora. Potem zamierzałam wrócić do domu i znowu zacząć prowadzić własne życie.

Danaus nawet na mnie nie spojrział, kiedy wychodziliśmy z hotelu i wsiadaliśmy do taksówki. Milczeliśmy, jadąc przez miasto do dzielnicy Mayfair. Bywałam w Londynie na tyle często, by widzieć, jak się zmienia w ciągu wieków. Mayfair to teraz szpanerskie centrum światowych elit. Wsiadłam z taksówki i spojrzałam na piękny ceglany dom z kwiatami w skrzynkach na oknach. Nie tego się spodziewałam. Myślałam, że wylądujemy w gorszej części miasta, na tyłach jakiegoś podejrzanego baru albo zapuszczonego magazynu zamieszkanego przez szczury.

Naprzeciwko rozciągał się Grosvenor Square, ze swoimi wiekowymi drzewami, sięgającym nocnego nieba. Wokół widziałam stare fasady domów i zarysy czarnych żeliwnych płotów oddzielających tutejszych mieszkańców od motłochu. Na rogach stały równie stare czarne lampy, a ich światło próbowało przedrzeć się przez mgłę, która już zaczęła napływać z Tamizy, gdy wraz z nastaniem nocy spadła temperatura powietrza.

Jakże bardzo to miasto różniło się od Savannah. Stara Europa była cichsza, spokojniejsza, jak gdyby ponura historia tego kontynentu wymagała zachowania powagi i milczenia. Wydawało się wręcz, że w przeciwnym razie wyłoni się z ciemności i zaatakuje mityczna kostucha. W Europie dłużej przetrwały stare baśnie i przesady wplecione w prawdziwe historie, których świadkami były dawne wieki. Nowy Świat okazał się zupełnie inny, ze swoją krótszą pamięcią i szybszym tempem życia, które wciągało w swój wir wszystkich, nawet zjawy w rodzaju wampirów.

Wzruszyłam ramionami. Weszłam za Danausem na ganek domu, starając się nie zwracać uwagi na tę osobliwą atmosferę. Zbyt wiele czarów wisiało tu w powietrzu; za wiele starej magii było na tej nawiedzanej wyspie.

Zauważyłam, że Danaus nawet nie zapukał, tylko od razu wszedł do holu. Nie zatrzymując się, przeszedł przezeń do drzwi po lewej stronie schodów, które prowadziły na piętro.

Budynek ten był typowym angielskim miejskim domem, z lśniącymi drewnianymi podłogami i orientalnymi dywanami. Obrazy na ścianach przedstawiały sceny z polowań i ogrody na tle mrocznych lasów. Żadnych zdjęć członków rodziny i przyjaciół. Nie licząc nas, wyczułam tu obecność tylko jednej postaci - mężczyzny, bardzo podenerwowanego. Nie potrafiłam powściągnąć uśmiechu, który rozchylił mi usta, odsłaniając kły. Danaus przystanął przed podwójnymi drzwiami z mosiężną klamką i obejrzał się na mnie. Poczul lekką falę mocy, za pomocą której przeczesywałam dom, i ściągnął brwi. Na szczęście był na tyle rozsądny, by mnie nie strofować.

Po otwarciu drzwi weszliśmy do jasno oświetlonej biblioteki. Mężczyzna siedzący za biurkiem aż podskoczył na ten odgłos, ale opanował się prędko. Był ubrany w ciemnobrazowy garnitur, kremową koszulę z brunatnym, wzorzystym krawatem. Na ostrym, prostym nosie miał okulary w złotej oprawce.

Wybuchłam śmiechem. Roześmiałam się tak gwałtownie i donośnie, że aż oparłam się o ramię Danausa, przyciskając sobie dłoń do brzucha. Nie tego oczekiwałam. Stykając się wcześniej z Temidą, natrafiałam na łowców w rodzaju Danausa. Uznałam, że to grupa wyszkolonych zabójców - zimnych, wyrachowanych. A tymczasem ten zmieszany człowiek za biurkiem przypominał bibliotekarza. Nie przestając się śmiać, zerkałam na niego kątem oka. Sapnął, gdy fala mocy podążająca za moim śmiechem, otarła się o niego niczym kot domagający się pieszczot. Pomyślałam, że nie powinien być jej poczuć, chyba że w jakiś sposób parał się czarami.

Wtedy przestałam się śmiać. Zupełnie jakbym uruchomiła niewidoczny przycisk. Dopiero co śmiech wypełniał ten pokój, a teraz nagle ucichł. Zapadła cisza, w której słycać było tylko świszczący oddech tamtego mężczyzny. Zerknęłam na Danausa. Nie ściągnął brwi. Nie patrzył na mnie karcąco. Żadnych niemych ostrzeżeń. Jego twarz nie wyrażała niczego. Naturalnie przywołałby mnie do porządku, gdybym pozwałała sobie za wiele, ale na razie miałam wolną rękę.

- Dostyc tych gierek - oznajmiłam, wciąż wspierając się na Danausie. - Nie mamy czasu na taki cyrk. Gdzie ten twój przedstawiciel Temidy?

- Ja... Ja jestem z Temidy - wymamrotał tamten, nadal stojąc przy biurku i unosząc podbródek nieco wyżej.

- Nie mam zamiaru rozmawiać z księgowym.

- Od prawie dziesięciu lat jestem pełnoprawnym członkiem Temidy. - Pod wpływem rozdrażnienia jego głos nabrał mocy. Piwnymi oczami spojrzał przelotnie na Danausa, jakby chciał go skłonić do potwierdzenia tych słów, a po chwili znów wbił wzrok we mnie.

- Naprawdę? - Rozejrzałam się po pokoju. Ta biblioteka była miła, przestronna, z sięgającymi sufitu półkami z ciemnego drewna na dwóch ścianach. Stożące lampy, z kloszami ozdobionymi frędzlami i paciorkami, strzegły czterech kątów, spędzając mrok w miejsca za kanapą i pod wielkie biurko po drugiej stronie pokoju. Pozostałe ściany miały ciemnozieloną barwę, podobnie jak perskie dywany wyściełające drewnianą posadzkę.

Wyszłam zza Danausa i zbliżyłam się do biurka. Usłyszałam za sobą, jak łowca siada na kraciastej kanapie stojącej pod ścianą.

Bibliotekarz nie cofnął się, gdy podeszłam bliżej.

- W jaki sposób służysz Temidzie?

- Jako badacz, podobnie jak większość członków Temidy.

- Większość? - Obróciłam się nieco, aby spojrzeć na Danausa, który nie spuszczał ze mnie z oczu. - A Danaus? Miałam wrażenie, że wszyscy jesteście tacy jak on.

- Och, nie - odparł. Pokręcił przecząco głową, a nikły uśmiech pojawił się na jego wąskich ustach. - Danaus wchodzi w skład małej grupy egzekutorów działających w ramach Temidy.

- Czyli fachowców od mordowania - uściśliłam, a moje słowa uderzyły go w pierś niczym pejcz. Drgnął. Próbował cofnąć się o krok, ale w końcu opadł na krzesło. Poblądł, próbując znaleźć właściwe słowa. Spojrzał szybko na Danausa, jak gdyby szukał u niego wsparcia, ale tamten nawet się nie poruszył.

- Musimy się jakoś bronić - stwierdził w końcu bibliotekarz.

- Zabijacie istoty, które nie stanowią dla was żadnego zagrożenia - powiedziałam spokojnie. Przystanąłam przy jednym z krzeseł przed biurkiem, kładąc rękę na oparciu.

- A wy zabijacie ludzi! - odrzekł.

- Ludzie zabijają się na co dzień, żeby przetrwać. - Wzruszyłam ramionami i podeszłam jeszcze bliżej.

- Ale wy na nas żerujecie.

Uśmiechnęłam się przelotnie, gdy obraz Michaela przemknął przez moje myśli.

- Jeśli o mnie chodzi, to tylko na tych, którzy na to zezwalają.

- Jednak...

- W ciągu ostatnich dwóch dni pożywiła się co najmniej dwukrotnie. - Obecność Danausa i jego niski głos dawały gwarancję bezpieczeństwa w tym pokoju; pragnęłam wycofać się w jego cień. - Żaden z tamtych nie stracił życia.

- To niemożliwe! - powiedział mężczyzna, zrywając się na równe nogi i uderzając dłońmi w blat biurka. Jego oczy rozszerzyły się i błyszczały w jasnym świetle. - Po prostu nie widziałeś zwłok. Zostało w pełni udokumentowane, że wampiry muszą zabijać swoje ofiary, aby podtrzymywać własne życie. Do przetrwania nie tyle potrzebna im krew, co śmierć ofiar, która daje im moc.

Zaśmiałam się znowu, kręcąc głową. Brzmiało to tak, jakby cytował tekst z podręcznika.

- Od jak dawna zajmujesz się badaniami nad moją rasą? - spytałam, ocierając łzę z kącika oka.

- Temida obserwuje wampiry od ponad trzech stuleci.

- A z iloma rozmawiałaś?

- Osobiście? Z żadnym. - Jego głos stracił na pewności. Usiadł, wyraźnie poruszony. Ściągnął brwi ponad nosem i zaciął usta w wąską kreskę. - Aż do teraz.

- A co z innymi?

- Nie rozmawiamy z wampirami. To... zbyt niebezpieczne. Wy... zabijacie - powiedział, z trudem dobierając słowa.

Uśmiechnąwszy się znowu, obeszłam biurko i stanęłam za nim. Obrócił się i spojrzał na mnie. Złożyłam ręce na oparciu krzesła i podparłam dłońmi podbródek. Strach, odczuwany przez tego człowieka, był tak silny i przytłaczający, że mogłam poznać jego smak. Przymknęłam oczy i zaczerpnęłam głęboko powietrza, by ten lęk owionął mnie niczym drogim perfumy.

- Tak więc postanowiliście zlikwidować moją rasę na podstawie mitów i fałszywych informacji.

- Ale... wy przecież zabijacie - powtórzył, jak gdyby była to odpowiedź na wszelkie wątpliwości.

- Wy także - wyszeptałam, wpatrując się głęboko w jego oczy, zanim znów okrążyłam biurko i stanęłam przed nim. Podeszłam do Danausa, zdjęłam swoje ciemne okulary i zaczęłam je o krawędź bluzki. Poczułam, że bibliotekarz odprężył się trochę na krześle, gdy od niego odeszłam. Usiadłam obok Danausa, kładąc mu jedną nogę na kolanach. Nie drgnął. Nie dotknął mnie, ale, co ważniejsze, nie odepchnął od siebie. Nachyliłam się ku niemu, kładąc jedną rękę

na jego piersi, a drugą na ramieniu. Kątem oka mogłam dostrzec, że tamten człowiek obserwował nas bacznie, a jego ściągnięte brwi świadczyły o wielkim zmieszaniu, jakie odczuwał.

Na szczęście Danaus wcześniej się wykąpał i zmienił ubranie. Zmył z siebie odór natury, a jego zapach znowu skojarzył mi się z ciepłą letnią bryzą muskającą białe grzywy śródziemnomorskich fal. Zgolił ciemną szczecinę i wyglądał tak, jakby zdołał przespać kilka godzin.

Pochyliłam się jeszcze bardziej i musnęłam lekko ustami ucho Danausa. Jego mięśnie się napięły.

- Czy Temida wie, co potrafisz? - zapytałam szeptem. Czułam, że jak wszyscy ma coś do ukrycia.

- Nie.

- Tak przypuszczałam - rzekłam cicho. Chciałam zabrać nogę z jego kolan, ale Danaus przytrzymał ją. Przez skórzany materiał spodni poczułam żar jego dłoni. Zamarłam w bezruchu.

Zwrócił głowę, aby na mnie popatrzeć, a ja musnęłam ustami jego policzek i oboje zastygliśmy. Danaus powoli wypuścił powietrze z płuc, a ja przyłapałam się na tym, że wdycham to tchnienie i zatrzymuję je w sobie. Gdyby jedno z nas poruszyło się choćby o centymetr, nasze usta zetknęłyby się. A jednak siedzieliśmy jak dwa kamienne posągi.

- Jabari wie? - zapytał w końcu, szeptem niskim i chropawym.

Wpatrywałam się w ostry, wyrazisty profil łowcy, niemal zatapiając się w jego szafirowych oczach. Nie powiedziałam Jabariemu. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby wspomnieć mu o tym. Gdybym to uczyniła, Danaus nie uszedłby żywy z Asuanu. Dlaczego nie powiedziałam Jabariemu? Skoro nie zabił mnie za to, że nie załatwiłam sprawy z Nerianem, znaczyło to, że jestem mu potrzebna.

Czemu mu nie powiedziałam? Czy dlatego, że nie lubiłam zdradzać sekretów? Jabari zabiłby Danausa i na tym by się skończyło. A może chodziło o to, że Danaus trochę był podobny do mnie, uważany wśród swoich za odszczepieńca? Naturalnie, nie wiedziałam, kim właściwie jest, więc takie dedukowanie wiodło donikąd.

- Nie - odparłam, nie mogąc ukryć zaskoczenia. Danaus uniósł brwi, parodiując jedną z moich ulubionych min. Tak, ostatnio miałam wiele niespodzianek.

- Pachniesz bzem. Bez względu na to, co robisz, pachniesz jak bez.

Lekko poruszywszy głowę, otarłam usta o jego policzek. Każda cząstka mego ciała zapragnęła pocałunku, smaku jego warg i ust. Zacisnęłam dłoń na jego barku i przywarłam do niego mocniej.

- Tak jak ty pachniesz słońcem i morzem?

- Tak.

Znowu zacisnął dłoń na mojej łydce, ale nie był to gest ostrzegawczy.

- Czy to coś złego? - Uniosłam usta, muskając jego szczękę i kierując się ku kącikowi jego warg.

- Nie. Ale... nieoczekiwane.

Powoli Danaus zwrócił ku mnie rozwarte usta, a jego gorący oddech pieścił moją twarz.

Wystraszył nas nagły odgłos pióra, które spadło na drewnianą podłogę. Oboje zapomnieliśmy o gapiącym się na nas bibliotekarzu. Odwróciłam głowę w stronę człowieka za biurkiem i cicho jęknęłam. Danaus ścisnął mocniej moją nogę, drugą ręką oplatając mnie w talii i przytrzymując na miejscu.

- Pozwól mi wyrzucić go przez okno - powiedziałam ściszym głosem.

- Miro...

Znów spojrzałam mu w twarz, szukając w jego oczach choćby śladu frustracji.

- Będę delikatna.

- Ze mną czy z nim? - Chyba wypowiedział to mimo woli, bo szerzej otworzył oczy, wyraźnie zaskoczony. Nachyliłam się, aby kontynuować pocałunek, brutalnie przerwany, gdy Danaus się odezwał: - Naturi. - To jedno słowo natychmiast ostudziło we mnie miłosny zapal.

Opuściłam głowę i wsparłam czoło na jego ramieniu.

- Drań z ciebie - rzekłam cicho. Danaus przeciągnął dłonią po moich plecach, w górę i w dół, jakby próbując złagodzić ów cios. To nie była odpowiednia pora na amory.

Odwróciłam wzrok w stronę widza za biurkiem, ocierając się policzkiem o szczękę Danausa. Bibliotekarz poruszył się na krześle, prostując plecy. Przeciągnęłam dłonią po piersi Danausa i podniosłam się z kanapy jak marionetka, wprawiona w ruch za pomocą niewidocznych sznurków.

- Jak się nazywasz? - zapytałam, podchodząc znowu do biurka.

- James Parker.

- Jestem Mira. - Zajmując jedno z krzeseł, położyłam skrzyżowane nogi na biurku. Bibliotekarz zmarszczył czoło na ten widok.

- Krzesicielka Ognia - powiedział, odrywając wzrok od moich butów. Długimi, zręcznymi palcami podniósł wieczne pióro, które stoczyło się z suszki koło kałamarza.

- Widzę, że jednak jesteś nieźle poinformowany. Najwyraźniej wiecie stosunkowo dużo o naturi... Opowiedz mi o nich.

- O naturi?

- Zacznij od własnej opinii na ich temat - poleciłam, przyglądając się swoim paznokciom.

- Cóż, nie mają nic wspólnego z bajkami na temat ich rasy, wszystkimi tymi bzdurami o elfach i wrózkach - podjął. Wyciągnął z kieszeni małą kwadratową chusteczkę, zdjął z nosa okulary i zaczął je przecierać. Miałam wrażenie, że był to bardziej nerwowy odruch niż rzeczywista potrzeba usunięcia kurzu ze szkielec.

- Oni są zimni, bezwzględni i uważają ludzi za istną plagę. Czerpią moc ze

słońca i z ziemi. Mamy dowody na to, że naturi doprowadzili w przeszłości do upadku kilku cywilizacji sprzed około pięciuset lat.

- A co takiego stało się pięćset lat temu? - Starłam się zachować obojętny ton, ale mój wzrok powędrował z powrotem ku jego twarzy. Jego ręce zastygły na chwilę w bezruchu, gdy swoimi piwnymi oczami wejrzał w moje ciemnofioletowe tęczówki.

James zwilżył językiem usta i zaczerpnął więcej powietrza, zanim przemówił ponownie.

- Nasze informacje na ten temat są w najlepszym razie fragmentaryczne, ale odnoszę wrażenie, że ty już wtedy żyłaś - odparł - i że to ty powiesz mi coś więcej.

- Najpierw chcę usłyszeć, co wy wiecie - odrzekłam, uśmiechając się na tyle szeroko, by odsłonić kły.

- Niewiele. - Znowu zaczął pracowicie wycierać okulary. -

Przesłuchiwałam potomków Inków. Przetrwały tylko mity i legendy. Według nich dzieci boga-słońca zstąpiły pewnego dnia do Machu Picchu. Trzymali w niewoli córkę księżycowego bóstwa. Lud słońca był gotów złożyć w ofierze kilkoro Inków na świątynnym dziedzińcu, kiedy zjawilo się mnóstwo dzieci księżycowego boga i uwolniło więzioną córkę księżycy. Potomkowie Inków wspominali o wielkiej bitwie, do jakiej doszło... Wszystko to brzmiało dla nas dosyć niezrozumiale. Oczywiście, że doszło do bitwy wampirów z naturi. Po tamtej nocy i po klęsce naturi wrota między światem naturi a tym światem zostały zamknięte. Liczyłem, że powiesz mi nieco więcej na ten temat. - James pochylił się lekko naprzód, trzymając w rękach okulary, o których chwilowo zapomniał.

- Nie mogę. - Nie mogłam mu powiedzieć, bo sama nie miałam pewności. Nie potrafiłam sobie przypomnieć innych nocnych wędrowców w Machu Picchu. Wiem, że tam byli - doszło do największego zlotu w dziejach - ale teraz nie byłam w stanie przypomnieć sobie twarzy kogokolwiek spoza triady: poza Jabarim, Sadirą i Taborem. - Naturi wcale nie zostali pokonani. - Opuściłam nogi na podłogę, nerwowo podniosłam się z krzesła i podeszłam do jednego z regałów z książkami przy ścianie. - Królowa naturi wciąż żyje. Ostateczna bitwa miała rozegrać się później.

Przesuwałam wzrokiem po oprawionych w skórę tomach, odczytując ich tytuły. Wszystkie te księgi dotyczyły okultyzmu. Rozprawy o wampirach, wilkołakach, magii oraz o tajemniczych epizodach z dziejów świata. Jedno ludzkie życie nie wystarczyłoby do zgromadzenia takiego księgozbioru. Zerknęłam na Jamesa, na jego gładko wygoloną twarz i bystre oczy. Wyglądał tak, jakby miał dwadzieścia kilka lat. A więc albo ten dom nie należał do niego, albo James kontynuował rodzinne tradycje. Dziwne to wszystko.

- Ale odnajdziecie ją z czasem? - spytał, wstając ponownie.

Zwróciłam się znów w stronę półek i z jednej z nich wzięłam wielki tom o nocnych wędrowcach. Otworzyłam go na chybił trafił i zaczęłam czytać. Warknęłam rozeźlona, odrzuciłam księgę i sięgnęłam po następną.

- Uważaj! - zawołał James, nie mogąc się powstrzymać. - To prawdziwy biały kruk.

Nie zwracając na niego uwagi, otwierałam kolejną księgę o wampirach. I znowu odrzuciłam ją na bok, zanim przeczytałam choćby jedną stronę. Pokonując strach, James podbiegł do mnie, gdy brałam trzecią księgę. I tę odrzuciłam, ale zdołał ją złapać.

Odwrociłam się i schwyciłam go za klapy marynarki, aż skurczył się załęczniony. Moce Danausa otarły się o mnie znowu, co stanowiło ostrzegawczy znak.

- A więc zaczytujecie się takimi rzeczami na nasz temat? Czy cała wasza rasa nasiąkła tymi łgarstwami?

- To nie mogą być kłamstwa. Są to relacje ludzi, którzy przeżyli spotkania z wampirami - powiedział. - Nie możesz zaprzeczyć, że zabijacie. Traktujecie nas jak bydło.

- Za to wy robicie z nas bezmyślnych zabójców albo potwory czające się w ciemności. - Puściłam go. - Dokonujemy również rzeczy pięknych. - Zbliżyłam się o krok do Jamesa. Cofnął się nieco, natrafiając plecami na półkę z książkami. Uśmiechnęłam się do niego ostrożnie, by nie ukazywać kłów. Uniosłam rękę i trzymałam ją w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego twarzy. Zadrżał, a jego rozszerzone oczy spoglądały to na moją twarz, to na rękę. Opuściłam dłoń, przeciągając palcami po jego czole, skroni i włosach. - Odczuwamy ból i radość. Znamy smutek i miłość, tak jak wy - szeptałam pieszczotliwie. - Potrafimy dawać wspaniałą rozkosz i sami jej doznawać.

- Nawet z ludźmi? - spytał niepewnie. Zachichotałam, cofając dłoń.

- Niektórzy z moich kochanków to ludzie, osobnicy płci męskiej. Jesteście bardzo... troskliwi.

Obróciwszy się, przeszłam na drugi koniec pokoju. Mijając Danausa, puściłam doń oko. Wiedział, jaką grę prowadzę, i nie był zachwycony tym, że Temida dostarczyła mu wcześniej tak wątpliwych informacji.

- Jednak coś, co was dotyczy, wciąż mnie zastanawia - powiedziałam, odwracając się ponownie do Jamesa. - Pomimo tych wszystkich koszmarnych rzeczy, jakie nam przypisujecie, wysłaliście Danausa, żeby mnie odnalazł.

Nie sądzę, żeby chodziło tylko o uzyskanie mojej pomocy w zdobywaniu informacji. Dlaczego więc?

- Jeśli wierzyć w te opowieści, to wampirom raz już udało się powstrzymać naturi. Sądziłem, że możecie uczynić to ponownie - odparł James, nadal przyciskając księgę do piersi.

- Ty sądziłeś? Nie wy wszyscy?

- Niektórzy... nie popierali tego pomysłu.

- A czy oni wiedzą o tym naszym spotkaniu?

Zerknął na Danausa, a potem na mnie.

- Nie.

Jeszcze mocniej zacisnął ręce na księdze, zupełnie jak gdyby mogła go ona ustrzec przed gniewem przełożonych.

- W takim razie wykazałeś się odwagą. Oczywiście jest tu Danaus, żeby chronił cię przede mną, ale mam przeczucie, że twoi przyjaciele nie będą tym wszystkim zachwyceni. Ciekawe...

- Co zamierzasz uczynić? - zapytał z niepokojem. Usiadłam na krześle i znów umieściłam nogi na biurku.

- Na razie nic. Czy masz jeszcze coś interesującego do przekazania?

- O czym? - zapytał, wracając na swoje miejsce. Usiadł i niepewnie odłożył księgę.

- O naturi.

Otworzył jedną z szuflad, wyciągnął z niej szarą kartonową teczkę i podał mi coś, co wyglądało na plik zdjęć. Niechętnie wzięłam je do ręki. To właśnie fotografie spowodowały, że podjęłam się tego szaleńczego zadania. Zacisnęłam zęby, wzięłam zdjęcia i omal nie krzyknęłam z bezsilnej wściekłości, widząc na nich znowu symbole naturi wypisane krwią.

Zerwałam się na nogi, jakby te zdjęcia parzyły mnie w dłonie.

- Kiedy to się stało?

Usłyszałam, jak Danaus wstaje i podchodzi, a odgłos jego ciężkich kroków na drewnianej posadzce odbija się echem. Podałam mu zdjęcia, nie odrywając wzroku od bladej twarzy Jamesa.

- Zaczęły napływać w ostatnich paru dniach.

- Skąd? - Chciałam, aby potwierdził moje podejrzenia.

- Nie jestem do końca pewien. Sądzę, że jedno jest z Hiszpanii - odrzekł, nerwowym ruchem poprawiając krawat.

- To Alhambra - przyznałam. - Gdzie jeszcze?

- Inne wykonano w Kambodży.

- W Angkor Wat. - Wyrwałam Danausowi zdjęcia z ręki i rozłożyłam je na biurku. - Mamy tu sześć fotografii. To Angkor Wat i Alhambra. - Odsunęłam na bok dwa zidentyfikowane miejsca. Znałam je dobrze. Jabari zapoznał mnie z nimi szczegółowo, dosłownie wbił do głowy. Wzięłam następne przedstawiające głaz o różowej barwie. - To jest Petra, a to pałac w Knossos na Krecie. - Dorzuciłam na kupkę trzecie i czwarte zdjęcie. Znałam tamten pałac, zanim jeszcze zetknęłam się z Jabarim. Przyszłam na świat na Krecie.

- O, przypominam sobie to miejsce. - James wziął zdjęcie, na którym widniał ciemnobrazowy znak na tle drzew.

- Podobno taki symbol był na odwrocie tablicy w parku narodowym Yellowstone.

- A to ostatnie? - spytał Danaus, podnosząc fotografię.

- Mesa Verde, w stanie Kolorado. - Rozpoznałam charakterystyczną budowlę. Zwracając spojrzenie ku Jamesowi, walczyłam z panicznym lękiem,

który zaczął mnie ścisnąć w żołądku. - Co z pozostałymi pięcioma miejscami? Czy wasi ludzie je sprawdzili?

- Pięcioma pozostałymi?

- Chodzi o święte miasta naturi. Mam nadzieję, że je sprawdzacie. -

Spojrzałam na Danausa, zaciskając zęby. - Mówiłeś, że wasi ludzie obserwują potencjalne miejsca ofiarne. Kłamałeś?

- Mamy je na oku - odrzekł ostro, robiąc krok w moją stronę.

- Wszystkie dwanaście?

- Dwanaście? - Przez moment wydawał się zupełnie zbity z tropu. - Chyba znacznie więcej? Obserwujemy wszystkie starożytne świątynie i budowle powiązane ze starymi mitami.

Słumiłam w gardle krzyk bezsilnej wściekłości. Wiedziałam, że już wcześniej powinnam była go poprosić u więcej wyjaśnień. Wydawało mi się, że wie tak dużo, że zna całe dzieje naturi. Pomyliłam się, a ten błąd mógł nas drogo kosztować.

Zwróciłam się w stronę biurka i zebrałam zdjęcia.

- Pora na krótki wykład o naturi - powiedziałam, a polem spojrzałam na Jamesa. - Pewnie zechcesz notować.

Członek Temidy niezwłocznie usiadł na swoim krześle i przygotował papier i długopis.

- Jest dwanaście tak zwanych świętych miejsc naturi rozrzuconych po całym świecie, związanych z energiami, skupionymi w tamtych okolicach. W Ameryce Północnej to Old Faithful i Mesa Verde. W Ameryce Południowej - Wyspa Wielkanocna i Machu Picchu. W Europie mamy Stonehenge, Alhambrę i pałac w Knossos. W Afryce Dolinę Królów i Abu Simbel, Petrę w Jordanii. Wreszcie w Azji Konark i Angkor Wat.

Danaus pokręcił głową, ściągając brwi.

- To bez sensu. Niektóre z tych miejsc wcale nie są zbyt stare, a świątynię Abu Simbel przeniesiono z jej pierwotnego miejsca. Poza tym naturi są starsi od tych wszystkich zabytków.

- Nie budowle czynią z tych miejsc ich sanktuaria, tylko moce emanujące z ziemi. - Znowu wzięłam do ręki zdjęcia i rozłożyłam je na blacie biurka. - Ludzie wzniesli tam wspaniałe budowle. Dlaczego? Ponieważ ciągnęło ich do tych miejsc. Ludzki mózg wyczuwa coś szczególnego, choćby i nieświadomie.

- Abu Simbel przesunięto...

- Ale tylko o jakieś dwieście metrów. Wciąż znajduje się dostatecznie blisko pierwotnego miejsca, które znalazło się pod wodą, więc stało się dostępne wyłącznie dla naturi z klanu wodnego.

- A co z tymi znakami na drzewach? - zapytał James, unosząc głowę znad swoich notatek. - Odkryto je z dala od tamtych miejsc.

Pokręciłam głową, przygryzając dolną wargę. Wkraczałam na grząski grunt. W historiach o naturi nie natknęłam się nigdy na wzmiankę o tym, by pozostawiali znaki na drzewach.

- Wydają się inne od symboli ze świętych miejsc. Nie mam pojęcia, do czego służą.

Danaus oparł się o biurko i skrzyżował ręce na piersi.

- A te krwawe znaki?

- Nie zostały wypisane ludzką krwią - wtrącił James, odrywając wzrok od notatek. - Sprawdziliśmy. To wyłącznie krew zwierząt.

Spojrzałam znowu na zdjęcia.

- Testują te miejsca - powiedziałam półgłosem.

- Jak to?

- Stare obrzędy magiczne. Zdaje wam się, że znacie się na magii. Złożenie następnej ofiary ma na celu złamanie pieczęci i będą potrzebować jak najwięcej mocy. Skoro Aurora utknęła w innym świecie, będą zmuszeni zaczerpnąć z ziemi tyle mocy, ile tylko się da. W tym celu muszą znaleźć miejsce, które jest najsilniej naładowane. Tak więc naturi testują różne miejsca za pomocą pomniejszych zaklęć, szukając najlepszej lokalizacji.

- Przecież Danaus stwierdził, że zostaną złożone łącznie trzy ofiary - powiedział James, a jego brwi zbiegły się ponad nasadą nosa.

- Owszem, jeśli ich nie powstrzymamy. Pierwsza z nich była czymś w rodzaju zalewania pompy czerpiącej moce z głębi ziemi. Druga złamie pieczęć, a trzecia otworzy wrota.

- A nie sądzisz, że skorzystają z któregoś z tych miejsc, gdzie zostawili te znaki?

- Nie. Zacierają swoje ślady. Zmyli krew i natychmiast zdjęli urok.

Wykorzystali Konark, a sześć innych miejsc naznaczyli.

- Wobec tego pozostaje tylko pięć opcji: Stonehenge, Machu Picchu, Dolina Królów, Abu Simbel i Wyspa Wielkanocna - odczytał ze swojej listy James.

- Skontaktuj się z Temidą - polecił mu Danaus. - Poślij tam natychmiast naszych ludzi.

Spojrzał na mnie ponuro. Nastrój wieczornej beztroski zniknął bezpowrotnie. Westchnęłam.

- Trzeba teraz odnaleźć Sadirę.

Nie mogliśmy siedzieć beczynn timer i liczyć na to, że Jabari zlokalizuje Rowe'a. Czas uciekał. Skoro naturi pilnie szukali innego miejsca, oznaczało to, że prawdopodobnie już wkrótce złożą następną ofiarę. Jednak coś tu nie grało. Do kolejnego nowiu pozostawał prawie tydzień. Miałam pewne podejrzenia co do tego, kiedy zamierzają uderzyć, ale musiałam to potwierdzić, a to wiązało się z odszukaniem Sadiry.

- Chwileczkę! - zawołał James, obiegając swoje biurko. - Chciałbym jakoś pomóc.

Zatrzymałam się przy drzwiach, z dłonią na framudze.

- Wracaj do Temidy, Jamesie Parkerze. Wracaj i ostrzeż ich. - Szkoda mi było tego młodzieńca, który poświęcił życie badaniu stworów czających się w mroku. To właśnie stanowiło jedną z głównych różnic między naturi a nocnymi

wędrowcami. Otóż w przeciwieństwie do naturi nam od czasu do czasu było kogoś żal.

Rozdział 16

Pojechaliśmy taksówką z powrotem do hotelu. Skulona w ciemności, z Danausem obok siebie, zaczęłam penetrować swoimi mocami miasto, po raz pierwszy od prawie pięciuset lat szukając Sadiry. W zasadzie nie powinno to nastęczać trudności. Tak jak w przypadku poszukiwań innych wampirów, powinnam powoli przeczesywać mocą okolice, natrafiając ostatecznie na daną osobę. Jednak z Sadirą było inaczej. To ona mnie stworzyła. Łącząca mnie z nią więź zawsze wydawała się mocna, bez względu na dzielące nas odległości i czas. Powinnam znaleźć ją natychmiast, jak błyskawica trafiająca w piorunochron. Miałam jednak takie poczucie, jakby Sadira nie istniała. Wiedziałabym, gdyby straciła życie; wyczułabym to. Coś tu było nie tak. Najpierw z Jabarim, teraz z Sadirą. Potrafiłam wyczuć obecność nocnych wędrowców w tym mieście - ale nie tych dwoje, którzy byli tak ważni.

- Czy naturi są mieście? - spytałam. W zabłoconej taksówce zapadło milczenie przerywane sporadycznie skrzekliwymi, zniekształconymi głosami dobiegającymi z samochodowego radioodbiornika. Spoglądałam przez okno na domy i sklepy, kiedy jechaliśmy w stronę Tamizy, do hotelu Savoy w pobliżu ulicy Charing Cross.

- Nie ma ich w najbliższej okolicy - odezwał się Danaus, jak przebudzony ze snu. - Są raczej na obrzeżach miasta.

- Nie jesteś pewien? - Obróciłam głowę tak, by móc go widzieć kątem oka.

Skrzywił się w ciemności, a jego rysy wyrażały skupienie.

- Trudno powiedzieć. To tak, jakby usiłować coś dostrzec w gęstej mgle.

- To cecha tej wyspy.

Siedząc na brudnej kanapie z tyłu taksówki, oparłam ramię o mocną rękę Danausa. Byłam przekonana, że podczas swoich poprzednich pobytów w Wielkiej Brytanii natrafiał już na problemy związane z czarami. Na tych ziemiach odprawiano wiele starych obrzędów magicznych. Zbyt wielu dawnych bogów zrodziło się i poległo na tych wyspach; liczni potężni czarownicy rzucali tu swoje zaklęcia. A magia nie ginie tak po prostu - rozmywa się w powietrzu i wsiąka w ziemię. Po upływie stuleci tutejsza ziemia była nią wręcz nasycona. Wielu magików przybywało do Wielkiej Brytanii, by korzystać z miejscowych źródeł mocy.

- Kim jest Sadira? - zapytał, zmieniając temat.

- Jako jedna z trzech założyła przed stuleciami pieczęć. Pozostali z tej trójki to Jabari i Tabor?

- Tak.

- Czy i ty brałaś w tym udział?

- Nie. Z trudem wydostałam się z rąk wrogów.

Miałam wtedy zaledwie sto lat, byłam więc wciąż bardzo młoda jak na wampirzycę. Schwymano mnie dwa tygodnie wcześniej i poddano torturom. Naturi chcieli wykorzystać moją niezwykłą zdolność panowania nad ogniem jako broń przeciwko nocnym wędrowcom.

- Czy sądzisz, że naturi będą ją ścigać?

- Tak. W naszym świecie pozostało wystarczająco wielu naturi, żeby móc zidentyfikować członków triady. - Tylko nie rozumiałam, jak oni mogą wpaść na jej trop, skoro ani my nie potrafiliśmy ich wyczuć, ani oni nas.

Odchyliłam głowę do tyłu i położyłam nogę na kolanie Danausa. Oboje nawet nie drgnęliśmy, jak gdyby czekając, kto pierwszy zareaguje. Zresztą jakie to miało znaczenie? Tuliłam się do niego już nieraz. A teraz zapragnęłam tego pokrzepiającego ciepła, które od niego było... Nie miał w sobie nic z zimnego wyrachowania, typowego dla naturi.

- Twoim zdaniem tak właśnie mają się sprawy rozwijać? - Odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć, a jego błękitne oczy roz błysły w smudze światła, gdy taksówka znowu ruszyła.

- Nie. - Cofnęłam się trochę i skrzyżowałam ramiona na piersiach. - Znalezienie Jabariego miało polepszyć sytuację, a nie ją pogorszyć. Powinam zostać w domu i pilnować swojego terytorium, zamiast szukać Sadiry.

Słyszałam obok rytmiczne bicie jego serca, a jego moce otarły się o mój policzek. Wydawały się nadludzkie, lecz serce Danausa było sercem człowieka. Od kilku nocy nie miałam kontaktu z Knoxem, a bardzo chciałam się dowiedzieć, jak sobie radzi wraz z Barrettem. Powinam być u siebie i starać się łagodzić niesnaski między nocnymi wędrowcami a wilkołakami.

- Czy to przebiega zgodnie z twoim planem? - spytałam.

- Nie.

- Czyżby?

Nachylił się ku mnie i szepnął:

- Miałaś już nie żyć.

Zaśmiałam się i przesunęłam ręką po jego ramieniu. Zesztywniał, ale się nie odsunął.

- Przecież tak dobrze nam się współpracuje - powiedziałam, co skwitował cichym, ironicznym parsknięciem - Całkiem dobrze nam poszło w Asuanie.

- Kiedy przestałaś próbować mnie zabić, czy o to chodzi?

Znowu wsparłam głowę na jego ramieniu i przymknęłam powieki.

- Myślałam, że to ty usiłowałeś zabić mnie, kiedy spałam. Miałam prawo się zdenerwować.

- Robiłem swoje.

- Lepiej zajmij się czymś innym, na przykład zostań kwiaciarzem. -

Przysunęłam się jeszcze bliżej, próbując go zirytować. Nocne powietrze było ciepłe; jechaliśmy z opuszczonymi szybami, aby świeży powiew wpadał do

zatechłego wnętrza taksówki. Jednak żar i siłę bijące od Danausa wyczuwało się bez względu na porę roku.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo jesteś wcieleniem zła.

Cała zeszywniała na te surowe słowa i otworzyłam oczy. Patrzyłam tępym wzrokiem na tył przedniego fotela.

- Udowodnij to.

- Pójdź ze mną do kościoła jutro wieczorem.

Nie mogłam tego zrobić i w tym tkwił cały problem.

- Czemu nie zagotowałeś mojej krwi? Skoro jesteśmy tacy źli, to dlaczego nie zniszczysz nas w taki sposób? - zapytałam, starając się zbyć jego prośbę. Wyprostowałam się, odsuwając się od Danausa.

- Z tego samego powodu, dla którego ty nie spaliłaś mnie i wszystkich naturi, jakich napotkałaś - wyjaśnił. Poruszył się na siedzeniu, by wyjąć portfel z tylnej kieszeni.

- Może to metoda zbyt prymitywna?

Danaus nachylił się, a jego usta znalazły się zaledwie o kilkanaście centymetrów od mojej twarzy.

- To zbyt wyczerpujące. Jeśli się nie zabije wszystkich, samemu pozostaje się bezbronnym. W walce nasze moce to ostatnia deska ratunku.

Gdy taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Danaus usiadł prosto i zaczął grzebać w portfelu, aby zapłacić kierowcy. Wysiadłam na świeże, nocne powietrze. Wiedziałam, że on miał rację. Wykorzystywanie własnych niezwykłych zdolności zawsze było wyczerpujące.

Doszliśmy do mojego hotelowego pokoju, zagłębieni we własnych ponurych rozmyślaniach. Nie zwracałam uwagi na spojrzenia, którymi obrzucali nas inni goście. Charlotte wybrała dla nas hotel Savoy, prawdziwy pałac ze złocistymi zdobieniami. Korzystający z niego ludzie należeli do śmietanki towarzyskiej, a ja miałam na sobie skórzane spodnie, jedwabną koszulę i okulary słoneczne z niebieskimi szklami. Pewnie przypominałam z wyglądu gwiazdę rocka, co było dosyć zabawne. Biorąc mnie za kogoś takiego, ludzie musieli sądzić, że muskularny, przystojny mężczyzna u mego boku to albo ochroniarz, albo kochanek. Danaus na szczęście zostawił w hotelowym apartamencie swoje noże, ograniczając się do tych, które nosił ukryte pod ubraniem. Przechadzanie się z bronią po Asuanie nikogo nie dziwiło. W Londynie należało udawać kogoś bardziej cywilizowanego.

Kiedy dotarliśmy do drzwi wiodących do mojego apartamentu, przystanąłam raptownie. Coś było nie tak. Pospiesznie przeniknęłam do umysłów Gabriela i Michaela, przekonując się, że tam, w środku, jest ktoś z nimi. Obaj byli napięci i podenerwowani. A jednak gdy szybko spenetrowałam wnętrze, wyczułam tylko obecność swoich dwóch aniołów w ludzkim wcieleniu.

Z uśmiechem na ustach otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Natychmiast jednak odeszła mi ochota na żarty, gdy ujrzałam Sadirę. Syknęłam na nią, rozchylając usta i ukazując nieskazitelnie białe kły. Zacisnęłam mocno dłonie w pięści, aż paznokcie wbiły mi się w skórę, z której zaczęła sączyć się krew.

- A cóż to za maniery? - zadrwiła, kręcąc przy tym głową. Jej cichy, słodki, hipnotyczny głosik przenikał do mojego mózgu. Siedziała prosto i sztywno, zupełnie jakby połknęła kołek, niczym księżniczka na tronie.

Wyprostowałam się, posyłając jej ostrzegawcze spojrzenie. Wiedziałam, że spotkanie z nią po tak długim czasie nie będzie zbyt miłe, ale nie oczekiwałam, że zareaguję na nią z tak niepohamowaną wrogością.

- Dlaczego cię nie wyczułam? - zapytałam ostro, przez zaciśnięte zęby.

- Jabari skontaktował się ze mną. Powiedział, żebym się ukryła i że wysyła kogoś, kto ma mnie ochraniać. Nie miałam pojęcia, że tym kimś okażesz się ty.

Jej głos brzmiał chłodno i spokojnie. Wydawało się, że nic nie jest w stanie nastroszyć jej starannie przyglądanych piórek.

Dostawałam gęziej skórki, kiedy na nią patrzyłam. Wszystko w Sadirze wydawało się jednym wielkim łgarstwem i nie cierpiałam jej za to. Mając ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, wyglądała jak dobrotliwa mamuśka. Jej długie ciemne włosy były poprzetykane siwizną i upięte w kok. Miała pełną twarz budzącą zaufanie. Ubrała się w długą czarną spódnicę i jasnożółtą bluzkę z perłowymi guzikami. Zdawała się całkiem niegroźna, słabowita.

A jednak wszystko to mijало się z prawdą. Widziałam ją niegdyś, jak rozszarpywała ludzkie gardło, posilając się, i krew spływała jej wtedy po podbródku. Widywałam, jak zagłębiała się w klatce piersiowej ofiary i wyrywała jej serce, aby móc łatwiej chleptać krew. Ale nawet gdy zabijała, nie przypominała typowej morderczyni.

- Kim jest ten twój cień? - zapytała, przerywając milczenie. Mówiła z uwodzicielskim akcentem, nieco egzotycznym już na tej ziemi. Z naleciałościami starożytnego perskiego języka. Po upływie ponad tysiąca lat Sadira ani trochę nie wyzbyła się tego akcentu. Większość z nas otrząsała się ze starych więzów, woląc wtapiać się w teraźniejszość. Nawet Jabari zmieniał nieco akcent, gdy przebywał poza Egiptem. A jednak Sadira swój zachowała.

- Nie twoja sprawa. - Zrobiłam krok w lewo, stając tuż przed Danausem. - Pojawili się naturi. Zamierzają złamać pieczęć.

- Jak? - Zdumiona uniosła cienkie brwi, co spowodowało rozciągnięcie zmarszczek w kącikach jej migdałowych oczu. Splotła blade dłonie na podołku, przebierając szczupłymi palcami.

- Jak zwykle: za pomocą krwi i magii. Jabari powiedział, że mam cię chronić i odtworzyć triadę.

- A ten tutaj został wybrany, żeby ochraniać ciebie? - Spojrzała na Danausa, zaintrygowana faktem, że podróżuje z obcym człowiekiem.

Przy tym wcale nie przeszkadzali jej moi dzienni strażnicy, Gabriel i Michael. Gdy nocny wędrowiec osiągał odpowiedni status i często zjawiał się na

terytoriach innych potężnych wampirów, korzystał z usług takiej straży. Jednakże Danaus różnił się znacznie od takich ochroniarzy. I nie chodziło nawet o to, że emanował własną mocą. Problem w tym, że czuł się pewny siebie, wyluzowany, przebywając w jednym pokoju z dwiema wampirzycami. Poza tym towarzyszył mi w nocy. To, że miałam go u swego boku, oznaczało, że jest dla mnie kimś szczególnie ważnym. Kimś równym mi, a nie służącym.

- Nocą ochrona nie jest mi potrzebna - odparłam.

- Och, moja Miro - rzekła Sadira ciepłym, przepełnionym troską głosem. - Potrzebujesz ochrony bardziej niż ja lub Jabari.

- Potrafię sama zatroszczyć się o siebie. Nigdy nie byłam tak słaba, jak ty to przedstawiałaś.

- Wcale nie uważałam cię za słabą, najdroższe dziecko. - Wstała płynnym ruchem i zrobiła parę kroków w moją stronę. Cofnęłam się i obie zaczęłyśmy krążyć po niewielkim saloniku. Nie mogłam dopuścić do tego, by mnie dotknęła.

Sadira zatrzymała się, a w jej ciepłych piwnych oczach pojawiło się zniecierpliwienie.

- Obawiałam się, że nabierzesz zbytnej ufności w swoje moce. Nie chciałam, żeby stało ci się coś złego. Postanowiłam cię chronić.

W moim umyśle ożył obraz jej zamku w Hiszpanii. Znowu przeniknęła do mojej głowy, manipulując moimi myślami jak za dawnych dni. Próbowałam ją powstrzymać, ale przypominało to próbę schwywania dymu. Mgliste wspomnienia naraz nabrały ostrości. Znowu znalazłam się w ciemnym lochu, pośród wilgotnych, obsypujących się murów. Leżałam na zimnej kamiennej płycie, zawieszona między życiem a śmiercią, i tylko brzmienie głosu Sadiry chroniło mnie przed utratą zmysłów.

Większość nocnych łowców narodziła się w nocy. Pocałunek śmierci, wymiana krwi - i gotowe. Jednak Sadira pragnęła czegoś ponadto, kiedy mnie stworzyła. Chciała Pierwszej Krwi i dlatego poświęciła dziesięć lat, wprowadzając mnie do swojego świata i życia w ciemnościach. A kiedy było już po wszystkim, okazałam się jej najwspanialszym wytworem.

Lata, które spędziłyśmy razem, były okropne. Usiłowała zapanować nade mną całkowicie; sprawować taką samą pełną kontrolę, jak nad innymi kilkunastoma wampirami, które mieszkały w jej zamku. Powołała do życia kilkoro innych wampirów, lecz ja byłam jej jedyną Pierwszą Krwią. Tamte wampiry garnęły się do niej, wpatrzone w wizerunek dbałej, troskliwej matki, ale ja nigdy nie uwierzyłam w całą tę maskaradę i pozostawałam tam tylko dlatego, że, jak sądziłam, nie miałam innego wyjścia.

Teraz jednak byłam już wolna. Chwyając się tej myśli, wyparłam wreszcie Sadirę ze swojego umysłu i wzniosłam tyle mentalnych zapór, ile zdołałam. Spychałam ją, aż stała się ledwie nikłym cieniem na skraju moich myśli.

- Nie przybyłam tu, żeby się z tobą sprzeczać, moja Miro. - W jej głosie zabrzmiał smutek. - Kiedy wyczułam twoją obecność, pomyślałam, że zjawiaś się tutaj, żeby porozmawiać.

- Sądziłaś, że wróciłam do ciebie? - Spoglądając na swoją stwórczynię, pokręciłam przecząco głową. - Jak mogłaś uwierzyć w coś takiego?

Sadira uśmiechnęła się do mnie, przechylając nieco głowę na bok. Spojrzała na mnie tak, jak rodzice patrzą na niemądre dziecko; był to wzrok pełen nieskończonej cierpliwości i miłości.

- Dlaczego wciąż żywisz do mnie taką nienawiść? - Zataczałyśmy kręgi jak dwa koty, wyczekujące wzajemnie na atak. - Czy w ten sposób odpędzasz od siebie koszmary? Czy dzięki temu zapominasz o Krecie... i o Cali?

- Uprzedzałam cię, żebyś nigdy nie wypowiadała jej imienia. - Zatrzymałam się, czując bolesne napięcie w całym ciele.

- Opuściłaś ją, a teraz chcesz obciążać mnie własnym poczuciem winy. Nie możesz bez końca uciekać od nich obu - powiedziała Sadira, postępując o krok w moją stronę. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć mojego policzka, ale i ja uniosłam dłoń, zatrzymując ją ledwie o centymetry od jej twarzy. Płomienie zatańczyły ponad moimi palcami, spływając ku nadgarstkowi. Oczy Sadiry rozwarły się szerzej.

Przed napotkaniem Sadiry miałam własne życie. Krótkie, nietrwale ludzkie życie, ale swoje własne. Miałam rodzinę, którą kochałam, i dom w swym zakątku świata. W moim świecie nie było wtedy nocnych wędrowców ani tortur. Nie korzystałam nawet ze swoich mocy, ponieważ postanowiłam ukrywać je i prowadzić normalne życie.

Aż pewnej nocy przed wiekami Sadira wkroczyła do mojego świata i porwała mnie, grożąc zabiciem wszystkich, których kochałam, jeśli przy niej nie pozostanę. Tak więc zostałam z nią, znosząc upokorzenia, ból i ustawiczny lęk. Więziła mnie jako ludzką istotę przez cztery lata. W tym czasie przekonałam się, że będzie ze mnie lepsza wampirzyca niż człowiek. Nocni wędrowcy lękali się mnie, bojąc się mojej mocy. Nie bez powodu. Sadira nauczyła mnie wszystkiego, co sama wiedziała o zadawaniu udreń i manipulowaniu innymi. Kiedy w Europie pojawiła się dżuma, Sadira zaproponowała, że uczyni ze mnie wampirzycę, aby ocalić mi życie. Zgodziłam się, porzucając wszelkie nadzieje powrotu do swojego wcześniejszego życia.

Nienawidziłam Sadiry za to, że mnie porwała. Nienawidziłam siebie, gdyż jej uległam i nie mogłam być już tym, kim pragnęłam być - normalną istotą. Człowiekiem.

Uniosłam otwarte dłonie, na których tańczyły płomienie, połyskując żółto i pomarańczowo. Opuściłam po chwili ręce, ale płomienie pozostały zawieszony w powietrzu jak dwie świetlne kule. Sadira cofnęła się niepewnie o krok, nie mogąc oderwać wzroku od płomieni. Widziała już moje sztuczki z ogniem, a nawet kazała mi je prezentować, ale od czasu, kiedy ostatnio z nią przebywałam,

nauczyłam się kilku nowych numerów. Sadira nigdy dotąd nie widziała, bym podpałała powietrze.

Skinęłam lekko głową i płomienie pomknęły w jej stronę. Trzydzieści centymetrów od jej piersi rozdzieliły się i zaczęły ją okręzać. Sadira skurczyła się, kręcąc głową, i rozpaczliwie usiłując utrzymać ogień w polu widzenia. Była przerażona... nie bez przyczyny.

- Opuściłam ją, bo nie miałam wyboru. Ty byś ją zabiła - rzuciłam, nie będąc w stanie wypowiedzieć imienia Calli. Nie myślałam o niej od stuleci, ale brutalne słowa Sadiry wzbudziły we mnie falę bolesnych wspomnień, do czego z pewnością dążyła. - Zostawiłam i ciebie, bo zabiłałabym cię, gdybym została. Stworzyłaś mnie, więc darowałam ci życie w akcie wdzięczności. Teraz już nie jestem twoją dłużniczką.

Sadira spojrzała mi w twarz i dostrzegłam w jej oczach wściekłość połączoną z prawdziwym zmieszaniem. Nie potrafiła zrozumieć przyczyn mojej nienawiści. Sadira czyniła wszystko w imię chronienia swoich dzieci, ale także zamierzała nimi sterować. Nie zdołała jednak w pełni zapanować nade mną. W przeszłości potrafiła tylko na krótko zmusić mnie do uległości pod wpływem bólu i udręku, jakie zadawała.

Danaus celowo stanął tak, abym go widziała, z lewej strony za Sadirą; zmarszczył czoło. Ta kłótnia oznaczała marnotrawienie czasu, którego nam brakło. Powinnam raczej wciągnąć Sadirę na swoją listę wciąż niezakończonych spraw. Jeśli naturi mnie wcześniej nie zabiją, w końcu porachuję się z Sadirą i ze swoją przeszłością.

- Dostyc tego. - Machnęłam rękami w powietrzu, a płomienie znikły, pozostawiając kłęбки dymu. Odstąpiłam od Sadiry i podeszłam do okna, z którego rozciągał się widok na miasto. Odsuwając na bok białe muślinowe firany, wyrzesałam na ulicę, po której mknął nieprzerwany strumień pojazdów.

Kiedy się odwróciłam, wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy weszłam do pokoju. Nie było śladu po tym, co się przed chwilą wydarzyło. Twarz Sadiry nie wyrażała niczego, ale nie oznaczało to wcale, że mi wybaczyła. Wampir nigdy nie atakuje dwukrotnie starszego od siebie przedstawiciela swojego gatunku. Nigdy też nie napada na swojego stwórcę. A choć Sadira udawała istotę kochającą i troskliwą, nie różniła się od innych. Nie niepokoiłam się jednak zbyt. Mogła mnie skrzywdzić, ale nie próbowałyby mnie zabić. Byłam jej cenną maskotką i pragnęła mieć mnie u swojego boku, podporządkowaną i posłuszną.

- W Konark złożono jedną z ofiar, a naturi napadli na mnie dwa razy - powiedziałam, usiłując zawrzeć w tym jednym zdaniu wszystko, co wydarzyło się niedawno. Nie było to łatwe. Czy nie należy wspomnieć o zabitych na moim terytorium i o lęku, który zawsze odczuwałam, gdy opuszczałam swoje włości?

- Uważamy, że ścigają tych, którzy przeżyli Machu Picchu.

- Uważamy? - spytała Sadira, zwracając głowę na bok i zerkając kątem oka na Danausa.

- Jabari i ja - skorygowałam ostro jej domysł. - Tabor nie żyje. W związku z tym z triady pozostaliście ty i Jabari. Nie pamiętam, kto jeszcze był na tamtej górze owej nocy, ale niewielu z nas przetrwało.

Sadira zmrużyła ciemnobrązowe oczy i ściągnęła brwi.

- Co zapamiętałaś z tamtej nocy? - zapytała.

- Niewiele. Pamiętam, że Jabari przybył mi na pomoc, trzymał mnie, kiedy ty i Tabor staliście w pobliżu. A potem już nic... Tylko światło... I ból. - Z wysiłkiem starałam się wydobyć strzępy wspomnień z gąszczu myśli o tamtej nocy. - Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć? Co się stało po tym, jak przybyliście?

- Pytałaś o to Jabarięgo?

- Zamierza opowiedzieć mi o tym później - odparłam rozdrażniona.

Odgarnęłam włosy z twarzy.

- A zatem pozostawię to jemu - odparła szybko Sadira z widoczną ulgą. - Nie chcę rozmawiać o tamtej nocy.

- Dlaczego? Co się wydarzyło? Nie było chyba tak źle, skoro odnieśliśmy zwycięstwo. - Podeszłam jeszcze o krok, okrążając stolik znajdujący się na środku pokoju.

- Miro, proszę cię. Pewnie mi nie ufasz, ale ja naprawdę cię kocham. Nawet po upływie tych wszystkich lat echo twoich krzyków nadal nawiedza mnie po nocach. To krzyk, którego nigdy nie zapomnę.

- Wcale nie słyszałaś, jak krzyczałam - rzekłam cichym ciosem. - Naturi przestali mnie torturować, zanim przybyłaś. - Pospiesznie odwróciła ode mnie oczy, wbijając wzrok w jakiś punkt za moimi plecami. Poczulałam bolesny ucisk w żołądku, gdy moje myśli natknęły się na mroczy cień, w który spowite były wspomnienia z tamtej nocy. - Jak mogłaś usłyszeć moje krzyki?

- To już teraz nieważne. Nie da się nic zrobić, zanim nie dojdzie do zreformowania triady. - Zmusiła się do spojrzenia mi w oczy. Wpatrywałam się w jej piwne tęczówki przez długi czas, nim odezwałam się ponownie. Wiedziałam już, że nie zmieni swego postanowienia.

- W porządku. - Wsunęłam dłonie w tylne kieszenie spodni, powstrzymując się przed ponownym ciśnięciem w nią ognistą kulą. - Jabari powiedział, że dla odtworzenia triady muszę znaleźć kogoś z krewnych Tabora. Nie wiem, kto stworzył Tabora, więc chyba trzeba odszukać jego dzieci.

- Stwórca Tabora nazywa się Thorne. I jest trochę... inny od znanych nam wampirów. Należy do nowej generacji nocnych wędrowców. Całkiem otwarcie mówi o swoich uwarunkowaniach - dodała enigmatycznie.

- Wszystko jedno. Pogadam z nim - odparłam, lekceważąco machając ręką.

- On raczej się do ciebie nie przyłączy.

- Jestem pewna, że sobie z nim poradzę. Poznałaś go? Jeśli sprawa trudności, to wołałabym, aby nie wiedział, że go szukam.

Przechesywanie jakiegoś obszaru w poszukiwaniu innego wędrowca, którego się osobiście nie znało, bywało czasochłonne i kłopotliwe - przypominało

rewidowanie wampirów i sprawdzanie inicjałów na ich bieliźnie. Gdyby któraś z nas natknęła się na Thorne'a wcześniej, dałoby się namierzyć go dyskretniej.

- Wprawdzie nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, ale niedawno wytropiłam go na przedmieściach w pewnym barze o nazwie Sześć Stóp Pod Ziemią.

- Znajdę go - rzuciłam. Odwróciłam się i już miałam wyjść z pokoju, szczęśliwa, że wreszcie pożegniam się z Sadirą, kiedy ku drzwiom ruszył równocześnie Danaus. - Nie, ty zostajesz - powiedziałam, kładąc dłoń na jego piersi ignorując chmurne spojrzenie. - Ktoś musi tu pozostać i zapewnić jej ochronę.

- A co z naturi? - zapytał.

Strach ścisnął mi brzuch, podkradając się do serca.

- Czy są blisko?

- Raczej nie, ale ty zorientujesz się dopiero wtedy, gdy staną przed tobą.

Zerknęłam na Michaela i Gabriela siedzących na kanapie. Jeżeli nasi wrogowie zaatakują nas tak, jak uczynili to w Asuanie, moi strażnicy nie mieli szans. Nie mogli sprostać naturi.

Jednak z tego samego powodu nie mogłam ciągnąć ze sobą Sadiry po londyńskich spelunkach. Nie poradziłabym sobie z równoczesnym chronieniem jej oraz Thorne'a. Znalazłam się w bardzo kłopotliwym położeniu. Nie miałam pojęcia, jak Jabari wyobrażał sobie, że się z tym uporam. Mógł po prostu telepatycznie rozkazać Thorne'owi, aby się ujawnił. Nic prostszego. Niestety, ja jeszcze nie wzbudzałam takiego posłuchu.

Odeszłam od drzwi, rozpaczliwie usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie znałam innych nocnych wędrowców z Londynu, których mogłabym wezwać i oznajmić im, że odpowiadają za bezpieczeństwo Sadiry. A Danaus nie miał ochoty zostawać, skoro oboje wiedzieliśmy, że potrzebna mi jego ochrona, gdy naturi są na naszym tropie. Już miałam dać za wygraną i skłonić Sadirę do wspólnej wyprawy do pubu, o którym wspomniała, kiedy nagle wyczułam w pobliżu kogoś jeszcze.

Zasłoniłam dłonią usta, ale i tak wyrwał się z nich chichot. Pomysł był zwariowany i desperacki ale nie miałam lepszego wyboru. Obróciłam się raptownie i stanęłam twarzą w twarz z Danausem. Cofnął się szybko o krok, zaskoczony tą moją nagłą reakcją.

- Czy Temida mogłaby ją chronić? – zapytałam. Danaus ściągnął ciemne brwi i popatrzył na mnie tak, jakbym nagle postradała zmysły. - Czy wasza organizacja dysponuje w Londynie takimi siłami, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo?

- Tak, ale...

- Nie mamy wyboru. Nie zachwyca mnie ten pomysł, ale nie mogę się rozdziwić.

Długa chwila milczenia zapadła w pokoju, gdy Danaus wpatrywał się we mnie. W końcu wycedził przez zęby:

- Zgoda.

- Świetnie. A teraz ściągnij tu Jamesa. Właśnie wjeżdża windą - powiedziałam i zaśmiałam się widząc jego zaskoczone spojrzenie. - Jechał za nami do tego hotelu, a teraz nas szuka.

Danaus zerknął na mnie niechętnie i wybiegł z pokoju. Nie wiem, czy zdenerwowało go to, że Jamek nas śledził, czy też fakt, że sam na to nie wpadł. Miałam wrażenie, że Danaus tak bardzo skupił się na nocnych wędrowcach i na naturze, iż przestał zwracać uwagę na ludzi.

Pojawił się z powrotem po upływie minuty, ciągnąc za ramię wystraszonego Jamesa. Pchnął go na środek pokoju i głośno zamknął drzwi. Miło było widzieć, że Danausa tym razem wyprowadził z równowagi ktoś inny niż ja. James wygładził dłońmi marynarkę, pospiesznie rozglądając się po pokoju. Zesztywniał na widok Michaela i Gabriela, a kiedy jego wzrok padł na Sadirę, chwiejnie zrobił kilka kroków wstecz, wpadając na Danausa.

- O to ci chodziło, prawda? - powiedziałam, podchodząc do niego z rękami złożonymi za plecami. - Wyczułam cię, jak błądasz się po hotelu. Chciałeś się przekonać, czy będę świadoma twojej obecności. - Mówiąc to, obeszłam go wokół. Musiałam przyznać, że nie próbował uciekać, choć słyszałam, jak szybko bije mu serce - zupełnie jak zającowi, który trafił w potrzask.

- Ja... chciałbym pomóc - odparł James załamującym się głosem. Był teraz bez okularów i zauważyłam, że jego oczy mają miedziany kolor; ich brązowe tęczęwki charakteryzowały się dziwnym, czerwonym odcieniem. Wydał się teraz młodszy, niż początkowo sądziłam; miał najwyżej jakieś dwadzieścia pięć lat, w każdym razie na pewno jeszcze nie przekroczył trzydziestki.

- Pomożesz - szepnęłam mu na ucho. Odsunęłam się szybko, a potem znów stanęłam przed nim. - Jamesie Parkerze, pozwól, że przedstawię ci Sadirę - obwieściłam uroczyście z teatralnym gestem.

- To prawdziwy zaszczyt panią poznać - rzekł z elegancją typową dla Brytyjczyków, lekko skłaniając głowy. Byłam pod wrażeniem.

Sadira obdarzyła go uśmiechem pełnym słodyczy.

- I mnie jest bardzo miło, Jamesie. - Jej miękki akcent sprawiał, że mruzczała niczym kot. Następnie spojrzała na mnie, a ciepło w jej oczach ustąpiło miejsca surowości. - W co ty grasz, moja córko?

- W nic. Mam zadanie do wykonania. Nie mogę cię ciągać ze sobą, a tym bardziej zostawić cię tutaj samej. Mój nowy znajomy, James, zapewni ci ochronę, kiedy mnie tu nie będzie.

- Słucham? - Wybałuszył oczy tak, aż się złękłam, że wypadną mu z orbit. - Jak ja mam ją chronić?

- Zabierz ją do Warowni - odpowiedział Danaus, a jego niski głos przemknął przez pokój niczym mroźny zimowy wiatr.

James obrócił się, aby spojrzeć na niego.

- Oszalałeś? Żaden wampir nigdy nie miał wstępu do Warowni.

Danaus milcząc, wpatrywał się w młodzieńca. Najwyraźniej mało go obchodziły zalecenia i tradycje.

- Jamesie, ona należy do trójki nocnych wędrowców, którzy mogą powstrzymać naturi - powiedziałam, obejmując ręką jego chude ramiona. Zesztywniał na ten dotyk, ale nie próbował się wyrwać. - Muszę ściągnąć jeszcze jednego, a nie mogę równocześnie jej strzec. W interesie nas wszystkich należy utrzymać ją przy życiu i dobrze pilnować. Twoja grupa może to uczynić.

- Nachyliłam się, aby słyszał mój zniżony do szeptu głos. - Poza tym po wszystkich szkodach, jakie wyrządziliście mojej rasie, jesteście nam dłużni tę przysługę.

Uśmiechnęłam się, żeby dobrze się przypatrzył moim kłom. Odskoczył raptownie do tyłu, znów wpadając na Danausa.

- Ale co będzie, jeśli... To znaczy, jeżeli ona... - Nie wiedział, jak wyrazić swoją myśl, nie znieważając przy tym Sadiry.

Zaśmiałam się, kręcąc głową. Przeze mnie znalazł się w niezręcznym położeniu. Zaledwie dwie godziny wcześniej rozmawiał po raz pierwszy w życiu z nocnym wędrowcem, a teraz znalazł się pośród nich.

- Ona zachowa się tak, jak należy.

- Miro! - rzuciła Sadira tonem pełnym oburzenia. W odpowiedzi zaśmiałam się tylko.

- Gdzie chcecie mnie ulokować? - zapytała Sadira zaciskając ręce na poręczach fotela. W jej głosie nie dostrzegłam żadnej groźnej nuty, ale nie było też typowej słodyczy.

- W najbezpieczniejszym miejscu, jakie mogę sobie wyobrazić - powiedziałam, odchodząc od Jamesa i stając tuż przed nią. - W kryjówce łowców.

Sadira w jednej chwili zerwała się z fotela.

- Oszalałaś?

Oczy miała szeroko otwarte i odbijało się w nich blade żółte światło ulicznych latarni.

- Nie ma innego wyjścia. Oni nie zrobią ci krzywdy dopóki ich nie zaatakujesz.

- Możesz dać mi na to słowo?

- Nie - przyznałam, obojętnie wzruszając ramionami - Ale w ich najlepiej pojętym interesie leży to, żebyś przeżyła, bo stanowisz klucz do powstrzymania naturi. Oczywiście, jeśli im zagroźysz, to jestem pewna, że znajdzie się tam mnóstwo zaostrzonych kołków na wampiry.

- Nie możesz mi tego zrobić, Miro!

- A masz jakiś lepszy pomysł?

Wpatrywała się we mnie, a bezsilna wściekłość i strach płonęły w jej oczach. Drobne dłonie zacisnęła po bokach w pięści.

- Nie sędzę - ciągnęłam. - Poślę tam również Michaela i Gabriela, żeby odgrywali rolę bufora między tobą a Temidą. Nie licz na to, że dzięki nim

zaatakujesz mnie. Masz swoją zgraję pachołków, do których też mogłabym dotrzeć.

Sadira usiadła, jeszcze wyżej zadzierając podbródek.

- Pożałujesz tego.

Zaśmiałam się.

- Nie ty jedna pragnęłabyś zatknąć moją głowę na pice. Ustaw się po nią w kolejce.

Zwróciłam się do niej plecami i podeszłam do okna.

- Temida nigdy ich tam nie wpuści - powiedział nieśmiało James, jak gdyby obawiał się, że w każdej chwili mogę mu wbić kły w gardło.

- Zadzwoń do Ryana - powiedział Danaus, zanim zdążyłam się odezwać.

- Skorzystaj z telefonu w sypialni - zaproponowałam, wskazując na drzwi. - A ja tymczasem ściągnę przed hotel swoją limuzynę.

James wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Michael podniósł się z kanapy i zadzwonił do recepcji, by zamówić limuzynę. Gabriel zastanawiał się, jaką wziąć broń.

- Weź wszystko - powiedziałam. Uniósł głowę, najwyraźniej nie wiedząc, co mam na myśli. Wyjaśniłam więc: - Może już tu nie wrócicie. Chcę, żebyście obaj z Michaeliem przygotowali się na każdą ewentualność. Opracujcie system czuwania na warcie, kiedy znajdziecie się w Warowni. Jeden z was powinien przez cały czas mieć na oku Sadirę.

- Ale o świcie... - odezwał się Gabriel, jednak słowa u więzły mu w krtani.

- Nie wiem, gdzie sama się znajduję, ale na ogół jestem ostrożna. - Gabriel ściągnął brwi i spojrzał przez moment na Danausa. Zauważyłam, że zacisnął dłoń na sztylcie, który akurat miał zamiar schować w pochwie przy pasie. - On mnie nie zabije, kiedy będę spała - powiedziałam.

- Ale czy cię ochroni?

- Sądzę, że tak. - Popatrzyłam na Danausa, który stał sztywno, z kamienną miną. Wydawał się zupełnie nieporuszony naszą rozmową. - Uważam, że wolałby zabić mnie osobiście, niż pozwolić na to komuś innemu.

- To niewielka pociecha - stwierdził Gabriel, a kwaśny uśmiech wykrzywił mu usta.

Spojrzałam na Sadirę. Bacznie przysłuchiwała się tej wymianie zdań, a na jej twarzy pojawił się przebiegły uśmieszek.

- Widzę, że masz teraz swoich własnych pachołków - powiedziała, nawiązując do moich słów.

- Oni są inni. Ich zadaniem jest strzec mnie, kiedy sama nie mogę się obronić. Nic ponadto.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się szerzej, spoglądając na Michaela grzebiącego u boku Gabriela w stosie broni. Mogła się domyślić, że pożywiałam się jego krwią. Ledwie widoczny ślad na skórze stanowił znak ostrzegawczy dla innych

nocnych łowców. Po upływie tygodnia, bez kolejnego wbicia klów, znak ten zanikał.

- Tylko w podróży - odparłam. - Ale oni nadal są ludźmi. Po powrocie do domu podejmą na nowo swoje normalne życie. A twoje pacholki nie mają niczego i nikogo poza tobą.

Właśnie w tej chwili James wrócił z sypialni, ale i tak nie miałam ochoty przedłużyć tej rozmowy z Sadirą. Lubiła przeinaczać różne sprawy, a ja wcale nie musiałam się tłumaczyć ze swoich powiązań z moimi aniołami stróżami

- Możemy jechać - oznajmił James. - Czekają już na nas.

- W porządku. Limuzyna też już tu jest. Jak dobrze pójdzie, to Danaus i ja dołączymy do was nie później niż za godzinę.

- Zaraz! - zawołała Sadira. - Skoro mam się udać do tej Warowni, to ty musisz spełnić moje życzenie.

- Nie mamy teraz na to czasu, Sadiro - rzuciłam.

- Przecież wiesz, że nie masz wyboru. Oni nie mogą zatrzymać mnie tam wbrew mojej woli - przypomniała z nikłym uśmiechem.

Miała rację. Była Starożytnym nocnym wędrowcem. Gdyby nie chciała pozostać w Warowni Temidy, mogła się stamtąd wydostać.

- Czego chcesz? - zapytałam.

- Z Thornem podróżuje pewien inny nocny wędrowiec; wysoki, z włosami ciemnoblonde i niebieskimi oczami. To Tristan. Należy do mnie. Jego też sprowadź.

- Skoro należy do ciebie, to dlaczego przebywa z Thornem?

Sadira zbyła to pytanie machnięciem ręki.

- Wynikło małe nieporozumienie. Przeprowadź go do mnie, a obiecuję, że zachowam się nienagannie.

Wpatrywałam się w swoją stwórczynię, zaciskając zęby. Nie podobało mi się to. Co robił ten nocny wędrowiec z Thornem, jeśli należał do świty Sadiry? Może Sadira prowadziła jakąś własną grę? Do licha, nie miałam czasu na te nedorzeczności, ale jeżeli nie ochronię Sadiry i nie odtworzę triady, to Jabari skróci mnie o głowę.

- Umowa stoi - rzuciłam, odwracając od niej wzrok.

- Dziękuję ci, moja córko. - Sadira zamruczała jak kot. Miałam ochotę wcisnąć jej w gardło ognistą kulę.

Zwróciłam się znowu do Danausa.

- Wyczuwasz coś?

Z rękami skrzyżowanymi na piersi przymknął oczy, a gęste brwi zbiegły mu się, gdy się koncentrował. Jego moce wypełniły pokój jak ciepłe słoneczne światło, ale nikt z obecnych, nawet Sadira, nie zareagował na to. Czyżbym tylko ja potrafiła wyczuć cudowną falę mocy zalewającą to pomieszczenie?

Kątem oka dostrzegłam, jak Danaus unosi głowę i otwiera powieki.

- W najbliższej okolicy nie ma naturi. Można bezpiecznie przejechać do Warowni.

- Zbierajcie się - powiedziałam, opierając się pokusie pokręcenia głową, żeby pozbyć się tego ciepła, które wciąż zasnuwało mój mózg. James wyszedł jako pierwszy, a Sadira ruszyła za nim, nie oglądając się za siebie. Michael i Gabriel skinęli mi głowami i wyszli bez słowa. Miałam ochotę uściskać obu moich aniołów. Pragnęłam wziąć ich w ramiona i odesłać z powrotem przez ocean do domu. Mieli zadanie ochraniać mnie za dnia i to tylko przed innymi ludźmi, którzy wpadliby na mój trop. Nie zamierzałam narażać ich na konfrontację z istotami w rodzaju naturi. Obaj robili więcej, niż do nich należało.

Tłumiąc westchnienie, podążyłam za nimi do hotelowego holu, mając za sobą Danausa. Właśnie przekazałam Sadirę łowcom wampirów i wyruszałam na obchód londyńskich spelunek w poszukiwaniu następcy Tabora. Wątpliwe, czy Jabariemu o to chodziło, gdy polecił mi strzec Sadiry.

Rozdział 17

W każdym mieście, nawet w Londynie, są takie miejsca, gdzie policja nie lubi zaglądać. W Savannah ciemne ulice, tam gdzie znajdował się klub Port, należały do ulubionych przeze mnie tras przechadzek. W Londynie taki mroczny sektor znajdował się daleko od Mayfair i Hycle Parku, na obrzeżach miasta zabudowanych ciasno ceglanyimi kamienicami. Powietrze było tam gęste i ciężkie od letniego upału, pełne zjaw i ponurych, mrocznych wspomnień. Wątpliwe, czy w tej części miasta mogliby mieszkać ludzie o zdolnościach parapsychicznych; zmarli nie dawaliby im spokoju. Przybyłam tutaj, aby rozwiązać pewne problemy, w taki lub inny sposób.

Wydawało się, że wiozącemu nas taksówkarzowi ulżyło, kiedy wysadził nas o kilka przecznic od pubu, do którego zmierzaliśmy. Szybko wziął pieniądze od Danausa i zawrócił, kierując się z powrotem w stronę jasnych światła i wielkomiejskiego ruchu ulicznego. Pozostały odcinek drogi do pubu przeszliśmy w milczeniu, rozglądając się po okolicy i wypatrując czegokolwiek, co mogłoby stanowić potencjalne zagrożenie. Obok siebie wyczuwałam łagodne pulsowanie mocy emanujących z Danausa. Omiatały mnie i ocierały się o moją skórę, sondując, zupełnie jakby próbowały wybadać, kim właściwie jestem.

Starając się nie zwracać na to uwagi, uruchomiłam własne moce. Chociaż nie potrafiłam wyczuć obecności naturi, to w tym małym, ograniczonym sześciościanym przecznicami rejonie, ku swemu zaskoczeniu naliczyłam wiele osób posługujących się magią, a nawet paru doświadczonych czarowników i wiedźm. Byli oni świadomi tego, iż w ich części miasta pojawiły się jakieś moce, ale nie wyczuli nic ponadto. Była tu też garstka nocnych wędrowców, znacznie młodszych ode mnie. Ostatnio coraz trudniej udawało mi się natrafić na wampiry, które chodziły po ziemi dłużej ode mnie.

Pub Sześć Stóp Pod Ziemią był norą w najprawdziwszym sensie tego słowa. Stanowił niegdyś kostnicę z własnym krematorium, ale poprzedni właściciele

gdzieś się wynieśli. Neonowy znak w kształcie umrzyka z kamieniem nagrobnym pod głową, przyciskającego do piersi lilię, migotał ponad wejściem. Trochę to ograne jak na klub wampirów, ale czy miałam prawo się czepiać? Jednym z moich ulubionych lokali w rodzinnym mieście był kierowany przez wampirów bar o nazwie Żywy. Jego klientelę stanowili niemal wyłącznie ludzie, a nieliczni spośród nas wpadali tam czasem, żeby się pośmiać. Łatwiej już było złować ofiarę w sąsiednim klubie nocnym noszącym nazwę Czyściec. Żywy to miejsce rozrywki przed wieczorem wypełnionym pożywianiem się i rozpustą.

Po miejscu o nazwie Sześć Stóp Pod Ziemią spodziewałam się typowej gotyckiej scenerii, czarnych strojów i bladych twarzy. Natrafiłam jednak na typową londyńską spelunkę punków.

Przepchaliśmy się przez tłum przed klubem do drzwi frontowych, przy których oczyściłam umysł bramkarza z myśli. Nie miałam zamiaru tracić godziny, czekając w kolejce na wejście do środka, kiedy wokół mogli się czaić naturi. Ledwie znalazłam się wewnątrz, wyciągnęłam z tylnej kieszeni skórzany portfel i wtedy nagle się zorientowałam, że mam przy sobie tylko amerykańskie dolary. Przed wyjazdem poleciłam Charlotte, by dostarczyła mi nieco egipskich banknotów, ale nie wzięłam innych walut, gdyż nie byłam pewna, gdzie jeszcze się znajdę.

Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, Danaus wyciągnął rękę ponad moim ramieniem i wręczył dwudziestofuntowy banknot wykidajle z purpurowymi włosami, tyle wystarczyło, aby wpuszczono nas bez pytania.

- Nie martw się. Ja zapłacę za naszą następną randkę.

Ruszyłam w stronę baru, zanim Danaus zdążył odpowiedzieć.

Oboje zatrzymaliśmy się wewnątrz lokalu, rozglądając się dokoła. Aż dziw, że w tym tłoku ludzie mogli oddychać. Wyglądało na to, że rozwalono tutaj ścianki działowe, robiąc jedno wielkie pomieszczenie. Długi bar oblegany był przez co najmniej potrójny łańcuch klientów. Z tyłu znajdowała się scena, na której właśnie występował jakiś zespół z facetem wydzierającym się do mikrofonu. Musze przyznać, że nie jestem wielką fanką muzyki punkowej.

Obrzuciłam wzrokiem zebrany tłum. Przed wejściem do pubu wyczułam w pobliżu obecność dwóch nocnych wędrowców, ale nie próbowałam ich zidentyfikować. A jednak teraz, w tym ścisku, wiedziałam, że będę musiała użyć swoich mocy, by ich namierzyć. Było tu za wiele osób, aby za pomocą wzroku odnaleźć Thorne'a i Tristana. Wyzwoliłam nieco mocy.

- Cholera - zakląłam przez zaciśnięte zęby.

- Co jest? - spytał Danaus, odwracając się, by spojrzeć na mnie. - Znalazłaś go?

- Tak, znalazłam. - Namierzenie Tristana okazało się dosyć łatwe. Ten blady wampir o brązowych włosach siedział w owalnym boksie na lewo od sceny. Był jedyną modnie ubraną osobą w tym miejscu, co niewątpliwie świadczyło o zamiłowaniu Sadiry do kosztownych rzeczy.

Drugi z nocnych wędrowców też bardzo rzucał się w oczy; okazało się, że blady wokalista ściskający mikrofon to właśnie Thorne. Ale jak mam go stamtąd ściągnąć? Mogłam wprawdzie precyzyjnie się przez tłum, wskoczyć na estradę i wyrzucić go przez najbliższe okno, wołałam jednak nie robić scen.

- Zaczekamy - powiedział Danaus, gdy z niesmakiem wskazałam mu śpiewaka. Zaczął torować sobie drogę przez tłum pod ścianą. Ruszyłam jego śladem, patrząc jak ludzie zerkają ze złością, a potem rozstępują się na boki na widok twarzy Danausa i jego masywnej sylwetki. Doszło do interesującej zamiany ról. Ja sama uciekałam się do użycia fizycznej siły w kontaktach z osobnikami własnej rasy. Gdy chodziło o ludzi, wystarczył mi tylko zmysłowy powab i roztoczenie lekkiej groźby, czegoś mrocznego i potężnego, by zmusić ich do zrobienia tego, na czym mi zależało. Jednak Danaus sprawiał, że ludzie stawali się jacyś mali, bezradni. Kojarzył się wszystkim z kostuchą.

Wciśnięta w ocieniony kąt, oparłam się plecami o ścianę oblepioną plakatami, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach, i obserwowałam osobnika będącego naszym celem. Sprawdzałam go tak długo, aż Thorne zająknął się w połowie piosenki i rozejrzał się dokoła. Wyczuł mnie, lecz jeszcze nie zdołał precyzyjnie zlokalizować miejsca, w którym się znajdowałam.

Wampir śpiewający na scenie przed tłumem rozwrzeszczanych fanów. Jak mogło dojść do czegoś takiego? Od chwili naszego odrodzenia wpaja się nam, że mamy trzymać się na uboczu, nie zwracać na siebie uwagi. Im dłużej ludzie na nas patrzą, tym więcej widzą i wyczuwają, że jesteśmy jacyś inni. Mogą początkowo nie wiedzieć, z kim mają do czynienia, ale z czasem zaczynają to rozumieć.

Pod koniec utworu Thorne wychylił się do przodu, wspierając się na statywie mikrofonu, i rozchylił usta, wystawiając na pokaz swoje kły. Rzuciłam się w jego kierunku, lecz Danaus powstrzymał mnie. Tłum po prostu oszalał, ryczał radośnie. A więc wiedzieli, kim jest Thorne, i bardzo im się to podobało. Rozejrzałam się po widowni, przypatrując się minom fanów. Nie odczuwali strachu; tylko podniecenie i rokosz.

- Wiedzą? - zapytałam, odwracając się, by spojrzeć na Danausa. Łowca stał koło mnie, nie odrywając wzroku od estrady.

- Oni sądzą, że to tylko sceniczne popisy - powiedział, kiwając głową w stronę falującego tłumy. Gdyby znali prawdę - to, że trzy prawdziwe wampiry znalazły się pośród nich - czy nadal tak dobrze by się bawili? A może uciekliby z krzykiem z tego miejsca, gdzie odór śmierci przebijał przez opary potu i alkoholu?

Pozostaliśmy na miejscu, gdy Thorne schodził ze sceny. Na czele zespołu przedzierał się przez napierający tłum, śmiejąc się, kiedy fani go dotykali i wyciągali ku niemu ręce. Usiadł w owalnym boksie koło Tristana, w otoczeniu swoich kolegów z kapeli i kilku fanek. Ruszyłam w tamtym kierunku, mając Danausa tuż za sobą. Należało załatwić tę sprawę, nie zwlekając.

Gdy stanęłam przed nim, wciąż ledwie mogłam uwierzyć, że Thorne to nocny wędrowiec. Gdyby nie słaba aura mocy emanująca z jego ciała, powiedziałabym, że to tylko żaloszny, chudy człowiek. Wyglądał tak, jakby ktoś tchnął życie w szkielet, a potem niestaránie zapakował kości w ludzką skórę. Jego skóra była kredowobiała, jak tlenione włosy, które sterczały mu na wszystkie strony. Miał na sobie bardzo obcisłe skórzane spodnie, dodatkowo podkreślające jego chudość. Na gołym torsie widać było wszystkie żebra.

Każdy człowiek na jego miejscu byłby wykończony po takim występie, ale on nawet nie udawał zmęczenia i nikogo jakoś to nie dziwiło. Oto siedział wampir, nie kryjąc wcale, kim jest, i nikt tego nie zauważał, ani się tym nie przejmował.

Natomiast Tristan był taki, jak, moim zdaniem, powinien wyglądać nocny wędrowiec. Najwyraźniej minęło nie więcej niż kilkanaście lat, odkąd odrodził się jako wampir. Jego ciemnobrązowe włosy opadały na szczupłe ramiona, a jasnoniebieskie oczy obserwowały zebrany tłum, lecz zdawał się przy tym patrzeć w dal, jakby znajdując się myślami gdzie indziej. Ubrany był elegancko w ciuchy Hugo Bossa, Ralphi Laurena i Armaniego, czyli w takie, jakie Sadira nosiła sama i w które stroiła swoją świtę. Kiedy tak na niego patrzyłam, zastanawiałam się, czy miałam na początku taki sam ponury, nieustępliwy wygląd.

- Odchrzań się - rzucił Thorne do jednego z członków kapeli. W pierwszej chwili mnie nie zauważył. Był zbyt zajęty flirtowaniem z dziewczyną o różowych włosach, która siedziała koło niego. Potem podniósł wzrok i bacznie mi się przyjrzał.

- To ty jesteś Thorne? - zapytałam, ignorując wszystkich pozostałych.

Niechętnie odsunął się od dziewczyny i popatrzył na mnie. Szeroki uśmiech rozjaśnił jego oblicze.

- Dla ciebie mogę być kimkolwiek - odparł z silnym londyńskim akcentem.

Takie zdanie zabrzmiałoby znacznie bardziej przekonująco w ustach kogoś w rodzaju Pierce'a Brosnana albo nawet Seana Connery'ego, mówiącego z uroczym szkockim akcentem. W wydaniu Thorne'a zabrzmiało po prostu żałośnie.

- Jesteś Thorne, dziecko Tabora? - spytałam ostro. Popatrzył mi w twarz, mrużąc oczy, koncentrując się.

Na sekundę wysłał z siebie słabą falę mocy, a potem otworzył szeroko oczy.

- A niech to licho, wampirzyca! - Zaśmiał się, odchylając głowę do tyłu. Inni patrzyli na mnie zdezorientowani, zastanawiając się, co właściwie Thorne miał na myśli. Basista zerknął na innego członka zespołu, jakby nie mógł się zdecydować, czy należy się mnie bać. Zapewne byłam dla nich jeszcze jedną mistyfikatorką.

- Musimy pogadać - powiedziałam do Thorne'a. - I to już.

- Jak widać, jestem nieco zajęty. - Bezcelnie rozsiadając się, splótł dłonie za głową i wyciągnął nogi pod stolikiem. Kobieta z różowymi włosami, w

poprutym białym podkoszulku, nachyliła się i ułożyła głowę na jego piersi, zaborczo obejmując go ramionami w pasie. Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Zachciało mi się śmiać. Jak mogłam pragnąć takiego chudzielca, skoro miałam przy sobie Danausa czającego się w cieniu? Oczywiście ten mój „wybranek” był w stanie za pomocą myśli zagotować moje wnętrze.

- Powiedz im, żeby sobie poszli.

- Co ty sobie wyobrażasz, ty przeklęta suko? - rzucił, siadając prosto.

Pochyliłam się i uderzyłam dłonią w brudny blat stolika z taką siłą, że aż zabrzęczały kufle. Trochę piwa wylało się na stół, a wszyscy wokół cofnęli się odruchowo.

- Jestem Mira, przewyższam cię rangą.

Próbował wstać, ale znalazł się w potrzasku między ścianką boksu a stolikiem.

- Krzesicielka Ognia - wyszeptał tonem, w którym można było wyczuć zachwyty zmieszany z lękiem. Otworzył szeroko oczy i rozwarł lekko poblądłe usta, przyglądając mi się z nowym zainteresowaniem. Chwilowo go zignorowałam.

- Widzę, że moja sława mnie poprzedza - rzekłam. - Pogoń ich, zanim grzmotną twoim kościstym tyłkiem o ścianę.

- Nie ośmieliłabyś się. - Zachichotał, a jego wzrok powędrował w kierunku licznego tłumu, który tańczył i wrzeszczał. Obowiązywała zasada, aby nie rzucać się w oczy, a Thorne nie wiedział, że nie zawsze jej przestrzegam.

- Zrobiłabyś to - powiedział Tristan spokojnie i stanowczo, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

Thorne wahał się przez moment, gapiąc się na mnie z wężonymi, paciorkowatymi oczami.

- Zjeżdżajcie stąd - mruknął cicho. Obrzuciłam go nieprzychylnym spojrzeniem, powściągając pokusę chwycenia go za gardło, kiedy zerkał na swoich kompanów. - Zjeżdżać! - powtórzył i odepchnął kobietę siedzącą u jego boku.

Rozdział 18

Usiadłam po lewej stronie Thorne'a, a Danaus zajął miejsce naprzeciwko mnie. W ten sposób Thorne i Tristan znaleźli się między nami, unieruchomieni. Wyblakłe ciemnoczerwone plastikowe obicie fotelika zapadało się tu i ówdzie i było połatanie w paru miejscach srebrną taśmą samoprzylepną. Muzyka puszczana przez didżeja zachęcała ludzi do tańca. Można by tu spędzić kilka miłych godzin, ale miałam na głowie ważniejsze sprawy.

Thorne gapił się na Danausa przez długi czas podejrzliwym wzrokiem. Powęszył w powietrzu, a potem raptownie cofnął się, sycząc. Usiłował wstać, ale złapałam go za ramię i pociągnęłam z powrotem w dół.

- Znam twój zapach. Jesteś łowcą - powiedział zdławionym głosem. Zmieszał się, kiedy poczuł na mnie woń Danausa. - Dlaczego podróżujesz razem z nim?

- Nie twoja sprawa - warknęłam. - Dlaczego nie próbowałeś bronić Tabora, kiedy go napadnięto? Czy to nie należało do twoich obowiązków?

- Nie było mnie tam - odrzekł, wyszarpując rękę z mojego uścisku. Chwycił stojący przed nim kufel z piwem, opróżnił go i z hukiem odstawił na blat. To było trochę dziwne. Nie zużywał energii na oddychanie, za to trwonił ją na trawienie alkoholu. Z tego, co wiedziałam, żaden wampir nie trawił pokarmów stałych, ale nie dotyczyło to płynów. Picie krwi pijanego człowieka dawało nam przyjemnego, lecz bardzo krótkotrwałego „kopa”. Stan oszołomienia u nocnych wędrowców nie miał nic wspólnego z alkoholem.

- A gdzie wtedy byłeś? - Położyłam rękę na stoliku a potem szybko cofnęłam ją z niesmakiem, odkrywając, że blat pokrywa lepka warstwa brudu.

- Zostałem wypożyczony komuś innemu. - Prawy kącik jego ust wykrzywił się w tłumionym uśmiechu. Skinęłam głową. Danaus wpatrywał się we mnie, oczekuje wyjaśnień.

- Zdumiewa mnie, jak mało wiesz - rzekłam do niego. - Wśród nocnych wędrowców powszechna jest praktyka wypożyczania istot ze świty innym wampirom o podobnej mocy. To taka grzecznościowa przysługa.

- Dajecie się tak wykorzystywać? - powiedział z nie smakiem.

- Mówisz tak, jak gdybyśmy mieli jakiś wybór - wtrącił cicho Tristan.

Zaśmiałam się.

- Jak ktoś jest młody i słaby, idzie tam, gdzie mu karzą i wypełnia polecenia. Przy odrobinie szczęścia można przeżyć taki okres i powrócić do swojego stwórcy.

- A jeśli ktoś zginie, będąc wypożyczonym?

- Wtedy jego stwórca zabija kogoś ze świty tamtego drugiego wampira. Uczciwy układ - wyjaśnił Thorne z obojętnym wzruszeniem ramion.

- Dlaczego? Po co to wszystko? - Danaus pokręcił niedowierzająco głową, ale wciąż wpatrywał się w moją twarz. Obserwował mnie uważnie, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy. Zdaje się, że straciłam trochę w jego oczach.

- Jak to, po co? - Zaśmiałam się jeszcze donośniej, usiłując ukryć zażenowanie. - Dla przyjemności i rozrywki. - Pora, żeby Danaus zrozumiał nas trochę lepiej, poznał nasze dobre i złe strony.

Spojrzałam na Thorne'a, który gapił się na tłum tańczący przy muzyce. Wpatrywał się gdzieś w dal, a uśmiech tańczył na jego wąskich ustach. Myślami znalazł się w innym miejscu i czasie.

- Do kogo trafiłeś? Do Claudette? - dopytywałam się. Claudette słynęła z wybierania dziatwy Starożytnych. Raz miałam wątpliwą przyjemność ją odwiedzić. Na szczęście była to krótka wizyta.

- Do Macaire'a. - Thorne zamrugał, jak gdyby usiłował uwolnić się od dawnych wspomnień. - Wysłano mnie do pomocy we wprowadzaniu jego najnowszego towarzysza.

Uśmiech rozjaśnił jego chudą, kanciastą twarz z kłami uchodzącymi nieco na dolną wargę.

- Lucas to głupiec - odezwałam się półgłosem.

- Racja. - Zachichotał. Znowu wyciągnął nogi, bawiąc się kapsłem pozostawionym na blacie stolika. - Nie przetrwa długo. Ma o sobie za dobre mniemanie.

Była to smutna, ale i słuszna refleksja. Dobrzy służący robili dokładnie to, co im kazano. Jak ktoś zaczyna myśleć, próbuje odgadywać życzenia swojego pana, to ginie po popełnieniu pierwszego błędu.

- Oczywiście Tabor mówił to samo o tobie - dodał.

- Że niby myślę za dużo?

- Nie. Stwierdził, że nie pociągniesz długo. - W jego piwnych oczach pojawił się ognik złośliwego zadowolenia.

- Mówił, że gdyby nie Jabari, to Sabat doprowadziłby do zabicia ciebie już wiele wieków temu.

Przez pewien czas też także sądziłam, ale usłyszenie takich słów sprawiło, że wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegł lodowaty dreszcz.

- Nie stanowią zagrożenia dla Sabatu - powiedziałam obojętnie.

- Może i tak, ale Tabor nie żyje, a w Sabacie pozostaje wolne miejsce.

Chociaż przebywam w Londynie, to od czasu do czasu słyszę plotki. - Pochylił się do przodu, opierając się piersią o stolik. - Wszyscy cię obserwują, czekają na jakiś twój ruch.

Siedząc w boksie, zaledwie kilka centymetrów od Thorne'a, mocno chwyciłam się brzegu stolika, żeby nie upaść.

- Cóż, powiedz tym wszystkim, że nie zależy mi na miejscu w Sabacie.

- Jasne, wolisz działać w koloniach. - Zachichotał i rozsiadł się ubawiony.

Trącił Tristana łokciem w zębra, błyskając szerokim uśmiechem, którego tamten nie odwzajemnił.

- Kolonie stały się dla mojej rasy ostatnim bezpiecznym schronieniem. Sabat i Starożytni opanowali Europę, Azję a nawet sporo Afryki. Ameryka Południowa została opuszczona przez nocnych wędrowców po tym, co wydarzyło się w Machu Picchu... Wspomnienie śmierci i bólu było zbyt niemiłe nawet dla nas.

Pozostały Stany Zjednoczone. Było to kuszące miejsce gdzie panowały swobodne normy obyczajowe i hipokryzja, gdzie żyło się szybko. Prawie nie istniała tam groźba na potkania któregoś ze Starożytnych. Należałam do licznych młodych wampirów, którzy wyruszyli z Europy w poszukiwaniu własnego domu, uciekając spod kurateli Sabatu.

Jednak w koloniach brakowało historii, dawnych wspomnień, typowych dla Europy i Azji. Koloniści nie zdawali sobie sprawy z tego, że są pewne mroczne

sprawy, których lepiej nie wyjaśniać, pytania, na które lepiej nie odpowiadać. Wśród przedstawicieli mojej rasy panowało przeświadczenie, że jeśli nadejdzie Wielkie Przebudzenie, to nastąpi ono w Nowym Świecie.

Nocni wędrowcy ze Stanów Zjednoczonych różnili się od tych z Europy. Byliśmy na ogół młodszy i spokojniejsi.

Nasze rody były mniej liczne, nie tak rozbudowane. Czyniliśmy, co tylko się dało, dla zachowania naszej tajemnicy. Jednak nasza liczba rosła, o czym wiedział Sabat. Nie sprzyjało mi również to, że należałam do najstarszych z tych, którzy przenieśli się za ocean. Krążyły pogłoski o planowanym zamachu stanu, a moje uparte milczenie nie uspokajało nastrojów.

- Dziwi mnie, że Sabat nie upomniał się o twoją głowę - powiedziałam, próbując zmienić temat. Nie chciałam mieć nic wspólnego z Sabatem. Nie pragnęłam też odgrywać roli Strażnika całych Stanów Zjednoczonych. Zależało mi tylko na moim niewielkim mieście z jego ciasnymi zaułkami i modnymi małymi barami, na spokojnej okolicy, pełnej drzew.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu twoich występów. - Machnęłam ręką, wskazując kiepsko oświetlone wnętrze pubu, wypełnionego po brzegi potencjalnymi ofiarami.

Naturalnie, byłam pewna, że nasi nie zwracali do tej pory na Thorne'a specjalnej uwagi częściowo dlatego, że osiadł w Londynie. Wyspa przesiąknięta była magią, nie brakło tu wiedźm i czarowników, całe to miejsce było jak beczka prochu czekające tylko na rzuconą nieostrożnie zapalną. Żaden starszy wampir nie pozostawał tu długo, dlatego też nie zwracano sobie głowy Thorne'em.

- Znasz naszą regułę, by pozostawać w cieniu i nie ujawniać się większej liczbie ludzi niż to konieczne - podjęłam. - Ten tłum wcale nie musiał się o tobie dowiedzieć.

- Ale dlaczego? - Thorne zgniótł w dwóch palcach kapsel i rzucił go na stolik. - Po co ciągle się ukrywać? Widziałem na ich filmach i w ich dziennikach telewizyjnych znacznie okropniejsze rzeczy od tego, co sam zrobiłem. Pora, żeby się dowiedzieli.

- Nie ty o tym decydujesz.

Uderzył pięścią w krawędź stolika, wywracając swój pusty kufel.

- W takim razie kto?

- Nie wiem. Kiedyś to nas czeka, ale jeszcze nie w tej chwili. W grę wchodzi nie tylko los nocnych wędrowców. Są rzeczy, których ci ludzie nie są jeszcze gotowi przyjąć do wiadomości.

- Nie sądzę, by mieli specjalny wybór. Poza tym zaakceptowali mnie.

- Myślą, że się zgrywasz - upomniałam go. Siedząc skulona w ciasnym boksie, starałam się przypadkowo nic trącić nogą Danausa.

- Czas, żebyśmy wystąpili. Niech poczują naszą moc. Męczą mnie już to ukrywanie się.

- Ale tacy już jesteśmy i tacy zawsze byliśmy. Dla tych stworzeń jesteśmy tylko cieniem, koszmarnymi zjawami. Niczym więcej. - Wyrecytowałam słowa, które wcześniej słyszałam sama ze sto razy. Zabrzmiały staroświecko nawet dla moich uszu. Dostrzegałam to pragnienie jawności u wielu młodych, którzy zadawali się z ludźmi. Powstawały o nas filmy, w treści których kryła się tylko odrobina prawdy. Ludzie zaczytywali się książkami o nocnych wędrowcach i magikach, szukając w nich ucieczki od przyziemności. Co jednak będzie, jeśli obudzą się któregoś ranka i uświadomią sobie, że to, co ich ekscytuje i po cichu fascynuje, jest realne i znajduje się tuż obok? Czy nadal będą na nas spoglądać z takim samym zaciekawieniem, czy może raczej staniemy się szkodnikami do wykpienia, takimi jak szczury albo karaluchy?

- No tak, ale sama powiedziałaś, że nas to czeka.

- Dosyć tego! - krzyknęłam, skrobiąc paznokciami po stole i zdrapując nieco lepkiej warstwy z jego blatu. Obserwując Thorne'a kątem oka, zajęłam się czyszczeniem paznokci o pudełko zapalek, leżące na środku stolika. - To bez znaczenia. I nie z tego powodu tu przybyłam. Co Tabor powiedział ci o naturi?

Na wzmiankę o naturi Thorne zeszywniał.

- Rzadko o nich opowiadał, tylko wtedy, kiedy był w paskudnym nastroju - odpowiedział głosem niewiele głośniejszym od szeptu, chwytając się krawędzi stolika. - Zawsze o tej samej porze roku: podczas nowiu w środku lata. Zamykał się wtedy w swoich prywatnych pokojach na kilka nocy. - Jego akcent stał się mocniejszy, jeszcze bardziej niedzisiejszy.

Odczekałam chwilę i zapytałam:

- Co ci o nich mówił?

- Nic, co miałoby jakiś sens. Tylko tyle, że gdybym kiedyś się na któregoś natknął, mam wiać. Nie próbować walczyć, tylko zwiewać. - Spojrzał na mnie rozszerzonymi ze strachu oczyma. Rozumiałam go. Tabor był nie tylko jego jedynym mistrzem i stwórcą, ale też Starożytnym, członkiem Starszyny Sabatu. Thorne wiedział, że skoro coś tak bardzo gnębiło Tabora, musiało stanowić poważny problem.

- Przed ponad pięcioma wiekami triada wygnała większość naturi z tego świata. Teraz próbują złamać pieczęć i przedostać się z powrotem. Potrzebna nam twoja pomoc, żeby ponownie ich przepędzić.

- Moją pomoc? - Zaśmiał się nerwowo. - A co ja mogę zrobić?

- Tabor wchodził w skład triady. Już go nie ma, ale stworzył ciebie. Dlatego sądzimy, że powinieneś zająć jego miejsce w triadzie.

- Czym mam się w niej zajmować? Tabor miał ponad trzy tysiące lat, kiedy mnie stworzył. - Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, przekonany o tym, że postradałam rozum. Nie miałam mu tego za złe. Sama ledwie mogłam uwierzyć we własne słowa. Thorne nie był zbyt dobrym nocnym wędrowcem. Prawdopodobnie dożył do tej pory tylko dzięki opiece ze strony Tabora oraz swojej przebiegłości.

- Nie wiem. To nie był mój pomysł. Jabari przysłał mnie tu, żebyś cię odszukała - przyznałam, marszcząc czoło.

- Do licha - mruknął. Pewnie liczył trochę na to, że wykręci się gadaniem, ale skoro przysłał mnie jeden Starszych, to klamka zapadła. Ściagałabym Thorne'a do kresu swoich dni. A w starciu ze mną nie miał najmniejszych szans.

Kelnerka w obcisłej czarnej bluzce przyniosła tacę z trzema kufkami ciemnego piwa, które barwą przypominało olej silnikowy. Nachyliła się, stawiając kufel przed każdym z nas. Na jej szyi dyndał łańcuszek z pentagramem; nie była pierwszą osobą w Londynie, u której widziałam taki talizman.

- Pomyślałam, że pewnie zechcesz jeszcze się napić zanim ponownie wystąpisz - powiedziała do Thorne'a i odeszła, przeciskając się między muzykami z kapeli, którzy powrócili do stolika.

- Koniec przerwy - obwieścił człowiek z purpurowym irokezem, ich perkusista. Otaksował mnie swoimi piwnymi oczami. Bał się, że nie zarobi na żarcie.

- Musimy już iść - stwierdziłam do Thorne'a.

- Cóż - powiedział - nie mogę się wykręcić. Pozwól mi tylko dokończyć występ, zanim zabierzesz mnie do piekła.

Ściągnęłam brwi i zerknęłam wyczekująco na Danausa. Wiedział, o co mi chodzi. Im prędzej uporamy się z naturi, tym szybciej będę mogła próbować go zabić.

- Dobra. Zasuway. Ale tylko parę kawałków. Robi się późno - powiedziałam, a w moich słowach zabrzmiało poirytowanie, gdy podnosiłam się, by wypuścić Thorne'a z boksu.

Unikając wzroku Danausa, patrzyłam, jak Thorne pospiesznie wypija połowę swojego piwa. Odstawił kufel na blat, krzywiąc się z niesmakiem.

- Cholera, co za parszywy browar - jęknął i nie mówiąc już nic więcej, wy dostał się z boksu. Zanim jednak ruszył za swoimi kumplami z zespołu w stronę sceny, schwycił mnie za rękę. - Chodź - rzucił.

- Nie potrafię śpiewać. - Fala panicznego strachu wezbrała w mojej piersi. Chciałam wyrwać się z jego uścisku, on jednak mnie nie puszczał.

- Nazywasz to śpiewem? - Zaśmiał się. Wokół nas tłum wrzeszczał i podskakiwał, gdy muzycy brali swoje instrumenty. Wrzask pulsował i odbijał się echem od ścian, które groziły zawaleniem. Podniecenie tych ludzi było czymś namacalnym, napierało na mnie. Thorne podszedł bliżej, przyciskając swoją zimną, obnażoną pierś do mojego ramienia. - Wejdz na scenę. Pokaż im, kim jesteś.

Spojrzałam w jego piwne oczy, które teraz lśniły, a ich tęczy mieniły się różnorodnymi barwami. Thorne płynął na fali emocji zebranego tłumu fanów, co dodawało mu energii. Pomysł, by stanąć na scenie i wrzeszczeć do mikrofonu, wyładowując w ten sposób całą złość nagromadzoną w trakcie minionych kilku dni, wydawał się kuszący. Odśloniłabym przed nimi swoje kły,

a ci ludzie domagaliby się bisu. Uwielbialiby mnie za to, że jestem nocnymi wędrowcem. W głębi serca sądziliby, że tylko się zgrywam, a ja choć przez chwilę nie ukrywałabym swojej prawdziwej istoty.

- Kim byłeś wcześniej? - zapytałam nagle.

Gdy Thorne usłyszał to dziwne pytanie, zły błysk zniknął z jego oczu.

- Przed Taborem? Grywałem w teatrze na Drury Lane - odpowiedział z uśmiechem. Nagle pozbył się akcentu typowego dla londyńskiego proletariatu. Tabor zawsze się snobował, więc Thorne zapewne dobrze zna życie wyższych sfer. Ciekawe, co powiedzieliby jego obecni kumple, gdyby się dowiedzieli, skąd się wywodzi. Zamurowałoby ich, gdyby odkryli, że liczy sobie około dwustu lat.

- Ruszaj, zanim zmienię zdanie - powiedziałam, odstępując od niego i wyszarpując rękę. Usiadłam znowu w boksie naprzeciwko Danausa i patrzyłam, jak Thorne wskakuje na scenę. Nic dziwnego, był przecież aktorem, zanim Tabor zrobił z niego wampira. Przywykł do skupiania na sobie uwagi, odgrywania kogoś innego. Obserwując go teraz, zastanawiałam się, czy mogłam oglądać jego występy w czasie swojej krótkiej wizyty w Londynie pod koniec XVIII wieku. W tamtym czasie działały w tym mieście tylko trzy teatry: przy Drury Lane, w Haymarket i Covent Gardens. Kilka razy na Drury Lane wystąpił gościnnie Edmund Keane, czołowy aktor tamtego okresu. A teraz wychudzony Thorne stał i wrzeszczał do tłumu sfrustrowanych nastolatków.

Podniosłam oczy i stwierdziłam, że Danaus wpatruj się we mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Chciałabym wnikać do jego mózgu, poznać jego myśli. Im dłużej pozostawał ze mną, tym bardziej poznawał mój świat i rzeczy, na które zobojeźniałam podczas swojego długiego żywota. Zanim Sadira mnie przeobraziła, zachwycił się jej siłą i mocą. Wpatrywałam się w nią z podziwem, zdumiona, że takie mnóstwo nocnych wędrowców przybywa do niej i składa przed nią pokłony. Nawet nim się odrodziłam, przywykłam do zabijania i tortur. Byłam przemiła dla tych, którzy odpowiadali Sadirze, i okazałam się źródłem udręki dla osób, które sprawiały jej rozczarowanie.

Popatrzyłam na Tristana. Zainteresowanie, jakie mi okazywał, zaczynało mnie mocno niepokoić. Był młodszy od Thorne'a, liczył sobie najwyżej ze sto lat, o czym świadczyło delikatne pulsowanie mocy, która z niego emanowała.

- Po co tu jesteś? - zapytałam.

- Thorne powiedział, że będzie ciekawie.

Danaus zachnął się i popatrzył na tłum. Rozwrzeszczana ciżba nie tyle tańczyła, co przypominała wijącą się, gigantyczną masę. Takiej pstrokacizny ubrań nigdy dotąd nie widziałam.

- Dlaczego Sadira chce, żebym cię do niej przyprowadziła? - zapytałam.

Tristan drgnął na wspomnienie Starożytnej i zmarszczki zdradzającej napięcie pogłębiły się wokół jego oczu i ust.

- Rozmawiałaś z nią?

- Widziałam się z nią niecałą godzinę temu. Przyszłam tutaj po Thorne'a, ale zabiorę was obu tam, gdzie ona się ukrywa.

- Nie - wyszeptał. Oczy mu przygasły. - Nie możesz tego zrobić! Nie wrócę do niej. Miro, proszę cię. - Pochylił się do przodu i zmusił mnie do popatrzenia mu ponownie w oczy. - Wiesz, jak to jest. Przecież sama pamiętasz. Nie mogę wrócić.

Odchyliłam się na siedzeniu i przymknęłam oczy, gdy w końcu zrozumiałam, o co chodzi.

To ona cię stworzyła - powiedziałam półgłosem sama do siebie. Sadira stworzyła Tristana, a on uciekł od niej po tylu latach.

- Wiem o tobie prawie wszystko - oznajmił Tristan. Sięgnął ręką pod stołem i chwycił mnie za przegub dłoni, skłaniając do otwarcia oczu i spojrzenia na niego. - Tobie udało się wyrwać. Uciekłaś od naszej stwórczym i rozpoczęłaś własne życie. Ja pragnę tylko tego samego.

Zacisnęłam zęby i stłumiłam warknięcie narastające mi w piersi. A to suka! Perfidna, wredna suka! Teraz już nie chciałam wepchnąć jej w gardło ognistej kuli. Taka śmierć byłaby dla niej za lekka. Miałam ochotę złapać kij bejsbolowy i okładać nim ją przez całą noc.

Jednym ruchem zamierzała poradzić sobie jednocześnie z Tristanem i ze mną. Nie miałam wyboru i musiałam przyprowadzić jej tego wampira uciekiniera. Sadira nie uwierzyłaby w żadne wymówki, którymi tłumaczyłabym niepowodzenie tej misji. Położyłaby mnie na pniaku, na którym ścinano głowy, i zagroziłaby ludziom na moim terytorium. Jeśli jednak przyprowadzę jej Tristana, nie tylko położę kres jego nadziejom na wyrwanie się od niej, ale też dowiodę wszystkim, że wciąż jestem służącą własnej stwórczyni.

- Nie uciekłam od Sadiry. Byłam z Jabarim - odparłam, lecz natychmiast umilkłam. Jabari po prostu dostał to, co chciał, i koniec.

- A więc zbiegłaś od Starszego?

- Nie, to nie tak. - Rozejrzałam się wokół, pospiesznie szukając sposobu wyjaśnienia tego wszystkiego. Danaus uśmiechał się ironicznie, obserwując mnie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nie byłam pewna, czy do końca pojmuje, o czym rozmawiamy, lecz łatwo mógł stwierdzić, że pogrążam się coraz bardziej.

Opuściwszy dłonie na stolik, zwróciłam się znów do Tristana, który patrzył na mnie z rozpaczą w oczach.

- Tu nie chodzi o mnie. Nie mogę ci pomóc. Muszę współdziałać z Sadirą, jeżeli mamy powstrzymać naturę, a stanie się tak tylko wtedy, kiedy sprowadzę cię do niej. I zrobię to, choćbym miała potem wyrzuty sumienia.

- Miro...

- Teraz muszę myśleć o naturze, a nie o nocnym wędrowcu, który nie nauczył się troszczyć o siebie - rzuciłam ze złością, z każdą upływającą sekundą czując coraz większą nienawiść do Sadiry i do siebie samej. Nie byłam z kamienia.

Pamiętałam, jak to jest żyć z Sadirą. Noce pełne krzyków, zmagania, aby pozostać w jej łaskach, rezygnacja z wszelkiej dumy i godności, tylko po to, aby przetrwać do świtu. Teraz jednak nie było czasu na takie rozmyślenia.

- Przecież naturi ponieśli klęskę.

Co za naiwność. On uważa, że nic nie może pokonać naszej rasy. Tyle że, oczywiście, jeszcze sam nie zetknął się z żadnym naturi.

- Jeśli stanę po twojej stronie i ochronię cię przed Sadirą, to będę mogła rościć sobie prawa do ciebie - oznajmiłam, kręcąc głową ze znużeniem. - Nie mam własnej rodziny.

- Ale masz swoje terytorium.

- To co innego i dobrze o tym wiesz.

Zarządzając włościami, było się na danym obszarze namiestnikiem z ramienia Sabatu. Rodzina chroniła wszystkich swoich członków przed innymi nocnymi wędrowcami, a przede wszystkim broniła swojego zwierzchnika. Rodzina mogła stanowić większe zagrożenie niż inne wampiry spoza jej grona. Na moim terenie znajdowało się kilka rodzin, a jeśli wyłonił się jakiś problem, to wszystkie one odpowiadały przede mną.

Nie chciałam mieć własnej rodziny. Wystarczało mi, że muszę uważać na nocnych wędrowców na swoim obszarze. Rodzina prowadziła do zadzierzgnięcia pewnego typu bliskich związków i wzajemnych zależności, których konsekwentnie się wystrzegałam. Każdy, kogo przyjęło się do rodziny, zwracał się po wytyczne do głowy rodu. A ja wciąż trzymałam się na dystans od nocnych wędrowców na swoim terytorium. Bywało, że spotykałam się z Knoxem zaledwie raz na kilka tygodni.

- Tristanie, nie mogę prowadzić za ciebie tej walki - wyjaśniłam. Gdy już to powiedziałam, zaczęłam się jednak zastanawiać, czy to naprawdę niemożliwe. Czyż Jabari na swój sposób nie walczył o mnie, kiedy zabrał mnie do Egiptu, z dala od Sadiry?

Wytrącił mnie z zamyślenia krzyk, który przeszył powietrze ponad hałaśliwym tłumem - krzyk, będący reakcją na piekielny ból. Raptownie zwróciłam głowę w stronę sceny i ujrzałam, jak Thorne zatacza się w tył, z ręką przy klatce piersiowej. Jego ostre paznokcie pozostawiły nierówne, krwawe bruzdy na jego ciele. Z ran sączyła się ciemna krew, spływając strugami po bladej skórze. Skierował ku mnie oszołomione spojrzenie, przepelnione bólem. Tłum wokół nas dosłownie oszalał. Wszyscy myśleli, że to tylko element spektaklu.

Zerwałam się na równe nogi i postąpiłam krok naprzód, natykając się jednak na zbity kordon rozwrzeszczanych fanów stłoczonych pod sceną. Danaus również wstał, a jego ciało gotowe do działania emanowało napięciem. Niestety, nie miałam najmniejszego pojęcia, z kim właściwie podjąć walkę. Nie odrywałam wzroku od Thorne'a, który upadł na kolana, wydając z siebie kolejny okrzyk. Po jego twarzy spływały teraz ciemne, krwawe łzy. Rany na jego piersi nic zasklepiały się. A przecież krwawienie powinno było już ustać.

Wyzwoliłam swoje moce i omiotłam nimi bar. Było tu kilka osób parających się magią, ale żadna z nich nie mogła załatwić wampira, nawet tak wątego jak Thorne. Nie rozumiałam, co go niszczy.

- Naturi? - krzyknęłam przez ramię do Danausa.

- Żadnego nie ma w pobliżu - odrzekł bez wahania. Najwyraźniej myślał o tym samym i rozglądał się wokół. - Jak to się stało?

- Nie wiem - odpowiedziałam oszołomiona, patrząc, jak Thorne upada z hukiem na scenie. Nie żył. Już go nic wyczuwałam. Jego kres nastąpił tak szybko, jak gdyby ktoś zniszczył mu samą duszę. Thorne był już martwy, zanim jego głowa uderzyła o deski sceny.

- Musimy stąd wyjść! - zawołał Danaus, kiedy hałas czyniony przez tłum przeszedł w szum załęcznionego zdziwienia. Przedstawienie w końcu wydało się zanadto realistyczne nawet fanom, którzy czuli, że coś tu nie tak. Musieliśmy się stąd zabrać, zanim złączą kojarzyć, kto ostatnio rozmawiał z Thorne'em. Gdy przechodziłam koło stolika, mój wzrok natrafił na kufle piwa. Zamoczyłam dwa palce w piwie, którego nie dopił Thorne. Oblizalam je. A potem wypłułam tę paskudną ciecz i cisnęłam kuflem o ściany z taką siłą, że zostały z niego tylko odłamki szkła.

- Zatrute!

Piwo zostało skażone taką ilością krwi naturi, która mogła otruć Thorne'a. Dzięki temu, że tak długo pozostawałam w niewoli naturi, potrafiłam bezbłędnie rozpoznać ten parszywy smak. Większość nocnych wędrowców nie znała się na tym. Naturi było zbyt niewiele i od stuleci nie słyszałam o żadnym przypadku zatrucia nocnego wędrowca.

- Barmanka! - warknął Tristan, który obszedł boks i stanął też za mną.

Barmanka z talizmanem w kształcie pentagramu stała za barem i patrzyła w naszym kierunku. Wiedziała, że osiągnęła swój cel. Rzuciłam się w tłum, przeciskając się przez morze ciał. Byłam na środku sali, gdy Danaus w końcu mnie dogonił.

- Nie ma na to czasu! - zawołał, łapiąc mnie za rękę.

Nie odrywałam wzroku od osoby, która była moim celem. Wyrwałam mu się i krzyknęłam:

- Już po niej!

- Wychodzimy. - Danaus objął mnie ręką w pasie, uniósł z podłogi i zaczął nieść w stronę drzwi. Tristan szedł za nami, nie wiedząc do końca, czy podążać za Danausem, czy też ścigać barmankę. Wbiłam paznokcie w ramię Danausa, a jednak mnie nie puścił. Wprawdzie byłam od niego silniejsza, ale nie miałam się jak zaprzeć, aby uwolnić się z jego objęć.

Spojrzałam w górę i napotkałam wzrok kobiety z niebieskimi włosami, która zabiła Thorne'a. Uśmiechała się do mnie triumfalnie. Powinnam była pozostawić ją na pastwę naturi, którym służyła, by się z nią zabawili, czego, o czym wiedziałam, nie omieszkają zrobić. Ale nie potrafiłam. Odwzajemniłam jej uśmiech, moje oczy zaślniły w półmroku, a tuż za nią butelki z alkoholem

natychmiast stanęły w ogniu. Ogień objął cały bar, rozległy się histeryczne krzyki. Zabójczyni Thorne'a wrzasnęła przeraźliwie, gdy płomienie objęły jej ciało.

Kiedy Danaus przepychał się w kierunku drzwi, złapałam się jednego z czworokątnych słupów, które podtrzymywały sufit. Zatrzymaliśmy się. Ludzie pędzący do wyjścia popychali nas, trącali łokciami, ale zdołaliśmy się jakoś utrzymać na nogach.

- Jego ciało! - wrzasnęłam, przekrzykując hałas. - Podnieś mnie!

Podniósł mnie tak, że usiadłam mu na ramionach. Gdyby nie jego siła i moje świetne poczucie równowagi, nic poradziłibyśmy sobie z tym napierającym tłumem. Spojrzałam na skłębione ciała na scenie. Thorne'a nikt nie tknął, a jego kumple z kapeli się ulotnili. Ściągając brwi, skupiłam się na zwłokach Thorne'a, nad którymi natychmiast zatańczyły płomienie.

Ogień już zaczął obejmować ściany i lizać sufit. W ciągu kilku minut pożar miał strawić to miejsce, ale nie mogłam ryzykować. Musiałam się upewnić, że z ciała Thorne'a nic pozostanie nic, zanim miejscowa straż pożarna ugasi ogień, który wznieciłam. Będą mieli problemy z ustaleniem przyczyny pożaru, ale mnie bardziej obchodziły zwłoki Thorne'a. Zeskoczyłam z barków Danausa, chwyciłam go za rękę i pociągnęłam w kierunku zapasowego wyjścia obok sceny, omijając większość tych, którzy tłoczyli się przy głównym, frontowym wyjściu. Zerknęłam do tyłu i zobaczyłam, że Tristan podąża za nami; to dobrze, że nie próbuje nam uciec w tym zamieszaniu. Sądzę, że w owej chwili był zbyt wstrząśnięty napaścią na znajomego nocnego wędrowca, żeby troszczyć się o własną wolność.

W oddali wycie syren nadjeżdżających wozów policyjnych i strażackich odbijało się echem po nocy. Przebiliśmy się przez tłum i wyszliśmy na ciemną ulicę, a potem przebiegliśmy kilka przecznic, aż znaleźliśmy się w blasku jasných neonów, rozświetlających plac Piccadilly.

Rozdział 19

Przemykając przez jeden z niewielu ciemnych, opustoszałych zaułków, na jakie zdołałam natrafić, zatrzymała im się na chwilę, pozwalając ceniom opleść mnie swoimi ramionami. Na końcu wąskiego przejścia zawylałam ku nocy. Ten przerażający dźwięk odbił się echem od ceglanych i kamiennych murów, nim wreszcie uleciał swobodnie w stronę czarnego nieba. Ręce mi drżały ze zdenerwowania i strachu, jedyna osoba, która miała doprowadzić do uporządkowania tego wszystkiego i zmusić naturę do odwrotu, nie żyła. Co gorsza, ten ktoś zginął dlatego, że nie zdołałam go ochronić. Powinnam była przewidzieć, że natura ucieknie się do podobnej sztuczki. Należało niezwłocznie złapać Thorne'a i wywlec go z tamtego miejsca. Nie mogłam się zorientować, skąd oni wiedzieli, że trzeba go zabić, że właśnie on był mi potrzebny.

Nieważne. Jak zwykle nie dopisało mi szczęście. A teraz nic nie mogło już przywrócić życia Thorne'owi.

Usłyszałam, jak Danaus oddycha z wysiłkiem. Ta ucieczka go wyczerpała. Przypomniało mi to, że mam do czynienia z kimś, kto jest człowiekiem, przynajmniej częściowo. Podeszłam do łowcy, który stał oparty o ścianę, z trudem łapiąc oddech. Zerknęłam na Tristana opartego o mur po przeciwnej stronie i wyraźnie wstrząśniętego nieoczekiwanym obrotem wydarzeń.

- Co się stało? - spytał Danaus w przerwie między chrapliwymi oddechami.

- Tamta kelnerka otruła Thorne'a. Dolała do jego piwa krwi naturi. Pewnie przygotowała w ten sposób wszystkie piwa, które nam przyniosła - odparłam. Biła ze mnie złość, pozostawiając w brzuchu zimny, ołowiany ciężar lęku.

- Dlaczego?

- To była poganka. A oni zazwyczaj sympatyzują z naturi. Uważają, że naturi są uroczy i spokojni, tak jak postacie z tych wszystkich kretyńskich bajek. Już się zdarzało, że atakowali moją rasę, ale najczęściej nie mieli dostępu do krwi naturi.

Szybko odwracając głowę, spojrzałam zwężonymi oczami na młodego nocnego wędrowca. Siedział skulony, obejmując głowę dłońmi, jak gdyby próbował w ten sposób schować się przede mną lub przed naturi.

- Od jak dawna Thorne przychodził do tego pubu? - zapytałam go.

Tristan drgnął, a potem zwrócił twarz w moją stronę.

- Ja... nie wiem tego dokładnie. Znał tam mnóstwo ludzi, więc myślę, że bywał tam już od dłuższego czasu.

- Nie spodziewałam się, że będę szukać kogoś z tego środowiska! - warknęłam.

- Skąd wiedziała, że powinna otruć Thorne'a? - zapytał Danaus. Oddychał już normalnie. Powrócił do formy po biegu znacznie szybciej, niż przypuszczałam. No, ale taki już był ten mój tajemniczy Danaus. Zadrapania, które zrobiłam na jego ramieniu, dawno się zagoiły i pozostała po nich tylko cienka warstwa zaschniętej krwi na opalanej skórze.

- Nie wiem - odpowiedziałam, zbliżając się do niego. - Tylko kilka osób mogło wiedzieć o tym, że poszukuję Thorne'a. - W tej chwili zaświtała mi w głowie koszmarna myśl. Popatrzyłam na Danausa. - A ty jesteś jedyną postacią z zewnątrz w całym tym zamieszaniu.

Pokonując w ułamku sekundy dzielącą nas odległość, przycisnęłam go do muru. Jego ręce zostały uwięzione między naszymi ciałami, wobec czego nie mógł dobyć broni. Oczywiście mógł mnie zabić bez jej użycia, ale teraz wcale mnie to nie obchodziło. Bałam się, że Jabari rozerwie mnie na strzępy, o ile naturi nie dopadną mnie wcześniej.

- Wiedziałeś o naturi jako pierwszy. Wiedziałeś, że byłam w Machu Picchu i liczyłeś, że wydobędziesz ode mnie więcej informacji o nocnych wędrowcach. Po tym, kiedy się dowiedziałeś o planach odtworzenia triady, powiadomiłeś swoich ludzi o istnieniu Thorne'a - rzuciłam, chłostając go słowami.

- W takim razie dlaczego uratowałem cię w Asuanie?

- Bo byłam ci potrzebna, żeby cię doprowadzić do innych członków triady, abyś mógł ich zabić. – Poczułam w żołądku mdlący skurcz, gdy drażyłam dalej taką ewentualność. - A ja oddałam Sadirę wprost w twoje ręce.

- Co takiego? - odezwał się cicho Tristan. Mimo pragnienia ucieczki od swojej stwórczyni wykazywał lojalność wobec niej.

Puściłam Danausa.

- Pozostawiłam Sadirę z jego ludźmi, żeby ją chronili - wyjaśniłam Tristanowi. - Sama nie mogłam jednocześnie ochraniać Sadiry i uganiać się za Thorne'em. - Mało mnie obchodziło, czy Sadira żyje, czy też nie, ale nie mogłam bez przerwy zajmować się paleniem zwłok członków triady, jeżeli zależało mi na pokonaniu naturi. - Dlaczego? - zapytałam, patrząc znowu na Danausa. - Po co miałbyś im pomagać? Czy jesteś z nimi skoligacony?

- Nie pomagam im - odparł, robiąc krok w moim kierunku. Odstąpiłam na bok, zachowując odpowiednią odległość pomiędzy nami. - Pomyśl tylko, Miro. Przecież oni próbowali zabić nas oboje w Asuanie.

- Oczywiście, że próbowali. Tak właśnie postępują naturi: zabijają wszystkich, którzy nie należą do ich rasy. Przyszło ci do głowy, że mogą cię zdradzić?! - zawołałam, nadal go okrążając. Kopnęłam pustą aluminiową puszkę, która potoczyła się po bruku. - Twoje związki z naturi wyjaśniałyby też to, jak udało ci się dorwać Neriana. Walczyłby z tobą i musiałbyś go zabić. Nie da się zniewolić naturi.

- Nerian był szalony - powiedział Danaus, tracąc cierpliwość. - Kiedy go przetrzymywałem, gadał bez końca o tobie. Mówił o Machu Picchu i o tym, co oni tam z tobą wyprawiali. Jeżeli choć połowa z tych rzeczy odpowiada prawdzie, to jak mógłbym pomagać takiemu potworowi?

Zadrżałam, na chwilę odrywając wzrok od jego twarzy. Przeszłam się kawałek, przeciągając lewą dłońią po szorstkim ceglany murze, aby się uspokoić. Nie wiedziałam, czy uwierzyć Danausowi. Nie miałam absolutnie żadnego powodu, by mu ufać. Ale czas mnie naglił.

- Niczego nie pragnę tak, jak zagłady wszystkich wampirów - powiedział - ale teraz tylko wampiry mogą powstrzymać naturi przed zniszczeniem ludzkości. Jestem w stanie chwilowo zapomnieć o swojej nienawiści do was. A wy?

- Miro? - Pytający głos Tristana zabrzmiał tylko nieco głośniejszym szeptem. Najwyraźniej szukał kogoś, kto mógł stanowić dla niego oparcie w tej sytuacji.

Patrząc w głąb ciemnego zaułka, przypominałam sobie poczynania Danausa z minionych kilku dni. Kiedy tylko nie sprzeczałyśmy się, okazywał się przydatny. Czy rzeczywiście porzucił chwilowo nienawiść do mojej rasy? Aż mi się nie chciało w to wierzyć.

- Jak to się dzieje? - wyszeptałam. - Zawsze wyprzedzają nas o krok w każdej sytuacji.

- Nie mam pojęcia - odrzekł cicho Danaus. Spojrzałam na niego. Po raz pierwszy wyglądał na zmęczonego. Zgarbił się nieco, a jego głos był cichy, słaby. Obserwowałam go przez parę sekund. Nadal mu nie ufałam, ale wierzyłam, że jest zaniepokojony. Groziło nam zniszczenie przez zastępy naturi, którzy unicestwiali wszystko na swojej drodze. Nie wiedziałam, po czyjej stronie jest Danaus, ale na razie jechaliśmy na jednym wózku.

Wszystko to nie miało jednak większego znaczenia. Musiałam skontaktować się z Sadirą. A potem coś wykombinować.

- A oto i nasza mała księżniczka. - Głos Rowe'a zadudnił w ciemnym ciasnym zaułku. Obróciłam się gwałtownie badając wzrokiem wszystko w pobliżu, nim spojrzałam w górę, ku dachom. Naturi nie mogli rzucać uroków na nocnych wędrowców. W każdym razie tak było do tej pory, bo nie potrafiłam dostrzec Rowe'a.

- Danausie? - Prawą ręką dotknęłam biodra, szukając oręza, ale uświadomiłam sobie, że jestem nieuzbrojona. Danaus nie pozwoliłby, abym uczestniczyła w spotkaniu z Temidą, mając przy sobie broń, a ja nie pomyślałam, by coś ze sobą wziąć przed wyjściem na poszukiwanie Thorne'a. Chodzenie z bronią przestało już być dla mnie codziennością.

- Kto to? - spytał nerwowo Tristan, odsuwając się od muru. Obszedł Danausa, rozglądając się dokoła.

- Rowe, naturi - rzuciłam, gotowa do odparcia ataku.

- Nie potrafię go wyczuć - powiedział Danaus, powoli się obracając i penetrując wzrokiem mroczne zakamarki.

- Co takiego?

- Nie mogę wyczuć obecności żadnego naturi w najbliższej okolicy. - Łowca zaciskał zęby, a potężne fale jego mocy przepływały przeze mnie miarowo. Zaangażował całe swe siły, próbując zlokalizować źródło tamtego głosu. W dłoni dzierżył gotowy do użycia nóż.

- Może go tu nie ma? Może wysłał swój głos z innego miejsca, żeby nas nastraszyć? - podsunął Tristan.

Danaus odprężył się na moment i popatrzył na mnie.

- Też tak sądzisz?

- Niezupełnie, ale wolę tego nie sprawdzać - odparłam półgłosem. - Chodźmy stąd.

- Jeszcze nie, księżniczko - powiedział Rowe, chichocząc. Tym razem jego głos zdawał się dobiegać zza moich pleców. Odwróciłam się i zobaczyłam, że mur z cegieł drży jak tafla wody. Chwilę później wyłonił się z niego Rowe, uśmiechając się do mnie.

- Cholera! - Wykonałam zwrot, próbując uciekać. Znajdował się w odległości trzydziestu centymetrów ode mnie, zbyt blisko. Łatwo mógłby dźgnąć mnie jakimś ostrzem w serce, zanim zdążyłabym zareagować. Potrzebowałam do walki więcej miejsca. Rowe chwycił mnie za włosy. Szarpnęłam się, uderzając barkiem w jego pierś.

Puścił moje włosy, jedną ręką schwycił mnie w talii, a drugą brutalnie odgiął mi głowę do tyłu, za pomocą palców zmuszając mnie do otwarcia ust. Skupiłam wzrok na otwartym flakoniku wypełnionym czerwoną cieczą. Rowe trzymał go przy moich rozwartych ustach. Gdybym się szarpnęła, cała jego zawartość spłynęłaby mi wprost do gardła.

- Stać, nie ruszać się! - rozkazał, a jego głos po raz pierwszy zabrzmiał twardo. - Bo inaczej zaraz się przekonamy, czy naszej małej księżniczce smakuje krew naturi. Już widzieliście, że dla tamtego albinosa taka doza okazała się zabójcza.

A więc to on zabił Thorne'a. Odruchowo potrząsnęłam głową ze złością. Ogarnął mnie strach, kiedy kropla krwi spadła na moją dolną wargę i powoli spłynęła po podbródku. Nie potrafiłam opanować drżenia, które powoli rozchodziło się po całym ciele. Nie mogłam się ruszyć.

Usłyszałam ciche warknięcie i poczułam powiew mocy Tristana szykującego się do ataku. Ponieważ nie byłam w stanie wydawać mu głośno poleceń, błagałam w duchu by się nie ruszał.

Rowe pochylił głowę i poczułam na karku jego gorący oddech.

- Powiedz, czy pamiętasz smak mojej krwi, Miro. No, powiedz. Naturalnie, spróbowałaś czegoś więcej niż tylko mojej krwi.

Zduszony krzyk wyrwał mi się z krtani, kiedy Rowe przeciągnął koniuszkiem języka po mojej szyi ku płatkowi ucha.

- Puść ją! - zawołał Danaus, robiąc krok w przód. Odrywając wzrok od flakonika, spojrzałam na łowcę. Twarz miał wykrzywioną wściekłością, a jego serce dudniło w cichym zaułku. W dłoni trzymał nóż wymierzony w Rowe'a.

- No, dalej, zabij mnie, tak jak zabijałeś innych. Tylko czy zdążysz to zrobić, zanim wleję jej do gardła krew naturi?

- Czego chcesz? - wycedził Danaus, nie cofając się.

- Już mam to, czego chcę. - Rowe zaśmiał się, mocniej zaciskając dłoń na moim podbródku. W ustach miałam pełno swojej krwi, ponieważ skaleczyłam zębami od wewnątrz policzki. - Zabieram ją ze sobą.

Rowe pociągnął mnie do tyłu, zupełnie jakby zamierzał przeniknąć przez ścianę. Zaparłam się stopami o beton tak mocno, jak tylko mogłam, i zeszywniałam. Schwyciłam dłońmi jego nogi na wysokości kolan, unieruchamiając go w ten sposób. Gdyby próbował szarpnąć mną, musiałby wlać mi krew w usta. A więc niech tak się stanie. Wolałam raczej zginąć, niż ponownie dostać się do niewoli naturi. Nie miałam zamiaru z nim iść. Ani zdawać się na jego łaskę.

- Jazda, księżniczko, albo wleję ci tę krew do gardła. - Rowe znowu przybliżył swoją twarz, przyciskając mi ją do policzka. - Chcę mieć cię żywą, ale przydasz mi się także martwa. Tak czy siak, zwyciężyłem.

Popatrywałam to na Danausa, to znów na flakonik. Łowca nic nie mógł wskórać, nie doprowadzając przy tym do mojej śmierci. Głowę miałam w takim położeniu, że nie byłam w stanie dostrzec Tristana, który nadal trzymał się z

dala, stojąc w pobliżu wejścia do zaułku. Jego ciche warczenie ustało, ale wyczuwałam jego moc.

Nie pójdę z Rowe'em. Śmierć była już lepszym rozwiązaniem. Zamknęłam oczy i puściłam spodnie Rowe'a.

- Miro, nie! - Te dwa słowa Danausa omal nie rozbiły kruchej zapory powstrzymującej moje łzy.

Kiedy Rowe zrobił krok do tyłu, skupiłam swoje moce na krwi naturi we flakoniku. Flakonik pękł nagle, rozpryskując kipiącą krew. Dzięki chwilowemu zamętowi udało mi się wyrwać z uścisku Rowe'a. Uderzyłam kolanami o beton, a fala ostrego bólu przeszła mi nogi.

Szkło i krew rozprysły mi się na twarzy, oślepiając mnie na moment. Cisnęłam za siebie ognistą kulę, licząc na to, że trafię nią Rowe'a. Jednocześnie usłyszałam brzęk metalu uderzającego o cegły.

- Uciekł - stwierdził Danaus, gdy szykowałam następną kulę ognia w dłoni.

Zgasiałam płomień i uniosłam dłonie, próbując otrzeć krew, piekącą mnie w twarz i w oczy. Krzyknęłam, raptownie odsuwając drżące ręce. Odłamki szkła powbijały mi się w palce i w skórę na twarzy.

- Nie mogę się tego pozbyć! Nie mogę pozbyć się tej krwi! - wołałam, zdjeta panicznym strachem.

- Przestań, Miro - powiedział Danaus twardym głosem. - Pomogę ci. - Szelest odzieży i szuranie butów świadczyły o tym, że Danaus podchodzi do mnie. Wyciągnęłam ręce, chcąc go poczuć koło siebie. Danaus ujął moją dłoń i ścisnął ją mocno. Drugą ręką pogładziłam jego ciepłą skórę, jego nagą pierś. Zamarłam, zażenowana własnymi myślami. Wyczułam, że zbliża się też Tristan. Ukłękł przy mnie, jego chłodna aura otarła się o mnie, a jego dłoń spoczęła na moim kolanie.

Danaus delikatnie odchylił moją głowę.

- Nie ruszaj się. Otrę ci twarz. - Miękkim materiałem powoli wycierał krew Rowe'a i odłamki szkła. Przepełniła mnie woń Danausa. Czułam w niej dym pożaru w pubie, pot, mydło, jakiego używał, jego własny zapach. Zdjął koszulę i ocierał mi nią twarz z taką delikatną troskliwością, jaką okazuje się małemu dziecku.

Kiedy się z tym uporał, odgarnął mi włosy z twarzy strząsając szklane odpryski. Zamrugałam kilka razy powiekami i podniosłam oczy, aby spojrzeć mu w twarz. Malowały się na niej wyraziste emocje - lęk i gniew. Czułam pod palcami, jak jego serce nadal wali niczym młot.

- Lepiej? - spytał głosem nienaturalnie spokojnym.

Usiłowałam odpowiedzieć, ale głos mi się załamał. Odsunęłam się od Danausa i Tristana. Nie mogłam dopuścić by zobaczyli, jak płaczę. Nie mogli się dowiedzieć, że przerażenie nadal dudni mi w mózgu.

Danaus przyciągnął mnie z powrotem do siebie. Usiadł na ziemi i wziął mnie na kolana. Jego mocarne ramiona utworzyły wokół mnie ochronny kokon.

Wtulając mu się w szyję, zaszlochałam. Czułam się tak, jakby cała moja dusza się rozpekła. W chwili, kiedy tknął mnie Rowe, opuściły mnie wszystkie siły.

- Nie mogę znowu dostać się w ich ręce. Wszystko, byle nie to. Nie mogę - powtarzałam, jak gdyby Danaus był w stanie mnie ocalić. Obrazy Neriana i Machu Picchu migają mi w głowie. Wspomnienie moich krzyków i śmiechu Neriana dzwoniło mi w uszach. A teraz ten Rowe. Jego zapach, dotyk jego skóry, żar jego oddechu - wszystko to odcisnęło się piętnem w moim mózgu. Nie potrafiłam się tego pozbyć.

- To się już nigdy nie stanie - szeptał Danaus, a jego głos przedzierał się przez barierę wspomnień w moim umyśle. - Już nigdy. Nie dopuszczę do tego. Naturi już więcej cię nie tkną.

Uwierzyłam mu. W ustach Danausa zabrzmiało to jak przysięga. Uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby naturi nie porwali mnie ponownie. Bez względu na to, co zaszło między nami, między wampirzycą a łowcą, nie pozwoli, bym dostała się w łapy naturi.

Cisza tego zaułka ogarnęła nas, gdy siedzieliśmy tak razem na ziemi. Z ręką na sercu Danausa przycisnęłam głowę do jego piersi, zamykając oczy. Tristan siedział obok nas, a jego długie palce splotły się z palcami mojej dłoni. Jego obecność była jak chłodny, kojący balsam, natomiast ciepło Danausa oddziaływało niczym ochronny całun. Wsłuchując się w bicie jego serca, pozwoliłam, by ten miarowy rytm mnie przeniknął, oczyszczając ze strachu i bólu. Danaus potarł podbródkiem o czubek mojej głowy, dłońmi gładząc mnie po włosach i plecach w uspokajającej pieśczoce. Otoczona przez połączone moce Danausa i Tristana na krótką chwilę poczułam się bezpieczna. Nie mogło to jednak trwać zbyt długo. Noc się kończyła, a my musieliśmy dotrzeć do Sadiry, zanim Rowe ją odnajdzie.

- Dziękuję ci - rzekłam szeptem, ocierając się policzkiem o jego ciepłą pierś i powoli wydostając się z jego objęć. Krótco uścisnęłam dłoń Tristana. Nogi drżały mi kiedy wstawałam, ale zdołałam jakoś nie upaść.

Podeszłam do miejsca, gdzie schwytał mnie Rowe. Usłyszałam za sobą, jak Danaus podnosi się i wkłada koszulę. Tristan stał koło mnie jak niemy cień. Spojrzałam na ziemię. Odpryski szkła połyskiwały, odbijając odległy blask ulicznej latarni.

- Jak on zdołał podkraść się do nas i przejść przez ten mur? - zapytał Danaus.

- Użył zaklęć - odpowiedziałam cicho. Dlatego właśnie zaryzykował łowy na terytorium Jabariego. Do pewnych zaklęć potrzebne są ludzkie narządy. Rowe wiedział, że musi użyć takich czarów, żeby udało mu się mnie pojmać.

Podniosłam wzrok i wyciągnęłam rękę, zatrzymując palce o centymetry od ceglanej ściany, przez którą przeniknął Rowe. Nie mogłam się zmusić do jej dotknięcia. Mur wyglądał na solidny, ale miałam wrażenie, że zaraz wyłoni się z niego dłoń Rowe'a i wciągnie mnie do środka.

Danaus podszedł do mnie i podniósł swój sztylet, który leżał na ziemi pod murem. Najwidoczniej rzucił nim w naturi w tej samej chwili, kiedy ja na ślepo cisnęłam ognistą kulą.

- Kiedy rozbiłaś ten flakon, spodziewałaś się, że umrzesz - powiedział.

Włosy opadały mu na twarz, przesłaniając ją. - Dostrzegłem to w twoich oczach.

- Tak. - Nie potrafiłam skłamać. Nie chciałam umierać, ale wolałam śmierć od niewoli u naturi.

- Nigdy więcej tak nie postępuj. - Gniew wibrował w jego głosie. Zapadło długie milczenie, utrzymując nas w bezruchu, zanim Danaus znowu przemówił.

- Nie pozwolę ci tak łatwo umknąć.

Powstrzymując uśmiech, nieznacznie skłoniłam głowę.

- Jak sobie życzysz.

Zerknęłam po raz ostatni na mur. Miałam dosyć roli zwierzyny w tej zabawie w kotka i myszkę. Nadeszła pora przejęcia inicjatywy w walce z naturi.

- Czy nie potrafiłeś wyczuć tylko Rowe'a? Może teraz już w ogóle nie jesteś w stanie wyczuć obecności naturi?- pytałam, przechylając lekko głowę na bok i patrząc na swojego towarzysza.

Ciepłe moce Danausa omiotły alejkę i wyległy na miasto, zanim się rozproszyły.

- Wyczuwam naturi, ale nie potrafię stwierdzić, czy jeden z nich to Rowe.

- Jak blisko są?

- Poza miastem - rzekł, kręcąc głową. - Na północ od Londynu.

- Czy mają jakąś broń? - Naturi zabijali przedstawicieli mojej rasy i ludzi na moim terytorium, a Rowe usiłował mnie porwać. Pora przejść do kontrnatarcia.

- Nie zostało nam zbyt dużo czasu do wschodu słońca, Miro - wtrącił Tristan.

Skinęłam głową, zerkając przez ramię na młodego nocnego wędrowca.

Pragnęłam odwetu, ale nie chciałam zostać schwytana pod gołym niebem bez bezpiecznej kryjówki na czas dnia.

- Jak daleko stąd do Warowni?

Półuśmiech pojawił się w kącikach ust Danausa.

- Mniej niż dwie godziny drogi. Na północ.

- A więc twierdzisz, że to po drodze do...

- Możliwe. Nie przekonamy się, jeśli nie zaczniemy działać.

Mieliśmy nieco czasu. Niewiele, ale jednak trochę. Mogliśmy uderzyć z nienacka, a potem schronić się w Warowni. Należało pozbyć się części naturi.

Miałam też nadzieję, że uda mi się dopaść Rowe'a.

Danaus kiwnął głową i ruszył przed siebie. Jeśli miałam choć trochę szczęścia, to Sadira wciąż żyła i uniknęła kłopotów. Jednak nie byłam skłonna dać za to głowy.

- Miro. - Coś w głosie Tristana zatrzymało mnie, gdy ruszyłam za Danausem. Nocny wędrowiec nie musiał nic mówić. Mogłam wyczuć jego strach. - Nie potrafię z nimi walczyć. To znaczy, ja nigdy...

- Jesteś mi potrzebny - powiedziałam, kładąc mu prawą dłoń na ramieniu. Potrzebne mi były wszelkie siły, jakie tylko mogłam zebrać, do uderzenia na naturi. A teraz miałam tylko Tristana i Danausa. - Musimy ich powstrzymać albo zaprowadzą takie porządki, że życie u Sadiry będzie się kojarzyło z niedzielnym przyjęciem w ogrodzie.

Odwrócił swojego duże błękitne oczy od mojej twarzy i wbił wzrok w ziemię. Wyczuwałam, że chce się wycofać.

- Zostań ze mną, Tristanie. - Urwałam na moment szukając jakichś słów zachęty. Wprawdzie wiedziałam, co powinnam rzec, ale minęła chwila, zanim się zmusiłam do wypowiedzenia tych słów. - Zostań ze mną, a obiecuję, że pomogę znaleźć ci sposób na uwolnienie się od Sadiry.

Spojrzał na mnie nieufnie. Nie dziwiło mnie to. Oboje wywodziliśmy się od tej samej stwórczym, lubującej się, w manipulowaniu innymi istotami.

- Przrzekam. Jeszcze nie wiem jak, ale pomogę ci - powtórzyłam.

Tristan potakująco kiwnął głową i wyszedł za Danausem z zaułka. Nie wiedziałam, czy przypadkiem nie dałam się podejść Danausowi, ale nie miało to większego znaczenia. Potrzebowałam jego pomocy, a istniało spore ryzyko, że żadne z nas nie wyjdzie cało z całej tej eskapady.

Przystając u wyjścia z zaułka, spojrzałam w górę. Nocne niebo miało w łunie świateł miasta granatową barwę. Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin. Mogłam wyczuć brzask, tak jak ludzie wyczuwają w kościach nadciągającą burzę. Od chwili swego odrodzenia nocni wędrowcy potrafią przeczuwać noc. Po zachodzie słońca czułam, jak noc wypełza z każdej szczeliny, z każdego kąta. Młoda noc rozwija się do swojego szczytowego punktu, który rzadko pokrywa się z północą, a potem cofa się, kurczy. U kresu nocy czas zatraca się wokół mnie. Wyczuwam jak zanika wraz z miarowym przesypywaniem się piasku w klepsydrze.

Teraz, gdy rozpaczliwie brakowało mi czasu, czułam, że ucieka mi on znacznie szybciej. Zacisnęłam pięści, powstrzymując się przed rzuceniem kłutwy na słońce. Mimo swej długowieczności wciąż pozostawałam niewolnicą czasu.

Rozdział 20

Niespełna dwie godziny później przykucnęłam obok Tristana na skraju małego zagajnika nieco na północny zachód od Londynu. W pobliżu znajdowały się pojedyncze farmy, a granice pól wokół nich wytyczały rachityczne drewniane ogrodzenia i kamienne murki. Według Danausa byliśmy niedaleko Stonehenge, w odległości niespełna trzydziestu minut drogi od obozowiska Temidy.

Jak na późny lipcowy wieczór było duszno, jakby z nieba wkrótce miał lunąć deszcz. Obok mnie Tristan zaczerpnął głęboko powietrza, zdając się na swój

łowiecki instynkt tropiciela, który jednak nie przydawał mu się w kontaktach z naturą. Pachnieli oni bowiem ziemię, nie rozsiewając tej charakterystycznej woni piżma cechującej inne żywe stworzenia. Przygryzłam dolną wargę, obserwując zmrużonymi oczami pobliski las i starając się nie myśleć o braku doświadczenia Tristana. Minęło pięćset lat, odkąd stoczyliśmy ostatnią poważną bitwę z naturą. Od czasów Machu Picchu musieliśmy się zadowalać walkami we własnym gronie oraz sporadycznymi starciami z wilkołakami i czarownikami. Jednak nawet one kończyły się najczęściej tylko niegroźnymi sińcami.

- Zapamiętaj, co ci powiedziałam - odezwałam się szeptem. - Strzelaj im w głowę albo w serce. Kiedy któryś z nich upadnie, na wszelki wypadek pozbaw go głowy.

Spojrzałam na pistolet, który ścisnęłam kurczowo w prawej dłoni. Danaus zaopatrzył nas oboje w broń palną, a na widok naszego zmieszania udzielił nam krótkiej lekcji, jak się z nią obchodzić. Wampiry nie używały tego rodzaju broni. Tradycyjne metody okazały się skuteczniejsze...

- Szczerze ufasz temu łowcy? - syknął Tristan i obrócił głowę, aby na mnie spojrzeć. Danaus pozostawił nas na skraju lasu. Miał obejść okolicę i znaleźć dogodny stanowisko na jakimś wzniesieniu. Uzbrojony w karabin, zamierzał zlikwidować kilku naturi z większej odległości w chwili, gdy Tristan i ja zaatakujemy.

- Nie, ale miał już co najmniej kilka okazji do zabicia mnie i nie wykorzystał ich.

Przeczesałam okolicę, wyczuwałam tylko nieliczne zwierzęta. Danaus znajdował się kilkaset metrów na wschód i już się nie przemieszczał. Nie potrafiłam wyczuć obecności naturi, lecz Danaus powiedział, że postara się ich okrążyć. Wystarczy tylko ruszyć przez las ku niemu, a wtedy powinniśmy się na nich natknąć.

- Idziemy - odezwałam się półgłosem, wstając i zagłębiając się w las, puszczając mimo uszu uwagę, którą Tristan rzucił pod nosem. Wspomniał coś o tym, że przeginam.

Kiedy szliśmy bezszelestnie przez las, nie liczyłam na wykorzystanie elementu zaskoczenia. Choć naturi nie umieli nas wyczuć, to powinni się zorientować, że ktoś się zbliża, gdyż po drodze płoszyliśmy leśną zwierzynę. Poza tym po pożarze pubu cuchnęliśmy dymem i ludzkim potem. Ponieważ jednak Danaus miał wystąpić w roli snajpera, liczyłam na to, że przynajmniej spowoduje wśród naturi zamieszanie, zapewniając nam krótkotrwałą przewagę. Szliśmy lasem, przeczesałam zarośla. Lekki hałas, jaki czyniliśmy, przypominał szum wiatru pomiędzy listowiem. Pomimo że nocni wędrowcy woleli miasta, jednak wszyscy spędzaliśmy nieco czasu na łonie przyrody, co wyostrzało nasze moce, zmysły, mobilizując siły fizyczne.

A tej nocy mieliśmy zapolować na naturi.

Po kilku minutach zatrzymaliśmy się, słysząc cichy pomruk głosów. Nie potrafiłam wyłowić żadnych słów, gdyż rozmawiano w języku, którego nie znałam.

Podpełzliśmy, starając się jak najdłużej pozostać w ukryciu. Zatrzymałam się na sekundę, kiedy gałąź zaczepiła o rękaw mojej jedwabnej koszuli. Skórzane spodnie zapewniały mi pewną ochronę przed kamieniami i błotem, ale nie miałam jednak na sobie najlepszego stroju do czołgania się po lesie. Moje skórzane buty też niezbyt się do tego nadawały. Obcasy co chwila zapadały się w miękkiej ziemi.

W końcu zatrzymaliśmy się koło małej leśnej polany. Dojrzeliliśmy przed sobą dziesięcioro naturi, w tym czwórkę z klanu zwierzęcego. Poza naturi z klanu wodnego, z ich niebieskawo zielonymi włosami oraz skrzelami, przedstawiciele klanu zwierząt byli najłatwiejsi do rozpoznania. Mieli długie, zmierzwione, ciemnobrązowe kudły. Ich twarze były szersze i surowsze, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i mocnymi szczękami. Z pozostałych co najmniej dwoje należało do klanu ziemi. Ze swoimi wysokimi, smukłymi sylwetkami i ziemistą skórą stanowili całkowite przeciwieństwo tych z klanu zwierząt. Ich włosy miały rozmaite barwy - fioletową, niebieską, żółtą, zieloną - odpowiadające kolorom różnych kwiatów.

Mnie jednak zaniepokoiła pozostała czwórka, której nie potrafiłam zidentyfikować. Różnili się wzrostem i budową fizyczną, a także odcieniem włosów. Mogli wywodzić się z klanu wiatru, z którym nie miałam wcześniej do czynienia, lub też z klanu światła, wobec którego tracił znaczenie mój wyjątkowy dar krzesania ognia.

Naturi znajdowali się na ich własnym terenie. Jeśli mieliśmy przeżyć tę akcję, musieliśmy zaatakować znienacka - im dłużej trwałaby walka, tym większe byłoby prawdopodobieństwo, że naturi wykorzystają przewagę wynikającą z dogodnego dla nich otoczenia.

Niepokoilo mnie też to, że nie dostrzegam Rowe'a. Ten samozwańczy wódz naturi dotychczas świetnie sobie radził w odnajdywaniu mnie, więc zakładałam, że sam się do mnie zgłosi.

Zerknęłam na pobladłą twarz Tristana i uśmiechnęłam się szeroko, odsłaniając kły i robiąc groźną minę. Nadszedł czas działania. Liczyłam na to, że Danaus nie złamie danego słowa.

Wstałam, trzymając pistolet obiema rękami. Miałam czas na oddanie tylko kilku strzałów, a nigdy dotąd nie posługiwałam się bronią palną. Tristan natychmiast znalazł się przy mnie, a w gardle bulgotał mu cichy warkot.

Wystrzeliliśmy sześć kul i dwaj naturi, stojący najbliżej nas, osunęli się na ziemię. Niemal od razu rozległ się huk strzałów oddanych z większej odległości. Danaus trafił jednego z klanu ziemi oraz dwóch niezidentyfikowanych naturi. W ciągu niespełna trzech sekund załatwiliśmy więc szóstkę przeciwników. Potem jednak zrobiło się trudniej.

Otrząsnąwszy się z początkowego szoku, czworo pozostałych naturi rozproszyło się na wszystkie strony. Strzelaliśmy z Tristanem nadal, ale trudno było trafić do ruchomych celów, mimo że mieliśmy dobry refleks. Ostatni pozostały przy życiu członek klanu zwierzęcego rzucił się na Tristana, a ja ujrzałam, jak naturi z klanu ziemi po prostu znikła w piaskowej wydmy. Nie dostrzegałam dwojga pozostałych, a z oddali dobiegało coraz głośniejsze, chóralne, żałobne wycie wilków. A więc przekleci naturi już zdążyli wezwać pomoc.

Warknęłam, odwróciłam się na pięcie, żeby schwycić naturi zmagającego się z Tristanem. Ale nie zdołałam tego zrobić. Coś jakby kleszcze zacisnęły mi się na nadgarstkach, coś wywlokło mnie na środek polany, a potem uniosło w powietrze.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam dwoje naturi, którzy wcześniej znikli mi z oczu. Każde z nich ciągnęło mnie za ramię, wynosząc coraz wyżej w górę. Widząc ich wielkie opalizujące skrzydła, doszłam do wniosku, że to przedstawiciele klanu wiatru. Skąd, do licha, wzięła się u ludzi legenda o tych istotach jako o karzełkowatych chochlikach pozostawiających za sobą ślad w postaci magicznego pyłu.

- Zdaje się, że Rowe nie załatwił Krzesicielki Ognia - ucieszył się jeden z naturi. Powiedział to po angielsku, abym zrozumiała.

Druga istota, płci żeńskiej, prychnęła na to, wzmacniając uścisk na przegubie mojej dłoni i wbijając długie paznokcie w moje ciało.

- Nie tak trudno było ją złapać.

Próbowałam im się wyrwać, ale ich palce przypominały kajdany, które zacisnęły się tak, że o mało nie popękały mi kości. Zwężonymi oczami spojrzałam na tych dwoje porywaczy; przywołałam swoje moce, szykując się do podpalenia ich pięknych skrzydeł, lecz coś jeszcze mnie uchwyciło, sprawiając, że się zdekoncentrowałam. Miotając się z całych sił, popatrzyłam w dół, by zobaczyć, co krępuje mi ruchy. Długa, gruba liana owinęła się wokoło mojej łydki.

- Skoro on tak za nią przepada, to może polubi ją jeszcze bardziej, jeśli trochę ją wydłużymy? - zażartował trzeci, zniewalająco słodki głos.

Rozejrzałam się wokół i dostrzegłam ziemską naturi, stojącą na konarze drzewa, obejmującą rękami pień niczym Tarzan swoją ukochaną Jane. Kątem oka ujrzałam, jak machnęła dłonią i chwilę później nowe pnącze oplotło mi lewą kostkę.

- A może pokocha ją dwa razy mocniej, kiedy rozerwiemy ją na dwoje? - podsunął pierwszy z powietrznych naturi. Wraz ze swoją towarzyszką wznosił się coraz wyżej, podczas gdy pnącza ściągały mnie ku ziemi. Z krtani wydobył mi się krzyk, zanim zdołałam go powstrzymać. Moje ciało było rozciągane w dwóch przeciwnych kierunkach. Paznokcie naturi wbiły mi się w miękką tkanę nadgarstków, a cienkie strużki krwi spływały po rękach, gdy pnącza owijały się

coraz ciaśniej wokół moich kostek. Na próżno starałam się wyrwać z uścisku, lecz ani naturi, ani pnącza nie puszczały.

Zamknęłam oczy pod wpływem rwącego bólu, skoncentrowałam się na stworach, które trzymały mnie za ręce. Żar wzmagał się w moich kończynach, dochodząc do czubków palców. Otworzyłam oczy i skierowałam ogień na skrzydła tych istot. Jasna kula pomarańczowych płomieni objęła ich zwinne ciała. Natychmiast mnie puściły i wszyscy razem runęliśmy w dół.

Coś wbiło mi się w plecy i przeszło mięśnie oraz narządy wewnętrzne, aż w końcu wyszło z przodu klatki piersiowej. Świat zatańczył mi przed oczami. Zamroczyło mnie na moment, ale oparłam się tej fali, która o mało mnie nie pochłonęła. Zaciskając zęby, spojrzałam w dół i ujrzałam wystający kawałek drewna, który przebił mi pierś. Nadziałam się plecami na gałąź. Żyłam jeszcze tylko dlatego, że nie przebiła mi serca, choć niewiele brakowało. Krew lała się ze mnie strumieniem, wsiąkając w ubranie i spływając po nogach.

Odkrywszy, że wciąż żyję, ziemską naturi wrzasnęła z bezsilnej wściekłości. Sekundę później pnącze oplotło mi się wokół kostek i znowu zaczęło mnie krępować. Krzyczałam, kiedy wbita gałąź rozrywała mi mięśnie i raniła narządy wewnętrzne. Pod wpływem mojego ciężaru gałąź w końcu się złamała, a ja spadłam na ziemię z głuchym łoskotem. To uderzenie wywołało nową falę ostrego bólu w moim udreżonym ciele i znów o mało nie straciłam przytomności.

Wtedy rozległ się w ciemnościach odgłos wystrzału i usłyszałam, jak coś upada obok mnie. W powietrze wzbil się kłęb ziemi. To naturi. Zastrzelił ją Danaus albo Tristan. O jednego przeciwnika mniej, ale nie miało to teraz większego znaczenia. Zaczynało brakować mi czasu. Nie mogłam poruszyć rękami, aby spróbować wyciągnąć z rany gałąź. Nie byłam w stanie się poruszyć.

Zamknęłam oczy, czując nową falę bólu, w której się pogrążyłam. Musiałam pomyśleć, co powiedzieć Danausowi lub Tristanowi. Ktoś musiał przekazać Jabariemu, Sadirze i Sabatowi wiadomość o tym ataku. Ktoś musiał poinformować Knoxa, że już mnie nie ma, że teraz on musi czuwać nad nocnymi wędrowcami na moim terenie.

- Miro! - usłyszałam głos Danausa.

Zatrzepotałam powiekami i zobaczyłam go, klęczącego koło mnie. Uniósł mi głowę, abym mogła na niego spojrzeć, ale nie czułam jego dotyku. Cały mój świat zalała fala bólu.

- Tristan? - wyszeptałam chrapliwie.

- Jestem tutaj - odpowiedział, pojawiając się nagle w moim polu widzenia. Był poraniony i posiniaczony, a włosy miał okrwawione.

Przymknęłam oczy, próbując zmobilizować siły do kontynuowania tej rozmowy. Ból zaczynał ustępować, co mnie niepokoiło. Gałąź nadal tkwiła w moim ciele.

- Co z naturi?

- Już ich nie ma. Nie żyją.

- A wilki?

- Miro, musimy usunąć ci z rany tę gałąź i zabrać cię w bezpieczne miejsce, gdzie wyzdrowiejesz - powiedział Tristan słabym głosem.

- Wilki - powtórzyłam. Wiedziałam, że nadciągają. Nawet po śmierci wszystkich naturi miały nadejść i zaatakować, wykonując przesłane rozkazy.

- Niech to diabli! - warknął Tristan, kiedy w powietrzu znowu rozległo się żałosne wycie zbliżających się wilków. - Łowco, zajmij się tymi wilkami. Ja pomogę Mirze.

Danaus kiwnął głową i zniknął z mojego pola widzenia.

Tristan uklęknął przy mnie. Poprzez ból poczułam, jak wziął moją rękę i parę razy przesunął kciukiem tam i z powrotem w delikatnej pieszczocie.

- Wybacz - szepnął i wyszarpnął mi gałąź z ciała. Każdy mój mięsień napiął się, miałam ochotę krzyknąć raz jeszcze. Nie sądziłam, że ból może być tak dotkliwy. Moje myśli uleciały z wiatrem, wirując wokół w poszarpanych fragmentach.

- ...tracisz krew... musisz się pożywić... - Pojedyncze, urwane słowa Tristana dobiegały do moich uszu. Usiłowałam się skupić. Były sprawy, o których powinnam mu powiedzieć, ale nie potrafiłam się skoncentrować, nie mogłam przypomnieć sobie tego, co wydawało się takie ważne jeszcze parę minut temu. A może kilka godzin temu? Traciłam poczucie czasu.

Nagle zorientowałam się, że wymienił imię Danausa. Powstrzymałam falę bólu i zdołałam otworzyć oczy. Tristan nadal nachylał się tak, że mogłam mu spojrzeć w twarz. Wcisnął mi coś pod plecy, powodując, że omal nie wyłam z bólu.

- Gdzie Danaus? - spytałam cicho.

- Walczy z wilkami - poinformował Tristan. - Kiedy wróci, pożywisz się jego krwią, żebyśmy mogli zabrać cię w jakieś bezpieczne miejsce.

- Nie - wydusiłam z siebie, ponownie przymykając powieki.

- Miro, nie ma innego wyjścia. Moja krew ci nie pomoże.

Oblizawałam usta, znów mobilizując energię. Nie miałam ochoty umierać, ale picie krwi Danausa to bardzo zły pomysł. Mimo że najwyraźniej zbliżał się mój kres, nie zechce być moim krwiodawcą.

- Nie... to niebezpieczne. Zła krew.

- Co? O czym ty mówisz?

- Jego krew jest niebezpieczna... Nie pożywię się nią.

Nie miałam sił, by to wyjaśnić, choć wciąż byłam na tyle przytomna, by rozumieć, że dopóki nie dowiem się wreszcie, kim jest Danaus, nie mogę pić jego krwi. Istniało ryzyko, że wykończy mnie ona szybciej niż ta ziejąca rana w moich plecach i piersi.

- Miro...

- Nie, Tristanie - rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

Młody nocny wędrowiec westchnął ciężko i oderwał ode mnie wzrok.

- Trzeba zabrać cię do Sadiry - mruknął. Bardzo tego nie chciałam, ale miał rację. Nasza stwórczyni była jedyną istotą, która mogła podtrzymać mnie przy życiu.

- Zostaw mnie na razie - wyszeptalam - bo nawet śmierć mnie nie powstrzyma przed urwaniem ci głowy.

Nikły uśmiezek pojawił się w kącikach jego ust.

- Bardzo się tego boję, Krzesicielko Ognia - mruknął, odgarniając mi włosy z twarzy.

Chciałam się uśmiechnąć i odpowiedzieć coś na to, ale wiedziałam, że wyglądam teraz niewiele groźniej niż podtopione kocię.

- Czy ona nie żyje? - Głos Danausa zmącił przytłaczającą ciszę.

- A jak sądzisz? - szepnęłam.

- Musimy zabrać ją do Sadiry - stwierdził Tristan.

- Weźmiesz ją tam, gdzie was zawiozę. Sprowadzę wóz - powiedział Danaus.

- A skąd mam wiedzieć, czy nas nie pozostawisz?

- Ona potrzebna mi jest żywa - odburknął Danaus, odstepując ode mnie.

Bezsukutecznie próbowałam zastanawiać się, co znaczą te słowa, przeanalizować ich sens. Tristan podniósł mnie, wywołując nową falę bólu w całym moim ciele, a potem świat zatonął w mroku.

Rozdział 21

Świat powoli powracał do mojej świadomości i od razu pożałowałam, że tak się stało. Ból zalewał mnie mdlącymi falami, grożąc wciągnięciem w gęsty mrok. Oparłam się pokusie ponownego poddania się nieprzytomności. Tristan i Danaus sprzeczekali się o coś, ale nie byłam w stanie zrozumieć istoty ich sporu. Słyszałam cichy warkot samochodowego silnika. Boczna szyba była uchylona, a wietrzyk chłodził krew, która zasychała mi na rękach i brzuchu.

Zmusiłam się do otwarcia oczu i stwierdziłam, że leżę na tylnym siedzeniu małego auta. Leżałam na boku, z głową na kolanach Tristana. Przykładał coś, zdaje się, że swoją koszulę, do moich pleców, próbując zatamować upływ krwi, a drugą dłoń przyciskał mi do piersi.

- Skąd miałbym wiedzieć? – rzucił Tristan ze złością, a jego głos w końcu przedarł się przez mgłę bólu spowalniająca moje myśli. – Starożytni nigdy nie wspominają o Machu Picchu. A my nie rozmawiamy o naturi. Naturi miało już nie być. Przepadli... - Jego słowa przeszły w szept.

Zamknęłam znów oczy. Słowa Tristana odbijały mi się echem w mózgu. Miał rację. Nie rozmawiamy o tym ohydny epizodzie naszej przeszłości, uciekając od tego, co omal nie przywiodło naszej rasy do zagłady. Unikamy tego, obawiając się, że samo wspomnienie o tym ponownie wywoła naszych wrogów.

- Dlaczego? Co tam się wydarzyło? Czemu to takie ważne? – Danaus rzucał pytania z przedniego siedzenia, kierując pojazdem. – Oni zabili Tabora i wciąż prześladują Mirę, którzy byli w Machu Picchu.

- Machu Picchu to nasza ostatnia bitwa – powiedziałam cicho. Poczułam, jak kolana Tristana drgnęły pode mną; najwyraźniej zaskoczyło go, że odzyskałam przytomność. – Była to ostatnia z długiego cyklu batalia z naturi.

- Do czego tam doszło? – dopytywał się Danaus, tym razem głosem nieco cichszym.

- Nie pamiętam nic z tamtej nocy.

- To zrozumiałe – mruknął pod nosem. Zdołałam uchwycić te słowa, zanim uleciały porwane wiatrem.

- Dlaczego? – Próbowałam spojrzeć na niego, ale głowa ciążyła mi jak ołów.

- Czasami umysł wypiera pewne sprawy dla własnego dobra.

Lodowaty dreszcz przebiegł mi po skórze, a nie miał on nic wspólnego z wiejącym wiatrem. Żałowałam, że nie mogę pozbyć się wspomnień o kontaktach z naturi.

- Co Nerian ci powiedział?

- Dostatecznie dużo, żeby mnie przerazić.

W rzeczywistości nie chciałam słuchać szczegółowej relacji z tamtej nocy. Wspomnienia o tym zawsze wzbudzały we mnie ból. A teraz jeszcze pojawił się ten Rowe, którego głos skądś pamiętałam.

- Pamiętam Neriana - szepnęłam. - Pamiętam, co naturi ze mną robili. Trzymali mnie prawie przez dwa tygodnie. Chcieli wykorzystać mnie do zabijania nocnych wędrowców przybywających do Machu Picchu. Zwalczyliśmy naturi ze zmiennym szczęściem przez kilka stuleci. Przed Machu Picchu zdołali przełamać pieczęć, korzystając z energii Petry. Dotarli do Machu Picchu, aby otworzyć wrota oddzielające światy i ostatecznie uwolnić tamtejszego gospodarza wraz z ich królową, Aurorą. - Przerwałam na moment, usiłując się zmusić do otwarcia oczu, chcąc się rozejrzeć wokół, ale kosztowało to mnie zbyt dużo energii. I tak miałam szczęście, że mogłam rozmawiać.

- Pamiętam przybywających tam nocnych wędrowców, ale nie potrafię sobie przypomnieć ich twarzy, poza obliczem Jabariego. To wtedy ujrzałam go po raz pierwszy. A potem... już nic. Nie pamiętam niczego po tym, jak przybyli.

- Jaka jest następna rzecz, którą zapamiętałaś?

- To, jak stałam nad Nerianem. Zbliżał się świt, a on konał. Ukryłam się na dzień w pobliskiej dżungli. Następnej nocy Jabari zjawiał się po mnie.

- A co z Rowe'em?

- Nie spotkałam Rowe'a do czasu tej napaści w Egipcie - powiedziałam z westchnieniem.

- Wydaje się, że on zna ciebie.

- Wiem, ale ja nie znam jego. Jestem pewna, że zapamiętałabym jednookiego elfa. - To nie miało sensu. Przekopywałam własne wspomnienia przez ostatnich parę dni, lecz nie potrafiłam przypomnieć sobie niczego o naturi o imieniu

Rowe lub jakimkolwiek innym naturi, z którym mogłam go skojarzyć. - Pamiętam, że w Machu Picchu wyczuwałam obecność Sadiry, choć jej nie widziałam. Pamiętam też głos Tabora. Słyszałam, jak rozmawia z Jabarim, zanim się oddalił. Wydawał się... wściekły.

- Dokąd jedziemy? - zapytał nagle Tristan. Wyczuwałam, jak wzmaga się w nim napięcie. Nie mogąc się poruszyć, zebrałam resztki energii i przeniknęłam do jego umysłu. Było to stosunkowo łatwe, ponieważ znajdował się tak blisko, ale brakowało mi siły, by utrzymać tę więź na dłużej. Zdołałam dostrzec w jego myślach urywane obrazy drzew okalających szosę. Okolica wydawała się odludna, opustoszała, idealna do przeprowadzenia ataku.

- Do Warowni Temidy. Tam jest Sadira - odparł Danaus.

- Co to takiego Temida? - spytał Tristan.

- Siedziba łowców wampirów - odezwałam się cicho.

- Nie taki jest cel istnienia Temidy - rzucił Danaus.

Żachnęłam się, chociaż nie miałam nastroju do sprzeczki.

- Oświeć mnie, co ty, łowca nocnych wędrowców, i James, mól książkowy, całkiem oderwany od rzeczywistości, macie ze sobą wspólnego.

W samochodzie zapadła głęboka cisza. Czekałam cierpliwie, wyczuwając każdą nierówność, każdy zakręt na szosie, kiedy zbliżaliśmy się do Warowni - siedziby ludzi, którzy urządzali polowania na przedstawicieli mojej rasy.

- Cel Temidy to utrzymanie równowagi - odparł w końcu Danaus. -

Większość członków Temidy przypomina Jamesa Parkera; to uczeni zajmujący się badaniami nad okultyzmem. Obserwują wszystko z dystansu, katalogując wydarzenia i różnego rodzaju stwory. Lecz są i łowcy. Wchodzą oni do akcji, kiedy wasza rasa zagraża ludzkości. Staramy się utrzymać wszystko w tajemnicy, aby nie przedostało się to do świata ludzi.

- Niszczycie nas na polecenie takich mądrych, wykształconych ludzi w rodzaju Jamesa? - zapytałam z sarkazmem.

- Nie. Tylko przywódca Temidy może zlecić misję łowcy.

- Czyli Ryan? - spytałam, przypominając sobie imię, które Danaus wypowiedział wcześniej tego wieczora, przekonując Jamesa, by zabrał Sadirę do Warowni.

- Tak.

- Nie mogę się doczekać spotkania z nim. - Starłam się mówić pewnym głosem, choć krew sączyła mi się na koszulę Tristana.

Danaus wydał z siebie dziwny dźwięk. Ostry i szorstki, jak papier ścierny. Śmiał się ze mnie. Ja też próbowałam się uśmiechnąć, choć poruszenie w tym celu odpowiednimi mięśniami twarzy wiązało się z wielkim wysiłkiem. Mniejsza o to. Ten śmiech ukoił na krótki moment mój ból. Był niczym błysk słonecznego promienia wśród skłębionej masy burzowych chmur i chciałam nacieszyć się nim, zanim ciemne obłoki znowu przesłonią to złociste światło.

- Nie uda ci się zastraszyć i skołować Ryana, tak jak zrobiłaś to z Jamesem - rzekł rozbawiony.

- A może uwiodeę go za pomocą kobiecych sztuczek? - zapytałam cicho. Tristan odchrząknął, maskując tym śmiech. Wiedziałam, że nie byłam w tej chwili zbyt ponętna. Jeśli zaraz nie dostanę się do Sadiry, zostaną ze mnie tylko zakrwawione zwłoki.

- Wątpię - odparł.

Westchnęłam dramatycznie, otwierając na chwilę oczy.

- Zdaje się, że będę musiała po prostu odgadnąć, o co mu tak naprawdę chodzi.

- Jak chcesz to zrobić?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - przyznałam, na co znów się zaśmiał.

- I nie niepokoi cię to?

- Pozostała niecała godzina do świtu i jadę samochodem z łowcą na zgromadzenie innych łowców. Naturi dosłownie deptają mi po piętach, a moja ostatnia nadzieja pokonania ich legła w gruzach. Przypuśćmy, że przeżyję następną godzinę, ale pozostaje jeszcze Jabari, który rozszarpie mi gardło, bo nie ochroniłam Thorne'a. W takiej sytuacji nie będę się przejmować jakimś tam człowiekiem i jego planami.

Danaus zacisnął dłonie na kierownicy.

- Obyś miała rację.

- A co mam do stracenia?

- Słusznie.

Gdy w wozie znów zapadła cisza, wyczułam zaniepokojenie Tristana. Coraz bardziej brakowało nam czasu. Jeżeli Sadira nie zdąży mnie uleczyć, zanim wszędzie słońce, nie przebudzę się już, gdy słońce zajdzie ponownie. Życie uleci z mojego ciała. Umrę.

- Jak daleko jeszcze? - spytał Tristan.

- Już blisko.

Brzask coraz bardziej się zbliżał, a nie podobała mi się perspektywa tego, że Tristan i Sadira pozostaną sami, jeśli ja nie przeżyję. Czy Danaus broniliby ich przed swoimi pobratymcami? Wolałam się nad tym nie zastanawiać.

- Od jak dawna współdziałasz z Temidą? - zapytałam Danausa, próbując skierować swoje myśli gdzie indziej.

- Od kilku stuleci.

- Dlaczego się do nich przyłączyłeś? Nie wyglądasz na takiego, który daje się omamić sektom - drażniłam się z nim.

- To nie sekta.

- Odpowiedz mi na pytanie.

- Ponieważ i mnie zależy na utrzymaniu równowagi - odparł ku mojemu zdumieniu Danaus. Rzadko odpowiadał na pytania dotyczące jego samego.

- A czym się zajmowałeś przed Temidą? - Pragnęłam się dowiedzieć, dlaczego taki cień czaił się w jego pięknych oczach. Jakie zbrodnie widywał i czy sam nie był ich sprawcą?

- Polowałem i tępiłem zło.

- To brzmi dość mgliście - stwierdziłam. - Jaka definicję zła uznajesz?

- Boską.

- A więc spędziłeś życie, polując na nocnych wędrowców, bo ktoś uznał, że jesteśmy złem. - Chwilowe ocieplenie, jakie zapanowało w stosunkach między

nami, rozwiało się. Zaciśnęłam palce, wbijając sobie paznokcie we wnętrze dłoni.

- Zabijacie - rzekł Danaus.

- Zaczynasz gadać jak James. - Na pewien czas zapomnieliśmy, że nadal reprezentujemy przeciwne strony; że współdziałamy na mocy chwilowego i kruchego rozejmu. - To ludzie zabijają. Wy zabijacie. A więc i my też. Czynimy to, żeby przetrwać.

Pełne napięcia milczenie zawisło ciężko w powietrzu. Danaus zjechał z szosy i nagle w wozie zrobiło się ciemniej. Otworzyłam oczy i zdołałam dostrzec tylko fragmenty nieba poprzez korony drzew, które rosły wokoło, przesłaniając połówkę księżyca.

Danaus wyemanował moce, które ogarnęły mnie swoim ciepłem i złagodziły moje napięcie.

- Tu nie ma naturi.

- Jesteś tego pewien? Nie udało ci się wyczuć Rowe'a – powiedziałam, żałując, że nie mogę usiąść i sama się rozejrzeć.

- Tutaj nie ma żadnych naturi – powtórzył spokojnie Danaus.

- Jak to jest, że potrafisz ich wyczuwać, podczas kiedy ja nie mogę? – zapytał Tristan.

Rozluźniając palce zaciśnięte w pięść, zmusiłam się do tego, by się odprężyć. Musiałam oszczędzać energię, żeby przetrwać następnych kilka minut. Mrok znowu zasnuwał mi wzrok i nie potrafiłam już dłużej utrzymać otwartych oczu. Moje ciało próbowało zaleczyć ranę, ale bez świeżej krwi nie mogło sobie z tym poradzić. W tamtej chwili zużywałam większość energii na utrzymanie się przy życiu.

- Bo oni stanowią esencję samego życia, a ty już nie żyjesz.

- Ale ja potrafię wyczuć ciebie i inne żywe istoty – wyszeptalam.

- Możecie wyczuwać wszystkie istoty ludzkie albo przynajmniej te, które rozpoczęły życie jako ludzie, ponieważ częściowo nadal macie ludzką naturę. Świat naturi jest przed wami zamknięty.

- W takim razie jak nocnym wędrowcom udało się odseparować ich od tego świata?

- Tego nie wiem.

- To zastanów się nad tym, dobrze? – powiedziałam, a moje słowa brzmiały coraz ciszej i słabiej.

Danaus zatrzymał samochód i zgasił silnik. Zrezygnowałam z prób rozglądnięcia się po okolicy i wniknęłam znowu w umysł Tristana. Był przerażony, ale trzymał się dzielnie. Patrzył na wielki gmach, który wyłonił się przed nami. We wszystkich oknach paliły się światła, pomimo tak późnej pory. Najwyraźniej niespodziewani przybysze wywołali tu spore zamieszanie.

Tristan przeczesał już zmysłami wnętrze posiadłości, z łatwością odnajdując w środku Michaela i Gabriela. Chociaż nie znał żadnego z nich, potrafiłam w

jego myślach rozpoznać moich obu aniołów. Sadira pozostawała w ukryciu, a Tristan nie palił się, by wysiąść z wozu. Powiedziałam do niego w myślach:

Ona miała się tu ukryć. Ona tutaj jest.

Na pewno?

Na sto procent.

Wyszłam z umysłu Tristana, ale wciąż wyczuwałam coś jeszcze w powietrzu. Przez chwilę sądziłam, że to Tristan albo Danaus, ale źródło tej mocy było inne. W tym budynku znajdował się magik i to bardzo potężny.

Cicho się zaśmiałam, kiedy Danaus otwierał Tristanowi drzwi.

- O co chodzi? – zapytał. Pewnie myślał, że postradałam myśli.

- Są tu jakieś ciekawe osoby. Nie mogę się doczekać spotkania z nimi – odpowiedziałam. Oczywiście pod warunkiem, że Sadira zdoła postawić mnie na nogi.

Rozdział 22

Zamrugałam na widok jasno oświetlonego wejścia. Usiłowałam podnieść rękę i zasłonić oczy, zbytnio mi jednak ciążyła, bym mogła nią poruszyć. Wtuliłam więc głowę w obnażoną, wymazaną krwią pierś Tristana, który wniósł mnie do środka budynku. Pozapalali tu wszystkie światła, podobnie jak przedtem uczynił Jamek, próbując w ten sposób ochronić się przed mrocznymi stworami. Zanim zamknęłam oczy, mignęły mi przed nami wielkie marmurowe schody w holu. Z lewej i prawej strony korytarza drzwi były szeroko otwarte, a odgłosy kroków odbijały się echem od drewnianych podłóg, kiedy ludzie zbiegali się, aby popatrzeć na mnie i Tristana.

- Sadira – powiedziałam bardzo cicho do Tristana, muskając ustami chłodną skórę na jego piersi. Nie byłam pewna, czy ktoś może mnie jeszcze dosłyszeć. Świat wokół zanikał – ból osłabł i nie czułam już ramion tego, który mnie trzymał.

- Miro? – Zaniepokojony Tristan domagał się odpowiedzi, ale nie miałam już siły wydobyć z siebie głosu. – Sadira! Gdzie ona jest? Mira umiera.

Na to pytanie, zadane przez młodego nocnego wędrowca, rozległ się przerażający dźwięk, coś jak krzyk pomieszany z warczeniem. To była Sadira. Znałam jej głos. Przez lata odbijał się w moim mózgu echem, od którego nie sposób uciec.

Delikatne dłonie dotknęły mojej twarzy, obracając głowę.

- Miro! Otwórz oczy i spójrz na mnie! – rozkazała Sadira.

Zamrugałam, ale po chwili zaniechałam tych prób. Oblizawałam wargi.

- Mamy... problemy – wyszeptałam.

Sadira zaklęła cicho, a potem delikatnie złożyła pocałunek na mojej skroni.

- Potrzebne mi jakieś spokojne miejsce – powiedziała.

Na pewien czas opuściły mnie wszelkie myśli. Ledwie byłam świadoma tego, że Tristan gdzieś mnie przenosi pośród chaotycznego szmeru wzburzonych głosów i hałasu trzaskających drzwi. Cicho jęknęłam, gdy ułożył mnie na czymś twardym, co mogło być blatem stołu. Ostre światło wreszcie przygasło i w końcu zdołałam otworzyć oczy. Wysokie regały z książkami stały przy ścianie po mojej prawej stronie, a pomiędzy nimi wisiały portrety ludzi o ponurych twarzach i siwych włosach.

- Znaleźli nas... - wydusiłam, zamykając ponownie oczy. Nie było już czasu. Musiałam zrelacjonować Sadirze, co się wydarzyło, aby ona mogła opowiedzieć o tym Jabariemu. Tylko on był w stanie powstrzymać naturę. – Zabili Thorne’a. Trzeba poszukać kogoś innego.

- Wiem – odpowiedziała szeptem Sadira. Pewnie Tristan już opowiedział jej o wypadkach tego wieczora, gdy ja balansowałam na granicy przytomności. Sadira stała teraz koło mnie. Przesuwała drobną dłoń po moim czole, odgarniając mi włosy z twarzy. – Ale teraz trzeba cię uleczyć.

- Triada...

- To na razie nie jest najważniejsze. Teraz chodzi o ciebie. – Pocałowała mnie w policzek, a potem w czoło. – Musisz się odprężyć.

- Jestem zmęczona. Taka... zmęczona.

Pograżona w bólu poczułam, jak coś nagle porusza mój umysł, ale kiedy próbowałam się na tym skupić, wymykało się, wtapiało się w wir, który pochłaniał moje myśli. Spróbowałam znowu uchwycić ten ruch, a wtedy ból zniknął.

Otworzyłam oczy i krzyknęłam. Znikły regały z książkami i portrety ludzi o surowych obliczach, podobnie jak lśniąca podłoga, poplamiona moją krwią. Wokoło ujrzałam zimne kamienne mury i pochodnie w kinkietach z kutego żelaza rozświetlające wielką salę. To był loch pod zamkiem Sadiry w Hiszpanii, gdzie nastąpiło moje odrodzenie.

Kolejny paniczny krzyk podszedł mi do gardła, kiedy usiadłam i obróciłam się wokół, by dokładnie przyjrzeć się tej komnacie. To nie mogło być tamte miejsce. Kiedy zamykałam oczy, konałam na stole w Anglii. Sadira, w odróżnieniu od Jabariego, nie potrafiła w jednej chwili przenieść się w odległe miejsca. To nie mogło dziać się w rzeczywistości.

- To nie dzieje się w rzeczywistości. – Jej eteryczny głos wypełnił na chwilę powietrze, zanim przeszła przez kamienny mur po prawej stronie i stanęła obok długiej kamiennej płyty, na której siedziałam. – Ból odbierał mi ciebie. Musiałam oddalić cię od tego bólu, żeby móc cię uleczyć. Rany są... poważne. Uszkodzone zostały narządy wewnętrzne, w tym również serce. Umierałaś.

- Wiem. - Westchnęłam. Strach wędrował mi wzdłuż kręgosłupa, wbijając w plecy swoje szpony. Mogłam wmawiać mózgowi, że to nie dzieje się naprawdę, ale narastający paniczny lęk nie chciał się z tym pogodzić. Wszystko to wydawało się realne, namacalne, miało prawdziwą woń. - Ale dlaczego tu jesteśmy?

- Musisz mi zaufać - powiedziała Sadira z łagodnym uśmiechem, przechylając nieco głowę na bok. - Ten jedyny raz w życiu zaufaj mi całkowicie.

Prychnęłam mimowolnie, opuszczając nogi na podłogę; oddzielał nas teraz kamienny blat.

- Nigdy ci nie ufałam.

- Kłamiesz - rzekła surowym tonem. - Leżałaś bezradna noc w noc przez dziesięć lat, całkowicie zależna ode mnie, a ja utrzymywałam cię przy życiu. I wcale nie wątpiłaś w to, że będę do ciebie powracać.

Wstałam, składając ręce na piersiach. Kątem oka dostrzegałam, że Sadira mnie obserwuje, przypatruje się mojej reakcji. Wiedziałam, że ma rację. Zaufałam jej niegdyś, by wprowadziła mnie do swego świata; by mnie nie porzuciła. Ale wtedy miałam do wyboru albo to, albo śmierć.

Przez moment obraz Sadiry zafalował i zwróciłam się ku niej, odruchowo wyciągając rękę w jej stronę, lecz moja dłoń przeszła przez nią.

- Rozległe rany... - Jej głos rozległ się szeptem w powietrzu, choć usta Sadiry się nie poruszyły. Trudno jej było leczyć moje rany i równocześnie utrzymywać ową iluzję. Ból przeszył mi klatkę piersiową i zaczęłam wciągać się pod jego wpływem, przyciskając czoło do kamiennego blatu przed sobą. Przez kilka sekund nie odczuwałam niczego poza tym bólem, lecz po chwili cofnęłam się, jak morska fala odpływająca od brzegu.

Kiedy znów się podniosłam, Sadira stała przede mną. Na jej bladej twarzy malowało się napięcie, ale znowu była ze mną.

- Bardzo rozległe obrażenia. Szkoda, że nie mogę skontaktować się z Jabarim - rzekła, nie patrząc na mnie. - No, ale wtedy on mógłby skorzystać z okazji i zabrać cię do siebie.

Poczułam w żołądku skurcz, który nie miał nic wspólnego z ranami, jakie się z trudem zasklepiły. Jabari nie mógł jej pomóc. Tylko Sadira mogła mnie uleczyć. To ona uczyniła ze mnie nocnego wędrowca i wyłącznie jej krew mogła zagoić tkanki, w które niegdyś tchnęła życie. Wahałam się, czy należy jej to powiedzieć. Sadira bardzo niechętnie udzielała wszelkich informacji, w pełni świadoma tego, że kontrolowanie ich przepływu to najlepszy sposób nadzorowania jej dzieci.

- Tylko ty możesz mnie uratować. - Jeśli nawet to wszystko było tylko złudzeniem, słowa, które wypowiadałam, pozostawiły mi gorzki smak na języku.

Radość pojawiła się w oczach Sadiry, kiedy podniosła na mnie wzrok.

- Chciałabym, żeby tak było. Jabari obserwował cię od chwili, gdy znalazłam cię w Grecji. Pozwolił mi cię zatrzymać, pod warunkiem że obiecuję przyprowadzić cię do niego, kiedy tylko tego zażąda. A gdy nadszedł czas wprowadzenia cię w mrok, uzgodniono, że będziesz należała do Pierwszej Krwi.

- Co to znaczy „uzgodniono”? - Taki zwrot sugerował, że i inni brali udział w dysputach o moim losie, choć przebywałam wyłącznie u Sadiry, pośród jej

dziątek. Jeszcze jako istota ludzka bywałam dla rozrywki ściągana przed oblicze Sabatu i różnych Starożytnych, lecz Jabariego nigdy wśród nich nie było.

- Jabari przedyskutował to z Taborem. - Sadira sięgnęła ponad blatem i ujęła moją rękę w swoje dłonie. - Moja krew płynie w twoich żyłach...

Ukształtowałam cię i dałam ci wieczne życie, ale uczynili to także Jabari i Tabor.

- Nie! - Wyszarpnęłam rękę z jej uścisku i cofnęłam się o krok. - Nie pamiętam ani jednego, ani drugiego.

- Bo ledwie żyłaś. Wtedy łatwiej było manipulować twoimi wspomnieniami.

- Nie rozumiem - powiedziałam, odchodząc od stołu. Nie słychać było żadnego dźwięku, nawet odgłosu moich kroków na kamiennej posadzce. Słyszałam tylko nasze głosy, gdyż właśnie dlatego się tam znalazłam, a nie po to, by ukoić mój ból. Było coś, co ona musiała mi wyznać, bez względu na to, czy pragnęłam tego wysłuchać, czy nie. - Dlaczego?

- Byłaś inna, Miro. - Sadira podeszła do krawędzi kamiennej płyty i zaczęła ją obchodzić, ale przystanęła, gdy cofnęłam się, chcąc zachować między nami pewien dystans. - Nie było takich ludzi jak ty. I nie chodziło tylko o twoją umiejętność panowania nad ogniem. Wyczuwaliśmy w twojej duszy nieznaną wcześniej energię. Tak więc postanowiliśmy zrobić z ciebie nocnego wędrowca, ale wiedzieliśmy, że musisz należeć do Pierwszej Krwi, żeby istniała jakaś szansa zachowania tej energii.

- A zatem zrobiliście ze mnie istotę Pierwszej Krwi. To był efekt zawartego porozumienia. Ale co z Jabarim i Taborem?

- Czy sądzisz, że Jabari pozwoliliby mi stworzyć istotę, która teoretycznie mogłaby go zniszczyć? - zapytała Sadira z niedowierzaniem w głosie. - Oczywiście, że nie. Jednak skoro jego krew płynie w tobie, był pewny, że poczujesz się do niego przywiązana, co go ochroni przed twoimi wybuchami. Dzięki temu mógł też w dowolnej chwili ustalić, gdzie przebywasz.

Zwróciłam się plecami do Sadiry, a lodowaty dreszcz przebiegł przeze mnie, gdy poczułam ból w piersi. Był dużo mniej intensywny niż wcześniej, ale przypominał mi, że istniał inny świat, do którego musiałam powrócić. Wpatrywałam się w swoją odsłoniętą rękę, w bladą, prawie białą skórę bez skaz i blizn. W tym złudzeniu moje poranione nadgarstki nie spływały krwią. Mniejsza o to. Skupiłam uwagę na sinych żyłach pod skórą. Płynęła w nich krew Jabariego i po części dlatego wiedziałam ten żywot.

- A jednali sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewaliśmy.

Na te słowa Sadiry gwałtownie uniosłam głowę. W milczeniu obeszła blat i wsparła się na nim. Splotła na brzuchu swoje szczupłe ręce.

- A co się wydarzyło?

- Pozostałaś... sobą - odparła z uśmiechem i dziwnym, ponurym błyskiem w oczach.

- Co to, u diabła, znaczy?

- On uznał, że łatwiej cię będzie kontrolować jako wampirzycę, nie zabijając za twoje ludzkie słabostki. Bo nie chciałaś mi się podporządkować. Nie miałaś ochoty okazywać posłuszeństwa żadnemu ze Starożytnych, z którymi się zetknęłaś. A ja nie chciałam cię oddać, więc zostałam uprowadzona.

Zareagowałam na to wymuszonym, krótkim śmiechem. Nie wierzyłam już w jej historyjkę, chociaż dotąd brzmiała całkiem wiarygodnie.

- Porwali mnie naturi, obie o tym wiemy.

Na jej bladej twarzy pojawił się wyraz politowania. Pokręciła przecząco głową.

- Pomyśl tylko, moja Miro. Zanim cię uprowadzono, podróżowałyśmy na zachód, powracając z Wiednia. Tylko we dwie, ty i ja. Ukryłyśmy się tuż przed świtem w małej wiosce na zachód od Pirenejów. Nikt nie wiedział, gdzie jesteście. Odnaleźć mogli cię tylko ci, którzy cię stworzyli.

- Nie! - krzyknęłam, wzdrygając się, gdy echo tego słowa zahuczało mi się w mózgu. Zrozumiałam, co ona ma na myśli, i trudno było się z tym pogodzić. Jabari mógł oddać mnie w ręce naturi pięć wieków temu. I mógł uczynić to również teraz. Po bitwie w Machu Picchu wpadłam w jego ramiona na stulecie, ufna w jego siłę. Wieki później naturi odnaleźli mnie na moim terytorium i ponownie w Egipcie, znów zapędzając w otwarte ramiona Jabariego.

Wszystko tu niby do siebie pasowało, ale nie wierzyłam w prawdziwość tej historii. Jabari nienawidził naturi. Nic posłużyłby się nimi przeciwko nocnemu wędrowcy. Zresztą nie musiał. Jeśli czegoś chciał, po prostu wydawał rozkazy, a każdy nocny wędrowiec okazywał mu posłuszeństwo. Ja nie przyjmowałam poleceń od nikogo... z wyjątkiem Jabariego, ponieważ ocalił mnie przed naturi.

Zgrzytając zębami, odsunęłam się jeszcze dalej od Sadiry. Myśli wirowały mi w głowie. Czy wyznawała mi prawdę? Wiedziałam, że nie można jej ufać.

- Po co mi to mówisz? - warknęłam, nie chcąc na nią patrzeć.

- Bo on szuka kogoś na twoje miejsce - odpowiedziała szeptem.

Opuściłam ręce wzdłuż boków i obróciłam się, by spojrzeć na swoją stwórczynię.

- Jak to?

- Tak samo, jak my stworzyliśmy cię - powiedziała, wzruszając ramionami. - Dopomogłam w stworzeniu dziesiątków innych, ale wiem, że byli i tacy, w wykreowaniu których nie brałam udziału. Żadna z tych istot nie przetrwała nawet roku.

- Dlaczego? Co się stało?

Sadira pokręciła głową, opuszczając wzrok na swoje splecione dłonie.

- Nieważne. Obawiam się jednak poważnie, że pewnego dnia może mu się to udać.

- Uważasz, że wtedy przestanę już być dla niego użyteczna? - Czy coś z tego było prawdą? Już sama nie wiedziałam, w co wierzyć. Mój wzrok wędrował po komnacie, w której mieszkałam przez dziesięć lat. Wtedy był to cały mój świat.

To Sadira obdarzała mnie przez te wszystkie lata ciepłem, współczuciem i miłością. Czy to też było kłamstwem?

- Wiem, że nie czujesz do mnie miłości, ale jesteś moim dzieckiem, moją ukochaną córką. Nie chcę, aby on odebrał ci życie, bo uważa, że już mu się nie przydasz - rzekła Sadira półgłosem.

Ja też nie chciałam, by pozbawił mnie życia, nie miałam jednak zamiaru szukać schronienia w ramionach Sadiry. Nie była to wcale kusząca perspektywa.

- Dlaczego tamci zginęli?

Sadira pokręciła głową, a jej wizerunek znowu poruszył się jak fale. Równocześnie wzmógł się ból w mojej piersi.

- Zbliża się świt. Porozmawiamy jeszcze później.

Zanim zdołałam ją powstrzymać, przeszył mnie ból i otworzyłam raptownie oczy. Znow znalazłam się w bibliotece, w otoczeniu wysokich regałów z książkami i portretów ponurych ludzi. Blask świec migotał, rzucając wokół cienie. Sadira siedziała na skraju stołu obok mnie. Białą koronkową chusteczką ocierała sobie krew z przegubu dłoni. Skórę miała tak bladą, że niemal przezroczystą, a jej oczy wydawały się bardziej zapadnięte i podkrążone. Wyczuwałam jej krew w swoich ustach, ale dostałam jej za mało. Najgorsze z ran zasklepiły się dzięki krwi Sadiry, lecz wciąż jej brakło.

Posmak krwi Sadiry wywołał głuchy ryk w mojej piersi. Monstrum ukryte w mojej duszy przebudziło się i głośno domagało się krwi. Zacisnęłam zęby, próbowałam się opanować. W takim stanie łatwo mogłabym teraz zabić kogoś, żeby pożywić się jego krwią.

Gabriel.

Wyszeptałam jego imię w myślach, wysyłając ciche błaganie do jego mózgu. Żał mi go było, gdy wszedł do pokoju i wziął mnie w ramiona. Zawsze dotąd postępowałam tak, aby chronić go przede mną, kiedy zatapiałam kły w jego krtani i syciłam się krwią.

Monstrum ryczało i szarpało mi duszę na strzępy, lecz nie uległam jego żądaniu, by do końca wysączyć krew Gabriela. Wypiłam jej tylko tyle, aby starczyło mi na kolejny dzień. Budząc się o zachodzie słońca miałabym na tyle sił, żeby zapolować i uzupełnić to, co straciłam.

Oderwałam usta od szyi Gabriela. W jednej chwili zagoiłam rany. Oparłam głowę na jego piersi. Serce biło mu mocno, a jego rytm wibrował w moim osłabionym ciele. Od Gabriela biła woń korzennych przypraw, bawełny i steku. Uśmiech zaigrał mi na ustach, odprężyłam się w objęciach swojego strażnika. Temida okazała się na tyle uprzejma, że ugościła moich aniołów kolacją. Przynajmniej tutaj byli bezpieczni.

- Niewiele brakowało, a źle by się to dla ciebie skończyło - mruknął Gabriel, pocierając podbródkiem o czubek mojej głowy. Przytulił mnie mocniej, uważając przy tym, żeby nie naruszyć świeżo zabliznionych ran.

Odchyliłam głowę i szybko pocałowałam go w policzek, a potem delikatnie wyswobodziłam się z jego objęć. Pokój wirował mi przed oczami, a kończyny

drżały. Byłam osłabiona, cała obolała. Ciągłe czułam głód, ale mogłam teraz nad nim zapanować.

- Już dnieje - powiedziała cicho Sadira, a ja skinęłam głową. Czas uciekał. Do świtu pozostało niespełna piętnaście minut, a musieliśmy jeszcze znaleźć miejsce na bezpieczny nocleg.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu popatrzyłam na siebie. Moja jedwabna bluzka była w opłakanym stanie. Miała postrzępione oba rękawy, a z przodu była rozdarta od talii w dół. Jej resztki, a także moje skórzane spodnie całe przesiąkły krwią. W istocie moja krew była wszędzie: na moich rękach i twarzy, na stole, na Sadirze i na Gabrielu. Rzeczywiście niewiele brakowało do nieszczęścia.

Gdy dotknęłam stopami podłogi, poczułam, że kolana uginają się pode mną, ale Gabriel schwycił mnie za łokieć i pomógł ustać na nogach. Pomyślałam, że będzie ciężko. Potrzebowałam odpoczynku.

Odgłos kroków na drewnianej podłodze świadczył tym, że ktoś zbliża się do biblioteki. Drzwi się otworzyły do pokoju wszedł Tristan, a za nim Danaus, Michael i James. Sadira wyciągnęła rękę do Tristana. Młody nocny wędrowiec zawahał się na chwilę, zerknął na mnie, a potem podszedł do Sadiry, pozwalając się jej objąć. Stał sztywno, lekko przytrzymując ją rękami w talii; oczy miał zamknięte. A ona wniknęła w jego umysł, zajęta tym, by ściągnąć go z powrotem do swego kręgu. Złożyłam mu wcześniej pewną obietnicę, ale nie mogłam jej teraz spełnić. W tej chwili nie byłam w stanie nikomu dopomóc.

Michael ominął Danausa i zbliżył się do mnie. Na jego przystojnej twarzy, pobladłej ze zmartwienia, pojawiły się zmarszczki. Objął mnie zdrową ręką i przytulił do siebie. Jego ciało drgnęło lekko, gdy go dotknęłam, przebiegł je dreszcz ulgi. Niestety musiałam się od niego odsunąć. Wciąż byłam zbyt wygłodniała. Musiałam się pożywić, a odgłos bicia jego serca w połączeniu z dudnieniem serca Gabriela doprowadzały mnie na skraj obłędu.

Odstąpiłam od swoich dwóch aniołów i trzymając się ręką krawędzi stołu dla zachowania równowagi, popatrzyłam na Danausa, który obserwował od progu to nasze powitanie.

- Zbliża się świt. Nie mamy wyboru, musimy tu pozostać. Potrzebne jest nam pomieszczenie bez okien, najlepiej w piwnicy, z drzwiami zamykanymi od wewnątrz.

- Da się załatwić - stwierdził Danaus, kiwając głową.

James stał tuż za plecami Danausa i oszołomiony rozglądał się po pokoju.

- Jamesie, czy mógłbyś przynieść jedzenie i napoje dla moich strażników? - zwróciłam się do niego. - Pozostaną z nami w zamknięciu na czas dnia. Nie chciałabym, żeby opadli z sił.

Skinął głową, jak gdyby wychodząc z transu na dźwięk swojego imienia.

- Coś przygotowuję - powiedział, a potem pospiesznie wyszedł z pokoju.

Sadira, Tristan, Gabriel, Michael i ja wyszliśmy za Danausem z biblioteki i ruszyliśmy korytarzem na tyły budynku. Idąc powoli przez dom, byłam ledwie

świadoma obecności ludzi stojących przy drzwiach i wzdłuż długiego holu, którzy obserwowali ten nasz przemarsz. Większość z nich miała około pięćdziesięciu lat, wyglądali niemal identycznie w szarych garniturach i stonowanych krawatach. Były tu też nieliczne kobiety o bladej cerze i zaczesanymi do tyłu włosami. Zaczynałam się zastanawiać, czy przypadkiem ci ludzie nie widują słonecznego światła tak samo rzadko jak ja.

- Kazałeś mi pozostawić Sadirę wśród bibliotekarzy - jęknęłam, nerwowo przesuwając rękami po włosach. Stłumiłam w krtani bolesny jęk, gdyż ruch ten naruszył dopiero co zagojoną tkankę na piersiach i skórę na brzuchu.

- Nic złego jej się tu nie stało. - Danaus zerknął na mnie przez ramię, zaciskając zęby.

Spojrzałam na ludzi, którzy stali w drzwiach. Na ich twarzach malował się lęk zmieszany z zaciekawieniem.

- Czy wy w ogóle nie sypiacie? - rzuciłam, a potem ruszyłam holem za Danausem, próbując nie zwracać uwagi na szczegóły przemykające mi przed oczami. Musiałam zasnąć, zanim upadnę.

Jednak poza bólem wyczuwałam przez skórę jeszcze coś osobliwego. Nigdy dotąd nie gapiono się na mnie w taki sposób. Ci układni brytyjscy bibliotekarze obserwowali mnie, jak gdybym była jakimś cyrkowym dziwadłem. Albo potworem.

Piwnica nie przypominała tych, które znałam - była sucha, pozbawiona wszechobecnej woni pleśni. Sięgające sufitu półki, pełne książek i bardzo starych zwojów, zajmowały całe ściany. Nie miałabym nic przeciwko spędzeniu tu dłuższego czasu, by zapoznać się z różnymi historiami, jakie ci ludzie zgromadzili. Większość z tych zapisków była zapewne pełna uprzedzeń i strasznych nieporozumień, ciekawe jednak, jak ludzie postrzegają inne istoty ze swojego otoczenia. Szłam dalej za Danausem, a stukot moich obcasów odbijał się echem od kafelkowej posadzki.

Na końcu tego pomieszczenia znajdowała się ściana z masywnymi drzwiami obitymi blachą. Danaus otworzył je, a mięśnie jego ramion napięły się pod wpływem wysiłku. Przesunął dłonią po ścianie i zapalił górne światło, którego źródłem była jedyna goła żarówka. Wewnątrz dostrzegłam kilka zakurzonych skrzyń i pudeł. Był to rodzaj magazynu, gdzie najwyraźniej nie zagładano zbyt często. Sadira weszła do środka i zmarszczyła czoło.

- Tylko na jeden dzień - przypomniałam jej znużonym tonem.

- Potrzebne wam koce albo coś w tym rodzaju? - zapytał Danaus trochę niezręcznie.

- Nie - odparłam, śmiejąc się cicho. Podejrzewałam, że Sadira, Tristan i ja zginiemy, kiedy wszędzie słońce. - Byłabym tylko wdzięczna za trochę jedzenia dla Michaela i Gabriela. Łatwiej będzie im spędzić ten dzień.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Naprawdę zależy ci na nich - rzekł cicho, jakby nie chcąc przyjąć tego do wiadomości.

- I to bardzo - odpowiedziałam prawie szeptem, przez moment zerkając na swoich aniołów. - Nie jestem potworem z waszych koszmarów. Jak sam stwierdziłeś, nadal tkwi we mnie coś ludzkiego.

W tym momencie zjawił się James, podbiegając ku drzwiom piwnicznego pomieszczenia z wielkim koszem w rękach. Odstąpiłam od drzwi i umożliwiłam Gabrielowi wzięcie kosza. James po wszystkich przygodach tej długiej nocy był trochę potargany i nie miał na sobie krawata.

- Jeżeli chcecie, możemy na zmianę was pilnować, żeby oni mogli odpocząć - zaproponował Danaus.

- Nie! - rzekłam ostro. Nowy przyływ lęku trochę mnie otrzeźwił. - Nikt tu nie będzie wchodził ani stąd wychodził. - Zwróciłam spojrzenie ku Michaelowi i Gabrielowi, którzy sprawdzali pomieszczenie. - A wy nie wpuszczajcie nikogo poza Danausem. Nikogo innego!

Kiwnęli głowami, kontynuując inspekcję.

Z wahaniem wkroczyłam do środka i zwróciłam twarz w stronę Danausa, który wycofał się z pomieszczenia. Wyjął z zamka w drzwiach ciężki żelazny klucz i wręczył go mnie, żebym mogła zamknąć się od wewnątrz. Nie spytałam go, czy to jedyny taki klucz. Nie chciałam znać odpowiedzi, słuchać jak Danaus kłamie, jeśli mieli inny, zapasowy.

- Miłych snów - powiedziałam. Próbowałam się uśmiechnąć, ale wiedziałam, że w moim spojrzeniu nie było nic wesołego.

Danaus wyciągnął rękę i powoli odgarnął kosmyk włosów, który opadł mi na oczy. Jego piękne szafirowe oczy pieściły moją twarz, jakby usiłując zapamiętać moje rysy.

- Ty też śpij dobrze - odpowiedział w końcu, zanim zamknął drzwi.

Ręka mi drżała, kiedy wkładałam zimny klucz do zanika i przekręcałam go; metal zazgrzytał o metal. Pewnie już od dawna nikt nie próbował używać tego zamka. Rzuciłam klucz Gabrielowi. W jednym z kątów Michael już grzebał w wielkim koszu z jedzeniem. Mieliśmy za sobą długą noc i liczyłam na to, że obaj prześpią się nieco, czuwając na zmianę; nie wiadomo, co przyniesie nam wszystkim jutro.

Pod przeciwległą ścianą Sadira i Tristan leżeli na zakurzonej podłodze, spleceni ramionami. Oczy mieli zamknięte, pogrążeni już w dziennym śnie. Musieliśmy spać, kiedy wschodziło słońce. Podczas długich godzin nocnych byliśmy bogami wśród ludzi, czyniąc to, co zwykłym śmiertelnikom nie mieści się w głowach. Kiedy jednak tylko wyłaniało się ponad ziemią słońce, stawaliśmy się całkiem bezradni, nie mogąc się bronić. Usiadłam na skrzyni przy ścianie i wyciągnęłam nogi. Wyczekiwałam z ramionami skrzyżowanymi na piersi, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. Nie chciałam zamykać oczu pomimo zmęczenia, jakie odczuwałam. Nie chciałam, aby nadszedł świt, odbierając mi zdolność do samoobrony.

A jednak nadszedł, wbrew moim oporom. Czułam, jak noc wydaje ostatnie słabe tchnienie, by wreszcie skurczyć się i odejść. Światło dnia stopniowo

wzmagalo się na widnokregu, a szare niebo ustępowało miejsca ciepłym żółtym i różowym barwom, które niegdyś obserwowałam, patrząc w młodości na chmury. Pomimo faktu, że odrodziłam się jako dwudziestopięciolatka, wszystkie moje wspomnienia brzasku pochodziły z okresu wczesnej młodości. Przypominałam sobie, jak schodziłam na morski brzeg, by wpatrywać się w słońce wspinające się po niebie; jak jego delikatne promienie tańczyły na falach. Krzyki mew wypełniały powietrze, gdy ptaki te opuszczały swoje nocne gniazda.

Kiedy teraz niebo się rozświetliło, całe moje ciało stężało, starając się utrzymać moce w swojej kruchej powłoce. A jednak, mimo moich usilnych prób, stale wymykały się one przez skórę, spływając ku ziemi. Zamknęłam oczy, wyczuwając Danausa, który trzymał straż za drzwiami. Jego moc i ciepło spływały na mnie, ochraniając mnie. Usiłowałam wysłać resztkę swojej mocy, by zetknęła się z jego ciepłem. Łowca nadal nas chronił. Mógł pozostawić Tristana i mnie w lesie, abym tam skonała, a sam powrócić do siedziby Temidy i zabić Sadirę. Chociaż twierdził, że moja rasa to źródło wszelkiego zła, dwukrotnie ocalił mnie przez Rowe'em, a teraz strzegł mnie przed swoimi ludźmi w chwili mojej największej słabości.

Rozdział 23

Krzyk wydarł się z mojego gardła i otworzyłam raptownie oczy. Śniło mi się Machu Picchu, a Nerian stał blisko z nożem w dłoni. Tym razem leżałam na wzniesieniu Intihuatana, on zaś przygotowywał się do tego, by wyciąć mi serce. Chwilę trwało, zanim powróciłam do rzeczywistości. Mrugając powiekami, ujrzałam stojącego obok Michaela, który ciepłymi rękami obejmował moją twarz. Wysunęłam się z jego objęć i przywarłam plecami do chłodnej kamiennej ściany. Poczulałam na sobie zaniepokojony wzrok Sadiry. Nie winiłam jej za to, że się boi. Miałam ją chronić, a tymczasem odchodziłam od zmysłów z powodu złych snów, które przecież nie powinny były mnie nawiedzać.

- Myślałam, że pozbyłaś się już koszmarów - powiedziała łagodnym głosem. Tristan stał obok niej, obejmując ręką jej szczupłe ramiona. Był tak nieruchomy jak marmurowy posąg. Ujrzałam jednak błysk niepokoju w jego oczach.

- Powróciły. - Tylko trochę się zdziwiłam. Zwlokłam się ze swojego legowiska na stercie skrzyń. Wciąż czułam się obolała. - To nic takiego. Która godzina?

- Dwie godziny po zachodzie słońca.

Z trudem powstrzymałam przekleństwo, które cisnęło mi się na usta. Nigdy nie sypiałam aż tak długo. Koszmary w połączeniu z ranami wycieńczały mnie, zmuszając do dłuższego odpoczynku. Z tego powodu byłam bardziej bezbronna nie tylko w obliczu ludzi i natury, lecz również innych nocnych wędrowców.

- Idziemy stąd.

Wyciągnęłam rękę i Gabriel rzucił mi klucz. Był rozczochrany i wydawał się nieco zmęczony, ale poza tym chyba miał się dobrze. Michael pozbył się już prowizorycznego temblaka i jakby poruszał się trochę szybciej. Obaj odzyskali też rumieńce po mojej ostatniej uczcie. Przekreśliłam klucz w zamku i z łatwością otworzyłam drzwi, a ich metalowe zawiasy zaskrzypiały w ciszy. Przeszliśmy przez piwnicę i skierowaliśmy się w górę schodów, gdzie czekał na nas James. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że ma na sobie dżinsy i zielony podkoszulek łowcy. Trochę dziwnie wyglądał w tym stroju, choć włosy miał przyczesane, a koszulkę starannie włożoną do spodni. Jego beżowy pasek nawet pasował kolorem do ciemnobrązowych butów.

- Ładny strój - powiedziałam, uśmiechając się lekko.

James zaczerwienił się i odruchowo wyciągnął rękę, by poprawić krawat, którego nie założył.

- Miałem wrażenie, że jestem trochę przesadnie wystrojony na spotkanie z wami.

- Bez wątpienia.

- Opuszczacie nas teraz?

- Wkrótce. Gdzie Danaus?

- Chyba odpoczywa. Przez cały dzień stał na straży w piwnicy.

Oblałam się rumieńcem na myśl, że Danaus siedział tuż za drzwiami, kiedy leżałam bezbronna. Poczułam się ważna... niemal hołubiona. Nie spodziewałam się, że łowca będzie tam tkwił przez cały dzień.

- Czy jeszcze go potrzebujemy? - spytała Sadira zza moich pleców, przypominając, że to ona, a nie ja, jest tutaj najważniejsza. Ja tylko uczestniczyłam w grze, którą prowadził Rowe.

Odwrociłam głowę, zerkając na nią spod oka.

- Nie, chyba nie - odparłam z wahaniem. Przywykłam już do obecności Danausa, który mnie osłania, nawet jeśli miał mi wbić nóż w plecy przy pierwszej nadarzającej się okazji. - Musimy odnaleźć Jabariego i kogoś na miejsce Tabora.

- A potem dokąd się wybierzemy? - Cichy głos Sadiry zdradzał lęk i niepewność.

- Z powrotem do Londynu. Mój odrzutowiec czeka na lotnisku. Możemy polecieć do siedziby Sabatu. Jeśli zastaniemy tam Jabariego, porozmawiamy z nim. To najbezpieczniejsze miejsce, jakie przychodzi mi do głowy. Możesz tam zostać, a ja sprowadzę kogoś, kto zastąpi Tabora, lub poszukam miejsca wybranego na złożenie kolejnych ofiar.

- Pokażę wam pokój, z którego możecie korzystać - powiedział James, prowadząc nas korytarzem. Otworzył drzwi i moi dwaj strażnicy weszli do środka pierwsi, trzymając broń w pogotowiu. Byli dobrzy w swoim fachu i obserwując ich, poczułam przyływ dumy. Weszłam do pokoju dopiero wtedy, gdy Gabriel kiwnął głową, że wszystko w porządku.

Sadira usadowiła się na bogato zdobionym krześle w rogu pokoju, dzięki czemu miała wszystko na oku. Nie przetrwalibyśmy tak długo, gdybyśmy się nie nauczyli ostrożności. Naturalnie w moim przypadku trzeba było mieć również szczęście.

Rozejrzałam się po przytulnym pokoju i zobaczyłam jasnożółtą prążkowaną tapetę i staroświeckie meble z lekko spłowiałym obiciem w kwiaty. W różnych miejscach stały lampy, rozciągające wokół łagodny, ciepły blask, odganiając cienie do odległych kątów. Na ścianach wisiało kilka portretów i pejzaży.

- Potrzebujecie czegoś? - spytał James. Tak bardzo chciał być przydatny, pomóc w jakiś sposób, nawet jeśli oznaczałoby to tylko przyniesienie jedzenia, że miałam ochotę się uśmiechnąć. Szkoda, że inni ludzie nie postrzegali nas w taki wolny od uprzedzeń sposób.

- Czy masz pod ręką więcej łowców? - zapytałam. - Chciałabym postawić przy drzwiach co najmniej dwóch.

- Nie ma sprawy.

- I potrzebuję jedzenia dla swoich towarzyszy.

- Nie będzie problemu ze sprowadzeniem posiłków dla Michaela i Gabriela, ale... - rzucił nerwowe spojrzenie na Sadirę, która się uśmiechnęła. Choć nigdy by się do tego nie przyznała, zakłopotanie Jamesa sprawiało jej przyjemność.

- Sadira i ja zapolujemy później, poza Warownią - powiedziałam, po czym spojrzałam na Tristana. Nie miałam wątpliwości, że potyczka z zeszłej nocy wzbudziła w nim głód. Nie chciałam mieć przy sobie wygłodniałego wampira, kiedy sama borykam się z podobnymi kłopotami, zwłaszcza w obecności tak wielu ludzi. Byli trudni do opanowania i wyjątkowo niebezpieczni.

- Ja też pożywię się później - odparł Tristan cichym głosem.

- Bardzo dobrze - stwierdził James z lekkim westchnieniem ulgi. - Coś jeszcze?

- Tak, chcę wziąć prysznic.

- Słucham?

- Jestem wampirem, a nie samoczyszczącym się piekarnikiem - rzekłam i na moment przeniosłam wzrok na Sadirę. - Znajdź mi kogoś na miejsce Tabora. Niedługo wrócę. - Zamykając drzwi, ponownie spojrzałam na Jamesa, który oblał się rumieńcem.

- Wybacz, po prostu nie pomyślałem, że... - zająknął się, poprawiając na wąskim nosie okulary w złocistej oprawce.

- Że my wszyscy, długowieczni, też potrzebujemy kąpieli? Sądziłeś, że to magia utrzymuje nas w czystości? - Kładąc dłonie na jego ramionach, delikatnie odwróciłam go w stronę głównego holu. - Załatw mi prysznic, a potem przynieś jedzenie. Jeśli ci się poszczęści, będziesz miał nas z głowy w niecałą godzinę.

James w milczeniu poprowadził mnie schodami na piętro. W głębi korytarza otworzył trzecie drzwi po lewej stronie i moim oczom ukazała się piękna sypialnia. Stało tam wielkie łóżko z baldachimem, a przy przeciwległej ścianie masywne biurko z orzechowego drewna. Pokój był schludny, wysprzątany, a

książki równo poukładane. Zatrzymałam się przy biurku, aby spojrzeć na zdjęcia uśmiechniętej rodziny i jej przyjaciół.

- Ten pokój należy do Melanie Richards, która jest teraz w Stanach, z wizytą u rodziny - wyjaśnił James. - Dałbym ci pokój gościnny, ale w tej chwili jest tam trochę tłoczno.

- Musieliście ściągnąć posiłki? - zażartowałam. Otworzył usta, nie wiedząc, co powiedzieć. Zrobiło mi się go żal. Może dlatego, że w owej chwili nie przypominał bibliotekarza, jak wszyscy pozostali. - Nie mam ci tego za złe - szepnęłam z tajemniczym uśmiechem.

Przeniosłam wzrok z powrotem na zdjęcia, zastanawiając się, która z widniejących tam kobiet jest właścicielką pokoju.

- Pewnie będzie zawiedziona, kiedy się dowie, że przegapiła najazd wampirów.

- Oględnie powiedziane - rzekł cicho James.

- Będziesz musiał jej wyjaśnić, że skorzystałam tu z prysznicza. Może to ją udobrucha - powiedziałam, czując się zupełnie absurdalnie. Weszłam do łazienki znajdującej się przy sypialni. Była niewielka; na pręcie wisiał zestaw zielonych ręczników. Większość osobistych przyborów usunięto, ale na szczęście znalazłam trochę szamponu i żel do kąpieli. Pachniałam dymem i czułam się brudna, pokryta grubą warstwą własnej krwi.

- Czy coś jeszcze mogę zrobić? - zapytał James, kładąc rękę na białym marmurowym zlewie.

- Nie, poradzę sobie, chyba że chcesz zostać i umyć mi plecy?

Tym razem uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Chyba poznał się na moich żartach.

- Zostawię cię tutaj i zajmę się innymi sprawami. - Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju.

Zamknęłam za sobą drzwi łazienki i spojrzałam na siebie w lustrze. Wyglądałam koszmarnie. Rude włosy zwisały mi wokół twarzy w zmatowiałych strąkach, pełne zeschniętej krwi, liści i błota. Twarz i ciało pokryte były smugami krwi i brudu. Wyglądałam jak ohydny, krwiożerczy potwór; tak właśnie wyobrażano sobie wampiry. To, że jeszcze żyłam, świadczyło o moim ślepym szczęściu.

Odwracając się z niechęcią od lustra, odkręciłam gorącą wodę i zdjęłam ubranie. Weszłam do wanny i westchnęłam, kiedy parująca woda ogrzała moje wychłodzone ciało i zaróżowiła cerę. To był najlepszy sposób na rozgrzanie się bez pożywania. Przynajmniej chwilowo sprawiało ulgę. Odprężona, umyłam włosy i usunęłam z siebie ślady potyczek stoczonych zeszłej nocy w pubie, w zaułku i w lesie.

Z rękami opartymi o kafelkową ścianę pozwoliłam, by woda spływała mi po głowie i całym ciele, zmywając brud i mydło. Zamknęłam oczy i wyteżyłam swoje zmysły. Zaczęłam przeszukiwania od parteru, zatrzymując się tam na chwilę. Choć nie mogłam wyczuć Sadiry, potrafiłam wychwycić falowanie

emanującej z niej mocy. Tyle rzeczy ukrywała. Jabari miał mnóstwo powodów, dla których mógł być na mnie zły. Czemu nie dołożyć mu jeszcze jednego? Miałam parę spraw, o których chętnie porozmawiałabym z tym Starszym.

Członkowie Temidy wciąż się niepokoili, krążąc po tej wielkiej rezydencji jak wściekłe pszczoły w ulu. Na drugim końcu pierwszego piętra odbywało się zebranie jakiejś dużej grupy. Nie zatrzymałam się tam, żeby podsłuchać, o czym rozprawiają. Nie obchodziło mnie to. Wkrótce stąd odejdziemy i nigdy już nie będę musiała mieć do czynienia z tymi ludźmi.

Na drugim piętrze odnalazłam Danausa. Wydawał się tak spokojny i odprężony, że najprawdopodobniej spał. Trudno było go przejrzeć, trudniej niż pozostałych ludzi i innych nocnych wędrowców. Jak u większości istot posługujących się magią, jego moce wszystko mąciły. Mogłam wychwycić emocje, ale nie konkretne myśli. Zostałam przy nim dłużej, nasiąkając jego spokojem w taki sam sposób, jak napawałam się wcześniej ciepłem jego mocy. Niechętnie ruszyłam dalej i już miałam się wycofać, kiedy wyczułam w domu innego silnego osobnika posługującego się czarami. Znajdował się na drugim piętrze w dużym pokoju. Wyczuwało się w nim niecierpliwe wyczekiwanie. Pewnie był to ów Ryan.

Potrząsając głową, wycofałam swoje moce i zakręciłam prysznic. Wyciskając nadmiar wody, wysuszyłam włosy ręcznikiem. Niechętnie włożyłam spodnie, buty i stanik. Spódnica była w strzępach. Musiałam pożyczyć coś od panny Richards. Jeśli czas pozwoli, wpadnę do hotelu w Londynie i wezmę swoje rzeczy, zanim stąd wylecimy. Znalazłam pod zlewem szczotkę i przeczesałam włosy, rozplątując kołtuny, jak tylko się dało. Kiedy skończyłam, poczułam się nieco lepiej.

Sięgnęłam do klamki i nagle przystanąłam. W sypialni czekał na mnie Michael. Otworzyłam szybko drzwi i zobaczyłam, że chodzi nerwowo po pokoju.

- Co się stało? - spytałam tak ostrym głosem, że aż podskoczył.

- Nic - odparł, odruchowo sięgając po broń.

- Co tu robisz?

- Pomyślałem, że nie powinnaś być tutaj bez ochrony. Nic mi nie jest. A ty powinienes teraz pilnować Sadiry. Ja sobie poradzę - zapewniłam go, przeczesaując palcami wilgotne włosy. Przyczajony w moim brzuchu lęk na moment ożył.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Coś w nim mnie zaniepokoiło. Wydawał się wyjątkowo spięty; mogłam tylko domyślać się, że to z powodu ciągłych podróży i zagrożenia ze strony natury. Choć nie byłam pewna, czy rozumie w pełni, co nam grozi, to podsłuchał wystarczająco dużo rozmów, by zacząć się w tym orientować.

Podszedł do mnie i przyłożył drżącą dłoń do mojego policzka.

- Martwię się o ciebie. Omal nie zginęłaś zeszłej nocy i wciąż grozi ci niebezpieczeństwo - rzekł cicho, delikatnie całując mnie w skroń. - Roi się tu od łowców wampirów i Bóg jeden wie, od kogo jeszcze. Wiesz, że zrobię wszystko, żeby cię ochronić, ale...

- Ty i Gabriel jesteście od nich lepiej uzbrojeni - powiedziałam, przesuwając dłońmi po jego mocnej piersi. Splatając palce na jego karku, przyciągnęłam go do siebie tak, że jego czoło zetknęło się z moim. Michael objął mnie rękami w pasie, otaczając mnie swoim ciepłem. - Na razie ci łowcy nie stanowią zagrożenia. Poza tym słuchają się Danausa, a on chce, żebyśmy żyła.

Odsunął się, aby móc spojrzeć mi w oczy.

- Próbował zabić cię w Egipcie - przypomniał mi, z trudem powstrzymując złość.

- Twierdzi, że to było nieporozumienie. Ze tamci chcieli go ratować.

- I ty mu wierzysz?

- Nie. - Roześmiałam się, przyciągając jego głowę, by złożyć na jego miękkich wargach krótki pocałunek, który trwał odrobinę dłużej, niż chciałam tego na początku. Michael napiął ramiona, przyciskając mnie do swojego silnego ciała. Jego skóra była ciepła, a serce biło tuż przy mojej piersi. Chciałam już przerwać pocałunek, myśląc o tym, że mam zbyt wiele rzeczy, którymi muszę się zająć, kiedy Michael, przesunął czubkiem języka po moich wargach. Moje ciało zareagowało natychmiast; otworzyłam usta, by jego język mógł się w nie wedrzeć, smakując mnie.

Całowanie wampirzycy w taki sposób było sztuką, w której Michael stał się mistrzem przez lata spędzone ze mną. Potrafił mnie całować, nie kalecząc języka o moje kły, ale nigdy nie zachowywał przesadnej ostrożności. Zagłębiał się w moje usta, pobudzając moje zmysły i uczucia, z których istnienia nie zdawałam sobie wcześniej sprawy. W jego objęciach czułam się niemal znowu jak człowiek.

Jęknęłam cicho. Napierając na mnie lekko, pokierował mną tak, że zrobiłam parę kroków do tyłu, aż dotknęłam czegoś nogą. Przesuwając rękami w górę i w dół po moich plecach, powoli odsunął usta i uśmiechnął się do mnie, a w jego oczach zabłyśły figlarne iskierki. Już miałam zapytać, o czym myśli, kiedy pociągnął mnie za rękę w stronę łóżka.

- Niech czas się zatrzyma, Miro - rzekł cichym, ochrypłym głosem, od którego po moim ciele przeszedł ciepły dreszcz. - Zróbmy to dzisiaj.

Rozchylając mi kolana, stanął między moimi nogami w skórzanych spodniach. Usiadłam i chwyciłam go za koszulę. Gdy położyłam się na plecach, Michael wszedł na łóżko, oparł łokcie po obu stronach mojej głowy, pochylił się i znowu sięgnął do moich ust. Zamknęłam oczy, kiedy wydusił ze mnie kolejny jęk, i instynktownie wygięłam się w łuk, napierając na niego ciałem. Pragnęłam poczuć go całego. Chciałam czuć jego ciepłą, delikatną skórę. Michael kierował naszymi poczynaniami, a ja napawałam się każdą sekundą tej ucieczki od rzeczywistości.

Przesuwając wargami po mojej twarzy, Michael przeniósł swój ciężar na jedną rękę, co pozwoliło mu wsunąć drugą między nasze ciała. Jego zwinne palce przesunęły się po moich żebrach w górę, ujęły pierś, a kciuk zaczął pocierać brodawkę przez szorstką koronkę stanika.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał ochryplym szeptem, bez tchu, muskając ustami moje wargi.

- Bardzo. - Wsunęłam ręce pod jego koszulę. Mięśnie Michaela napięły się pod moimi palcami. Pocałował mnie znowu i ściągnął mi stanik, dotykając pieszczotliwe uwolnionych piersi.

- Niewystarczająco, jak sędzę.

Przesunął czubkiem języka po moim płaskim brzuchu, od pępka do żeber, omijając brzeg czerwonej blizny po ranie z ostatniej nocy, aż w końcu docierając do moich nagich piersi. Zatoczył językiem kółko wokół stwardniałej brodawki sutkowej, kęsając ją zębami.

Znowu zamknęłam oczy. Zatopiłam palce w jego jasnych lokach. Przywarłam do niego, zapierając się piętami o brzeg łóżka. Chciałam być bliżej niego, stać się jego częścią.

- Szaleję za tobą.

Michał zachichotał, a jego oddech owionął moją wilgotną skórę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były jego wargi.

- O to chodzi. - Ponownie sięgnął do moich ust i pocałował mnie namiętnie. Obejmując mnie rękami w talii, przekręcił się na plecy, kładąc mnie na sobie. - Ugryź mnie, Miro - powiedział, przesuwając usta wzdłuż mojego podbródka i całując mnie w szyję.

- Nie dzisiaj, mój aniele - odparłam, unosząc twarz, bym mogła znowu pocałować go w usta, ale on trzymał głowę odwróconą na bok, odsłaniając przede mną szyję. Tętnica pulsowała tuż przede mną kuszaco. Ogarnęły mnie mroczne odczucia, ale starałam się je odsunąć. Niemal umierałam z głodu, pragnęłam nasycić się krwią, żeby odzyskać pełnię sił. Nie chciałam jednak wykorzystywać Michaela. Zbyt często pozbawiałam go krwi.

- Miro, proszę, ukąś mnie. Potrzebuję tego. - Powiedział to z taką desperacją, że aż przeszedł mnie dreszcz.

Usiadłam, aby móc go widzieć, i moje pragnienie nagle ostygło.

- Proszę, nie nalegaj, mój aniele - odparłam ze znużeniem. - Chcę, żebyś zachował siły.

- Poradzę sobie. - Usiłował przyciągnąć mnie do siebie z powrotem, ale się nie poruszyłam.

- Nie. Musisz wrócić na dół. - Zmieniłam pozycję i siedziałam teraz obok, dotykając go biodrem.

- Miro, proszę - rzekł drżącym głosem. Coś w jego tonie zwróciło w końcu moją uwagę. Spojrzałam Michaelowi w oczy. Lekko błyszczały, jakby był chory. Z troską, wniknęłam w jego myśli. Były bezładne, pourywane, ale

jedna z nich się powtarzała, związana z pragnieniem rozkoszy, jakie dawały mu moje ukąszenia.

Uderzyłam go tak mocno, że aż mu głowa odskoczyła na bok.

- Dość!

Michael nie był zainteresowany seksem. Uzależnił się od tego, że wysysałam z niego krew.

Spojrzał na mnie jak skrzywdzone szczenię.

- Bez ciebie nie zdołam bezpiecznie wyprowadzić stąd Sadiry - powiedziałam cichym, lecz stanowczym głosem, powstrzymując chęć, by ująć w dłonie jego twarz. Odpychając się od łóżka, wstałam i odeszłam parę kroków, wkładając z powrotem stanik. Straszliwy, tępy ból pulsował mi w piersi. Dałam się nabrać, myśląc, że to ja wzbudzam jego zainteresowanie.

Kiedy odwróciłam się ponownie, Michael stał obok łóżka, poprawiając ubranie. Wciąż spoglądał na mnie z urazą, ale wziął się w garść. Może jeszcze nie przekroczył pewnej granicy. Nie miało to znaczenia. Skończyłam z nim. Kiedy dotrzemy do siedziby Sabatu, wsadzę Michaela i Gabriela do samolotu, żeby wrócili do kraju. Potem nie będą mi już tak potrzebni, a trzymając ich przy sobie, narażałabym ich tylko na niebezpieczeństwo. Nie chciałam zrujnować życia Michaela.

- Idź na dół. Będę tam za minutę - wydałam mu polecenie, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła. Michael ponownie skinął głową i wyszedł z pokoju. Usiadłam na brzegu łóżka i śledziłam go swymi myślami. Uczynił to, co mu kazałam, udał się prosto do pomieszczenia, w którym była Sadira i inni.

Kładąc łokcie na kolanach, pochyliłam się do przodu i oparłam czoło na dłoniach. Niszczyłam Michaela przez sam fakt zaistnienia w jego życiu. Dlaczego Gabriel wyszedł z tego bez szwanku? Zawsze był dla mnie solidnym oparciem. Kiedyś pożywiałam się jego krwią, a mimo to jego umysł nie doznał takich szkód, jakie najwyraźniej wyrządziłam Michaelowi.

Myślałam, że znaczę coś dla Michaela. Nigdy nie byłam taka głupia, żeby określać takie uczucie miłością, ale przynajmniej sądziłam, że traktuje mnie jako kogoś szczególnego. Okazałam się jednak dla niego tylko źródłem wielkiej przyjemności, jak narkotyk.

Uzależnianie się od ukąszeń nocnego łowcy zdarzało się dosyć często, ale łatwo można było tego uniknąć. Jeśli pożywiamy się krwią tej samej osoby nie więcej niż raz albo jeśli wymazujemy to z pamięci swej ofiary, wtedy nie ma problemu. W końcu jednak natrafiamy na jakiegoś człowieka, do którego powracamy przez wiele nocy dla towarzystwa i przyjemności. Z czasem wysysamy z takich ludzi wszystko do cna. Nie tylko pozbawiamy ich krwi, ale też siły woli, godności, życia.

Ktoś zapukał do drzwi. Spojrzałam w lustro nad biurkiem i zobaczyłam, że moja twarz jest zupełnie pozbawiona emocji. Dobrze, że tak wyglądałam, chociaż wewnątrz wszystko we mnie kipiało.

- Proszę wejść - powiedziałam, wstając z łóżka.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział James, wchodząc. Mocno się zaczerwienił, kiedy zobaczył, że stoję bez bluzki przy łóżku. Szybko odwrócił oczy.

Podeszłam do szafy i otworzyłam ją.

- Właśnie miałam zejść na dół - oznajmiłam, przeglądając ubrania na wieszakach, aż mój wzrok padł na czarną bluzkę zapinaną na guziki.

- Jeśli masz czas, Ryan chciałby spotkać się z tobą, zanim wyjedziesz - powiedział James, najwyraźniej spodziewając się, że odrzucę to zaproszenie.

Przestałam na moment zapinać guziki, ciesząc się, że Melanie nosi ubrania mniej więcej takiego samego rozmiaru jak ja.

- Tylko ze mną? Nie z Sadirą? - Zaskoczyło mnie to. Sadira była najstarsza z nocnych wędrowców w Warowni, co w sposób naturalny czyniło z niej naszą zwierzchniczkę.

- Pytał tylko o ciebie.

- Pewnie znajdę wolną chwilę - odparłam z obojętnym wzruszeniem ramion, zapinając dwa ostatnie guziki. Miałam więc spotkać się w końcu z samym szefem. Nie wiedziałam, ile nowych informacji będzie on w stanie dostarczyć, ale jak do tej pory Temida okazała się najbardziej pomocna. O wiele bardziej niż Jabari i Sadira, którzy starali się trzymać mnie na dystans, podczas gdy ktoś próbował mnie zabić.

Rozdział 24

Ryan był czarownikiem. Przed przybyciem do Warowni przypuszczałam, że tak właśnie jest, ale stało się to dla mnie jasne, kiedy weszłam do jego gabinetu na drugim piętrze. Siedział przy wielkim orzechowym biurku, wyciągając przed siebie długie nogi niedbale skrzyżowane w kostkach. Czekał na mnie.

Naturalnie, byłam pewna, że nie wysilając się zbytnio, potrafił wyczuć każdy mój ruch w swojej rezydencji.

Był przystojnym mężczyzną o wzroście nieco ponad metr osiemdziesiąt. Szczupły, pełen wdzięku, ubrany był w ciemnoszary garnitur i czarną koszulę. W odróżnieniu od innych przedstawicieli swojej rasy nie nosił krawatu. Dwa górne guziki koszuli miał rozpięte i widać było ładnie opaloną szyję. Ta opalona skóra i ciemny garnitur kontrastowały z długimi białymi włosami. Sięgały mu one do ramion i były związane z tyłu wąską czarną wstążką; relikw z dawno minionych czasów.

Twarz Ryana sprawiała dziwne wrażenie wiecznie młodej. Nie było na niej zmarszczek ani głębokich bruzd i na pierwszy rzut oka wyglądał na trzydzieści parę lat. Jego złociste oczy miały jednak głębię, którą zyskuje się po latach doświadczeń. Był stary; starszy od jakiegokolwiek żyjącego człowieka.

Magia miała wyraźny wpływ na wygląd człowieka. Moc czarnoksiężnika uwidaczniała się w całej jego postaci.

Większość ludzi stosujących magię czyniła to okazjonalnie. Czasami coś im się udawało i przypisywali to po prostu szczęściu. Byli jednak też tacy jak Ryan, którzy studiowanie magii uznali za cel swego życia. Takich uważano za groźnych czarowników.

Gdy James bezgłośnie zamknął drzwi, zostawiając mnie samą z tym dziwnym człowiekiem, Ryan podniósł się na nogi, wydłużając się ponad miarę, jak gdyby był z gumy. Znałam w życiu paru czarowników, ale nigdy nie widziałam, żeby robili sztuczki właściwe nocnym wędrowcom.

- Imponujące - powiedziałam. - Lepsze niż wyciąganie królika z kapelusza.

Uśmiechnął się serdecznie, przyjaźnie. Zrobiło to na mnie jeszcze większe wrażenie niż jego poprzednia sztuczka. Jak ktoś, kto ma taką moc, mógł wydawać się taki miły? Ale przecież naturi też zdawali się tacy niegroźni - to był efekt lat praktyki.

- Nazywam się Ryan - rzekł, wyciągając do mnie rękę. Spoglądałam na nią przez chwilę, podziwiając jego długie palce, ale jej nie dotknęłam. Była to dłoń w rodzaju tych, które równie łatwo potrafią pieścić, jak i karać.

Spojrzałam na półki z książkami. Patrzyłam na grzbiety starych woluminów, ale cała moja uwaga była skupiona na człowieku znajdującym się w tym pokoju. Na razie wolałam zachować między nami pewien dystans.

- Znam twoje imię - odparłam beznamiętnie. - Wiem też, kim jesteś.

Zastanawiam się tylko, czy wiedzą o tym twoi towarzysze?

- Wiedzą, że jestem czarownikiem - odparł i uśmiechnął się nieco szerzej. - Choć wydaje mi się, że twoja ocena moich mocy jest nieco bardziej trafna.

Unosząc brwi, spojrzałam na niego z uśmiechem.

- A więc celowo trzymasz ich w niewiedzy. - W moim głosie nie było złości ani potępienia, tylko zwykła ciekawość. Chciałam pojąć jego intencje, zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazłam, żeby przypadkiem nie stracić życia.

- Moje umiejętności nie mają dla nich znaczenia.

- Nie o to mi chodzi - skorygowałam. - Nie tylko zatajasz przed nimi to, kim jesteś, ale także prawdę o wampirach. Słyszałam, w co wierzą ludzie. Dlaczego pozwalasz im rozpowszechniać takie kłamstwa?

- Dla ich własnego bezpieczeństwa - odrzekł. Jego uśmiech nieco zbladł, lecz nie zniknął zupełnie. Ryan wsunął ręce do kieszeni spodni i wyglądał teraz jak szef dużej firmy po godzinach pracy.

- A co z naszym bezpieczeństwem? Wysyłasz łowców, żeby na nas polowali.

- Oba nasze światy zmieniają się o wiele szybciej, niż przypuszczałem. Kilka wieków to, co pisano o wampirach, odpowiadało prawdzie. Większość z nich była bezlitosnymi drapieżcami, którzy zabijali za każdym razem, kiedy się pożywiali, ale teraz przekonałem się, że postępujecie nieco subtelniej. Wciąż jesteście bardzo niebezpieczni i obawiam się, że gdyby ludzie się was nie bali, wpadaliby zbyt łatwo w wasze ramiona.

- Pozbawiłam biednego Jamesa złudzeń na temat niektórych z tych archaicznych poglądów. Czy zmusisz go do milczenia, żeby nie poinformował innych?

- Oczywiście, że nie - odparł Ryan, kręcąc głową rozbawiony. - Nie będę ukrywał prawdy w kręgach Temidy. Chcę jednak, żeby odkryli ją sami.

- A łowcy? Czy to twój wymysł? Kolejna próba, żeby chronić swoje stado? - Powoli podeszłam do niego, a odgłos moich kroków został wytlumiony przez grubego perskiego dywan.

Ryan musiał obrócić się na pięcie, aby nie stracić mnie z pola widzenia.

- Łowcy pojawili się na długo przed tym, zanim przystąpiłem do Temidy.

- Jednak nie zrobiłeś nic, żeby się ich pozbyć, mimo że masz postępowe poglądy na temat mojej rasy.

- Dlaczego sądzisz, że moja opinia o nocnych wędrowcach jest taka postępową? - spytał, unosząc brew.

- Jestem tutaj i wciąż żyję - odparłam, wyciągając w jego stronę rękę. Stałam tuż przed nim, dzieliła nas od siebie odległość zaledwie paru kroków. - Mógłbyś rozkazać Danausowi, żeby mnie i innych przebił kołkiem osinowym podczas dnia, ale nie zrobiłeś tego. Wiem też, że nie osiągnąłbyś takiej mocy, jaką wyczuwam w tym pokoju, gdybyś nie napotykał w swoim długim życiu rzeczy o wiele straszniejszych ode mnie.

- Kto może być gorszy od wampirzycy, która potrafi władać ogniem? - odparł, uśmiechając się znowu.

- Danaus.

Uśmiech Ryana natychmiast znikł i zdawało się, że cień zasnuł czarownikowi oczy, gdy patrzył na mnie, rozważając moją odpowiedź. Oboje zastanawialiśmy się teraz, jak dużo wie nasz rozmówca. Jego dłonie poruszyły się w kieszeniach spodni, a oczy się zwęziły, gdy pograżył się w myślach. Nigdy dotąd nie widziałam u nikogo takiego koloru oczu - nie były żółte, lecz miały prawdziwie złoty blask.

- Danaus od kilku lat szczególnie interesuje się tobą - odparł.

- Od jak dawna wiesz o planach naturi? - spytałam twardszym głosem. Zaciśnęłam pięści, powstrzymując chęć, by podejść jeszcze o krok bliżej.

- Jego zainteresowanie tobą nie miało nic wspólnego z naturi. - Szerokie ramiona Ryana opadły, jakby się rozluźnił. Cofnął się, opierając o biurko, i pokazał mi gestem, żebym usiadła na którymś z obitych skórą krzesel. Usiadłam po jego prawej stronie, skrzyżowałam nogi i czekałam na dalsze wyjaśnienia.

- Zanim trafiłem do Temidy - rzekł - dowiedziałem się, że Danaus spędził wiele lat wśród mnichów, którzy nauczyli go, że dobro i zło mają z góry ustalony sens. Ludzie zostali stworzeni przez Boga i są z natury dobrzy. Wynikało z tego logicznie, że wszystko inne jest złe i trzeba to wytepić. Zainteresowałaś go, ponieważ zdawało się, że ucieleśniasz największe zło. Jako nocny wędrowiec, człowiek, który odwrócił się od Boga i potrafi władać ogniem, miałeś bezpośredni związek z szatanem i wszystkim, co niegodziwe.

Jesteś w pewien sposób mitycznym stworzeniem wśród swojej rasy. Niemal dziesięć lat zabrało Danausowi poznanie twojego imienia. Większość wciąż zna cię tylko pod przydomkiem Krzesicielki Ognia.

- Imię Mira nie wzbudza takiego strachu - wtrąciłam ze wzruszeniem ramion.

- Danaus wziął się, żeby cię odszukać i zniszczyć... - Ryan przerwał na moment i spojrzał na mnie. Mroczny cień przesunął się po jego twarzy, gdy przyglądał mi się przenikliwym wzrokiem, przyprowadzającym o dreszcz. Nagle pożałowałam, że usiadłam tak blisko czarownika.

- A potem coś się w nim zmieniło. Podczas swoich poszukiwań ani razu nie słyszałaś, żebyś zabiła człowieka. Krążyły nawet różne opowieści o tym, że uśmiercałaś swoich pobratymców, którzy beztrąsko zabijali ludzi.

- Danaus myślał, że zabijam, kiedy się pożywiam - wtrąciłam, przypominając sobie naszą rozmowę podczas lotu do Egiptu.

- To prawda, ale wydaje mi się, że zaczynał mieć wątpliwości również na temat tego starego mitu. Zanim dowiedzieliśmy się o ofierze złożonej przez naturę, właściwie przestał już cię ścigać. Wydaje mi się, że Danaus myślał nawet o opuszczeniu Temidy. Kiedy wysłałem go do Stanów, żeby cię odszukał, znów postanowił cię zniszczyć. - Ryan przerwał i popatrzył na mnie w zamyśleniu. - Ale coś się w nim zmieniło. - Ostatnie słowa Ryan wypowiedział cichym głosem, jakby głośno myślał. Wiedziałem, że zastanawiał się nad tą przemianą. Danaus miał sporo okazji, żeby mnie zabić, ale tego nie zrobił i niejednokrotnie stanął w mojej obronie.

- Przekonał się, że Temida nie zna prawidłowych odpowiedzi na wszystkie pytania - rzekłam. - Poczul się zwiedziony i wykorzystany. Okłamaliście go.

- Nigdy nie okłamałem Danausa - odparł Ryan. Ściągnął brwi, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. - Gdyby zapytał, powiedziałbym mu wszystko, co wiem o twojej rasy. Miał własne poglądy na temat nocnych wędrowców na długo przed tym, jak się urodziłem.

- Mogłeś mu powiedzieć.

- Musiał to odkryć sam.

- Niezła wymówka - stwierdziłam drwiąco. - Miałeś swój plan, mogłeś wykorzystać błędne wnioski Danausa na własny użytek.

- Czyż wszyscy tak nie postępują? - Wzruszył ramionami. - Szkoda, że tak źle o mnie myślisz, Miro. Mamy ten sam cel.

Kąciki moich ust uniosły się w ponurym uśmiechu. Wstałam.

- Wątpię.

- Sądzę, że cała ta sprawa bawi cię bardziej niż mnie, ale mamy jeden cel: pragniemy zachować nasz sekret tak długo, jak to możliwe.

- Oboje robimy różne rzeczy, żeby ludzie nie dowiedzieli się, co ich otacza. Zabiłeś wielu nocnych wędrowców, którzy mogli przyczynić się do wyjawienia tej tajemnicy. Ja czyniłam to samo z łowcami. Oboje jesteśmy strażnikami chroniącymi tę kruchą ścianę, która oddziela nasz świat od świata ludzi.

Ryan zrobił krok do przodu, zmniejszając dzielącą nas odległość do dwudziestu centymetrów. Powoli podniósł rękę ze zgiętymi palcami i zbliżył ją do mojego policzka.

- Pozwolisz? - szepnął.

- Na co mam pozwolić? - Obserwowałam go spod zmrużonych powiek. Niezależnie od tego czy był czarownikiem, czy nie, mogłam znaleźć się po drugiej stronie pokoju, zanim się poruszy.

- Chcę tylko dotknąć twojej twarzy.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę ze ściągniętymi brwiami, zdezorientowana. Dziwna prośba, ale nie sądziłam, aby próbował jakichś sztuczek. Kiedy wiedźma lub czarnoksiężnik rzucają urok, można wyczuć w powietrzu ich narastającą moc. Oczywiście Ryan był potężniejszy od wszystkich magów, których dotąd znałam. W powietrzu było już tyle energii, że mogłam nie zauważyć zmiany jej nasilenia. Mimo wszystko skinęłam potakująco głową.

Widząc moją nieufność, pomalutku zbliżył rękę i grzbietami palców delikatnie pogładził mój policzek. Jego skóra była ciepła, czułam lekkie wyładowanie energii przy dotyku, ale nic więcej. Tak naprawdę to na krótko urzekł mnie jego głos.

- Wybacz - rzekł cicho. - Nie jesteś tak zimna, jak myślałem.

- Trudno mi uwierzyć, że nigdy wcześniej nie dotykałeś żadnego nocnego wędrowca - zażartowałam, przechylając głowę tak, by spojrzeć mu w oczy.

- Tylko raz - odparł, uśmiechając się posepnie. - To było zaraz po tym, jak przestał się mną pożywiać.

- O tak, posiłek zwykle nas rozgrzewa.

- Ale ty nie posiłałaś się dzisiaj?

- Nie.

- A mimo to nie jesteś...

- Zimna jak trup? - podpowiedziałam. Gdy usłyszał to porównanie, twarz mu się rozchmurzyła. - W normalnych warunkach mogę obyć się przez parę dni bez jedzenia i zachować trochę ciepła. Pomaga też gorący prysznic.

- Czy zachowujesz takie ciepło dzięki swoim umiejętnościom?

- Panowania nad ogniem? Nie. Ogień nie spala mnie ani nie rozgrzewa. A nawet, jeśli zbyt często wykorzystuję tę zdolność, staję się zimna, ponieważ wiąże się to z utratą energii.

- Nie wiedziałem o tym.

- Żaden człowiek tego nie wie.

- Dlaczego mi ufasz? - zapytał zdziwiony.

Roześmiałam się głośno, a ów dźwięk wypełnił pokój, rozpraszając nieco energię czarownika.

- Nie ufam. - Opadłam na krzesło stojące za mną, zakładając niedbale jedną nogę na drugą. - Nazwijmy to gestem dobrej woli. Daję ci trochę czegoś...

- Bo chcesz czegoś w zamian? - dokończył za mnie.

- A czyż nie wszyscy tak postępują?

- Czego żadasz?

Mój głos i rysy twarzy natychmiast stwardniały.

- Informacji.

- To drogi towar.

- Być może, ale to, co dostaniesz w zamian, również jest cenne - odparłam, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

- A co to takiego?

- Twoje życie.

- A więc grozisz - rzekł Ryan rozbawiony.

- Ani trochę. To tylko stwierdzenie faktu. Naturi stanowią zagrożenie zarówno dla ludzi, jak i dla nocnych wędrowców. Posiadacie informacje, które mogą pomóc mojej rasie. To my ryzykujemy życie, żeby was chronić.

- Bardzo szlachetne z waszej strony.

- Niezbyt - odparłam z przekąsem. - Dobrze o tym wiesz. - Spojrzałam na niego; znowu spowaźniał. Cieszyliśmy się krótką chwilą bez troski, ale marnowaliśmy czas.

- A co takiego wiemy twoim zdaniem?

- Nie mam pojęcia, ale biorąc pod uwagę fakt, że ja nie wiem nic, pewnie wiecie więcej ode mnie - stwierdziłam. - Dowiedzieliście się o złożeniu pierwszej ofiary w Indiach, zanim my w ogóle uświadomiliśmy sobie, że coś się dzieje.

- Jesteś pewna, że odkryliśmy to jako pierwsi?

- Nie - odparłam szeptem.

Przed katastrofą w Londynie i śmiercią Thorne'a przytaknęłabym bez wahania, ale teraz nie byłam pewna niczego. Naturi wiedzieli za dużo, odnaleźli mnie o wiele za szybko w Egipcie i potem znowu w Londynie. Ktoś mnie zdradzał i w obecnej chwili nie miałam wyboru. Naturalnie nie zamierzałam odsłaniać tych myśli przed człowiekiem. A jeśli sprawy potoczą się po mojej myśli wyrwę mu serce, zanim naturi spróbują złożyć następną ofiarę.

- Jednak w tej chwili - kontynuowałam - to nie ma znaczenia. Jak odkryliście tamte zwłoki?

- Konark od dawna był ośrodkiem stosowania magii - wyjaśnił - choć nie wykorzystywano go od bardzo długiego czasu. W tamtą noc poczułem przyływ mocy. Moi zwiadowcy znaleźli się w samolocie, zanim na niebie nad Indiami nastał świt.

- A co z tymi drzewami?

- Zwyczajny przypadek. Jeden z członków Temidy był na wakacjach w Kanadzie. Zauważył wyryte znaki podczas pieszej wycieczki i zrobił zdjęcie. Myślał, że pojawiła się jakaś nowa odmiana czarów. Potem wysłałem wszystkich dostępnych agentów, żeby poszukali innych symboli tego rodzaju.

- Ile znaleźli?

- Dwanaście.

- Czy wiecie, co oznaczają? Potraficie je rozszyfrować?

- Niezupełnie - odparł z westchnieniem. - Te znaki na drzewach nic mi nie mówią, ale mogę wysnuć pewne przypuszczenia z krwawych śladów otaczających miejsce złożenia ofiary w Konark.

- Czy myślisz, że odnaleźliście wszystkie znaki?

- Tak. Sprawdziałem codziennie od chwili złożenia pierwszej ofiary, ale nie znalazłem żadnych innych miejsc, gdzie te symbole mogłyby się pojawić. A ty wiesz, co oznaczają?

- Nie - odparłam, kręcąc głową. - Nie pierwszy raz natura usiłują złamać pieczęć, ale nigdy wcześniej nie widziałam takich symboli ani o nich nie słyszałam.

- Myślałem, że użyli ich do aktywacji dwunastu świętych miejsc - wyraził przypuszczenie Ryan. Podniósł prawą ręką kryształowy przycisk do papieru wielkości bejsbolowej piłki, który wyglądał jak kryształowa kula, ale nie był przezroczysty; przebiegały przez niego czerwone żyłki. Ryan przetaczał kryształ z jednej dłoni do drugiej w nerwowym geście, ujawniającym jego niepokój, który klócił się z pozornym opanowaniem i niewzruszonym wyrazem jego twarzy.

- Nie, to zadanie spełniła pierwsza ofiara. Znaki oznaczają coś innego - odparłam, przeczesując dłonią włosy i odgarniając je z twarzy.

- A więc teraz po prostu czekamy, aż złożą drugą ofiarę.

- To wkrótce nastąpi. Całkiem niedługo - odrzekłam szeptem.

Ryan odłożył przycisk do papieru z powrotem na biurko i wstał.

- Jesteś pewna? Skąd wiesz?

- Zaczęli sprawdzać pozostałe siedem miejsc. Kiedy znajdą właściwe, będą mieli tylko małe okienko w czasie, żeby je wykorzystać. Zasoby mocy są stale w ruchu. Nie słyszałam nigdy o nikim, kto by umiał przewidzieć, kiedy i dokąd ta moc się przemieści. Może Aurora to potrafi, nie wiem.

- Ale następny nów jest dopiero za pięć dni - powiedział Ryan, kręcąc głową.

- Naturi nie trzymają się ściśle głównych faz księżyca, chociaż to im sprzyja - odparłam, powstrzymując chęć, by wstać i zacząć przechadzać się po pokoju. Zmusiłam się do lekkiego uśmiechu i przechyliłam głowę, by spojrzeć na czarownika. - Znasz się na magii. Nie chodzi tylko o księżyc, pory roku i pozycję ciał astralnych.

- Magia dotyczy także cykli i utrzymania równowagi - dokończył za mnie. Jego brwi nieznacznie zbliżyły się do siebie, a na gładkim wcześniej czole pojawiły się zmarszczki.

- Zbliża się rocznica założenia ostatniej pieczęci - rzekłam cicho. Po raz pierwszy myśl ta przyszła mi do głowy ostatniej nocy podczas rozmowy z Jamesem. Też sądziłam, że naturi będą się trzymać faz księżyca, skoro zapewnia im to najwięcej mocy potrzebnej do złamania pieczęci. Jednakże uczynienie tego w rocznicę założenia pieczęci przez nocnych wędrowców byłoby nie tylko bardzo istotnym rytuałem magicznym, lecz również silnym ciosem w morale moich pobratymców. - Naturi dokonają pierwszej próby dziś w nocy albo jutro.

- A jeśli im się uda...

- Wtedy będą w stanie otworzyć wrota za pięć nocy, trafiając dokładnie w nów księżyca.

- Pogańskie święto żniw.

- Mam coraz mniej czasu - powiedziała zniecierpliwiona, podnosząc się z krzesła. Podeszłam do ściany, gdzie znajdowały się półki z książkami.

- Masz wszystko, co ci potrzebne... - stwierdził, spoglądając na mnie z konsternacją na twarzy.

- Nie, nie mam - odparłam, odwracając się, by podejść z powrotem do półki z książkami. - Pięćset lat temu triada nocnych wędrowców powstrzymała naturi. Jeden z tej trójki, Tabor, został zabity przez naturi kilka lat temu. Skoro zginął, trzeba odtworzyć triadę. Niestety, osoba, którą znalazłam na jego miejsce, została zamordowana na moich oczach.

- Ależ triadę już odtworzono - rzekł czarownik, a jego głos zabrzmiał w cichym pokoju tak łagodnie jak pieszczota.

Odwróciłam się na pięcie, by spojrzeć na niego, czując nerwowy skurcz żołądka.

- Co takiego?

- Poczułem to, jak tylko znalazłaś się w Warowni. Wszystko, co potrzebne do tego, żeby na nowo zapieczętować wrota, zostało odnalezione - oznajmił z przekonaniem.

Nogi ugięły się pode mną, gdy usłyszałam jego słowa. To ja miałam być tą trzecią? Niemożliwe. Moją stwórczynią była Sadira, należałyśmy więc do tej samej linii. A jeśli wierzyć historii opowiedzianej przez Sadirę, należeli do niej także Jabari i Tabor. Nie chciałam wchodzić w skład triady. Moim zadaniem było znaleźć kogoś na miejsce Tabora i chronić Sadirę. Potem miałam wrócić do swojego miasta za oceanem, nie oglądając się wstecz. Nie potrzebowano mnie do niczego innego.

- Mylisz się - odparłam, niemal krztusząc się tymi słowami. - Nie mogę im pomóc.

- Nie masz wyboru - rzekł smutno. - Ja... - Ryan urwał nagle, rzucając spojrzenie w kierunku drzwi i przechylając głowę, jakby słuchał jakiegoś szeptu.

- Coś się zbliża.

- Coś? Czy to naturi?

- Nie, nie wiem, co. Ma wielką moc - odparł, odpychając się od biurka, by wstać.

- Tego jeszcze brakowało - mruknęłam, kierując się już w stronę drzwi. - Każ swoim ludziom, żeby się pochowali. A ja zrobię, co tylko zdołam. - Nie miałam pojęcia, z czym mam się zmierzyć, ale uznałam, że to coś wtargnęło do Warowni z mojego powodu.

- Dzięki - powiedział Ryan.

- Nie ma za co. Wciąż mogę pozbawić cię mózgu.

- Ale jeszcze żyję - zażartował, chociaż jego złociste oczy nie wyrażały już rozbawienia.

Przystanąłam z ręką na klamce i spojrzałam przez ramię na czarownika.

- Czy kazałeś mnie zabić? - spytałam, zastanawiając się, czy będę miała jeszcze kiedyś szansę zadać to pytanie. Musiałam wiedzieć dokładnie, na czym polega układ z tym człowiekiem.

- Ostatnio? - zapytał.

- W ogóle.

- Tak.

Rozdział 25

Schodziłam na dół, a moje stopy zapadały się w grubym chodniku, który wyściełał stopnie schodów. Najwyraźniej Ryan wysłał jakieś mentalne ostrzeżenie do swoich ludzi, ponieważ słyszałam wokoło odgłosy otwieranych drzwi i pospieszne kroki na drewnianej podłodze. Musiałam usunąć wszystkich ze swojej drogi. Jeśli coś złego zbliżało się do Warowni, nie powinni przeszkadzać mi przygodni gapie.

Rwałałam się do walki. Chętnie rozprawiłabym się z paroma naturi, rozerwałabym ich na strzępy; poczułabym, jak ich rozgniatane ciała przesączają mi się między palcami i zbierają się pod paznokciami. Byłam wyjątkowo głodna, ale przyznam, że nie tylko narastające pragnienie picia krwi mąciło mi myśli. Łaknęłam samego jej widoku. Chciałam zobaczyć, jak rozpryskuje się na skórze i wsiąka w podarte, poszarpane ubranie. Pragnęłam znaleźć ujście dla swego lęku, frustracji. W owej krótkiej chwili, kiedy walczy się o zachowanie życia, przekonujemy się, że rzeczywiście panujemy nad swoim przeznaczeniem. A kiedy zabija się tych, którzy próbują nas uśmiercić, pławimy się przez moment w poczuciu prawdziwej mocy. Chciałam przeżyć taką chwilę, nawet gdyby była to iluzja.

Niestety, nie mogłam teraz pozwolić sobie na walkę. Moim zadaniem była ochrona Sadiry, a więc należało unikać jakiegokolwiek konfrontacji. Umiejętności Sadiry nie polegały na niszczeniu umysłów różnych istot bez stosowania siły fizycznej. Wymuszała posłuszeństwo, ale nie była waleczna. Poza tym ani ona, ani ja nie byłyśmy w formie po uzdrawiającej sesji z poprzedniej nocy. Obie musiałyśmy się pożywić i potrzebowałam jeszcze paru dni odpoczynku.

Znajomy głos wytrącił mnie z gorączkowych rozmyślań, sprawiając, że zatrzymałam się na piętrze w trakcie schodzenia po schodach.

- Co się dzieje? - zawołał z tyłu Danaus. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak schodząc na dół, dopina skórzany ochraniacz na nadgarstku. Wilgotne włosy spadały mu ciężko na szerokie ramiona. Ze zdziwieniem zauważyłam, że ma na sobie ciemnoniebieskie dzinsy zamiast zwykłych czarnych bawełnianych spodni. Na granatowej koszulce wyłożonej na spodnie krzyżowały się dwa pasy

z pochwami na miecze. Najwyraźniej poczuł się tu jak w domu i mógł pozwolić sobie na luz. A może chodziło o to, że jego misja praktycznie dobiegła końca.

- Jeszcze nie wiem - odparłam. - Zabierz swoich ludzi w jakieś bezpieczne miejsce. Poradzę sobie sama. - Ruszyłam dalej na dół po schodach wolniejszym krokiem.

- Przenoszą się do piwnicy, a wszyscy wolni łowcy staną tam na straży - odparł, idąc o krok za mną.

- Jacyś naturi?

- Nie wyczuwam żadnych.

Danaus jeszcze chciał coś powiedzieć, kiedy nagle ciężkie drzwi frontowe otwały się, uderzając z hukiem o ścianę. Drzazgi przeleciały w powietrzu i ledwie zdążyłam podnieść rękę, by osłonić twarz. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnego przyływu mocy. Przystanęłam bez ruchu na trzecim schodku od dołu, a podmuch zimnego powietrza pchał mnie do tyłu. Opuszczając dłoń zasłaniającą oczy, zobaczyłam jak Jabari przekracza próg, a wiatr ucicha w tej samej chwili.

Słyszałam kiedyś o gniewie Boga. Według mnie Jabari wyglądał teraz o wiele straszniej. Spoglądał na mnie oczyma pałającymi jasnożółtym, złowieszczym blaskiem. Jego kości policzkowe wydawały się bardziej wystające niż normalnie, a policzki były zapadnięte. Po raz pierwszy od czasu, kiedy go poznałam, wyglądał jak chodzący trup. Przypominał mi surowego Charona, przewoźnika z krainy cieni. Naprawdę uwierzyłam, że Jabari przybył po to, żeby zabrać mnie z tego świata.

Wciąż go kochałam, ale nawet ja zaczynałam mieć wątpliwości co do tego, kim on jest naprawdę. Kiedy tak patrzyłam na Jabariego, opowieść Sadiry na nowo rozbrzmiewała w mojej głowie. Widziałam kiedyś, jak Jabari manipuluje innymi nocnymi wędrowcami i wykorzystuje ich, jakby byli pionkami na szachownicy. Przemieszcza ich i poświęca, kiedy to potrzebne, by mógł osiągnąć swoje cele. Dawniej przekonywałam siebie, że ze mną jest inaczej, że naprawdę znaczę coś dla tego Starożytnego. Czy się myliłam? Czy wywoływał moje najskrytsze lęki, żeby mnie kontrolować?

- Jabari! - zawołałam, wyciągając ręce i udając zdziwienie. - Jak dobrze, że do nas dołączyłeś. Proszę, wejdź do środka.

Gdyby to było możliwe, jego wzrok spaliłby mnie w owej chwili. Uśmiechnęłam się tylko szerzej, zaciskając zęby tak mocno, że aż zabolą mnie szczeka.

- Miałaś chronić Sadirę - warknął, a jego głos przeszył powietrze jak błyskawica.

- Właśnie to robię. - Ton mojego głosu nadal był lekki, kpiący. Nie miałam już nic do stracenia i czułam się zmęczona tym, że ktoś mną dyryguje.

- Tutaj? - Zatoczył rękami krąg, wskazując budynek. W tym samym czasie połowa żarówek w żyrandolu wiszącym nad jego głową pękła i światło

przygasło. Cienie wyłoniły się z kątów, wpełzły na ściany i chyłkiem przemknęły przez sufit.

- Polowali na nas przez wieki. Pora, żeby teraz przez jakiś czas nas bronili.

- Posunęłaś się za daleko.

- Nie, jeszcze nie - odparłam z westchnieniem. - Ale nie martw się, zrobię to.

- Najwyraźniej wzbudzając jego zdziwienie, zesłam po ostatnich trzech schodach do holu. - Czy chcesz się zobaczyć z Sadirą? - Wyciągając rękę w stronę korytarza po lewej stronie schodów, wskazałam mu gestem, żeby szedł za mną. Był tak wściekły, że zdołał jedynie kiwnąć głową. Nie miałam pojęcia, czemu nie rozerwał mnie jeszcze na strzępy.

Ruszyłam przed nim długim, wąskim korytarzem, i szłam tak powoli, jak gdybym nie miała żadnych trosk. Czego mogłam się bać bardziej od rozwścieczonego wampira za swoimi plecami? Dwóch łowców stojących po obu stronach drzwi skierowało się w stronę piwnicy, gdy tylko kiwnęłam głową. Widzowie nie byli nam potrzebni. W walce między nocnymi wędrowcami ludzie stawali się tylko rekwizytami.

Otwierając drzwi, ujrzałam ten sam obraz, jakiego byłam świadkiem przed wyjściem, w poszukiwaniu przysznica. Sadira siedziała na swoim krześle jak królowa, mając ścianę tuż za plecami. Tristan stał posłusznie obok z obojętnym wyrazem twarzy, a kolejna para łowców znajdowała się blisko drzwi i okna. Moi dwaj ochroniarze przechadzali się po pokoju i przystanęli na mój widok.

- Niech wyjdą stąd wszyscy ludzie - poleciłam. Dwaj łowcy bez słowa opuścili salon, ale Michael i Gabriel nawet się nie poruszyli. - Moi aniołowie też - dodałam łagodniejszym tonem. Nachmurzyli, ale wyszli bez słowa. Pewnie instynkt podpowiedział im, by trzymać się z daleka od tego śmiertelnie niebezpiecznego zgromadzenia.

Odwróciłam się, by zamknąć za nimi drzwi, i zobaczyłam, że Danaus nadal jest w pokoju. Mój wzrok powędrował od niego w stronę drzwi, wyrażając nieme pytanie. Danaus uśmiechnął się krzywo.

- Nie pasuję do żadnej z tych kategorii.

- Możesz tego pożałować - rzekłam cicho, zamykając drzwi.

- Nie po raz pierwszy, odkąd cię poznałem.

W to akurat uwierzyłam. Skoro chciał zostać, niech tak będzie. Niepokoił mnie tylko Jabari, martwiłam się o własną głowę.

- On też - polecił Jabari. - Nie jest jednym z nas.

Wzdrygnęłam się, słysząc jego ostry głos, ale starałam się tego nie okazywać. Chciał, żebym płaszczyła się przed nim, zastraszona i posłuszna. Ale tym razem nie wchodziło to w rachubę.

- Nie. - Odeszłam od drzwi i stanęłam koło Danausa. Moja twarz nic nie wyrażała. Nie prowokowałam Jabariego, ale chciałam, by wiedział, że w końcu postanowiłam wytyczyć pewne granice.

Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, że Starożytny wyciągnął rękę, chcąc złapać Danausa za gardło. Zagryzając zęby, schwyciłam go za nadgarstek i

pchnęłam do tyłu, rzucając nim przez pokój. Jabari pośliznął się na wypolerowanej drewnianej podłodze i złapał się czegoś, zanim uderzył o przeciwległą ścianę. Usłyszałam, jak Sadira wydaje stłumiony okrzyk, a Tristan syczy cicho, widząc moją nieoczekiwaną reakcję. Oboje skurczyli się, gdy Jabari warknął, wydając dźwięk bardziej podobny do ostrzegawczego pomruku tygrysa niż do jakiegokolwiek innego odgłosu, który może wydobyć się z gardła kogoś, kto był kiedyś człowiekiem. Jego moc zalała pokój, niemal mnie dusząc. Wyzwoliłam się z niej, nie pozwalając, by mnie pogrążył. Prawda była taka, że wolałam już, aby zabił mnie Jabari, niż żebym miała ponownie zetknąć się z naturi.

- Nie pozwolę ci go zabić - wyrzuciłam z siebie, pokazując kły. Zgarbiłam się, czekając, że Jabari znowu zaatakuje, a wszystkie mięśnie miałam napięte, gotowe do walki. Rany w mojej piersi i na plecach strasznie bolały, ale nie zwracałam na to uwagi. Ogarnęła mnie żądza krwi, palące pragnienie, aby poczuć, że życie innej istoty znajduje się w moich rękach. Stałam wciąż przed Danausem, dając Starszemu wyraźnie do zrozumienia, że będzie musiał najpierw poradzić sobie ze mną.

- Nie zabiłaś Neriana wtedy, gdy ci rozkazałem - przypomniał mi Jabari.

- Jest już martwy. Tylko, że kilkaset lat później.

- Nie udało ci się też upilnować następcy Tabora - mówił dalej, nie poruszając się wcale. Była to cisza przed burzą. Najwyraźniej Sadira zdołała wcześniej dotrzeć do niego i przekazać mu wiadomości z tego wieczora.

- Naturi wiedzieli, gdzie jesteśmy. - To dziwne, że Rowe zawsze odnajduje mnie z łatwością. Ściszyłam głos do szeptu. - Zastanawiam się, dlaczego.

- Co sugerujesz? - Jabari zacisnął dłonie w pięści, a jego oczy rozbłysły, jakby z całych sił powstrzymywał się przed chęcią zmiżdżenia mnie. Wiedział dokładnie, o czym mówię.

- Nic nie sugeruję, jestem tylko ciekawa - odparłam wymijająco, próbując zapewnić sobie nieco miejsca do manewru. - Naturi zawsze mnie wyprzedzają, bez względu na to, gdzie się zwrócę. Nie mogą nas wyczuć, ale Nerian zdołał mnie znaleźć. Wiedzieli, że muszą zabić Thorne'a, zanim ja dowiedziałam się, kim on w ogóle, jest. Rowe polował już na mnie dwukrotnie. Ktoś mnie zdradza. - Podeszłam o krok bliżej.

- A więc zwracasz się przeciwko swoim, mając wroga za plecami? - zagrzmiął Jabari, wskazując na Danausa. Zrobił krok w moją stronę.

- Wcale nie najpierw. Rozmawiałam z nimi. Nie wydaje mi się, żeby Temida spiskowała z naturi i to nie oni trzymają mnie w niewiedzy.

- Dowiedziałaś się wszystkiego, co było ci potrzebne. Masz postępować zgodnie z poleceniami.

- Bzdura! - zawołałam. - Już dawno przestałam słuchać rozkazów. Nie będę tolerować waszych tajemnic, kiedy moje życie jest zagrożone. To mnie usiłowano zabić w Asuanie, nie ciebie.

- Skąd wiesz, że to nie on po nich posłał? To jego ludzie zaatakowali cię, kiedy spałaś.

- Ponieważ naturi też nie słuchają rozkazów - syknęłam. - Ani ludzi, ani nocnych wędrowców. Czy się mylę?

Jabari rzucił się na mnie. Ledwie zdążyłam uskoczyć mu z drogi. Ból przeszył mi rękę, gdy rozdarł mi rękaw paznokciami i przeciął skórę. Przykucnęłam, po czym skoczyłam na niego, uderzając go w pierś. Upadł do tyłu z głośnym hukiem. Przejechał po podłodze i zderzył się z jasnoniebieską sofą. Mały niski stolik wywrócił się, rozbijając ceramiczną lampę, której odłamki rozsypały się na podłodze. Usiadłam, sycząc na Jabarięgo z obnażonymi kłami. Odepchnął mnie grzbietem dłoni, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Przewróciłam się do tyłu, ale szybko podniosłam się na nogi i zobaczyłam, że on również wstał.

- Ukrywasz się od lat - powiedziałam, zanim ponownie zdołał mnie zaatakować. - Dlaczego? Czemu się chowasz, skoro naturi nie mogą cię wyczuć? Boisz się, że dopadnie cię ktoś inny?

- Chcę, żeby pozostawiono mnie w spokoju.

- Wiedziałeś o naturi?

Zamiast odpowiedzieć, Jabari znowu się na mnie rzucił. Gniew, który przesłaniał mi myśli, spowalniał moje reakcje, co pozwoliło Jabariemu mnie złapać, zanim zdołałam się uchylić. Aż stęknęłam, kiedy uderzyłam się plecami o ścianę. Uniosłam nogi, odepchnęłam nimi Jabarięgo. A potem rzuciłam się na niego. Właśnie się podnosił, kiedy go dopadłam i złapałam za gardło. Znowu mnie odepchnął.

- Czy wiedziałeś? - spytałam ponownie, zrywając się na nogi. Pchnęłam sofę, która przejechała przez pokój z piskiem. Nie chciałam, żeby coś stało mi na drodze, gdy znowu go zaatakuję. Starożytny stał nieporuszony, patrząc na mnie. - Wiedziałeś? - Od mojego krzyku zadrżały szyby w oknach.

- Miro, przestań - powiedziała Sadira. Wyczuwałam jej napięcie i strach przed gniewnymi mocami Jabarięgo. Teraz mogłam wyczuć wszystkie jej chaotyczne emocje, a nawet usłyszeć niektóre myśli.

- A więc powiedz mi, że się mylę - zażądałam, nie spuszczając wzroku z Jabarięgo. - No, powiedz.

- Mylisz się - rzekł Jabari, starannie wypowiadając każde słowo, jakby przemawiał do niegrzecznego dziecka.

- Nie wierzę ci. - Wyrzekłam te słowa zdławionym głosem.

- To nie jest mój problem.

- Ale będzie - szepnęłam, prostując się. Uznałam, że walka na razie jest zakończona. - Nie wiem, kogo chronisz, ale mam nadzieję, że jest on tego wart.

- Powinnaś się raczej martwić o własne życie. To tobie nie udało się odtworzyć triady. Ty sprowadziłaś swojego zwierzchnika do tej siedziby łowców - rzekł Jabari, wykrzywiając usta w szyderyczym uśmiechu.

Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy ma na myśli Sadirę, czy siebie samego.

- Powierzyłeś mi zadanie niemożliwe do wykonania - rzuciłam. - Nie mogłam jednocześnie pilnować Sadiry i sprowadzić Thorne'a, gdy wokół roilo się od naturi. Trzeba było umieścić ją w jakimś bezpiecznym miejscu, a ten dom był jedynym rozsądnym wyborem. Nic się jej nie stało. Traktują ją tutaj jak królową. - Odgarnęłam za ucho kosmyk włosów, który spadł mi na oczy.

- Powinnaś była wziąć ją ze sobą. Mogłaby ocalić Thorne'a.

- Być może, ale wątpię - odparłam, kręcąc głową. - Nie mogłabym odpowiednio chronić ich oboje. Ale wszystko to nie ma już znaczenia. Triada została odtworzona.

- Miro, moje dziecko, nie możesz być trzecia - szepnęła Sadira, próbując załagodzić spór. - To niemożliwe.

- Dlaczego? Dlatego, że wywodzimy się z tej samej linii?

- Zwróciłaś się przeciwko swoim - warknął Jabari.

- Jeszcze nie, ale w tej chwili mam niewiele powodów, żeby ich bronić.

Czemu nie mogę być tą trzecią?

- Nie jesteś wystarczająco silna.

- Bzdura. Jestem silniejsza od Sadiry i Thorne'a. Dlaczego więc nie mogę znaleźć się w triadzie?

- Miro!

Odwróciłam się na pięcie, zaskoczona, że Danaus się odezwał. Zapomniałam o jego obecności, gdy Jabari mnie zaatakował, a teraz stanęłam tak, by widzieć ich obu. Nie chciałam odwracać się plecami do Starożytnego, któremu już nie ufałam.

- Oni nadchodzą! - powiedział łowca.

Odczytałam to z twarzy Danausa, zanim się odezwał.

Napięcie zarysowało się w kącikach jego ust. W pokoju zaległa przytłaczająca cisza.

- Ilu?

- Sporo.

Nagle ścisnęło mnie w gardle. A więc było ich aż tylu, że nie warto liczyć.

- Czy mamy czas, żeby się stąd wydostać? - spytałam, zastanawiając się, jak długo by trwało wyprowadzanie wszystkich z Warowni.

- Nie, są zbyt blisko.

- Kto to? - zapytał Jabari.

- Będziemy musieli stawić opór tutaj - powiedziałam, zdecydowana, by odzyskać panowanie nad sytuacją, która wciąż wymykała mi się spod kontroli. - Czy twoi ludzie są bezpieczni?

- O tyle, o ile - Danaus sięgnął ręką za plecy i wyciągnął jeden z umocowanych tam mieczy. Jego błękitne oczy błysnęły, kiedy mi go rzucił.

- Kto nadchodzi? - zapytał ponownie Jabari gromkim głosem.

Machnęłam kilka razy mieczem w powietrzu, sprawdzając jego ciężar i wyważenie, celowo ignorując Jabariego. Nie był to ów miecz, który pożyczyłam na cmentarzu w Asuanie. Ten wydawał się lepszej jakości. Może był przeznaczony na specjalne okazje?

W końcu spojrzałam na Jabariego i uśmiechnęłam się.

- Naturi.

Rozdział 26

Nadciągali naturi. Zaciśnęłam palce na mieczu i przymknęłam na chwilę oczy, gromadząc w sobie całą złość. Miałam już dość uciekania.

Odwracając się, by spojrzeć na Jabariego, powstrzymałam chęć wymierzenia miecza w jego pierś. Nie było powodu, żeby zrażać go jeszcze bardziej.

Mieliśmy już dostatecznie dużo problemów.

- Jesteś z nami, czy przeciwko nam?

- A kim właściwie są ci „my”? - spytał z szyderczym uśmiechem, zaciskając pięści. - Ludzie? Łowcy?

- Każdy, kto chce przeciwstawić się naturi. Chodzi zarówno o łowców, jak i nocnych wędrowców. Sprawę mojej lojalności możemy omówić innym razem.

Jabari wyprostował się na całą wysokość.

- Nie żywię miłości do naturi.

- Świetnie. Zostań tutaj - odparłam, starając się nie myśleć o tym, że wydaje polecenia Starszemu. Z pewnością zapłacę za to później, jeśli przeżyję.

Zdecydowana, by zapanować nad sytuacją, przeniosłam uwagę na dwa pozostałe wampiry znajdujące się w pokoju. Tristan obejmował Sadirę, jakby próbując ją pocieszyć, ale w jego szeroko otwartych niebieskich oczach widać było lęk. Zeszłej nocy miał już do czynienia z naturi, a ja ledwie przeżyłam to starcie. Nie chciał więcej kusić losu.

- Ty możesz zginąć, ale Jabari i Sadira nie - powiedziałam, wskazując na niego mieczem. - Chronić ich bez względu na wszystko.

- Dokąd idziesz? - zapytał, ściskając mocniej Sadirę.

- Zobaczyć, czy uda mi się znaleźć jeszcze kogoś do pomocy! - zawołałam przez ramię, wychodząc z pokoju. Danaus podążył za mną.

Przystanąłam w korytarzu, próbując ocenić arenę nadchodzącej bitwy. Było tu zbyt wiele pokojów, drzwi i okien.

- Ile wejść jest na parterze? - spytałam.

Danaus stanął obok mnie, również rozglądając się wokół.

- Trzy. Drzwi frontowe, tylne drzwi od kuchni i wyjście do ogrodu.

- Nie wspominając o oknach w każdym pokoju - rzekłam cicho.

- Możemy przenieść się do piwnicy - zaproponował. - Nie ma tam okien i jest tylko jedno wejście.

- Znajdziemy się w pułapce. - Pokręciłam głową, a włosy zakołysały mi się wokół twarzy. - Mogą przeczekać do świtu, a potem zejść na dół i powyrzynać wszystkich. Poza tym oni polują tylko na nas. Trzymałabym raczej naturi z daleka od tych twoich bibliotekarzy. - Szłam dalej korytarzem do drzwi wejściowych, które znowu były zamknięte, a stukot moich obcasów na podłodze był jedynym dźwiękiem rozlegającym się w cichym budynku. - Gdzie jest Ryan?

- Jestem tutaj.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam czarownika siedzącego na szczycie schodów na piętrze. Pozbył się marynarki, rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, a pot przyglądał mu włosy na skroniach. Jego moc wypełniała powietrze niczym prąd elektryczny szukający ujścia. Nie zauważyłam wcześniej mocy skwierczącej wokół mnie i zdałam sobie sprawę z jej obecności dopiero wtedy, gdy zobaczyłam Ryana; moja uwaga była zbyt skupiona na zbliżających się wrogach.

- Jak długo ich powstrzymujesz? - spytałam, nie potrafiąc ukryć podziwu. Powietrze skwierczało od zaklęć, jakie roztaczał, ale wyczuwałam, że słabną.

- Nie sądzisz chyba, że to ja ich wezwałem? - zapytał.

- Nie jesteś taki głupi.

- Dzięki. - Jego usta drgnęły w półuśmiechu. - Robię wszystko, żeby ich powstrzymać, ale już dłużej nie dam rady.

- Daj już spokój - rzekłam, machając ręką. Zaklęcia, które wypowiedział bardzo go wyczerpywały, a siły jeszcze będą mu potrzebne. - Idź do piwnicy ze swoimi ludźmi. Naturi polują na moją rasę, ale nie mogę obiecać, że nie będą zabijać i ludzi, choćby dla zabawy.

Danaus wszedł na schody i pomógł Ryanowi się podnieść. Czarownik zszedł na parter, opierając dłoń na ramieniu łowcy. Wyglądało na to, że odzyskał nieco sił.

Po raz pierwszy widząc ich obu stojących obok siebie, pomyślałam, że bardziej podobają mi się oczy Danausa. W ich kobaltowych głębinach było coś bardziej ludzkiego niż w połyskujących złotych oczach Ryana; coś, co świadczyło o ukrytej nadziei. Tego właśnie brakowało w oczach Ryana. Choć Danaus twierdził, że jest skazany na piekło, to iskierka optymizmu ciągle migotała w jego pięknych niebieskich tęczęwkach.

Z kolei Ryan choć liczył sobie o wiele mniej lat niż Danaus i uśmiech niemal nie schodził mu z ust, najwyraźniej utracił wszelką nadzieję. Nie wiem, co człowiek musi przejść, żeby zostać czarownikiem, ale niewątpliwie było to gorsze od wszystkiego, co Danaus widział w swoim długim życiu.

- Czy znasz jeszcze jakichś innych magików, przebywających w okolicy? - spytałam, powracając do rzeczywistości.

- Kilku, ale nie są odpowiednimi przeciwnikami dla tych, którzy nadchodzą - odparł Ryan.

- Każ im zaczarować drzwi i całą broń, jaką uda się wam zdobyć - poleciłam.
- Żelazo szkodzi naturi. Kula w głowę lub w serce podziąła. W przeciwnym razie trzeba odciąć im głowę lub wyciąć serce, żeby ich zabić.

- Podobnie jak przy zabijaniu wampirów - wtrącił Danaus.

- Albo ludzi - odparłam, piorunując go wzrokiem. - Zabierz Ryana na dół i zamknij od wewnątrz drzwi na klucz.

- Zostanę tutaj - oznajmił Danaus.

- Najwyraźniej nie jestem jedyną osobą, która ma problem z lojalnością. - Uśmiech znikł mi z ust. - Musisz bronić swoich ludzi.

- Równie dobrze mogę robić to tutaj. Ryan pozostanie w piwnicy na wypadek, gdybyśmy ponieśli porażkę. - Przerwał, uśmiechając się, podczas gdy ja nie byłam w stanie się odprężyć. - Poza tym mamy pewną niedokończoną sprawę.

Tak, naszą wielką ostateczną rozgrywkę. Odmieniec kontra wampirzyca. Jakoś o tym zapomniałam. Danaus nie mógłby pozwolić komuś innemu mnie zabić.

- W porządku - odparłam z obojętnym wzruszeniem ramion. Spojrzałam na Ryana. - Przepraszam. Nie miałam zamiaru narażać twoich ludzi.

- Byłem świadom tego ryzyka, kiedy się zgodziłem. Postaraj się zwyciężyć. - Odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę piwnicy, przesuwając palcami prawej ręki wzdłuż ściany, jakby chciał się podeprzeć, gdyby nagle się zachwiał.

- Myliłeś się wtedy! - zawołałam za nim. - Triada nie została odtworzona. To nie mogę być ja.

Ryan zatrzymał się, przyciskając dłoń do drewnianej boazerii na ścianie. Przez kilka sekund wpatrywał się w Danausa, a potem we mnie. Nie wyczułam żadnego poruszenia mocy. Po prostu się zastanawiał, jakby na nowo poddając ocenie swój wcześniejszy wniosek.

- Nie, ty masz wszystko, co do tego potrzebne - rzekł w końcu.

Skinęłam głową, chociaż nie byłam pewna, czy naprawdę mu wierzę. Skoro nie chodziło o mnie, oznaczałoby to, że Tristan ukrywa coś ważnego przede mną. Kiedyś, dawno temu nie doceniłam mocy innego wampira. To był błąd, którego na ogół nie popełnia się dwukrotnie.

Kiedy Ryan zniknął, zszedłszy po schodach, zastąpili go zaraz dwaj moi strażnicy. Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby, powstrzymując brzydkie przekleństwo w języku włoskim. Powinnam była odesłać ich do kraju, jak tylko dotarliśmy do Londynu.

- Gdzie chcesz nas umieścić? - zapytał Gabriel, ściskając kolbę pistoletu.

- Z powrotem w piwnicy - odparłam, pokazując mieczem korytarz, z którego właśnie przyszli.

- Mamy zadanie chronić ciebie, a nie tych ludzi - odparł Gabriel, nie ruszając się z miejsca.

- Waszym zadaniem jest wykonywanie moich poleceń, a ja rozkazuję wam wrócić na dół!

- Nie - rzekł Michael, stojąc uparcie obok Gabriela.

- Poradzę sobie tutaj. Nie przeżyłabym sześciuset lat, gdyby moje bezpieczeństwo zależało od ludzi. A teraz zmiatajcie z powrotem na dół, zanim wypiję z was całą krew.

- My... - Odgłos roztrzaskiwanego drewna i tłuczonego szkła przerwał buntownicze słowa Gabriela. Zaczynałam dostrzegać wady cechy, zwanej lojalnością. Niestety, nie było teraz czasu na omawianie jej subtelnych aspektów. Nieproszeni goście pukali do drzwi.

- Danausie! - zawołałam. Stając naprzeciwko drzwi, chwyciłam miecz, który dostałam od Danausa, i rozstawiłam szeroko nogi, czekając na atak.

- Otaczają nas - rzekł, stojąc obok. - Sześciu jest przy drzwiach frontowych, a dwunastu innych wchodzi przez okna.

- Są już w pokoju z Jabarim - powiedziała mu. Nie potrafiłam wyczuwać naturi, ale mogłam ich ujrzeć oczami Sadiry. Strach osłabił jej moce, co wzmocniło naszą naturalną więź. Po tym, jak dostałam tyle jej krwi zeszłej nocy, mogliśmy teraz bez trudu dzielić się emocjami i myślami, co jednak groziło rozkojarzeniem niebezpiecznym w danej sytuacji.

- Gabrielu, zostaniesz z Jabarim i Sadirą! Dbaj o ich życie bez względu na wszystko! - zawołałam. - Michaelu, osłaniaj mnie z tyłu! - Wpatrywałam się w drzwi. Echo ich kroków rozeszło się po korytarzu, gdy każdy z nich zajmował wyznaczoną pozycję. Ich lęk wypełniał powietrze, drażniąc mnie swoim mocnym zapachem. Nic innego nie mogło bardziej pobudzić zmysłów wampira. No, chyba że woń świeżej krwi i krzyk kobiety przerywający ciszę, ale to miało miejsce tylko podczas polowań.

Zniecierpliwiona machnęłam w powietrzu mieczem Danausa. Miałam ochotę zacząć w końcu ów taniec. Nadeszła moja kolej, by pokierować biegiem wypadków.

Jakby w odpowiedzi na moje życzenia, drzwi otwarły się nagle z hukiem. Musiałam przyznać, że naturi świetnie sobie z tym poradzili. Jabari otworzył je wcześniej siłą woli, a naturi teraz zupełnie wyrwali je z zawiasów. Uskoczyłam na bok, przewracając Danausa. Padając, chwyciłam wolną ręką za koszulę Michaela i pociągnęłam go na dół, tak że upadł razem z nami. Stoczyłam się z Danausa, uważając, aby nie przebił mnie sztyletem, który trzymał w dłoni.

Przez otwarte drzwi wpadały strzały i wbijały się w drewniane schody. Naturi próbowali usunąć wszystkich z drogi przy wejściu. Kiedy podniosłam się na nogi, poczułam w powietrzu jakieś poruszenie.

Kakofonia głośnych dźwięków wypełniła całe pomieszczenie, które nagle wydało się bardzo małe. Klęczeliśmy bez ruchu przy ścianie, gdy kruki, sowy, jastrzębie i sokoły latały po korytarzach i nad schodami. Kilka z nich próbowało nas zaatakować. Naturi nasłali ptaki po to, by wprowadzić zamęt i dzięki temu zyskać trochę na czasie.

Michael uniósł pistolet i zaczął strzelać, zabijając kilka dużych ptaków, kiedy zbyt blisko się zbliżyły. Złapałam go za nadgarstek i zmusiłam do opuszczenia broni.

- Nie marnuj amunicji! - zawołałam, przekrzykując hałas. Odsunęłam gwałtownie głowę na bok, gdy brunatna sowa zanurkowała w powietrzu i zahaczyła długimi szponami o mój policzek. Przeszył mnie ból i powstrzymałam chęć, by przycisnąć dłoń do twarzy.

- Miro, nie możemy tu zostać! - krzyknął Danaus.

Wydając pomruk, chwyciłam wazon i rzuciłam nim przez hol w kierunku największego zbiorowiska ptaków, które walczyły o miejsce w powietrzu. Porcelanowe naczynie roztrzaskało się, uderzając o żyrandol, który zaczął huśtać się jak szalony nad naszymi głowami. Cienie miotały się w makabrycznym tańcu po całym pomieszczeniu. Kilka ptaków spadło na drewnianą podłogę z głośnym stukiem.

Kiedy ptaki się rozproszyły, uniosłam lewą rękę i skupiłam swą moc na tych, które jeszcze latały. Ich pióra natychmiast stanęły w ogniu, wypełniając korytarz obrzydliwym smrodem. Zabiłam tylko kilka z nich, ale to wystarczyło, by oczyścić hol. Drapieżne ptaki rozproszyły się, część z nich uciekła przez otwarte drzwi, a pozostałe poleciały na górę, by znaleźć schronienie na drugim piętrze.

Zwróciłam uwagę z powrotem na wejście w samą porę, by zobaczyć naturi, który wysunął się do przodu z kuszą wymierzoną we mnie. W jednej chwili płynnym ruchem wyciągnęłam nóż zza pasa Danausa i rzuciłam nim w swojego przeciwnika. Ostrze zatopiło się w jego gardle i niemal odcięło mu głowę. Upadł do tyłu, strzelając z kuszy w sufit. Martwy naturi z klanu zwierząt zniknął w ciemnym wejściu.

- Wyjdź na zewnątrz, wampirzyco, zabawimy się - rozległ się głos zza drzwi.

- To ty wejdź do środka. Wyślę cię tam, gdzie jest teraz twój brat, Nerian - odparłam, zaciskając mocniej dłoń na mieczu. Poczulałam ulgę, gdy przekonałam się, że to nie Rowe znowu mnie odszukał.

Ku mojemu zdziwieniu naturi pojawił się w drzwiach z krótkim mieczem w ręce. Danaus uniósł pistolet, ale powstrzymałam go.

- Zajmij się innymi nieproszonymi gośćmi - powiedziałam, podnosząc się na nogi i wskazując głową na tylne drzwi. Charakterystyczny odgłos pazurów stukających o drewnianą podłogę świadczył o tym, że kilka wilków wdarło się do rezydencji. Danaus i Michael mieli tu co robić, podczas gdy ja postanowiłam zająć się naturi stojącym w drzwiach.

Mierzący zaledwie metr pięćdziesiąt, bardziej podobny był do młodej wierzby niż do człowieka. Długie jasne włosy miał odgarnięte do tyłu. Ujrzałam twarz piętnastoletniego chłopca, usianą piegami, z dużymi zielonymi oczami.

- Myślałem, że będzie tu również Nerian. Wiem, że miał wobec ciebie jakieś specjalne plany. - Złośliwy uśmiech oszpecił jego młodą twarz. Dreszcz przeszedł mi po skórze, zatapiając ostre kły w moich mięśniach. Ten naturi był z

klanu światła, nie miałam co do tego wątpliwości. Żadne z nas nie mogło zniszczyć drugiego za pomocą ognia.

Zmniejszając dystans między nami, machnęłam mieczem z taką siłą, jaka wystarczyłaby do tego, by przeciąć go na pół. Uchylił się przed ciosem, odbijając go swoim mieczem. Okazał się szybszy od większości naturi, których do tej pory spotkałam, a każdy jego ruch był precyzyjny i płynny jak w tańcu. Czyżby był kimś w rodzaju Danausa? Stworzeniem, które nauczyło się trudnej sztuki polowania na nocnych wędrowców?

Dźwięki dochodzące do moich uszu były teraz jakby przytłumione bawełnianym kokonem. Przede mną stał naturi w znoszonych niebieskich dżinsach, przetartych na kolanie. Jego oczy w kształcie migdałów płonęły nienawiścią.

Nasze miecze ocierały się o siebie i zderzały ze szczękiem. Blokując cios wymierzony między moje żebra, skierowałam swój miecz w dół. Naturi cofnął się, unikając niebezpieczeństwa. Z zaciśniętymi zębami potrząsnęłam głową, odgarniając włosy, które opadły mi na oczy. Naturi próbował wykorzystać tę chwilową dekoncentrację, zadając mi cios w brzuch. Zablokowałam go jednak swoim mieczem, spychając przeciwnika do tyłu, w stronę ściany.

Nagle piekący ból przeszył moje lewe ramię, jakby ktoś wbił mi tam rozpalony do czerwoności drut. Jakiś naturi postrzelił mnie z kuszy. Ból spłynął pod łopatkę, wnikając w mięśnie niczym płynny ogień. Ledwie zdołałam odeprzeć dwa kolejne ataki naturi, gdy moje myśli zasnuła mgła spowodowana bólem.

- Danausie! - zawołałam, kopnięciami spychając swojego jasnowłosego przeciwnika w stronę wyjścia.

- Zaatakowano nas od tyłu! - Niski głos Danausa przedarł się przez szczęk stali i huk roztrzaskiwanych mebli. - Pospiesz się!

- Dobrze - odpowiedziałam. Moja lewa ręka zaczęła drętwieć i była prawie bezużyteczna. Nie mogłabym zacisnąć palców na rękojeści broni.

- Wyglądasz na zmęczoną - zadrwił naturi. - Chcesz się napić? - Przechylił głowę, odsłaniając długą szyję. Udałam, że zadaję mu cios w kark, po czym nagle zmieniłam kierunek i zatopiłam ostrze w jego sercu aż po rękojeść.

- Nie pijam byle czego - odparłam, powoli wyciągnęłam miecz i śmignęłam nim w powietrzu, odcinając naturi głowę. Odbiła się od podłogi i potoczyła dalej, a tkwiące w niej wielkie jak klejnoty oczy wpatrywały się w sufit nieobecny wzrokiem. - Przekaż pozdrowienia Nerianowi.

Obracając się do tyłu, zobaczyłam, że moim towarzyszom ledwie udaje się powstrzymać gromadę wilków i naturi w drugim końcu korytarza. Z salonu, w którym znajdowała się Sadira oraz inni, wciąż dobiegały odgłosy strzelaniny i roztrzaskiwanych mebli. Myśli Sadiry były stłumione, lecz jej strach wciąż dawał się wyraźnie wyczuwać. Był jednak pomieszany ze złością, co wydawało się pocieszające. Czasami jedynie gniew i nienawiść dają nam siły.

Zaciskając zęby, uniosłam lewą rękę. Cichy jęk wydobył mi się z gardła, gdy ból znów dał znać o sobie. Postarałam się o nim nie myśleć i skupiłam się na grupie stworzeń zbliżających się do Michaela i Danausa. Zaledwie po kilku sekundach każde z nich zamieniło się w kulę ognia. Dopiero wtedy, gdy zwały się bez życia na podłogę, zgasłam w końcu płomień. Bardzo ryzykowałam, wykorzystując swoje moce. Gdybym czyniła to zbyt często, wyczerpałoby mnie to i osłabiło. Zwłaszcza że nie byłam w pełni sił, zanim ta bitwa się rozpoczęła.

Lewa ręka opadła mi teraz i zachwiałam się na nogach. Otworzyłam usta, by spytać Danausa, ilu naturi zliczył, kiedy podszedł do mnie szybkim krokiem Michael. Byłam zaskoczona i nie zdołałam zareagować, kiedy uderzył mnie ramieniem w pierś, popychając w stronę drzwi. Potknęłam się o ciało naturi, którego zabiłam przed chwilą, i wylądowałam ciężko na ziemi. Moja ręka natrafiła na coś zimne go, wilgotnego na orientalnym dywaniku. Zorientowałam się, że siedzę w powiększającej się kałuży krwi, wyciekającej z martwego naturi. Natychmiast wytarłam rękę o bluzkę i spodnie. Jakże dziwny musi być widok wampira, który z obrzydzeniem ściera z siebie krew.

Obnażając kły, spojrzałam na Michaela, mając na końcu języka zjadliwe przekleństwo, i natychmiast znieruchomiałam. Stał nade mną ze zwiotczałą twarzą. Jego niebieskie oczy spoglądały niewidzącym wzrokiem w jakiś odległy punkt. Niewielka wilgotna plama pośrodku jego piersi powiększała się z każdą sekundą na koszuli, a jego skóra pobladła, przybierając przerażający, szary kolor.

Usłyszałam za nim cichy odgłos ostrza wyciąganego z ciała. Zauważyłam, że drzwi prowadzące do pierwszego pokoju w korytarzu są otwarte, choć jeszcze przed chwilą wszystkie były zamknięte.

Rzuciłam się do przodu na kolanach, łapiąc bezwładne ciało Michaela, który przewrócił się na mnie. Ułożyłam go na podłodze, nie spuszczałam oczu z jego bladej twarzy. Bardziej wyczułam niż zobaczyłam, że Danaus zaatakował tego, który ugodził w plecy mojego anioła stróża. Drżącą dłonią odgarnęłam złociste loki Michaela z jego czoła, mimo woli rozmazując nieco krwi naturi na jego gładkiej skórze.

Zamknął oczy, a jego pełne usta uformowały się na moment w taki sposób, jakby chciał wypowiedzieć moje imię.

- Śpij, mój aniele - szepnęłam. Pochyliłam się i przycisnęłam rozwarte usta do jego warg. - Dobrze się spisałeś.

Napięcie i zmarszczki zniknęły powoli z jego urodziwej twarzy. Zapomniał o bólu i strachu. Ogarniał go wieczny spokój.

Powinno być odesłać go wcześniej do kraju. Nie należało w ogóle włączać go do mego życia. Michael był jak powiew świeżego powietrza. Promieniował światłem i witalnością, które gasły przeze mnie.

Trzymając go, czułam, jak życie uchodzi z jego ciała i serce spowalnia swój rytm. Jego dusza starała się wyswobodzić z ciała. Nie potrafiłam go uzdrowić. Pomimo wszystkich swoich mocy i zdolności, nie umiałam leczyć ludzkiego

ciała poza zamykaniem ran, jakie zadawały moje kły. Jedyne, co mogłam teraz zrobić, to spróbować zamienić go w nocnego wędrowca, ale nie uczynię tego. Jego dusza pragnęła być wolna jak latawiec na wietrze. Wiedziałam, że muszę pozwolić mu odejść, bez względu na to, jak bardzo chciałam, by ze mną pozostał.

Rozdział 27

Ból w lewej ręce ustał. Wysiłałam swoje moce i podniosłam się na nogi. Odgłosy walki wokół mnie jakby przycichły, a świat przyblakł. Czas posuwał się w żółtym tempie po deskach podłogowych niczym wielonogi owad. Chwyciłam oba pistolety Michaela i swój miecz. Jeden z pistoletów zatknęłam za spodnie na plecach, drugi włożyłam do lewej ręki, a miecz zacisnęłam mocno w prawej dłoni.

Byłam rozwścieczona. Miałam ochotę wysłać falę ognia przez cały budynek, usuwając z niego wszystkie wrogie stworzenia. Michael odszedł i pragnęłam upuścić jak najwięcej krwi naturi. Chciałam, aby zginęli wszyscy.

Przeszłam do salonu i zatrzymałam się tam, by ocenić sytuację. Meble były powywracane, a światło przyćmione. Tylko jedna mała lampa w dalekim kącie rozświetlała ciemność. Danaus walczył z dwoma naturi naraz, ze sztyletem w jednej ręce i krótkim mieczem w drugiej. Światło migotało na stali jeszcze nie zbrukanej krwią. Trzech innych naturi stało koło okna, przez które wcześniej weszli, oglądając to przedstawienie. Normalnie pozwoliłabym Danausowi się zabawić, ale tym razem chciałam, by jego przeciwnicy zginęli. Jeden z nich zabił Michaela.

Robiąc krok do przodu, uniosłam pistolet. Bez wahania wystrzeliłam kilka razy, trafiając obu naturi w czoło, zanim zdołali mnie zaatakować. Odrzut wstrząsnął moją ręką, aż zasyczałam z bólu, ale nie pohamowało mnie to, gdyż odwróciłam się i wystrzeliłam trzy ostatnie kule w pozostałych naturi. Tylko jeden pocisk trafił do celu, przygważdżając na krótko stworzenie o szatynowych włosach do spryskanej krwią ściany, zanim osunęło się na podłogę.

Nie mając już amunicji, rzuciłam pistoletem w najbliższej stojącego naturi, miażdżąc mu nos i kość policzkową. Wrzasnął i zatoczył się do tyłu, trzymając się za twarz. Podeszłam bliżej, czując jak wściekłość wrze mi w żyłach. Jednym ciosem miecza pozbawiłam go głowy, która potoczyła się po podłodze.

Zranione stworzenie podobne do elfa rzuciło się na mnie, wymachując mieczem jak oszalałe, częściowo oślepięte przez ból. W oka mgnieniu znalazłam się za nim. Chwyciłam go za szatynowe włosy i szarpnęłam jego głowę do tyłu, zanim przejechałam mu mieczem po gardle. Przecięłam główne tętnice i otworzyłam tchawicę. Jest to sztuka, której można się nauczyć przez lata zadawania tortur i uśmiercania. Gdybym go tak zostawiła, mógłby utopić się we własnej krwi. Niestety nie wiedziałam, jak szybko może się

zregenerować, a więc odciąłem mu obie ręce. Nie chciałam, żeby później powrócił, by mnie zadźgać. W ten sposób przynajmniej wykrwawi się na śmierć. Będzie cierpiał nieco dłużej, niż gdybym po prostu pozbawiła go głowy, jak jego towarzysza. Pragnęłam, aby konał powoli.

Danaus chwycił mnie za rękę, gdy ruszyłam do wyjścia, i zatrzymał mnie.

- On jeszcze nie skonał - warknął. Ścisnął mi rękę, a jego moce uderzały we mnie ze złością.

- Ale skona. - Danaus nie puścił mnie, jego wzrok płonął, przenikając mnie na wylot. Wiedziałam, o co mu chodzi. Nie uznawał tortur. - Pamiętaj o tym, że oni zrobili mi coś o wiele gorszego. On przynajmniej wie, że umrze. Ja nie miałam takiej gwarancji. - Wyrwałam rękę z jego uścisku i ruszyłam korytarzem.

Z ulgą zauważyłam, że poszedł za mną, zamiast zostać i zakończyć cierpienia naturi. Może wiedział, że to nie najlepszy moment na to, żeby mi się sprzeciwiać. Przystanąłam w holu, starając się na patrzeć na zimne ciało Michaela. Zamiast tego spojrzałam na korytarz i zobaczyłam trzech kolejnych naturi zmierzających w stronę pokoju, w którym znajdowali się Jabari i inni. Wyciągnęłam zza pasa drugi pistolet i ruszyłam w stronę napastników.

- Czy nadciąga ich więcej? - Przeszłam nad ciałem najbliższego naturi, podchodząc do zamkniętych drzwi, nie zwracając uwagi na to, czy jest już martwy, czy jeszcze nie.

- Tak, ale mamy parę minut - odparł Danaus, podążając tuż za mną.

Pchnęłam drzwi, otwierając je, i opuściła mnie pewność siebie. Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Wszystkie meble były zniszczone. Wspaniałe obrazy zrzucono ze ścian, używając ich ciężkich ram jako broni. W ścianach widniały dziury po kulach. Na podłodze walały się trupy, potłuczone i porozdzierane.

Sadira stała w kącie przy rannym Tristanie. Trzymała mocno w dłoni nogę od krzesła, na którym wcześniej siedziała, odsłaniając teraz kły. Gdyby nie one, nie wyglądałaby wcale na wampirzycę; przypominała raczej matkę chroniącą swoje dziecko. Na wpół oszalała, żadną zemsty matkę w poplamionej krwią żółtej spódnicy, przywierającej do jej szczupłego ciała, z ciemnymi włosami opadającymi na plecy.

Mój Gabriel wciąż stał twardo obok niej, z nożem w jednej dłoni i krótkim mieczem naturi w drugiej. Najwyraźniej zabrakło mu amunicji. Jego prawie ramię i lewe udo krwawiły, ale miałam nadzieję, że rany są powierzchowne. Nie mogłam przecież stracić i jego.

Jabari znajdował się w samym oku cyklonu. Jego energia krążyła po pokoju gwałtownymi falami. Wokół niego leżało co najmniej dwanaście martwych ciał, porozrywanych na strzępy na różne sposoby. Jabari nie używał miecza ani noża. Wolał rozszarpać swoich nieprzyjaciół gołymi rękami. Była to sztuka nieco już zapomniana.

Obserwując, jak spogląda na pięciu otaczających go obecnie naturi, przypomniałam sobie, dlaczego zawsze go kochałam. Uwielbiałam go za to, że promieniował z niego jedynie gniew, a nigdy strach, zwątpienie czy brak zdecydowania. Bez wahania, nie wysilając się zbytnio, Jabari wyrwał serce z piersi jednego z naturi. Odrzucił i je, i zwłoki niedbale na bok, a potem podszedł do następnej ofiary.

Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że również mnie szykuje taki los, bez względu na to, co teraz się wydarzy.

- Wkraczamy? - spytałam, spoglądając na Danausa i próbując ustalić, w jaki sposób najlepiej zaatakować. Najlepiej zacząć od uwolnienia Sadiry i Gabriela. Jabari poradzi sobie sam.

- Ty pierwsza - rzekł Danaus, przepuszczając mnie przodem. Pomyślałam, że zaczyna go to bawić. Był pochlapany krwią, a strumyczek potu spływał mu ze skroni na mocno zarysowaną szczękę. Zmrużonymi oczami bacznie obserwował naturi znajdujących się w pokoju, oceniając ich umiejętności. Rozemocjonowany walką i przyływem adrenaliny był większym drapieżnikiem od samych naturi. Złowieszczym wojownikiem, płynącym na fali krwi i przemocy, gdzie nie było miejsca na ludzkie odruchy.

Potrząsając lekko głową, skoczyłam do przodu i rzuciłam się na naturi, który przypierał do ściany Gabriela. Po wymianie kilku ciosów naturi padł, a jego głowa potoczyła się przez pokój. Zanim zajęłam się kolejnym przeciwnikiem, rzuciłam Gabrielowi pistolet, który miałam przy sobie. Nie wiedziałam, ile nabojów jeszcze w nim zostało, ale było to lepsze niż nic.

- Trzymaj się z daleka i pilnuj, żeby nikt nie wszedł przez te drzwi - rzuciłam przez ramię, kiedy jeden z dwóch naturi atakujących Danausa ruszył w moją stronę. Skrzyżowaliśmy miecze, krążąc wokół siebie bardzo ostrożnie, gdyż na podłodze wałały się różne części ciała i była śliska od krwi. Z trudem zachowując równowagę, z lewą stopą na czyjejś piersi, a prawą przydeptując rękę innych zwłok, zablokowałam cios zadany od góry, który miał mi rozłupać czaszkę. Następnie zakończyłam to starcie, sama tnąc mieczem i przepoławiając wroga.

Potykając się o martwe ciało, uniosłam wzrok w chwili, gdy Danaus wykończył swojego przeciwnika za pomocą zręcznego sztychu, dzięki któremu poderwał go w górę i rozplatał aż po kręgosłup. Sama dobrze posługiwałam się mieczem, ale przyglądanie się fechtującemu Danausowi sprawiało mi prawdziwą przyjemność, gdyż przypominało balet rosyjski. Właściwie bardziej wyczuwałam niż widziałam pracę mięśni i ścięgien naprężających się pod jego opaloną skórą. Każdy ruch następował w odpowiednim momencie i był starannie wyważony, by przynieść maksymalny efekt. Docierało do mnie lekkie pulsowanie jego mocy.

Rozejrzałam się po pokoju. Jabariemu pozostali dwaj ostatni naturi. Sadira klęczała obok Tristana, obejmując zakrwawionymi rękami jego bladą twarz. Gabriel stał oparty o ścianę niedaleko nich, usiłując złapać oddech.

- Czy bardzo z nim źle? - spytałam, spoglądając na młodego nocnego wędrowca. Wszyscy byliśmy zalani krwią i trudno było powiedzieć, kto tak naprawdę krwawi.

- Rana nie jest głęboka, ale miecz był zaczarowany - odrzekła Sadira, przerzucając na mnie zatroskany wzrok. Na jej czole widniała krwista smuga, a nasiąknięte krwią ubranie przylegało do jej ciała, sprawiając, że wyglądała jeszcze bardziej szczupło.

- To spowalnia leczenie. Bardziej boli niż naprawdę zatruwa. Przeżyje - stwierdziłam, przenosząc wzrok na swojego anioła stróża. Stał, patrząc na pistolet trzymany w dłoni.

- Zginął, ratując mi życie - pośpieszyłam z wyjaśnieniem, starając się zachować opanowany głos, gdy mignął mi w myślach obraz Michaela leżącego w moich ramionach. Należało bardziej wyτέżać uwagę. Nie potrafiłam wyczuwać natury, ale powinnam była usłyszeć kroki lub otwierające się drzwi.

Gabriel skinął głową.

- W takim razie umarł szczęśliwy.

Zacisnął palce na pistolecie, a jego rysy stwardniały. Mój anioł o szatynowych włosach przeżył już trzech innych ochroniarzy. Dwaj pozostali okazali się zbyt beztroscy, podejmując walkę w momencie, gdy powinni byli tego zaniechać. Jednak Michael różnił się od nich. Wiedział, kiedy się nie wychylać i jak wypełniać polecenia. Mimo to zginął.

Zmuszając się do przeniesienia uwagi z powrotem na Danausa, odepchnęłam od siebie te żale. Tylko by mnie rozpraszały i narażały na śmierć. Później będę opłakiwać krwawymi łzami swojego poległego anioła. Łowca wpatrywał się w rozbite okno z napiętą twarzą. Nie zapowiadało to niczego dobrego.

- Już tu są.

Ruszyłam z miejsca, zanim wypowiedział te słowa do końca. Jabari oderwał właśnie ręce swojemu ostatniemu przeciwnikowi i stał teraz sam na środku pokoju. Podobnie jak wcześniej podczas tej straszliwej nocy zrobił to ze mną Michael, pchnęłam Jabariego ramieniem. Runęliśmy oboje na podłogę, gdy grad strzał wpadł przez okno do pokoju. Ci dranie stawali się przewidywalni.

Zobaczyłam, że Jabari przygląda mi się ze zdziwieniem w swoich wielkich piwnych oczach. Pewnie na jego miejscu też byłabym zaskoczona. Niecałą godzinę wcześniej próbowaliśmy zabić się nawzajem.

- Od lat nie mieliśmy takiej zabawy - powiedziałam.

Jabari westchnął ze znużeniem, a jego oczy nagle posmutniały. Nie przypominał już z twarzy chodzącego trupa. Wyglądał niemal jak zwykły człowiek.

- Nadal cię nie rozumiem, kwiecie pustyni. Ale między nami nic się nie zmieniło.

- Nie oczekiwałam, że tak się stanie. Jesteś po prostu jedną z wielu osób, którzy chcą mnie teraz uśmiercić - przypomniałam mu, przykucając obok. Pozostałam w tej pozycji, gdy kolejna seria strzał przeleciała przez pokój. Kiedy

przebywaliśmy tak blisko siebie, mogłam teraz poczuć zapach jego krwi. Został raniony. Nie wiedziałam, jak poważnie i ile razy. Jako Starożytny potrafił znosić ból lepiej niż większość z nas, ale bez odpoczynku i jedzenia gorzej sobie radził. Podobnie jak my wszyscy.

- Obiecaj mi coś - powiedziałem ze wzrokiem utkwionym w oknie.

- Czego chcesz? - Ukląkł obok mnie; jego ciało było napięte, gotowe do walki. Łagodny głos Jabariego podziałał na mnie kojąco.

- Uwielbiam, kiedy tak mówisz - zażartowałam rozmarzonym głosem. Nie odrzekł nic, ale jego rysy stwardniały ostrzegawczo. Przeciągałam strunę. - Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, załatwimy to między sobą. Nie dopuść, żeby Sabat nasłał na mnie jakiegoś swojego sługusa. Zasłużyłam na coś lepszego. - Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że się uśmiecha, a z jego ust wyzierają białe kły.

- Jak sobie życzysz - odparł głębokim, poważnym głosem.

Nie tylko o to mi chodziło. Pragnęłam wyjść cało z tego zamieszania i wrócić do domu. Chciałam zepchnąć naturi, Temidę, Danausa i cały ten koszmar do najdalszych zakamarków swojego umysłu. Marzyłam o tym, żeby moja dobra wróżka, życzliwa czarownica z północy lub jakaś inna wiedźma z różdżką zjawiała się tutaj i wykończyła tych drani wypuszczających strzały.

- Ilu ich jest? - zawołałam przez pokój. Danaus spojrzał na mnie ponuro, zaciskając mocniej dłoń na krótkim mieczu. Ukląkł za jakimś roztrzaskanym meblem koło Sadiry i Tristana. Krew naturi zaczęła ciemnieć i wysychać na jego skórze. Jego ciemnoniebieskie oczy błyszczały w słabym świetle lampy.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Powiedz mi.

- Trzydziestu... mniej więcej.

Skinęłam głową, zachowując beznamiętny wyraz twarzy. Chciałam zawołać, że to niemożliwe. Wydawało mi się, że na całej tej wyspie nie może być więcej niż dwudziestu paru naturi. Niestety, jeden z nocnych wędrowców był już załatwiony, a drugi zaczynał słabnąć. Sadira trzymała się lepiej, niż przewidywałam, ale Gabriel pewnie już długo nie pociągnie. Miałam ochotę wezwać Ryana, ale jego ludzie pewnie go potrzebowali. Mogliśmy liczyć tylko na siebie.

Naturi jak na dany znak zaczęli wskakiwać przez otwarte okno. Danaus wyeliminował pierwszego z nich, wbijając mu w czoło nóż, który cisnął przez pokój. Wystarczyło to, by wystraszyć naturi stojącego obok i dać mi czas na zerwanie się na równe nogi. Kilku wrogów padło, ale nasza mała grupka wkrótce zaczęła ustępować z powodu przewagi liczebnej naturi.

Ledwie byłam świadoma obecności swoich towarzyszy. Wciąż znajdowałam się w ruchu, blokując uderzenia i zadając ciosy. Mimo to, zmuszona byłam cofać się krok za krokiem, ponieważ każdego zabitego zastępowało dwóch kolejnych. W końcu poczułam zmęczenie. Naturi, z którym teraz walczyłam, nie był najlepszym szermierzem, ale dopisywało mu szczęście. Podniosłam miecz,

by zablokować cios wymierzony w swoją szyję, i nie zauważyłam, jak drugą ręką wbił mi sztylet w brzuch. Odcięłam mu głowę, krzycząc z bólu, ale to co się stało, już nie mogło się odstać.

Padłam na kolana, a trucizna naturi rozeszła się po moim ciele, nasilając pulsujący ból w lewym ramieniu. Zrozpaczona uczyniłam jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy: wskrzesiłam ogień. Tylko to mi pozostało. Płomienie wyskoczyły z podłogi przede mną i szybko się rozeszły, odgradzając naturi od naszej grupki. Naturi cofnęli się, obserwując nas i pewnie zastanawiając się, co uczynię dalej, albo też czekając na pojawienie się jakiegoś członka klanu światła, który mógłby zneutralizować broń, jaką się posłużyłam.

- Spal ich, Miro! - zawołała Sadira z daleka.

- Nie potrafię. - Słowa te zabrzmiały jak ochryply szept, ale wiedziałam, że usłyszała mnie poprzez trzaskające płomienie. Odrzuciłam miecz i wyciągnęłam sztylet z brzucha. Ból już zaczynał mącić mi myśli i wiedziałam, że nie zdołam zbyt długo podtrzymać ognia. Wciąż byłam osłabiona po walce z poprzedniej nocy i niewiele sił mi pozostało.

- Spal ich, Miro! - rozkazał gniewnie Jabari. - Zniszcz ich wszystkich.

Byłam zbyt wyczerpana, by wydusić z siebie choćby jedno słowo. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że stoi przy mnie Danaus, wyciągając rękę, by pomóc mi powstać.

- Skończmy to razem - rzekł cicho. - To ja zadecyduję o twoim losie.

Miałam ochotę się roześmiać. Danaus żartował, powtarzając mniej więcej to samo, co sama mówiłam kilka dni temu Lucasowi.

Najważniejsze jednak, że proponował mi pewien układ. Jeśli przeżyjemy, jedno z nas znajdzie się na łasce tej osoby, która utrzyma się na nogach.

Powoli oderwałam prawą rękę od brzucha i ujęłam dłoń Danausa. A potem krzyknęłam. Ból spowodowany trucizną naturi wydał mi się zaledwie czymś w rodzaju użądlenia przez pszczołę w porównaniu z mocą przepływającą teraz przez moje ciało. Czulałam się tak, jakby ciało miało się oddzielić od kości.

Spal ich.

Zamrugałam i zorientowałam się, że jakoś trzymam się na nogach, jednak pokój coraz bardziej mroczył mi przed oczami.

- Nie... mogę ich dostrzec - powiedziałam zduszonym głosem. Paniczny lęk wzbierał, a ból wcale nie ustępował.

Owszem, możesz.

Tym razem uświadomiłam sobie, że ten głos w mojej głowie należy do Danausa. Miałam ochotę przeklinać go, ale coś dziwnego przyciągnęło moją uwagę. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że w pokoju zrobiło się jeszcze bardziej tłoczno. Skoncentrowałam się i uzmysłowiłam sobie, że potrafię już teraz wyczuwać obecność naturi.

Omiotłam mocami zgromadzonych w pokoju, gdy ból osiągnął punkt, w którym wydawało się, że łączy mnie ze świadomością jedynie cienka nić. Gdy wyciągnęłam rękę, tylko jedna myśl świdrowała mi mózg: zabić ich.

Próbowałam trafić w ich serca, spalić je. Była to sztuczka stosowana przeze mnie w przeszłości, która kiedyś okazywała się skuteczna, jednak teraz coś mi w tym przeszkadzało. Popychało mnie w stronę owego ulotnego pulsowania energii w każdym z naturi. Zbyt słaba, by się temu oprzeć, poddałam się.

Gdy wypłynęła ze mnie energia, z mojego gardła wydarł się kolejny krzyk, głośniejszy od pierwszego. Kolana ugięły się pod mną i upadłam, wciąż mocno trzymając Danausa za rękę, jak gdyby była to jedyna rzecz, pozwalająca mi pozostać przy zdrowych zmysłach. Kiedy ból ustąpił, znowu usłyszałam te same słowa:

Zabij ich wszystkich.

Odzyskałam zdolność koncentracji i wyczułam więcej naturi. Bez wahania wyemitowałam moce poza mury domu, w stronę drzew otaczających Warownię. Podpaliłam każdy kawałek pulsującej energii naturi, jaki napotkałam, aż w końcu natknęłam się na jakiś inny rodzaj siły, blokującej wpływ moich mocy gdzieś wiele kilometrów za Warownią.

Usłyszałam, jak Danaus pada na kolana, puszczając moją dłoń i uderzając ciężko o zimną, lepka od krwi podłogę. W ciszy słyhać był tylko jego urywany oddech. Ciało wciąż bolało mnie tak jak nigdy, ale myślałam coraz jaśniej, choć w owej chwili wołałabym raczej nie myśleć.

Uświadomiłam sobie z przerażającą jasnością, co takiego uczyniłam. Zniszczyłam ich dusze; całkowicie pozbawiłam ich życia. Wcześniej tylko podpalałam ich ciała. Tak, zabijałam ich z pewną dozą złośliwej satysfakcji, ale ich dusze mogły swobodnie przejść do życia po śmierci, takiego, w jakie wierzyli. Tym razem nie pozostało z nich nic. Miałam zamknięte oczy, ale czułam swąd zwęglonych ciał i spalonych włosów. Zniszczyłam ich zupełnie. Nie tylko tych, którzy nas atakowali. Unicestwiłam wszystkich naturi w promieniu kilku kilometrów od Warowni Temidy.

Rozdział 28

Zapanowała cisza. Po stukocie ciężkich kroków, brzęku stali i okrzykach bólu wydawała się wręcz przytłaczająca. Nawet myśli Sadiry teraz przycichły. Wciąż mogłam wyczuć ją w pokoju, ale w jej umyśle panował zamęt. Czy wiedziała, co uczyniłam? Nienawidziłam naturi każdym włóknom swojego ciała, ale gdybym wiedziała, że jestem zdolna do takiego niszczycielskiego dzieła, za nic nie dopuściłabym się podobnych potworności. Odbieranie życia to jedno. Ciało znika, lecz coś z danego stworzenia wciąż gdzieś istnieje. A ja to unicestwiłam; uczyniłam coś, co wydawało mi się dotąd niemożliwe.

Jak do tego doszło? Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłam. Nawet u szczytu swoich możliwości byłabym w stanie jedynie spalić osobników znajdujących się w tym samym pokoju. Czułam się wyczerpana.

Coś się stało, kiedy dotknęłam Danausa. Nie tylko zdołałam wyczuć obecność naturi, co nie zdarza się nocnym wędrowcom, lecz także potrafiłam zniszczyć ich dusze.

Powoli otworzyłam oczy i odwróciłam głowę, by spojrzeć na Danausa. Łowca siedział zgarbiony na podłodze obok mnie. Głowę miał pochyloną, a twarz skrytą za zasłoną długich czarnych loków. Oddychał nierówno, z trudem. Kiedy wreszcie na mnie spojrział, ujrzałam swoje przerażenie odbite w jego błękitnych oczach.

Wyciągnął dłoń, by dotknąć mojej ręki, ale się wyrwałam, odsuwając od niego.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęłam. Skuliłam się, gdy nowa fala bólu przeszła przez moje ciało. Ból ten był nieznośny, ale mój strach przed tym, co się stało, wydawał się jeszcze mocniejszy. Wiedziałam, że zachowuję się nierozsądnie. Stykałam się z tym człowiekiem nieraz i jakoś nic się nie stało, ale pamięć i ból wciąż były zbyt świeże.

- Miro? - powiedziała Sadira dziwnie zmienionym głosem.

- Oni odeszli. - Moje słowa zabrzmiały jak żalony jęk. Dokuczliwy ból zaczął w końcu słabnąć i myślałam coraz bardziej logicznie. Uniosłam głowę i niechętnie rozejrzałam się po pokoju. Wyglądało to wszystko strasznie, jak scena z jakiegoś koszmaru: różne części ciała porzucane chaotycznie na małej przestrzeni. Dla mnie jednak najbardziej przejmujący był widok zwłok tych, których zgładziłam. Po spaleniu ich dusz z ciał pozostał szary popiół. Większość z nich rozsypała się już w spopielone kupki, ale kilku wciąż stało, jak rachityczne, brudne bałwany. Z mojego powodu wyspa ta była teraz cała usiana takimi bałwanami, pustymi skorupami, rozpadającymi się pod wpływem wiatru.

- A zatem załatwione - rzekła Sadira. Miała już silny głos, pewny siebie. - Triada została odtworzona.

- Teraz mi wierzysz? - odparłam, próbując zmusić się do uśmiechu. Tak naprawdę, to chciało mi się wymiotować. Skręcało mnie w żołądku, który rozpaczliwie chciał oczyścić się z przemocy, za którą byłam odpowiedzialna. Poza tym straciłam zbyt dużo krwi w ciągu ostatnich kilku nocy.

- Nie! - ryknął Jabari, a jego gniewny głos zabrzmiał echem w cichym pokoju. - To nie może być on.

- On? - Podniosłam raptownie głowę, przenosząc wzrok z Jabariego na Sadirę, lecz oboje mnie zignorowali.

- On nawet nie należy do naszej rasy - stwierdził Jabari.

- Najwyraźniej nie ma to znaczenia - odparła Sadira. - Czujesz moc w tym pokoju tak samo jak ja.

- Nie!

- Wybierzecie do triady Danausa zamiast mnie? - spytałam. Chociaż nigdy nie dyskryminowałam nikogo z powodu jego rasy, nawet mi do głowy nie przyszło, że można prosić Danausa - kimkolwiek był - o wejście w skład triady

rzządzającej wampirami. Zwłaszcza, że przez tak długi okres zajmował się zabijaniem nocnych wędrowców.

Zwracanie na siebie uwagi mogło jednak okazać się złym pomysłem, jeśli uwzględnić to, że ledwie trzymałam się na nogach. Miałam ochotę się położyć, ale kałuże stygnącej krwi naturi i szczątki ich ciał sprawiły, że natychmiast z tego zrezygnowałam.

- Wciąż jesteś ślepa na prawdę? - spytał Jabari z niedowierzaniem. Podszedł do mnie z twarzą wykrzywioną ze złości. - Nigdy nie wejdiesz w skład triady, bez względu na to, ile będziesz miała lat i jak silna się staniesz. - Przyklękając, aby spojrzeć mi w oczy, uśmiechnął się szyderczo. - Jesteś tylko czymś w rodzaju broni, narzędziem, niczym więcej niż miecz czy strzelba. Twoja prawdziwa moc tkwi w tym, że ktoś inny może cię wykorzystać.

- Nie - zachrypiałam, lecz już zaczęłam się nad tym zastanawiać. Głos w mojej głowie był rozkazem, którego usłuchałam. Nie miałam wyboru, nie mogłam powstrzymać tego, co się stało, choćbym nawet próbowała.

- Triada skupia swoją moc w tobie. Wykorzystaliśmy cię, jak gdybyś była kluczem zamykającym wrota dzielące ten świat od krainy naturi - wyjaśnił Jabari.

- Jeśli byłam kimś tak ważnym w tej sprawie, dlaczego nie pamiętam tamtej nocy? - spytałam przez zaciśnięte zęby. Od myśli, że ktoś mną kieruje, zapomniałam o bólu, który wciąż pulsował w moim ciele. Wyglądało na to, że zawsze walczyłam o niezależność, możliwość kierowania własnym losem.

- Dla własnego bezpieczeństwa.

Zachnęłam się z niedowierzaniem, skupiając wzrok na swoim dawnym przyjacielu i opiekunie.

- Zaczyna mi się wydawać, że nic, co kiedykolwiek dla mnie zrobiłeś, nie miało na celu mojego dobra.

Jabari uśmiechnął się do mnie. Był to uśmiech, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam na jego twarzy. Wydawało się, jakby nagle zrzucił maskę, w którą wpatrywałam się przez minione pięćset lat, nie mając pojęcia, że nie jest to jego prawdziwe oblicze. Widywałam go, jak uśmiechał się z zadowolenia lub złośliwie, ale teraz sprawiał wrażenie kogoś wykutego z lodu, zimnego i twardego. Jednym palcem uniósł mi głowę. Próbowałam się odsunąć, ale okazało się, że nie mogę. Moc, jaka sączyła się z niego, wystarczyła, aby moje obolałe mięśnie się napięły. Podświadomie czekałam na jego rozkaz. Ale on chciał jedynie wykazać, że potrafi mnie kontrolować.

- Nie możesz tego pamiętać, ponieważ my nie chcemy, żebyś pamiętała - powiedział Jabari.

- My?

- Sabat. Możesz stać się całkiem skuteczną bronią.

Zacisnęłam zęby, ponownie spróbowałam odsunąć głowę od jego dłoni, ale znowu mi się nie udało, na co Jabari uśmiechnął się szerzej.

- Może tobą kierować Sadira - mówił dalej. - Mógł Tabor, no i ja także. O dziwo, niektóre dzieci Tabora też to potrafiły, więc uznaliśmy, że jest to dobra metoda odnalezienia właściwej linii.

- Byli też inni? - Przerazenie zatopiło swoje pazury w moim ciele. Nie mogłam przywołać wspomnień, ale z łatwością potrafiłam wyobrazić sobie tę scenę: oto igrano mną jak pacynką, ku rozbawieniu Sabatu oraz sługusów tej organizacji.

- Kilku. Przeprowadziliśmy parę eksperymentów. Niestety większość tych, którzy, jak się przekonaliśmy, potrafili cię kontrolować, musiała zostać zgładzona. Nie mogliśmy pozwolić na to, by nasz sekrecik wydostał się na zewnątrz. Musieliśmy też dopilnować, abys ty się nie dowiedziała. Zawsze istniało ryzyko, że ktoś odczyta twoje myśli i odkryje twoje wyjątkowe umiejętności.

- A więc pozwolono mi żyć tak długo, żeby Sabat w każdej chwili mógł mnie wykorzystać - stwierdziłam. Coś rozbłysło w oczach Jabariego na ułamek sekundy. - Co ukrywacie? Czy dotyczy to Sabatu? - Zobaczyłam, że jego rysy stwardniały. Uśmiechnęłam się. - Nie wszyscy z Sabatu mogą mną kierować. - Uśmiechnęłam się szerzej, a Jabari zrobił obojętną minę. Szybko pomyślałam o innych członkach Sabatu. Macaire i Elizabeth. Tabor już odszedł. Czyżbym to właśnie ja była przyczyną jego śmierci?

- Masz wielkie szczęście, że przeżyłaś tak długo - powiedział Jabari. - Zdecydowałaś się spełniać życzenia Sabatu, co dawało złudzenie, że postępujesz wedle własnych życzeń.

- Sabat prosił mnie tylko o zachowanie pokoju i strzeżenie naszej tajemnicy - odparłam, lekko wzruszając ramionami, i natychmiast poczułam ból w zranionym barku.

- A teraz mamy ten problem - mruknął Jabari, przenosząc wzrok na Danausa, który bacznie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań. Łowca z trudem podniósł się na nogi. Ja nadal nie byłam pewna, czy zdołam się podnieść.

- Naturalnie założyliśmy, że może kierować tobą tylko ktoś z naszej rasy - podjął Jabari. - To niedobrze, mój kwiecie pustyni, że zaczynamy wątpić w twoją lojalność.

- Niewielu jest takich, którzy coś uczynili, żeby sobie na nią zasłużyć - odparłam, na co on ściągnął brwi. W tym momencie wolałam już to, niż ten jego uśmiech. - Ale to nie ma znaczenia. Pozwolisz mi żyć tylko tak długo, dopóki nie odkryjesz sposobu na stworzenie kogoś innego, podobnego do mnie.

- Jeśli przedtem inni cię nie zabiją - powiedział Jabari, cofając rękę spod mojego podbródka. Stał przed mną, spoglądając w dół, jakby coś rozważał. - Naturi wiedzą, że jesteś kluczem do tego, żeby ich powstrzymać. Wystarczająco dużo z nich przeżyło Machu Picchu, by wiedzieć, że jesteś tą, która zapieczętowała wrota. Miałaś rację. To ciebie próbowali zabić w Asuanie, a nie mnie. Wydaje mi się, że usiłowali też zgładzić cię w Londynie, ale zamiast ciebie uśmiercili dziecko Tabora. Zawsze chodziło im o ciebie.

- Skoro jestem tak ważna, to czemu posłałeś mnie do pilnowania Sadiry?
Dlaczego nie wysłałeś kogoś innego?
- Potrzebowaliśmy przynęty.
- Przynęty?
- Aby wywabić Rowe'a. Wiedzieliśmy, że napadnie cię znowu. Okazja, żeby cię zabić, jest dla niego zbyt kusząca.
Przymknęłam oczy, próbując zignorować szloch, jaki uwiązał mi w krtani. Wyglądało na to, że wszyscy się na mnie uwzięli.
- A zabicie Rowe'a położyłoby kres temu wszystkiemu? Powstrzymałoby naturi? - Mój głos drżał, kiedy starałam się opanować emocje.
- Rowe to ostatni znany przywódca naturi - wyjaśnił Danaus.
Odwróciłam szybko głowę, by spojrzeć na niego, i dostrzegłam, że wpatruje się we mnie swoimi błękitnymi oczami.
- Ty też mnie wykorzystasteś - szepnęłam.
Nie odwrócił wzroku, wytrzymał moje spojrzenie.
- Tak. Kiedy on próbował dopaść cię w Asuanie, uświadomiłem sobie, że musisz odgrywać jeszcze jakąś rolę, o której mi nie mówisz. Pomyślałem, że spróbuje cię schwytać ponownie.
- No cóż, obaj zaprzepaściliście okazję do zakończenia tej sprawy. Rowe w Londynie groził, że mnie porwie - odparłam rozgoryczona. - Mogę się domyślać, że obaj wciąż macie jakieś plany wobec mnie.
- Miro... - zaczęła Sadira łagodnym głosem.
- Usłyszałam już dostatecznie dużo! - krzyknęłam.
- I ja też! - usłyszałam z tyłu straszliwy drwiący głos. Nie musiałam się oglądać, żeby wiedzieć, kto to powiedział. Poznałam to również po kompletnym zaskoczeniu na twarzach innych. Śmiertelnie przerażona usiłowałam się cofnąć, ale on złapał mnie za włosy, owijając je wokół dłoni. Szarpnął mnie do tyłu i w mgnieniu oka zaciągnął w ciemność, poza Warownię. Rowe wreszcie mnie dopadł.

Rozdział 29

Ciemność nagle się rozproszyła i w świetle księżyca ukazała się równina, wzdłuż której biegła pusta droga. Powoli podniosłam się do pozycji siedzącej i rozejrzałam się wokół. Rowe odszedł ode mnie na parę kroków, zataczając się, po czym w końcu zwałił się na kolana w trawę. Z trudem łapał powietrze. Drżał cały, pocąc się obficie. Przemieszczanie się z miejsca na miejsce bardzo go wyczerpało.

Wbijając paznokcie w ziemię, zaczęłam podwijać pod siebie nogi, aby wstać. Całe moje ciało zawyło z bólu, a świat lekko się zakółysał. Brakowało mi krwi,

bym mogła podjąć walkę i liczyć na zwycięstwo, ale i Rowe był najwyraźniej w kiepskim stanie.

- Pilnujcie jej - rzucił, nie patrząc na mnie.

Dopiero teraz zobaczyłam sześcioro naturi różnej wielkości, z rozmaitych klanów, którzy zbliżali się do nas ostrożnie. Za nimi wznosiły się blade monolity Stonehenge. Próbowali złożyć ofiarę tej nocy i z jakiegoś dziwnego powodu Rowe chciał, abym była świadkiem ich triumfu.

Nie byłam w formie, by poradzić sobie z siedmioma naturi.

Świszczący śmiech wydobył się z gardła Rowe'a. Klęczał na ziemi, opierając przedramiona na trawie przed sobą. Głowę miał zwróconą w moją stronę, czarne włosy częściowo zasłaniały mu twarz, ale i tak mogłam dostrzec wymowny uśmiezek wykrzywający mu usta.

- Och, wygląda na to, że wcale nie jesteś w lepszej formie ode mnie - warknęłam.

- Przynajmniej mam kogoś, kto mnie chroni - odparł, siadając powoli, jakby go wszystko bolało.

Spojrzałam ponownie na naturi stojących przed nami. Do przodu wystąpiła istota rodzaju żeńskiego o jasnych włosach do pasa. Wyciągnęła rękę i płomień zatańczył na jej palcach. Wyglądało na to, że należy do klanu światła.

- Idź do diabła, Rowe - burknęłam, nie spuszczać oka z sześciu naturi.

Z ust Rowe'a wydobył się potok słów, których nie rozumiałam. Naturi po chwili wycofali się, powracając do wewnętrznego kręgu utworzonego z głazów.

Na równinie znowu zapadła cisza. Powietrze było nieruchome, przepełnione wyczekiwaniem. Dopiero gdy naturi powrócili w cień głazów, usłyszałam cichy płacz kobiety. Mieli swoją ofiarę, czekającą w ciemności, otoczoną przez wielkie kamienie. Gdzie, u licha, był Jabari? Przecież potrafił przemieszczać się z miejsca na miejsce w jednej chwili. Mógł mnie odnaleźć wszędzie, gdzie tylko byłam. Dlaczego jeszcze się nie zjawił? Gdyby tu był, mógłby powstrzymać to, co tutaj się działo. Zadowolilibym się nawet obecnością Sadiry lub Danausa, ale zdawałam sobie sprawę, że dotarcie do mnie zajęłoby im nieco więcej czasu.

Przeciagnałam palcami po ziemi, pozostawiając w niej wąskie bruzdy. Trawa była wilgotna, jakby niedawno padało. Poczułam pod sobą dziwne buczenie mocy, która zaczęła narastać. Czy zaczęli już składać ofiarę? Nie dostrzegałam większości naturi, gdyż przesłaniały ich wielkie kamienie, ale dobiegały do mnie ciche odgłosy oddechów, szelest ubrań.

- Czujesz to, prawda? - powiedział Rowe. Czułam jego wzrok na moich ramionach, ale nie spojrzałam nawet na niego. - W ostatnich dniach w Machu Picchu Nerian nie musiał cię dotykać, moc gór była wystarczająco wielka, żebyś wiła się z bólu.

Pokręciłam głową. Nie zamierzałam pozwolić na to, by bawił się ze mną w jakieś psychologiczne gierki.

- Przestań. Nie było cię tam - odparłam.

- Ależ byłem - rzekł cicho. Zerknęłam na niego. Podpełzł kilka kroków bliżej, ale nadal znajdował się poza zasięgiem mojej ręki. - Byłem tam codziennie, każdej nocy, gdy przebywałaś w niewoli. Nie pamiętasz mnie tylko, bo wyglądałem wtedy nieco inaczej.

- Czas nie obszedł się z tobą łaskawie. - zadrwiłam.

Na jego twarzy na sekundę pojawił się gniew, nienawiść.

- Jestem pewien, że minione lata naznaczyły nas oboje w szczególny sposób.

- Po co mnie tu sprowadziłeś? Wciąż jeszcze mogę przeszkodzić wam w składaniu ofiar i pokrzyżować wszystkie wasze plany. - Uśmiechnęłam się do niego, siadając. Potarłam jedną ręką o drugą, strzepując z nich piach.

Rowe też usiadł. Zdawało się, że porusza się z nieco większą łatwością. Oboje odzyskiwaliśmy powoli siły.

- Dlatego, że wynikająca z tego satysfakcja jest warta takiego ryzyka.

Parsknęłam śmiechem.

- Zamordowanie mnie aż tyle dla ciebie znaczy?

Rowe przygładził włosy ręką, zaczesując parę kosmyków za ucho, aby nie spadały mu na oko. Wzdłuż jego szczęki biegła biała szrama, połyskująca w świetle księżyca na opalonej skórze.

- Nie mam zamiaru cię zabijać.

Zachnęłam się w odpowiedzi i Rowe powiedział coś pod nosem w swoim własnym języku, tonem, przez który przebiegała frustracja. Patrzył przez chwilę na kamienny krąg, a potem znowu zwrócił się do mnie.

- Między nami nie musi tak być.

- Co takiego? Czyżby naturi łaskawie postanowili przestać zabijać nocnych wędrowców?

- O nie, nocni wędrowcy to hołota. Trzeba ich wytępić. Miałem na myśli ciebie i naturi.

- Ja także jestem nocnym wędrowcem.

- Ale nie tak miało być - odparł, pochylając się w moją stronę, po czym dodał, ścisząc głos do szeptu: - Nie powinnaś należeć do tej rasy. Twoje moce wykraczają poza jej ograniczenia. Mogłaś być kimś potężniejszym. I nadal możesz.

Odchyliłam się do tyłu, próbując utrzymać między nami pewien dystans. Gdy siedział tak blisko, trudno było powstrzymać chęć, by go uderzyć, ale nie miałam żadnych szans, skoro jego pobratymcy znajdowali się zaledwie parę metrów dalej.

- Niech zgadnę: to ty możesz mi w tym dopomóc - zadrwiłam.

- Potrafisz wyczuć tutaj moc, a żaden inny wampir tego nie umie. Kiedy kilkaset lat temu koło Machu Picchu zaroiło się od wampirów, żaden z nich nie reagował tak jak ty. Wciąż możesz czuć ziemię, mimo że jesteś nocnym wędrowcem - wyjaśnił. - Nadal to potrafisz, ponieważ jest to potężniejsze niż wszystko inne, co zyskałaś, zostając nocnym wędrowcem. Należysz do nas, a nie do nich.

Rozbawienie narastało we mnie powoli, aż w końcu odchyliłam głowę, a mój śmiech rozległ się na równinie, uciszając żalosne zawodzenie kobiety skazanej na śmierć tej nocy.

- Daruj sobie. Słyszałam takie gadki już wcześniej, chociaż za pierwszym razem wydawały się bardziej interesujące. W Machu Picchu próbowaliście namówić mnie do tego, żebym zabijała swoich. Teraz chcesz, bym uwierzyła, że jestem jedną z was.

- Czy możesz szczerze przyznać, że naprawdę odczuwasz przynależność do swojej rasy? Jak z tym jest, Krzesicielko Ognia?

Śmiech zamarł we mnie.

- To nie ma znaczenia.

- Możesz dziś zakończyć tę wojnę - rzekł cicho Rowe.

- Zabijając cię?

- Doprowadzając do końca składanie ofiary.

Ściągnęłam brwi, wpatrując się w niego przez długi czas bez słowa.

- O czym ty mówisz? - spytałam w końcu.

- Jeśli dopełnisz ofiary, pieczęć zostanie usunięta na zawsze. Ty ją założyłaś. Jeżeli sama ją zdejmiesz, nocni wędrowcy nigdy nie będą w stanie posłużyć się nią ponownie. Zakończymy tę walkę na zawsze.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Wtedy cię zabiję.

- A jeżeli to uczynię?

- Odejdiesz. Naturi nigdy więcej nie będą cię niepokoić.

Zostanę jednak uznana za zdrajczynię i moi pobratymcy będą mnie ścigać do końca moich nocy - odparłam, kręcąc głową.

- W takim razie usuń pieczęć i pozostań z nami - zaproponował, zadziwiając mnie. - Jestem małżonkiem królowej i znajdziesz się pod moją ochroną. Naturi nigdy nie będą cię nękać, a nocni wędrowcy cię nie dosięgną.

Odwróciłam głowę i przez chwilę spoglądałam na Stonehenge, a potem zamknęłam oczy. W rękach naturi miałam stać się bronią wymierzoną przeciw nocnym wędrowcom. A będąc wśród wampirów, stanowiłam broń w walce z naturi. Nieświadomie egzystowałam w obu tych światach.

Opierając ręce o ziemię, podniosłam się na nogi. Obok mnie cicho zaszeleściło ubranie, gdy Rowe również powstał. Trzymał się blisko mnie, kiedy powoli minęłam pierwszy krąg kamieni i wkroczyłam do wewnętrznego kręgu. Pozostałych sześćcioro naturi stało dookoła kobiety leżącej na trawie. Ręce miała związane i przymocowane do kołka wbitego w ziemię koło jej głowy. Kostki jej nóg również spętano i przywiązano do pala w taki sposób, aby jej ciało było wyciągnięte w osi wschód-zachód. Miała krótkie ciemnobrązowe włosy, po jej okrągłej twarzy spływały łzy. Nadgarstki otarła sobie do krwi, próbując się uwolnić, a powietrze wypełniał zapach jej ciała.

- Co chcecie, żebym zrobiła? - spytałam, patrząc na nią.

Rowe stanął przede mną i delikatnie ujął mnie za podbródek, unosząc mi głowę i zmuszając do spojrzenia mu w oczy.

- A zrobisz to?

- Pora zakończyć tę wojnę.

Uśmiechnął się półgębkiem i pokiwał głową.

- Krew tej kobiety powinna wsiąknąć w ziemię, zanim spalimy jej serce, które wytniesz.

Musiałam się upewnić. Nie mogłam teraz popełnić najmniejszego błędu. Kiedy Rowe się odsunął i stanął obok mnie, zbliżyłam się o krok do kobiety. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, błagając w milczeniu, żebym ją uwolniła. Nie mogłam jednak tego zrobić. Była jedyną istotą ludzką w okolicy. Stanie się ofiarą naturi, bez względu na to, jak postąpię.

Wpatrując się w nią, skupiłam wzrok na jej sercu. Kobieta wydała nagle z siebie stłumiony okrzyk, mącąc nocną ciszę. Wygięła się w łuk i wszyscy naturi cofnęli się o krok.

- Co się dzieje? - spytał ktoś.

- Ona jest nocnym wędrowcem! Zabije tę kobietę! - usłyszałam czyjś głos, ale nie odwróciłam głowy. Nadal skupiałam wzrok na klatce piersiowej kobiety, aż jej jasnyniebieska bluzka z perłowymi guzikami w końcu zaczęła czernieć i stanęła w płomieniach.

- Powstrzymać ją!

Rowe złapał mnie i odrzucił do tyłu na jeden z wielkich kamieni. Upadłam na ziemię i zamknęłam oczy, czekając, że zaraz runą na mnie inne głązy. Kiedy nic się takiego nie stało, otworzyłam powieki, próbując zignorować ból, pulsujący w moim kręgosłupie i w tyle czaszki.

- Czy możemy złożyć ją w ofierze? - spytał Rowe, zerkając przez ramię na leżącą kobietę, która już się nie poruszała.

- Jej serce zostało zniszczone - powiedział ktoś inny.

Rowe odwrócił się w moją stronę z nożem zaciśniętym w dłoni.

- W takim razie spróbujemy użyć serca tej drugiej - oświadczył.

Spróbowałam odskoczyć do tyłu, ale natknęłam się na olbrzymi głaz wystający z ziemi. Zużyłam resztki swojej mocy do uśmiercenia tej biednej kobiety i nie zostało mi już nic, żeby się bronić.

Wyczułam jednak powoli narastające napięcie, przemieszczanie się mocy wypełniającej krąg, a potem obok mnie pojawił się Jabari.

Rowe oraz inni naturi cofnęli się, gromadząc się po drugiej stronie kręgu; między nami a nimi leżały zwłoki kobiety. Nóż w dłoni Rowe'a zadrżał, gdy wpatrywał się w Starożytnego, oddychając ze świstem przez zaciśnięte zęby.

- Nie dostaniecie jej - oznajmił Jabari.

Rowe pochylił się do przodu, po czym wydał niski pomruk, a na plecach wyrosły mu nagle gigantyczne skrzydła. Czarne jak bezkسیężycowa noc, miały około trzech metrów rozpiętości i przypominały skrzydła nietoperza.

- Nie możesz zatrzymać jej na zawsze - warknął, wymierzając nóż w Jabarięgo.

Spojrzałam na swojego dawnego nauczyciela i opiekuna i zobaczyłam szeroki uśmiech na jego twarzy. Wyciągnął rękę w taki sposób, że jego dłoń znalazła się niemal nad moją głową. Naraz moc przepłynęła przez moje ciało. Jęknęłam. Czułam się tak, jakby do różnych części mojego ciała przymocowano liny i podniesiono mnie na nogi. Kierowało mną coś, czemu nie mogłam się przeciwstawić. Byłam zredukowana do roli marionetki.

Przez moje ciało przeszła druga fala mocy, niemal oślepiając mnie bólem. Uniosłam rękę i trzech naturi stanęło w płomieniach. Czułam, że naturi należąca do klanu światła próbuje ugasić ogień, ale bezskutecznie. Po chwili również i ją ogarnęły płomienie.

Rowe wzbił się w powietrze jednym machnięciem skrzydeł.

- Do zobaczenia w świecie zmarłych - rzucił i zniknął, pozostawiając dwóch ostatnich naturi, by płonęli żywcem.

Kiedy ostatni z nich zamienił się w kupkę popiołów, Jabari mnie oswobodził. Kolana ugięły się pode mną i zwałam się na ziemię. Miałam takie wrażenie, jak gdybym przestała istnieć. Pozostał tylko ból i przerażenie.

Zamrugłam kilka razy, próbując odzyskać jasność widzenia, i zobaczyłam, że Jabari wyciąga do mnie rękę, chcąc pomóc mi podnieść się na nogi. Wyrwałam się mu.

- Nie dotykaj mnie - warknęłam.

Jego ponury śmiech przerwał ciszę, owijając się wokół mnie niczym stryczek.

- Nie muszę.

Przeszedł mnie dreszcz i zacisnęłam zęby, żeby nimi nie szczekać. To prawda, wcale nie musiał mnie dotykać, aby sprawować nade mną kontrolę.

- Udamy się do Wenecji. To najlepszy sposób, żeby ochronić cię przed naturi - oznajmił Jabari.

Z pewnością miał rację. Wenecja to jedynie miejsce, gdzie będę bezpieczna i naturi mi nie zagrażą. Nigdy nie postawili nogi w tym mieście. Dawne opowieści głosiły, że jeden z ich bogów zmarł w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Wenecja, tworząc kanały wijące się pośród wysepek. Naturi nie mieli prawa wkraczać do tego miasta. Wenecja była jednak również siedzibą Sabatu. Nie chciałam znaleźć się w pobliżu innych Starożytnych, a już na pewno nie obok trzech najpotężniejszych nocnych wędrowców, jacy w ogóle istnieli.

Ze smutkiem uświadomiłam sobie, że nie mam wyboru. Nie czułam się na siłach, by walczyć z Jabarim, w ogóle nie wiedziałam, jak go pokonać. Ten łajdak mógł kierować mną jak marionetką. A gdybym mu się wymknęła, z pewnością Rowe wyciąłby mi serce. Przynajmniej Jabari przez jakiś czas potrzebował mnie żywej. Powstrzymałam złożenie drugiej ofiary, zyskując dla nas trochę czasu. Jednak naturi zaatakują ponownie.

Triada została odtworzona, nawet jeśli w jej skład wchodził teraz łowca wampirów. A ja byłem ich żywą bronią, która mogła zabijać lub powstrzymać naturę.

Odgłos silnika samochodowego wytrącił nas oboje z zamyślenia. Nadjeżdżał Danaus. Nie musiałam korzystać ze swoich mocy, żeby to wiedzieć. To z pewnością był on.

- Pojedziesz do Wenecji i zabierzesz łowcę ze sobą - rozkazał Jabari. - Będziemy na ciebie czekać.

Skinęłam głową, odwracając wzrok od jego twarzy.

- A Sadira?

Już wyjechała do Włoch. Prosi, żebyś przywiozła jej dziecko. - Znowu spojrzałam na niego i zobaczyłam drwiący uśmiech na jego ustach. Gdy samochód podjechał bliżej, Jabari zniknął.

Zamknęłam oczy, z trudem trzymając się prosto. Po raz pierwszy zastanawiałam się, czy opowiedziałam się po właściwej stronie. Gdybym przeszła na stronę natury, byłabym zmuszona do zabijania nocnych wędrowców i przypatrywania się, jak natury unicestwiają ludzi. Jeśli zaś sprzymierzyłabym się z wampirami, musiałabym zabijać naturę. Bez względu na to, jakie zajęłabym stanowisko tej nocy, ta niewinna kobieta i tak zginęłaby z mojej ręki.

Silnik samochodu ucichł i usłyszałam ciężkie kroki kogoś biegnącego przez pole. Otworzyłam oczy i ujrzałam Danausa między dwoma wielkimi głazami, trzymającego w dłoni długi nóż. Przyjrzał się miejscu, gdzie leżały zmasakrowane ciała, zatrzymując wzrok na zwłokach kobiety, a potem schował w końcu nóż do pochwy.

Powoli się podniosłam, ale nogi znowu się pode mną ugięły. Danaus podbiegł i chwycił mnie pod rękę, powstrzymując przed ponownym osunięciem się na ziemię.

- Gdzie Jabari? - spytał.

- Już odszedł - odparłam. Słowa z trudem przechodziły mi przez ściśnięte gardło. - Jedziemy do Wenecji. - Sarkastyczny uśmiech przemknął mi przez usta. - Udało nam się. Odtworzyliśmy triadę i mamy broń, która powstrzyma naturę.

Wzdrygnęłam się, kiedy jego duże dłonie ujęły moje policzki. Moc, która go przepęłniała, wirowała wokół mnie, tworząc ciepły kokon.

- Nie pozwól, żeby cię stłamsił - powiedział Danaus, zmuszając mnie, bym spojrzała w jego błyszczące oczy. Wiedziałam, że mówi o Jabarim. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobił Rowe, i nie byłam pewna, czy kiedykolwiek mu o tym opowiem. I tak już stanowiłam dostatecznie wielkie zagrożenie dla otaczającego mnie świata; nie było sensu dodatkowo pogarszać sytuacji.

- Już to zrobił - odparłam cicho. - Jestem narzędziem w jego rękach. Bronią.

- Nie, jesteś Krzesicielką Ognia. Żywym postrachem zarówno wampirów, jak i natury. Znajdziemy sposób, żeby ich pokonać.

Wpatrywałam się w Danausa, nie próbując nawet ukryć sceptycyzmu. Jakiego cudu oczekiwał ode mnie?

- Wymykacie mi się przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Jaki problem może stanowić kilku starych wampirów? - powiedział, unosząc gęste brwi i spoglądając na mnie.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Musieliśmy znaleźć jakiś sposób, jeśli chcieliśmy przetrwać. Nasze losy były teraz ze sobą związane.

- Znajdziemy jakiś sposób - szepnęłam. - Zawsze mi się to udaje.

Danaus pochylił się i pocałował mnie w skroń; fala spokoju przeniknęła mnie do szpiku kości, łagodząc nieco ból.

- A potem pozabijamy się nawzajem, jak nam to przeznaczone.

KONIEC